
MARCIN
CISZEWSKI
AUTOR
BEST
SELL
ERÓW

MARCIN CISZEWSKI

Autor bestsellerów



© 2019 Marcin Ciszewski
© 2019 WARBOOK Sp. z o.o.

Redaktor serii: **Sławomir Brudny**

Redakcja i korekta językowa: **Karina Stempel-Gancarczyk**

eBook:
Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux, atelier@duchateaux.pl

Ilustracja na okładce: **Tomasz Tworek**
Projekt okładki: **HEVI Sp. z o.o.**

ISBN 978-83-65904-47-8

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**
ul. Bładnicka 65
43-450 Ustroń, www.warbook.pl

ROZDZIAŁ 1

Nazywam się Jerzy Grobicki, mam czterdzieści jeden lat i właśnie umieram.

Tak zaczyna się jedna z moich książek, co jest zabawne, bo naprawdę nazywam się Jerzy Grobicki, mam czterdzieści lat z okładem, a więc prawie czterdzieści jeden, i właśnie przed chwilą dowiedziałem się, że być może niebawem umrę.

Oczywiście, Stary Lew wcale tego nie powiedział. Stary Lew dlatego dożył pięknej starości, że nie mówi pacjentom wprost, że umrą, i dlatego jeździ czerwonym sedanem za trzysta tysięcy, ma własną klinikę, a także asystentkę, która kręci tyłkiem najlepiej na świecie – zresztą idę o zakład, że jej kompetencje nie ograniczają się tylko do kręcenia tyłkiem, bo usta ma pełne, prężne i gotowe do akcji, nawet w tym sterylnym gabinecie, a może przede wszystkim tu, bo po co szukać lokalu na mieście, kiedy Stary Lew jest królem tu, a nie na mieście, może zarządzić półgodzinną przerwę w funkcjonowaniu królestwa i zamknąć drzwi na klucz, kozetka wygląda na całkiem wygodną.

Stary Lew gładzi lwią brodę, żadnych okularów, broń Boże, soczewki kontaktowe barwią mu oczy na niebiesko, czynią go jeszcze bardzie lwim, spogląda na trzymany przed oczami wydruk, następnie przenosi wzrok na mnie. Ja z kolei nie tak bardzo uważnie słucham Lwa, bo zajęty jestem odczytywaniem wiadomości tekstowej od Wieteski, który jak zwykle musi się ze mną skontaktować i dlaczego, kurwa, nie odbieram. No nie odbieram, bo mnie namówił na tę wizytę, kiedy ibuprom już nie przynosił ulgi, nawet w wersji max, zresztą nic innego też nie, kilka razy jakiś blady byłem i słaby, a on się może nawet trochę przejął, bo gdybym mu odpadł od siodła, to z czego by żył, biedaczek. Posłuchałem, wyjąłem brylantową, czy może diamentową, w każdym razie najdroższą z możliwych kartę do War-Medu,

gdzie Stary Lew jest szefem, Bogiem i właścicielem, no i umówiłem się na wizytę, podczas której Lew kazał prześwietlić moje czterdziestojednoletnie ciało tu i tam, zrobić badania o nazwach nie do zapamiętania, a potem polecił pokazać się za kilka dni. Więc pokazuję się za kilka dni, siedzę i słucham jednym uchem, choć zdania nie powinno się zaczynać od „więc”, co powinienem wiedzieć, gdyż jestem pisarzem numerem jeden na polskim, pożal się Boże, rynku wydawniczym, ale może wkrótce nie tylko polskim, a zatem bądźmy dobrej myśli. Jestem, siedzę i staram się zrozumieć, co Lew do mnie mówi, co nie jest proste, ponieważ esemesy pikają z monotonną regularnością, a ja spodziewam się wiadomości od Hani i jest to ważne, bo Hania wygląda jak milion dolarów i ma się zdecydować, czy przyjdzie do mnie dziś wieczorem w celu pogłębiania wiedzy na temat sposobów prowadzenia narracji, budowania bohatera, żeby był interesujący i takie tam, póki nie przejdziemy do rzeczy po dwóch albo trzech kieliszkach Baron de Ley Gran Reserva Rioja na głowę.

Stary Lew przywołuje mnie do porządku, patrzę na niego, mrugam, a jakże, bo muszę się sam przywołać do porządku i chociaż udawać, że wiem, o czym mówi, skoro płacę te dwadzieścia pięć tysięcy za roczny abonament, dzięki czemu Lew może sobie zmieniać asystentki dwa razy szybciej niż samochody, a samochody, jak słyszałem, zmienia nie rzadziej niż raz do roku. Więc płacę i nie narzekam, niech mi pomoże na te cholerne migreny. A on na to, że koniecznie muszę się położyć u niego w klinice na kilka dni w celu przeprowadzenia operacji, choć nie, uczciwie mówiąc, słowo operacja nie pada, chodzi o zabieg, tak, zabieg to właściwe określenie, niewielki zabieg musi przeprowadzić Sary Lew, poszperać w mojej biednej głowie, nie później niż za tydzień, maksymalnie dziesięć dni, i żebym tego nie lekceważył, na litość boską. Nie lekceważę, tylko cierpię na chroniczny brak czasu, *signum temporis*, Lew miał na studiach łacinę, uśmiecha się, mruga, wszyscy jesteśmy zapracowani, ale co robić, wolny rynek, sami chcieliśmy przecież. Więc co z tym zabiegiem? Za dziewięć dni, na czczo,

bladym świtem koło ósmej, nie wiem, kto normalny jest na nogach o ósmej, z piżamką, szczoteczką i ulubionym misiem-przytulanką, asystentka przygotuje wszystkie dokumenty, potem rutynowy wywiad z anestezjologiem i od razu na stół, tak koło dziewiątej, żeby nie tracić czasu. Patrzę w kalendarz w komórce, no, niby mam wolne, ale Wieteska już zadba, żebym nie miał gdzie szpilki wetknąć, umówię się na zabieg z Lwem, a on potem będzie miał pretensje, że wypadam z gry na kilka dni. Już wiem, co powie. Kilka dni? Kurwa, Jureczku, ochujałeś? W kilka dni można stracić masę pieniędzy, wiem, nie zarobić to nie to samo, co stracić, nie czepiaj się, kurwa, semiotyki logicznej, a uszczegóławiając, semantyki się nie czepiaj. Wieteska sam mnie wysłał do Lwa, dwa tygodnie namawiał, ma, co chciał. Zgadzam się na termin. Lew jest poważny i uroczysty, gratuluje szybkiej decyzji, wręcza fiolkę ketonalu, zaleca maksymalny spokój i unikanie stresu, co jest tym razem już nie zabawne, a prawdziwie śmieszne. Operacja – a jednak operacja, nie żaden zabieg – będzie miała rutynowy przebieg, oczywiście mogą wystąpić komplikacje, bo medycyna to nie matematyka, wszystkiego się nie przewidzi, niemniej ryzyko przeprowadzenia zabiegu jest znacznie mniejsze od ryzyka nieprzeprowadzenia zabiegu, a więc jednak, nie takie to wszystko śliczne, jak się po uśmiechu asystentki można spodziewać. O uśmiech trudno mieć zresztą pretensje, nawet jakby się człowiek dowiedział, że dziewczyna posiada w organizmie wszystkie choroby świata i żadnej nadziei, bo uśmiecha się ona rasowo, z dołeczkami i wargą do góry, o Jezu, Lew ma dobrze z tymi wargami, naprawdę, aż mnie dreszcz przechodzi, choć wcale nie jest za zimno ani za gorąco. Lew ściska mą dłoń, uchwyt ma żelazny, jak operator Jednostki Wojskowej 2305, o której napisałem kilka książek i nieźle zarobiłem, choć operatorzy owej jednostki, gdy już miałem okazję ich poznać, wyśmiali mnie za różne głupoty, no ale ja nie uprawiam literatury faktu, przepraszam bardzo. Wychodzę, recepcjonistka jest równie ładna co asystentka, Lew ma dobry gust, jeden mój znajomy mawia, że ładna sekretarka kosztuje tyle samo co brzyd-

ka, więc po co zatrudniać brzydką – ma rację, proste prawdy najlepiej opisują świat; recepcjonistka rzuca mi spojrzenie, które Stefan Żeromski nazwałby powłóczystym, zastanawiam się przez moment, czy nie dać jej wizytówki z prośbą o telefon; rezygnuję, bo na komórkę przychodzi zdjęcie Hani, która siedzi w obcisłej sukience na skraju wanny i czyta moją książkę, krzywię się, bo mogłaby poczytać coś dobrego, ale Hania ma talię i biust prosto z Hollywood, tylko lepsze, bo prawdziwe, więc niech tam, wszystko jedno, co czyta. A więc o osiemnastej. Wysyłam adres i wychodzę na parking.

Nie jeżdżę sedanem jak Lew, wolę SUV-y. Wieteska się śmieje, że SUV-y są dobre dla pedałów, żeby mogli gładko zjechać z asfaltu na pobocze w drodze na coniedzielny piknik w Powsinie, ale nie słucham go, lubię siedzieć wyżej niż inni kierowcy, chociaż nie mam żadnych kompleksów, trudno mieć przy wzroście koszykarza, jeżdżę SUV-em i niech się Wieteska odczepi, skrzyżowanie markiza de Sade z niemieckim policjantem się znalazło, do moralizowania pierwsze. Że też mu się chce tyle kłapać dziobem, za przeproszeniem. Wsiadam, zapalam i jadę, od razu wzbudzając wściekłość pozostałych uczestników ruchu drogowego, co o mało nie doprowadza do drogowego zdarzenia w typie kolizji, jak o tych sprawach pisze w raportach policja. To znaczy, może tak nie pisze, ale mogłaby pisać, czytałem policyjne raporty, nie takie rzeczy tam są.

Jadę szybko, oczywiście jestem spóźniony, warszawska siatka ulic to nieustanny ból dupy, remonty, a jakże, zaczynają się po wakacjach, bo trzeba zdążyć z wydaniem pieniędzy przed nowym rokiem. Trąbię, kręcę kierownicą, głośniki ryczą wściekle najnowszą płytę Arch Enemy, umieszczony pod fotelem studwudziestowatowy subwoofer masuje mi prostatę, nawet to przyjemne, jeśli się lubi takie rzeczy. Nie zwalniając, zerkam na wyświetlacz komórki, bo nigdy nie pamiętam numeru miejsca parkingowego w garażu podziemnym, a parkowanie na ulicy to kolejne dwadzieścia minut straty, chroniczny brak miejsc, nie mówiąc o gnojach, którzy kochają przeje-

chać ci gwoździem po lakierze, niby czemu nie, skoro nigdy nie będą mieli takiego samochodu. Ochrona uchyla wrota, ruszam z piskiem opon, zaraz potem o mało nie wjeżdżając w jakąś gadającą przez komórkę bizneswoman w subaru, koszuli z wysokim kołnierzykiem i z nosem za piętnaście kawałków w kolorze dwa tony jaśniejszym niż reszta oblicza. Dama trąbi, obrzuca mnie kurwami, ja uśmiecham się słodko, bo lubię, jak damy się złoszczą, zawsze je sobie wtedy wyobrażam bez majtek. Zamykam wóz, dama posyła mi ostatni bluzg i wyjeżdża ku górze, ku światłu; żegnam ją czule, zastanawiając się, w jaki wzorek depiluje sobie wzgórek łonowy. Chcę wjechać od razu na czwarte piętro, ale nie, to nowoczesny biurowiec, winda na czwarte piętro nie pojedzie bez karty magnetycznej, może mnie najwyżej zawieźć na parter, tam grubawa i znudzona pracownica ochrony ruszy tłusty tyłek, wejdzie ze mną do kabiny, machnie kawałkiem plastiku i wtedy komputer pozwoli windzie jechać. Recepcjonistka na czwartym piętrze nie ma nawet procenta urody koleżanki po fachu pracującej u Lwa, ale wita mnie miło, jestem tu niemal rezydentem, ściana telewizorów pokazuje niemy trailer jakiegoś nowego serialu stacji, największy ze wszystkich gwiazdor, przybrawszy zbolałą minę, czołga się po lesie, świeżo uczesana broda majta mu się w błocie, musiał mieć ekstrastawkę za tę scenę, Jezu, dobrze, że to nie mój serial.

Wieteska chodzi w tę i z powrotem, nie rozmawia z recepcjonistką, kiedyś ją przeleciał, potem mocno rekomendował temat, nie skorzystałem, choć dziewczyna jest na oko bardzo miła w dotyku. Mój agent ma niski głos i urodę przedwojennego amanta, z czego korzysta bez opamiętania, czasem się zastanawiam, ile ma dzieci po mieście, o których nic nie wie. Teraz demonstruje złą minę, nie dziwię się, spotkanie powinno się zacząć piętnaście minut temu. Staje i patrzy, nawet nieźle wygląda po wczorajszych łajdactwach, dyszę, niby po biegu, recepcjonistka ma na końcu języka pytanie o kawę czy herbatę.

– Żyjesz? – pyta.

– Żyję.

– Spóźnienie? – Wieteska przygląda mi się uważnie.

– Byłem u Kurcewicza – replikuję, zerkając w lustro.

– To szalenie ciekawe.

– Chce, żebym się zgłosił za parę dni na zabieg.

Johny umie wzruszać ramionami w sposób jasno pokazujący, że temat go nudzi i wolałby przejść do rzeczy od razu, bez zwłoki, bez chwili wahania. Moje migreny wywołały w nim obawę, ale w zasadzie tylko obawę, i to niewielką, bo niby czemu, jego też codziennie głowa boli, nic dziwnego, jak się zaczyna pić w dzień powszedni o drugiej po południu, a w weekendy wcześniej. Wysłał mnie do Wojciecha Kurcewicza, profesora doktora habilitowanego nauk medycznych, bo chce się upewnić, że wszystko gra, i żeby może doktor dał mi jakieś piguły, ale coś więcej, na przykład poważna choroba, nie mieści się w jego światopoglądzie. W moim zresztą też nie bardzo, do czego jeszcze dojdziemy.

– Wszyscy są – twierdzi.

– Domyślam się. Latte na podwójnym espresso proszę.

Dziewczyna zrywa się jak do biegu na sto metrów i znika w pomieszczeniu socjalnym.

– Są wkurwieni – komunikuje Wieteska.

Patrzę na niego bez specjalnego zainteresowania.

– Czemu są wkurwieni? – pytam, by cokolwiek powiedzieć.

– Nie ogłaszają komunikatów o przyczynach swoich stanach emocjonalnych.

– Wywiązałem się z umowy.

– To samo im powiedziałem.

– Więc?

– Będzie szefowa – mówi, ponownie wzruszając ramionami.

– Nancy Sanchez?

– We własnej, kurwa, osobie.

Nie musimy nic więcej mówić, oddycham głęboko, jest wrzesień, ciepło, nie mam płaszcza do odwieszenia, wchodzę do sali, czując za sobą pokrzepiającą obecność Wieteski. Zebrani podnoszą się, wcale nie wyglądają na wkurwionych, odwrotnie, miny pogodne, dwadzieścia minut tu sobie czekamy, nic się nie stało, akurat omówiliśmy spokojnie inne tematy, proszę, niech panowie siadają, czy asystentka spytała, czego się napijecie?

Angielszczyzna płynie przez eter, łacina współczesna.

Siadamy. Na wprost szefowa, Nancy Sanchez, Amerykanka, trzydzieści parę, raczej bliżej czterdziestki, wszystko naturalne, za dwadzieścia lat będzie nadal piękną kobietą, nawet bez chirurga. Słyszałem, że się rozwodzi. Znam ją słabo, przy poprzednim serialu pierwsze skrzypce odgrywał namaszczony przez stację producent z Ameryki, z szefową spotkałem się ledwie kilka razy; dostrzegam jednak, że pełno w niej jakiegoś niepodrabialnego uroku, choć oficjalnie pozuje na typową korposukę. W kieszeni pika komórka, Doris chce wiedzieć, czy gdzieś wychodzimy wieczorem, odpisuję jednym okiem i jednym palcem, że nie, bo mam spotkanie, potem wyjaśnię, o co chodzi. Nancy patrzy na mnie bez dezaprobaty, odkładam aparat do kieszeni, uprzednio go wyciszywszy. Wieteska zagaja, że niby jaki temat spotkania, i dziwi się, że tak wysoki szczebel, treatment, takie streszczenie filmowe, został przecież napisany w terminie, jest zgodny z literackim pierwowzorem, więc o co, kurwa, chodzi. Na dźwięk słowa „kurwa” druga strona stołu się gorszy, ale tylko trochę, ponieważ jest to nowoczesna firma, wszyscy zgodnie z nowoczesnymi zasadami wyrażają siebie, gdzie tylko się da, naturalnej ekspresji nie poddając terrorowi ograniczeń. Obok Nancy siedzi dyrektor do spraw rozwoju, Galaś niejaki, na imię Józef, nazywa się i wygląda jak referent działu skupu płodów rolnych w Parzęczewicach; jeszcze dalej korpoprawnik, Zamróz chyba, czy może Jamróz, gdzieś mi zginęła jego wizytówka, nawet nie ukrywa wrogości, choć mógłby się choć trochę wysilić na uprzejmość, biorąc pod uwagę, że znaczną część jego pensji w ciągu ostatniego roku sfinansował serial na podstawie „Zimy”, nie-

pobitego do dziś hitu polskiej literatury kryminalnej mojego autorstwa. Ale taka jego praca, dostaje sześć średnich krajowych, żeby być kutasem, i nawet mu z tym do twarzy.

Nancy zręcznie weksluje temat, padają pytania o moje samopoczucie, nad czym teraz pracuję, ach, „Wiosna", nowa powieść, kontynuacja „Zimy", to świetnie, czytelnicy czekają, tak jest, społeczeństwo spać nie może, dopóki nie przeczyta, każdy chce mieć egzemplarz z autografem, bo jak nie, to obraza i dowód noszenia nosa zbyt wysoko. Żartujemy sobie, Wieteska się wierci, kopię go lekko pod stołem, nieruchomieje.

– Chcemy podpisać umowę na „Wiosnę" – oświadcza Nancy, już z poważną miną.

– Nawet jej nie czytaliście – oponuję. – Nawet jej nie skończyłem.

– Wystarczy, że czytaliśmy inne twoje rzeczy.

– A więc to prawda, że „Zima" zrobiła wam najlepszy wynik w historii stacji – wtrąca Wieteska.

– Rzeczywiście, „Zima" spodobała się naszym użytkownikom. Oczekują dalszego ciągu. My też oczekujemy dalszego ciągu od naszego najlepszego autora.

Brzmi dobrze, co? Błąd. Mamy do czynienia z grą pozorów. Widzowie to użytkownicy, pisarze są dostawcami treści. Ona nie użyła tego określenia, bo wie, że tego nie znoszę. Ale gdy tylko stąd wyjdę, wszystko wróci w stare koleiny. Content provider – oto kim jestem. Wyrobnik na telefon. Dostawca treści.

Wieteska wierci się, kontakt na serial to potężny wabik, chce rzucić się na temat jak pies na mięso, ale wie, że nie w tej sprawie tu przyszliśmy. Ja też wiem.

– Dobrze – mówię, patrząc Nancy prosto w oczy, które są szafirowe, a trochę szare i mają bardzo ładną oprawę. – Zakładam, że nie będziemy rozmawiać o kontrakcie na „Wiosnę". Proszę powiedzieć, w czym problem.

– Nie lubimy słowa problem – paruje zaczepkę, a nosek jej się marszczy w uśmiechu. Jamróz i Galaś milczą, chętnie wyrzuciliby mnie przez okno, Wieteska pochyla się do przodu i opiera dłonie na pięknie wypolerowanym szklanym blacie, od którego wieje takim zimnem, że na wszelki wypadek trzymam ręce na oparciach fotela. Wjeżdża kawa, zapach dochodzi do nozdrzy, zawsze tu mają dobrą kawę z ekspresu za siedem i pół tysiąca, szwajcarskiego. Nancy kontynuuje: – Wolimy mówić o zadaniach, wyzwaniach, kwestiach do rozwiązania.

– Kocham semantyczne potyczki – rzuca po polsku Wieteska. – Niech dadzą pizzę, mogę tak siedzieć przez tydzień.

Galaś wyraźnie się czerwieni, Jamróz zaczyna coś szybko notować. Nancy uśmiecha się zagadkowo. Ze swej strony nie uważam, że powinniśmy zaczynać tę rozmowę od wojny.

– Jak pani woli – szczerzę się przymilnie.

Moja angielszczyzna jest dobra, kiedyś byłem długo w Londynie, dorabiałem na zmywaku, potem awansowałem na kelnera, by w końcu zarządzać knajpą z wyżyn stanowiska głównego barmana. Chętnie przyznaję się do tego w oficjalnym życiorysie. Pisarz, który wie, co to ciężka praca: ludzie kochają mnie i mój życiorys, sami nie wiedzą, co bardziej.

– Chcielibyśmy przedyskutować podstawowe założenia naszego aktualnego projektu.

– Podstawowe założenia – włącza się ponownie Johny. Abstrahując od tematu rozmowy, zbliża się druga, a on jeszcze trzeźwy, to go złości, większość spotkań umawia na przedpołudnie, dziś się nie dało, bo miałem tę cholerną wizytę u Starego Lwa, profesora doktora habilitowanego nauk medycznych. – Podstawowe założenia zawarte są w książkach autora. I w dostarczonych treatmentach. Dwa dni przed terminem, zaznaczmy.

– Książki są bardzo dobre, serial telewizyjny ma jednak zupełnie inną specyfikę – odzywa się Galaś.

Źle dobrane okulary migają w świetle lamp. Garniturek przyciasny, na czole pot, co taki facet robi w przybytku stali, szkła i nowoczesnych technologii? Czuję wibrację komórki na udzie. Pewnie znowu Doris albo Hania, a może, co również całkiem prawdopodobne, Tola Pasek, moja producentka audiobooków, chce zorganizować sesję poprawkową. W uniwersalnym rozumieniu tego słowa.

– Poważnie? – chce wiedzieć Wieteska. – Jakoś przy „Zimie” nie mieliście problemów.

– Akcja „Zimy” dzieje się współcześnie – kaleczy angielszczyznę Galaś.

Nawet mnie od niej zęby bolą, Nancy musi czuć się jak na madejowym łożu. Ale nadal uśmiecha się życzliwie. No cóż, Johny jeszcze nie wszedł na obroty. Tamci są w trudnej sytuacji, „Zima” okazała się hitem, przy podpisywaniu umowy popełnili wymuszony przez Wieteskę błąd, pozwolili, by przy mnie pozostały prawa do kontynuacji, więc teraz muszą być grzeczni, rozmawiamy o innej książce, sześciotomowym cyklu właściwie, można mnożyć sezony *ad mortem defecandum*. Widzę, że chcą zmian, właściwie się tego spodziewałem.

– Co z tego? – dopytuje agent.

– Nasza stacja koncentruje się na problemach współczesności.

Wieteska odwraca się do mnie, śmiech szczery, głośny, szklany blat rezonuje, tamta strona stołu czeka, aż w końcu zaczniemy rozmawiać poważnie.

– Ach tak? – pyta, zaśmiewając się do łez. – I chcielibyście, żeby serial historyczny dział się współcześnie.

Zapada cisza, widzę, że nawet Nancy zaczyna się irytować. Kładę Wietesce dłoń na ramieniu, ale mój agent nie zamierza odpuszczać. Wyjmuje z torby laptopa, odpala, ekran miga, dwa kliknięcia i jesteśmy w kolorowej prezentacji, na którą wydałem pięć osiemset, bo robił ją dobry grafik. Osiemnaście slajdów, założenia, fabuła, postacie, przesłanie, wszystko w jakości 4K.

– To była podstawa do rozmów. – Wieteska mówi łagodnie, jak do dziecka, pukając palcem w ekran. – Nie mieliście zastrzeżeń, czytaliście książki, nawet przetłumaczyliśmy jedną specjalnie dla was, bo – jak to było? – chcieliście poczuć klimat. Podpisaliście umowę na pierwszy sezon, bez żadnych okresów próbnych, dziesięć odcinków, treatmenty i scenariusze, treatmenty daliśmy w terminie.

– Oczywiście. Mamy uwagi do założeń historii – upiera się Galaś.

– Naprawdę?

Nancy nie jest już taka pogodna. Zaciska usta. Musi reprezentować linię Białych Ludzi zza Wielkiej Wody, w sposób oczywisty wiedzących lepiej, jak się pisze seriale, niż czarnuchy z jakiejś Europy Środkowo-Wschodniej, której żaden szanujący się Amerykanin nawet nie potrafi zlokalizować na mapie.

– Może posłuchajmy, o co chodzi – proponuję.

Wieteska oddycha głęboko. Od początku uważa spotkanie za stratę czasu, ale mości się w fotelu. *Voilà*, traćmy czas dalej.

– Nasza stacja trzyma się zasady, że w opowieści najważniejsza jest ludzka historia – mówi Nancy, nosek pozostaje nieruchomy, gładki, nie śmieje się jak jeszcze kilka minut temu. Ciekawe, kim jest jej mąż, że zostawia taką babkę. – Rzeczywiście wolimy, gdy akcja dzieje się współcześnie, ale nie o to chodzi. Przynajmniej nie tylko o to.

– A o co? – pytam, gdy przerywa, by napić się wody.

Nigdy nie pije kawy, zawsze czystą wodę. Ciekawe, czy biega przed pracą. Wyobrażam ją sobie w obcisłych legginsach i bluzie z kapturem. Szybki oddech, pot na plecach i udach, zarumieniona twarz. Potem prysznic, nagie, wysportowane ciało spowite w parę i banieczki szamponu.

– Uwagę widzów najbardziej przyciągają ludzkie wybory, dramatyczne, takie, żeby każda decyzja dużo kosztowała – odpowiada. Otwieram oczy. Ona siedzi w tym samym miejscu, znowu jest z nami, czy może ja jestem

z nimi. – Im postać bardziej uwikłana w walkę z przeszkodami, tym lepiej. Dylemat, które rozwiązanie wybrać, gdy oba są złe…

– W tekście wszystko to jest – tłumaczy Wieteska.

Nancy kręci głową, fryzura kręci się wraz z nią.

– Historia jest świetnie napisana – przyznaje. – Czytałam ją z przyjemnością. Ale nie pasuje do naszego profilu.

Poruszam się. Zaczyna mnie boleć głowa. Wczoraj miałem przerwę, dziś malutka igiełka za lewym okiem, na razie tylko zwiastun, małe przygotowanie, jeszcze w miarę neutralne smakowo. Rozróżniam smaki bólu, jestem ekspertem od bólowej kuchni, mógłbym robić program w telewizji, może zaproponuję Nancy kontrakt, choć to bardziej temat dla ogólnodostępnej, może publicznej, byliby szczęśliwi, gdybym do nich przyszedł.

– Nagle nie pasuje? – dziwi się Wieteska.

– Nie nagle. Przemyśleliśmy to.

– Podpisaliście umowę.

– Owszem – włącza się Galaś. – Jak mówiłem, uznaliśmy, że książki są ciekawe, ale autor powinien potraktować je jako punkt wyjścia do opowiedzenia mocnej współczesnej historii. Chcielibyśmy dostać *human story* z wyrazistymi postaciami i mroczną, skomplikowaną fabułą.

– Nic takiego nie mówiliście… – zaczynam, ale milknę, bo Wieteska podnosi się z fotela i staje nad nami wszystkimi, co nie do końca jest prawdą, bo do olbrzymów mój agent nie należy.

– Ja chyba śnię! – wybucha. – Sześć miesięcy negocjowaliśmy tę jebaną umowę, nie umieliście nawet przygotować właściwego wzoru, każda zmiana trwała tygodniami, każde pierdolone zdanie trzeba było uzgadniać z Waszyngtonem czy może Nowym Jorkiem, spotkaliśmy się pewnie ze dwadzieścia razy i słowem nie wspomnieliście, że oczekujecie czegoś innego. Podpisaliście! I teraz chcecie czegoś innego? Współczesnej *human*, kurwa, *story*, kiedy cała akcja dzieje się w czasie wojny i została oparta na pomyśle, że to nasi nareszcie jebią w dupę Niemców, a nie odwrotnie?

– Historia nam się bardzo podoba. – Nancy powstrzymuje Galasia, który właśnie rzuca się do skoku, ja w identyczny sposób uspokajam Wieteskę. Widok dwóch fruwających nad stołem pełnomocników, walczących ze sobą za pomocą ciosów muay thai jest interesujący, ale na razie zostawiam go na boku; Wieteska słabo się nadaje na następcę Neo, za dużo pije. Nancy ciągnie: – A po podpisaniu umowy jest czas na dyskusję o szczegółach, stąd prośba o spotkanie.

– Ach tak – wzdycha Wieteska, nagle spokojny. Poczuł krew, zawsze wtedy jest spokojny, potrafi nawet zapomnieć o czekającym na niego smaku absoluta. – Tyle że w umowie jest punkt, który mówi o dostarczeniu treatmentów wszystkich odcinków w terminie dwóch tygodni. Zostały dostarczone. I teraz wam się zebrało na pogaduchy o historii?

– Chcieliśmy zapoznać się z materiałem, by mieć do czego się odnieść.

– Mogliście odnieść się do materiału z książki albo prezentacji i powiedzieć, co wam się nie podoba, przed napisaniem treatmentów, zanim autor stracił czas.

– Sądziliśmy, że autor sam będzie dążył do zmian.

– Słucham, słucham – mówi mój agent.

– Więc podyskutujmy.

Wieteska odchyla się na fotelu, ja studiuję anatomię bólu. Skurwiel posuwa się do przodu, wypełnia dno oka, czuję kwaśny, jeszcze lekki, ale wyraźny smak. Będzie narastał. Kwaśne są najgorsze.

Wstaję.

– Przepraszam na moment – mówię, po czym wychodzę.

Przecinam hol, męska toaleta jest pusta, sterylnie czysta, nic mnie to nie obchodzi, gmeram w kieszeni, wyjmuję fiolkę, jedna kapsułka? Dwie? Dwie, nie będziemy się bawić w półśrodki. Łykam, ketonal płynie przez przełyk, trafia do żołądka, kwasy zabierają się ochoczo do roboty, nic dzisiaj nie jadłem, rano nie miałem apetytu, potem jakoś nie było czasu. Stoję i patrzę w lustro. Widziałem się w lepszej formie, wcale nie tak dawno. Mu-

szę czekać dwadzieścia minut, nim lek zacznie działać, oni tam pewnie się pozabijają, Wieteska trzyma linię, ale czasem nie zna umiaru, nie po to się chrzaniliśmy z tą umową, żeby teraz się pokłócić, to w zasadzie kwestia ambicji, bo jakie ma znaczenie, czy serial będzie wierny książce, czy nie? Nie lubię jej, nie lubię całej serii, to dla mnie fontanna zmarnowanych pomysłów, które były niezłe, ale wykonawca słaby, choć cykl okazał się sukcesem komercyjnym. Wieteska ma rację, przy „Zimie" wszystko poszło gładko i szybko, ale to bardzo proste do wytłumaczenia – „Zima" była większym hitem, sprzedała się w trzystu pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy, każda gazeta o tym trąbiła, nie wychodziłem ze śniadaniówek, atmosfera była tak gorąca, że musiałem przelecieć w garderobie jedną prowadzącą tuż przed wejściem na antenę. Nancy osobiście do mnie dzwoniła i mobilizowała do szybkiego podpisania umowy, bez mrugnięcia przełknęła fakt żądania przeze mnie bycia jedynym scenarzystą, choć tego typu rekiny z reguły nie pozwalają autorom samodzielnie pisać scenariuszy. Serial zrobił najlepszą widownię w historii stacji, ma dziewczyna, co chciała, a ja mam znowu przed oczyma jej ciało pod prysznicem.

Ból nie maleje, ale chyba przestaje wędrować do przodu. Oko pulsuje, gdzieś w czaszce rusza wir, powoli na razie, jak karuzela, wymagająca czasu, by się rozpędzić. Opieram dłonie o umywalkę, do pomieszczenia wchodzi facet w spodniach z krokiem przy kolanach, wygląda na pedała, patrzy na mnie, odpieram wzrokiem jego spojrzenie, idzie do kibla, zamyka się starannie, może wcale nie on, tylko ja wyglądam na pedała. Myję ręce, przecieram policzki, czoło, brodę i nos, chłodna woda dobrze mi robi, jeszcze jedna warstwa, jeszcze kwadrans, zanurzam twarz w dłoniach, woda chlapie, chcę, by była zimna. Wycieram się, w kiblu cisza jak makiem zasiał, chyba go wystraszyłem, może naprawdę nie jest pedałem, bywam niesprawiedliwy. Wychodzę, przy recepcji zwalniam, proszę o szklankę niegazowanej wody, recepcjonistka wygląda na szczęśliwą, że do niej zagadałem,

wyznaje mi, że seria o lwowskim złodzieju należy do jej ulubionych, uśmiecham się zdawkowo, biorę szklankę i wchodzę do konferencyjnej.

Wszyscy żyją, ale nawet Nancy jest czerwona. Prawnik wyjął laptopa i jest wyraźnie gotów do cytowania paragrafów. Wieteska bębni palcami, zostawiając na blacie niełądne, tłuste ślady. Jego laptop ma większy ekran i jest lepszej marki, co z tego, skoro za nimi stoi siła Waszyngtonu, czy może Nowego Jorku.

– Jureczku, państwo chcą innej historii – mówi Wieteska.

– Słucham – odpowiadam.

– Nie ma czego. Wychodzimy.

– Zostajemy i słuchamy.

To mu się nie podoba. Oczyma duszy już się widzi na sali sądowej. Ale to mój kontrakt i mój serial, nawet jeśli zrobią z niego gówno z gwiazdorem czołgającym się po błocie. Nancy patrzy na mnie z aprobatą. Tuż pod lewym uchem, na szyi widzę ślad po banieczce szamponu. Obok drugi, może nawet trzeci, wzrok nie ten co dawniej, mimo to jestem pewien. Czuję zapach jaśminu. Ból lekko się cofa, stłumiony barbarzyńską chemią środka przeciwbólowego.

Galaś chrząka, Jamróz patrzy w ekran, zaczyna stukać w klawisze, może projektuje treść pozwu.

– Proponujemy, żeby opowieść poprowadzić z dwóch perspektyw – mówi Galaś. Międli angielskie słowa jak napalony nastolatek koleżankę z klasy podczas pierwszej alkoholowej imprezy. – Historycznej, z punktu widzenia głównego bohatera, który robi wszystko, żeby wrócić do swojej rzeczywistości, oraz współczesnej, gdzie prowadzone jest śledztwo w sprawie zaginięcia oddziału.

– W której – mruczę.

– Słucham?

– Mówi się: „w której prowadzone jest śledztwo w sprawie zaginięcia oddziału” – akcentuję frazę „w której”. Zły humor Wieteski mnie również

się udziela.

Galaś czerwienieje.

– Nie rozumiem.

– O gramatykę chodzi – tłumaczę, patrząc na Nancy. Jaśmin płynie nad stołem, specjalnie dla mnie.

– Jureczku, naprawdę tracimy czas – naciska Wieteska. – Oni chcą, żeby bohater był mazgajem, który musi uciekać w swoje czasy, bo w przeszłości nie ma makdonaldów, komórek i klubów go-go.

– Takie ujęcie pozwoli nam bardzo sprawnie opowiadać historię z różnych punktów widzenia, rozgrywać ludzkie dramaty, konfrontować je ze sobą, dozować zagadki – mówi Nancy, bo Galaś chwilowo walczy ze skokiem ciśnienia. Polpril na to działa. Albo Tertensif. – Rozszerzenie perspektywy będzie bardzo korzystne dla tej historii, która, podkreślam, bardzo nam się podoba.

– Tak się wam podoba, że chcecie ją wypierdolić przez okno – warczy mój agent po polsku.

– Nalegam, żeby się pan uspokoił – odpiera Galaś.

– Mam w dupie, na co nalegasz, kolego.

– Nie jestem pańskim kolegą.

Nancy podnosi dłoń. Nie rozumie słów, ale doskonale wychwytuje emocje. Posiada rzadką cechę odnoszenia się wyłącznie do meritum, jakby nie istniały złe humory, złe intencje i złe wychowanie. Zaczynam odczuwać coś w rodzaju wstydu za mój niedawny wyskok.

– Opowiadanie z dwóch perspektyw bardzo wzbogaci narrację – mówi. – We współczesności będziemy mogli skupić się na skutkach nie tylko zniknięcia oddziału, ale również jego działalności w czasie wojny. Bo przecież oni ingerowali w przebieg wojny. Nie jesteście ciekawi efektów? Nie chcecie pomyśleć, jak dzisiaj wyglądałaby Polska, gdyby rzeczywiście Armia Krajowa wygrała powstanie warszawskie?

Wieteska nadal brudzi blat odciskami palców. Myślę o kilku rzeczach naraz. Ból głowy przechodzi w pełne skupienia *stand by*, bardziej ćmi, niż atakuje, ale przypomina, że cały czas tu jest. Mogę z tym żyć, przynajmniej na razie. Komórka nadal wibruje, spóźniam się na kolejne spotkanie.

– Jureczku, państwo chcą innej historii.

– Słyszę – odpowiadam.

– To nowa praca i nowe honorarium.

– Nie ma mowy – oponuje Jamróz gwałtownie. Nareszcie może się wykazać. – Poprawki należą do fazy dewelopmentu.

– Mój klient nie pracuje za „Bóg zapłać", mój panie prawniku.

– Pan nie rozumie znaczenia słowa dewelopment.

– Za to rozumiem doskonale, że chcecie dwa produkty w cenie jednego.

– Chcę pogadać z tobą w cztery oczy – mówię, patrząc nadal w to miejsce na szyi Nancy, które wydaje się takie odsłonięte i czyste. Wieteska odwraca się całym ciałem, dostojnie i powoli.

– Nie rozumiem – twierdzi. Jest wyraźnie wybity z uderzenia.

– Daj mi trzy minuty – przechodzę na polski. Patrzę na obu przybocznych Nancy. – I panów też proszę.

Sytuacja jest trudna. Oni oczywiście nie mogą się podporządkować mojej woli. Nancy tu rządzi, ma władzę i królewski kontrakt, interesy w dalekim murzyńskim kraju idą świetnie, centrala w Nowym Jorku czy może Waszyngtonie jest pełna podziwu, sypie premiami, daje zielone światło na lokalne produkcje, gdyby nie rozwód – żyć nie umierać, choć może żyć nie umierać, *ponieważ* rozwód, a rozwodzący się mąż za Wielką Wodą.

– Po co? – pyta Wieteska.

Patrzę na niego, on rozumie, on zawsze rozumie takie rzeczy, co nie zmienia faktu, że nie podobają mu się zamierzenia, które planuję wprowadzić w czyn. Sam miesza interesy ze sprawami prywatnymi, ale ma opory, by akceptować to u mnie. Nie wie, że po raz pierwszy chodzi o coś innego.

– Dobrze – burczy.

Pakuje laptopa, wstaje, kiwa lekko głową, wychodzi, zostawiając drzwi otwarte. Galaś nigdzie się nie wybiera, Jamróz nadal stuka w klawisze, jakby miał kłopoty ze słuchem albo nie nadążał, jak to prawnik. Patrzę na Nancy, ona rumieni się leciutko, choć nie dam głowy, że nie rumieni się tylko w mojej wyobraźni, może w rzeczywistości jest blada i wściekła, może obrażona, nastawiona na konfrontację, naprawdę nie wiem, widzę ją może szósty raz w życiu, powinienem zaatakować ją podczas pracy przy „Zimie", byłem wtedy w zdecydowanie lepszej formie i nie prowadziliśmy żadnych sporów.

– Panowie, zostawicie nas, proszę, samych – mówi, nie uciekając wzrokiem.

Jamróz demonstracyjnie powoli chowa laptopa do skórzanej torby, Galaś poprawia okulary, stara się dojść, o co mi chodzi. Nie dowie się, chyba że Nancy nie umie trzymać języka za zębami albo moja ocena sytuacji nadaje się tylko do kosza z toksycznymi odpadami. Obaj wychodzą w końcu, drzwi klaskają lekko, zapada cisza przerywana wyłącznie naszymi oddechami, jej cichszym, moim nieco astmatycznym, choć nigdy nie miałem nawet śladu astmy.

– Możemy się procesować – mówię. – Wieteska ma rację. Dotrzymaliśmy umowy, nie macie mnie za co chwycić. Stać mnie na dobrą kancelarię i narobienie wam złego piaru.

Patrzy na mnie, stara się wyłapać podprogowy komunikat. Nie jest pewna, co właściwie słyszy, ja też nie jestem pewien, co właściwie mówię.

– Nie chcemy konfliktu – odpowiada.

– Macie świadomość, że oczekujecie czegoś zupełnie innego? Z lekkiej, łotrzykowskiej historii chcecie zrobić dramat, z filmu wojennego rzecz współczesną.

Ładne oczy ciemnieją, szyja ginie pod girlandą włosów. Palce na blacie drżą lekko; jak to jest, że nie zostawiają śladów? Wieteska w identyczny sposób dotykał stołu, sprzątaczki będą miały robotę przez całe popołudnie.

– Wiesz, że mamy prawo żądać zmian na każdym etapie – atakuje.

– Chcecie nowej historii, nie zmian.

– To wszystko należy do fazy dewelopmentu…

– Dam wam nową historię.

Milczy. Jej twarz się wydłuża. Chce mi zajrzeć w karty. Pragnie wybić dziurę w pancerzu okrywającym duszę Grobickiego-pokerzysty. Biedna Nancy. Nie mam duszy pokerzysty. Hazard mógłby dla mnie nie istnieć.

– Tak nagle? – pyta.

– Mam warunek.

– Honorarium na pewno nie ulegnie zmianie…

– Umówisz się ze mną na kolację.

Minutę później wychodzimy na korytarz. Wieteska patrzy na mnie uważnie, Galaś i Jamróz szukają informacji na twarzy szefowej, wszyscy trzej wyglądają jak przedszkolaki, którym pani za chwilę powie, czy pójdą do cyrku.

– Dziękuję za spotkanie – mówię i wyciągam dłoń do Nancy.

Ma chłodne palce, bardzo silne. Jednak biega, może dodatkowo trenuje aeroboks, albo coś. Jest niższa ode mnie, ale nie jest to taka różnica, jak w przypadku większości kobiet.

Wychodzimy, jedziemy windą, w dół nie trzeba tych idiotycznych kart, w garażu nasze samochody stoją obok siebie. Wieteska walczy z pragnieniem, chce wybuchnąć, jakiś facet przechodzi, rozmawiając przez komórkę, garnitur ręcznie szyty, nauczyłem się rozpoznawać takie drobiazgi, buty lśnią, jaguar mruga światłami, facet wsiada za kierownicę, ale nie rusza, Wieteska przysuwa się bliżej.

– W co ty pogrywasz? – pyta.

Mam go na razie dosyć, nawet się nie zatrzymuję. Zelówki klaszczą o beton, idę szybko, rytmicznie, głowa nadal mnie boli, komórka milczy, może zapchała się na amen, chcę stąd uciec ku górze, ku światłu, licząc, że

nie rozjedzie mnie żaden jadący z naprzeciwka kretyn albo pani w subaru tytułem rewanżu.

– Więc? – drąży, nie nadążając, jego trzy kroki na moje dwa.

– Oni mają rację.

Szarpie mnie za ramię. Stajemy.

– Zgłupiałeś.

– Nie. Napiszę nową wersję.

– Mam kłopoty ze słuchem.

– Nie.

– Muszę iść, kurwa, jak najpilniej do laryngologa.

Nie reaguję, ruszam w stronę samochodu.

– Zrobiła ci laskę? – domyśla się. Potem jednak wątpi. Idzie za mną jak cień. – Nie, za mało czasu było. W co ty, kurwa, grasz? Nie możesz jej przelecieć bez zobowiązań?

– Z tego pomysłu można wyciągnąć znacznie więcej.

– Ale nie musisz pisać pod dyktando.

– Chcę, żeby ten serial był najlepszą rzeczą, jaką wyprodukowano w Polce od upadku komuny – mówię. – Znasz kogoś innego, kto ma kasę i potrafi?

– Przeleć ją i nie zawracaj głowy.

– Znasz kogoś innego, kto ma kasę i potrafi?

– Kurwa, nie wiesz, czy potrafią. Nigdy w Polsce nie robili serialu wojennego.

– Nikt inny też nie. A „Zimę” zrobili dobrze.

– Tak, „Zimę” zrobili dobrze. Chcą zrobić „Zimę Dwa”, tyle że w lecie. Potem będzie „Powrót Zimy”. Jesienią.

Wzruszam ramionami, ale on się nie zniechęca. Dlatego go wynająłem i toleruję, Wieteska ma wrażliwość i empatię czołgu. Za okiem ćmi, ból nie daje o sobie zapomnieć, wieczór nie chce nadejść, właściwie powinienem położyć się spać, może jutro będzie lepiej.

– Dam im nową wersję – stwierdzam z uporem, który zaskakuje nawet mnie.

Mój agent oddycha głęboko, stara się opanować, potrafi, gdy chce, teraz najwyraźniej chce.

– O kasę nawet nie pytam.

– To dobrze.

– Robisz błąd – stwierdza. Gdybym miał ochotę na analizę jego stanu, stwierdziłbym, że mu smutno. Jest zmartwiony, może nie martwi się tylko o pieniądze, może w ogóle źle go oceniam, może Bóg postawił na mej drodze anioła, tyle że pijącego. Być może aplikuje sobie codziennie butelkę absoluta, żebym się nie domyślił, że pod kurtką ukrywa skrzydła. – Oni nigdy nie przestaną żądać. Jedyna szansa, żeby kopnąć ich w jaja, była dzisiaj. Innej nie będzie.

Ma rację, oczywiście, klepię go w ramię, delikatnie, z uczuciem, żeby wiedział, że doceniam troskę. W garażu echo zwielokrotnia ryk silnika, jaguar rusza z piskiem opon, garnitur nie przerywa konwersacji, mógłbym iść o zakład, że się kłóci, może premia za mała, stanowisko za niskie albo żona od dawna niezmieniana.

– Robię krok do przodu – upieram się.

– Wejdą ci na głowę i będą eskalować.

– Zaryzykuję.

– Nie rozumiem. Masz taką pozycję, że nie musisz ustępować kmiotkom, którzy chcą się wylansować na twoim nazwisku.

– Chcę mieć ten serial.

– Chcesz mieć inny serial, nie widzisz tego? – pyta. – Nie musisz o nic prosić, ten kontrakt nie jest ci do niczego potrzebny. Jeśli napiszesz to tak, jak oni chcą, połowa czytelników się od ciebie odwróci, bo ludzie nie znoszą zmian. A ty żyjesz z tego, że oni kupują twoje książki. Wytłumacz mi, po co ci to. Nalegam.

– Chcę napisać coś, co będzie się podobało również mnie, rozumiesz?

– Pieprzysz – zaprzecza odruchowo.

– Może – przyznaję, myślę jednak co innego. Nie chcę mu wszystkiego dogłębnie tłumaczyć, Wieteska jest tylko pancerzem, który osłania mnie przed światem. Ambicję artystyczną uważa za coś w rodzaju zboczenia, które należy starannie ukrywać. – Mimo wszystko chcę spróbować.

Patrzy na mnie, niebieskie oczy patrzą na mnie.

– Nadal nie rozumiem.

– Przepraszam. Głowa mnie boli.

Niebieskie oczy są sceptyczne. Niebieskie oczy mi nie wierzą. W tych oczach kobiety roztapiają się jak lód; nie jestem kobietą, czasem żałuję. Pracujemy razem od sześciu lat. Umiemy wciskać gaz, hamulec porasta kurzem. Omijają nas kontuzje i zmęczenie. Wieteska czasem mówi, że byłoby lepiej, gdybyśmy wpadli na siebie dziesięć lat wcześniej. Ale to nie takie proste: rynek nie był gotów, by mnie przyjąć i rozłożyć ramiona na powitanie. Ja nie byłem gotów. Szesnaście lat temu siedziałem w najgłębszej z dup i nie umiałem znaleźć wyjścia. Los postawił wtedy na mojej drodze prawdziwego anioła, niepijącego, bez skrzydeł, za to z cyckami. Dziś go właśnie porzucam.

– Weź od nich oczekiwania na piśmie, w punktach, konkretnie, bez pierdolenia – zarządzam.

– Dobrze – zgadza się nieoczekiwanie, po czym przypomina sobie, że robi się późno. – Cześć – mruczy i wsiada do samochodu.

– Jutro pogadamy – powtarzam.

Nie słucha.

Na ulicy słońce oślepia, ale jest dużo niżej niż przed spotkaniem, miasto szybko zmierza ku zmrokowi, ku latarniom, neonom i licznym sojowym latte na Zbawiksie, choć to gówno chyba się pije przez całą dobę, nie wiem, nie bywam, nie piję sojowego latte.

Wybieram numer Doris. W rzeczywistości ma na imię Jadwiga, na nazwisko Stec i nie znosi ani jednego, ani drugiego. Mozolnie pnie się po dra-

binie warszawskich zależności, za nic nie chce pamiętać o miejscu urodzenia, rodziców odwiedza raz do roku, dostaje alergii na samą myśl o wyjeździe, rozumiem ją, nie pochwalam, chwała Bogu zostały we mnie ludzkie uczucia, to przekonanie pozwala jakoś funkcjonować.

– Cześć – mówię. – Byłem na spotkaniu.

Wie o tym, mimo to jest zła albo udaje złą – zawsze w grze, nawet jeśli nie ma takiej potrzeby. Tyrmand pisał, cytując jedną ze swoich znajomych, że faceta trzeba kopnąć, gdy lata po kwiaty po każdym numerze, potem jest już za późno. Nie latam po kwiaty po każdym numerze, jednak Doris trzyma się sztywno zasady, by trzymać mnie w nieustannym napięciu, choć z pewnością nie wie nawet, kto to Tyrmand.

– Dlaczego nie wychodzimy wieczorem? – chce wiedzieć.

Brzmi teraz jak seksbomba z lat pięćdziesiątych, to znaczy, że jest umiarkowanie zła i raczej na pokaz. Nim ją zobaczyłem po raz pierwszy, usłyszałem w tłumie głos, a potem dopiero dostrzegłem resztę człowieka, przez cały wieczór dążyłem do konkretów, bo reszta człowieka była równie atrakcyjna co głos, ona udawała, że w ogóle nie wie, o co chodzi, Wieteska zdążył w tym czasie przelecieć dwie adeptki sztuki aktorskiej albo modelingu, śmiał się potem, że się starzeję. A mnie zaczęło zależeć, bo uwiódł mnie głos, zaprosiłem właścicielkę na kolację, zwodziła mnie, na pójście do łóżka dała się namówić dopiero po tygodniu, zbyt wiele wyczytała w moich oczach, status kultowego pisarza (cokolwiek to znaczy) nie robił na niej wrażenia, chciała, bym tak myślał.

– Spotkanie z wydawcą audiobooków – odpowiadam, wiedząc, że brzmię naturalnie. – Będziemy omawiali nowe warunki.

– O siódmej wieczorem?

– Tyszkiewicz twierdzi, że nikt nam wtedy nie będzie przeszkadzał.

Milczy, a ja myślę o Starym Lwie, choć właściwie nie o nim, tylko o jego asystentce, która wygląda na silną, biodra pełne i piersi pełne, duża moc rozrodcza, wystające kości policzkowe, blond włosy za ramiona, sło-

wiańska piękność w pełnej krasie. Jak on znajduje motywację i siły? Sześćdziesiątka stuknęła mu jakiś czas temu, a on nadal w formie, choroby się go nie imają, temperament dopisuje, Jezu słodki, jak on to robi? Ja jadę na rozpędzie, na przyzwyczajeniu, na głupiej konkurencji z Wieteską, nic za tym nie stoi, poza krótkimi spazmami, coraz krótszymi i coraz mniej spazmami. Krok dalej i już mam przed oczyma plik papierów, które mi wręczył Stary Lew. Nawet ich nie przeczytałem, pamiętam tylko, że mam się położyć na stół, coś będą otwierać, czaszkę chyba, muszę jakoś się ogarnąć, może zacznę od przeczytania, co tam stary konował nawypisywał.

– Dobra – mówi Doris.

– Postaram się jutro.

– Dobra – powtarza.

Potrafi być subtelna, akurat nie teraz, przyjdzie moment, oczaruje mnie i przyciągnie, w tym momencie subtelność nie jest jej do niczego potrzebna. Instynkt, pierwotny instynkt dziewczyny z ludu podpowiada, co robić w sytuacji, gdy przez cały dzień sięga się ponad przynależny status.

– Cześć – rozłączam się, nagle tracąc ochotę na rozmowę i tłumaczenia.

O mało nie wjeżdżam w bagażnik jakiemuś facetowi w daewoo, skręcam kierownicą i dodaję gazu, on trąbi, niech sobie trąbi, kto dziś jeździ daewoo? Mknę, bo mam znowu kwadrans spóźnienia, życie jest ciągle za krótkie, Warszawa zbyt duża. Jakoś dojeżdżam, miejsce na mnie czeka, wchodzę do biurowca, kancelaria znajduje się na pierwszym piętrze, więc po prostu biegnę po schodach, w locie opowiedziawszy się ochronie, która mnie zna i nawet czytała dwie lub trzy moje książki. W recepcji obowiązkowe pytanie o kawę, sekretarka prowadzi do sali konferencyjnej.

Oddycham głęboko. Wchodzę.

Długi, politurowany stół na dwanaście osób. Mój prawnik, Stańczak, podnosi się, mina poważna, garnitur nieskazitelny i w dobrym guście, teczka skórzana, drogi laptop już czeka, wjeżdża kawa, zaraz zaczynamy. Naprzeciw piękna kobieta przed czterdziestką. Ciemne włosy związane w koń-

ski ogon, mina poważna, twarz spięta, wita się ze mną jak z dalekim znajomym. Obok prawnik, dwie półki niżej niż Stańczak, wyświechtana marynarka i łysina, jeździ używanym samochodem z komisu, niemieckim, z dwulitrowym dieslem, w którym ciągle psuje się turbodoładowanie.

– Przepraszam za spóźnienie – mówię.

Para siedząca naprzeciw nie reaguje, gospodarz kiwa lekko głową, pokazuje, że mówi się trudno. Siadam.

– Możemy zaczynać? – pyta Stańczak.

Kobieta kiwa głową. Patrzę na nią ukradkiem. Ma na imię Helena. Jest moją żoną. Nie chce mnie znać, wiem, że siedzenie tutaj jest ostatnią rzeczą, jaką chciałaby robić, nienawidzi mnie i tego miejsca, co doskonale rozumiem, to miejsce kasuje tysiąc pięćset za godzinę, stąd mahonie i miękkie fotele, atmosfera angielskiego klubu, solidność i zaufanie, bywają tu wyłącznie ludzie na poziomie, a jakże. Stańczak, jak na prawnika, jest w porządku, zachowuje się jak kutas tylko w godzinach pracy, poza tym, zdaje się, miły z niego facet.

Łysiejący facet obok mojej żony nazywa się Tolak. Poci się, nawet nie ukrywa napięcia, nie panuje nad lekkim drżeniem rąk, powinienem doradzić mojej żonie zmianę adwokata, czego oczywiście nie robię.

– Zrekapituluję stanowiska stron – mówi Stańczak. – Pozwana oczekuje podziału majątku w proporcji sześćdziesiąt procent dla powoda, czterdzieści procent dla pozwanej. Pozwana zatrzymuje także mieszkanie będące współwłasnością małżonków. Wszelkie przyszłe wpływy z tantiem autorskich pozostają przy powodzie. Rozwód odbędzie się z orzekaniem winy powoda. Stanowisko powoda natomiast jest następujące: pozwana zatrzymuje mieszkanie, otrzymuje pół miliona złotych netto gotówką oraz pięć tysięcy złotych miesięcznie na utrzymanie każdego z dzieci aż do osiągnięcia przez dziecko pełnoletniości lub ukończenia studiów, z wyjątkiem syna Mikołaja, którego owo ograniczenie nie dotyczy. Wedle powoda rozwód odbę-

dzie się bez orzekania winy, pozwana rezygnuje z wszelkich roszczeń teraz i w przyszłości. Czy strony podtrzymują swoje stanowiska?

Kiwam lekko głową. Nic się nie zmienia. Mój majątek należy do mnie. Pracowałem na niego uczciwie, przez dziesięć lat siedziałem przy biurku po dwanaście godzin dziennie, przy pierwszych kilku książkach większość ludzi pukała się w głowę, dla mainstreamu nie istniałem, nakłady nie imponowały ani wydawcy, ani mnie. Anioł mnie wspierał, dawał jeść i pić, słuchał moich histerycznych kwileń, dlatego zatrzymuje mieszkania i dostaje pół miliona gotówką.

Helena nabiera powietrza w płuca.

– Mogę zrezygnować z orzekania o winie – oświadcza.

Uśmiecham się lekko, czuję na sobie wzrok Stańczaka, chciałbym tę sprawę już zakończyć.

– Brak orzekania winy, pół miliona i mieszkanie – mówię, patrząc Helenie w oczy. Ale moja żona, choć nie ucieka spojrzeniem, milczy; tymczasem Tolak postanawia zarobić na honorarium.

– Brak orzekania o winie jest znaczącym ustępstwem ze strony mojej klientki – ripostuje, a jego głos brzmi zaskakująco mocno. – Jest skłonna dokonać owego ustępstwa, gdy proporcja podziału majątku wyniesie sześć do czterech.

– Nie ma mowy – mówię.

– Zatem wracamy do punktu wyjścia – zaperza się Tolak.

– Wracajmy.

– Nie rozumiem – mówi Helena.

– Czego nie rozumiesz? – pytam.

– Po co ci ta walka…

– Proszę państwa… – wtrąca się Stańczak, ale nie chcę go słuchać.

– Zasady – tłumaczę, nadal wpatrując się w niebieskie oczy Heleny. – To ja zarobiłem pieniądze.

– Jezu.

– No, ale to prawda – stwierdzam. – Zarabiałem na całą rodzinę.

– A ja przez dziesięć lat zasuwałam na trzech etatach – odpowiada. – Sprzątałam, prałam, zajmowałam się dziećmi, usuwałam każdy pyłek sprzed twojego nosa, robiłam za omnibus. Bylebyś miał spokój i mógł pisać.

Przekrzywiam lekko głowę, zacietrzewienie Heleny nawet mi się podoba.

– Mówimy o osiemnastu milionach złotych – kontynuuje moja żona. – Tyle wynosi nasz majątek. Pół miliona to jest ile? Trzy procent? Dobrze liczę?

– Może i trzy – przyznaję. – Nie baw się tak. Spójrz na to pragmatycznie: pół miliona to wystarczająco dużo pieniędzy, żebyś znalazła sobie zajęcie, które pozwoli ci się utrzymać.

Blednie, niemal kurczy się pod uderzeniem. Ale dziś nie jest w nastroju do ucieczki.

– Okej – mówi. – Będziesz miał rozwód stulecia. Tabloidy wyciągną każdy brud i każdą twoją dupę. Będą zdjęcia, wywiady i artykuły na jedynce. Proszę bardzo.

Robi mi się zimno.

– Pani Heleno, naprawdę nie ma powodu posuwać się do gróźb – protestuje energicznie Stańczak.

– Poważnie? – syczy moją żona. – A wy ostatnio nie groziliście mi oskarżeniem o złą opiekę nad dziećmi?

– Lena… – mówię.

– Nie nazywaj mnie tak! – krzyczy.

Staram się uspokoić. Ona stara się uspokoić. Starają się też prawnicy, ale oni po prostu są w pracy, im łatwiej.

– Proszę państwa, nie ma sensu się kłócić – mówi Stańczak. Myli się. Przyszliśmy tu po to, by się kłócić.

– Dobrze. Chcę to dziś zakończyć – mówię. – Milion i mieszkanie.

Dokonałem pierwszego ustępstwa. Helena patrzy na mnie uważnie. Tolak nachyla się do niej, szepcze gorączkowe słowa prosto w ucho. Moja żona kiwa głową.

– Proszę państwa – mówi Tolak. – Ponieważ mojej klientce również bardzo zależy na jak najszybszym zakończeniu tej sprawy, proponuje ona podział majątku w proporcji trzy do siedmiu. Moja klientka zgadza się zatrzymać jedynie trzydzieści procent majątku.

– Zatrzymać! – parskam.

– Wysłuchajmy do końca, panie Jerzy – mówi Stańczak.

– To już wszystko – oświadcza Tolak. – Więcej ustępstw nie będzie.

– No, no – mruczę.

Helena czerwienieje. A ja nie potrafię się zatrzymać. Chciałbym, ale nie potrafię.

– Rozumiem cię, naprawdę – mówię.

– Nic nie rozumiesz.

– Owszem. Ale to nie zmienia faktu, że to ja stukałem w klawisze. Nie ty. Ja.

– Tak? – syczy.

– Tak. Milion i mieszkanie.

Helena wstaje. Góruje nad nami. Pąs na jej twarzy pogłębia się.

– W takim razie weź wszystko – mówi tonem, którego nigdy nie słyszałem. – Wszystko. Nie chcę od ciebie niczego.

– Pani Heleno… – woła Tolak.

Moja żona nie słucha. Wychodzi z wysoko uniesioną brodą. Tolak patrzy na mnie bezradnie, po czym wybiega za nią.

Oddycham głęboko. Kręcę głową, czując, że od żołądka ku górze płynie ciepło. W głowie coś pulsuje i bulgocze jak w szybkowarze, igiełka drapie w dno tym razem prawego oka, chyba muszę pogadać ze Starym Lwem, zaproszę go na kawę, może jutro po południu, nie pamiętam, z kim jestem

umówiony, ale zrezygnuję, Stary Lew jest chyba najważniejszy, muszę się uspokoić, tu i teraz.

Stańczak widzi, że coś się ze mną dzieje, ale po prostu czeka, co powiem. Jeśli w jego postawie jest obrzydzenie, staram się go nie zauważać.

– Bardzo dobrze – mówię, próbując wypluć słowa przez zaciśniętą szczękę. – Proszę, żeby ugoda była gotowa do końca tygodnia. Nie chcę, by moja żona zmieniła zdanie.

Widzę jego podniesioną dłoń, ale nie zwracam uwagi.

– Do końca tygodnia – naciskam.

Zastanawia się. Zwykle rozmowy ze mną są krótkie, raczej słucham, niż mówię, on proponuje, ja się na ogół zgadzam, od tego jest, by proponować rzeczy, które mogę zaakceptować, rozwód w jego towarzystwie to przyjemność, jeszcze dwa, trzy spotkania i uwierzyłbym w to naprawdę. Gdyby nie dzisiejszy dzień, naprawdę bym uwierzył.

– Postaram się – obiecuje.

Wstaję.

– Trzy dni – powtarzam.

On również wstaje. Sięga mi do ramienia.

– Chciałbym wystawić fakturę. Kolejny etap zakończony.

– Oczywiście. Płatność w ciągu czternastu dni.

– Szczerze mówiąc, chciałbym prosić tym razem o siedem. To bardzo duża suma.

Wiem o tym lepiej od niego. Przyjemne rozwody kosztują.

– Gdy tylko dostanę tekst ugody, wysyłam przelew – obiecuję, klepię go po ramieniu i wychodzę. Może się obraził, co mnie to obchodzi, schodzę na dół bez pośpiechu, patrzę za zegarek, mam pół godziny, nie za dużo, ale może tym razem zdążę.

Podróż zajmuje mi kwadrans, myśli biegną we wszystkich kierunkach, nie mogę się pozbyć sprzed oczu wyrazu twarzy Heleny. Docieram na miejsce, niewielka plomba stoi w bocznej śródmiejskiej uliczce, bardzo ładna

drewniana elewacja, garaż podziemny, większość mieszkań, zdaje się, na wynajem, wjeżdżam do garażu, jadę na ostatnie piętro, tym razem bez żadnych przesiadek na parterze, otwieram drzwi kluczem, jeszcze w przedpokoju zrzucam ubranie, prysznic trwa pięć minut, bardzo go potrzebowałem, jestem spokojniejszy. Wychodzę, zakładam świeże dżinsy i koszulę, nie za wiele warstw, bo potem człowiek się spieszy i po co mu tyle warstw, nalewam sobie drinka, leciutkiego, bo nie chcę żadnych sensacji, studiuję strukturę bólu, lewa igiełka siedzi płytko, prawa gdzieś się przyczaiła, nie czuję jej, ale gdzieś jest, pora urlopowa dopiero nadejdzie. Kapsułka ketonalu płynie w dół, ulgi nie ma, będzie może za jakiś czas, albo w końcu pęknie mi to coś w mózgu i wtedy dobranoc, pchły na noc, szczypawki do zabawki, robię się infantylny, chyba się upiłem jednym słabym drinkiem, gdzieś daleko brzmi ironiczny śmiech mojej żony, wyłączam go niczym stare radio.

Dzwonek, otwieram, wchodzi Hania, ma na sobie krótką sukienkę i chyba nic pod spodem, że też młodzież musi być taka wyemancypowana, zaraz się przekonamy, wygląda lepiej niż na zdjęciu, na którym siedziała na krawędzi wanny i czytała moją książkę. Chcę jej nalać wina, nieoczekiwanie żąda wódki z colą, przygotowuję, ona siada na brzeżku kanapy, nóżki razem i w bok, usta w ciup, rączki w małdrzyk, dama z niej, sandałki pod kolor sukienki, rasowe, palce rasowe, siadam i zaczynam pytać o jej dokonania pisarskie z ostatniego tygodnia. Wcześniej przysłała mi próbkę, kryminał niby, napięcia żadnego, przeczytałem z musu początek, bohater przygotowywał sobie kawę, zajrzałem na dwudziestą stronę, zdążył już, zdaje się, wyjść z kuchni. Żadnych pierwocin stylu ani słuchu językowego, nic z tego nie będzie, widać po trzech zdaniach, świat wtórny, bohaterowie papierowi, dialogi sztuczne, wszystko już było, tylko wielokrotnie lepiej. Ale ona ma piękne piersi, sutki przebijają się przez materiał, ciekawe światа, ciemne, młode, miód. Preferuję trzydziestolatki, ale wśród osiemnastek też zdarzają się wyjątki zasługujące na uwagę, Hania do nich należy. Siadam blisko i za-

czynam mówić, narracja literacka rządzi się swoimi prawami, ma pewne obowiązkowe punkty, zwroty akcji na przykład, przyspieszenia i zwolnienia, trzeba dbać o zmiany tempa, narracja nie może być monotonna, monotonia to grzech, akcja jest bogiem, akcja przede wszystkim. Jasne oczy Hani jaśnieją jeszcze bardziej, usta zastygają w zachwycie, sutki biegną ku mnie, obejmują, emanują ciepłem i rozkoszą, poddaję się, ból znika, bo wszystko znika, Hania naprawdę nie ma na sobie nic poza sukienką, ciekawe, jak tu przyjechała, bo chyba nie autobusem. Lądujemy w pozycji horyzontalnej, szklanka turla się po dywanie, nie wiem, czy moja, czy jej, dywan kosztował dwa dziewięćset, ponosiłem już w życiu większe straty. Głowa Hani schodzi nisko, spieszy jej się, mnie też, choć staram się kontrolować tempo, jakoś nie bardzo mi się udaje, podnoszę ją, rzeczywiście jej piersi są *Weltklasse*, prawie już zapomniałem, co to osiemnastoletnie ciało, poza piersiami reszta zbudowana wyłącznie ze złota i platyny, jak rzeźba Canovy. Hania niczego nie udaje, ma zamknięte oczy i jest jednym wielkim zapamiętaniem, matko, kiedy ona się tego wszystkiego nauczyła? Turlam się, ona wskakuje na mnie, galop, cwał, włosy wpadają mi do ust, nic nie szkodzi, nie depiluje się cała, trochę zostawia ku radości patrzących, za co jej chwała, słabo myślę, nic dziwnego, Hania pisarką nie będzie, ale karierę zrobi, może w modelingu, podpowiem jej, gdy już ze mnie zejdzie.

Na razie niczego nie podpowiadam, bo zaczyna boleć mnie głowa. Blednę i chyba odjeżdżam, Hania coś mówi, potem woła, nie słyszę, oddzielony od niej watą, grubą ścianą z waty, oczy płoną, w każdym oku nie jedna igła, a kilka, kwaśny smak spływa do ust, opieram się o kanapę, siedzę na podłodze, dywan pod tyłkiem, Hania klęczy nade mną, sutki smutne, zamilkłe, ona upewnia się, że nic mi nie jest, bełkoczę słowa przeprosin, ona wrzuca sukienkę przez głowę, sandałki miała cały czas na nogach, nawet tego nie zauważyłem, pyta jeszcze o coś, odpowiadam, że wszystko w porządku, że bardzo przepraszam, w końcu udaje mi się ją skłonić do wyjścia.

Siedzę nagi, zmrok hula po kątach, czuję jeszcze zapach jej ciała i perfum, ładne to wszystko, zaraz się wywietrzy, wdycham głęboko powietrze. Siedzę, nie wiem, ile mija czasu, garsoniera robi się obca, choć jest przecież moja, lokata kapitału na rynku nieruchomości, na samego architekta wnętrz wydałem trzydzieści tysięcy.

Wstaję, mam wrażenie, że w głowie nastąpi wybuch, może już nastąpił, a ja nie żyję, czuję zapach jej ciała, przed oczyma dwie ciemne plamy brodawek ze śmiesznymi dziurkami pośrodku, raczej żyję, bo w zaświatach chyba jest bardziej duchowo i wzniośle i człowiek ma w końcu czas pomyśleć o czymś wielkim, nie tylko o chędożeniu i dziurkach w cyckach. Prysznic zimny, głowa rozpalona, idealnie, ujmuję ciepłej wody, lód, wstrząsają mną dreszcze, Jezu, jakie ona miała biodra, nic tylko wstrzykiwać jej do środka swoje DNA i patrzeć, jak rośnie ta Matka Polka, jak pięknieje, mając w sobie dwa życia, a potem karmi to nowe jak na obrazie Wyspiańskiego.

Wychodzę, wycieram się, wkładam stare ubranie, nie chce mi się tłumaczyć Doris, czemu się przebierałem. Jadę do jej mieszkania, które jest teraz moim domem, dwa pokoje z kuchnią, osiedle typu Lemingowo Górne, wszystko na kredyt, łącznie z karierami, na parterach siłownie i sklepy ze zdrową żywnością, koniecznie z nalepką BIO i dwukrotnym przebiciem.

Doris nie ma, chwała Bogu, jak na zawołanie dostaję esemesa. „Nie czekaj z kolacją. Muszę skończyć bilans kwartalny”. I emotikon, że niby jej przykro. Jasne. Jestem sam i bardzo mi źle, choć akurat głosu Doris brakuje mi najmniej. Siadam na kanapie i ostrożnie otwieram kartonową teczkę z nalepką War-Med. Jedna ważna kartka i kilka wydruków badań. Czytam i staram się zrozumieć. Nalewam sobie drinka. Potem wracam do czytania. Przez kwadrans mielę kilka zdań. Tętniak mózgu. Krwawienie. Pęknięcie. Bóle głowy. Gorsze widzenie. Wskazanie: otwarcie czaszki i operacyjne założenie klipsa na szyjkę tętniaka.

Siadam do internetu i szukam. W końcu znajduję to, co najważniejsze: statystyki śmiertelności.

Ważę w dłoni telefon. Zastanawiam się. Warszawa za oknem rozświetlona, zdyszana, europejska, kosmopolityczna. W końcu wybieram numer mojej żony. Sygnał jest ciężki, monotonny jak wyrzut sumienia, nieskończony.

Odkładam aparat. Po chwili pika esemes.

„Nie dzwoń”. ■

ROZDZIAŁ 2

Widzę nagie kobiece ciało.

Nie należy do nikogo konkretnie, to raczej jakiś uogólniony wzorzec, może mam do czynienia z projekcją wyobrażeń o wszystkich znajomych paniach, może czuję jakieś stłumione pragnienie. Zabawne, nic nie wiem, bym miał tłumione pragnienia dotyczące kobiet, raczej wszystko na wierzchu, żadnych tajemnic, pełen ekshibicjonizm moralny i cielesny, wszystko szczerze, szybko, bez zastanowienia, popęd w czystej postaci, czemu nie, skoro wokół tyle chętnych? Ulubiona średnia: piersi nie za duże, biodra raczej obłe i konkretne, wzgórek łonowy wypukły, co czasem przeszkadza, ale jest dowodem na zdrową anatomię służącą wydawaniu potomstwa na świat. Nogi długie, umięśnione, żadnych patyków o kościstych kolanach, palce u stóp foremne, dłonie zadbane. Wszystko naturalne – z zasady nie chodzę do łóżka z kobietami dotkniętymi skalpelem, kwasem hialuronowym, botoksem czy innym fetyszem nowoczesnych, wyzwolonych dziewcząt. Wyzwolenie tak, ale *au naturel*. Ciało musi być pełne, do furii doprowadza mnie kult chudych i kanciastych, modelki uważam za istoty nieszczęśliwe, nad którymi makijażysta do spółki ze stylistą muszą pracować pół dnia, by można je było pokazać światu i by świat nie uciekł z okrzykiem przerażenia na ustach.

Słyszę gniewny głos realizatora, dziwnymi meandrami biegają moje myśli, jestem w środku czytania wojennej, krwawej opowieści, a myślę o kobietach i moim do nich stosunku. Z trudem, ospale, niemal brnąc przez zaspy majaków na jawie, wracam do rzeczywistości. Patrzę przez szybę, widzę złe oczy, może również szydercze, na pewno niechętne. Poprawiam się w fotelu, mam wrażenie, że siedzę nierówno, lewa strona ciąży bardziej, prawa spoczywa jakby wyżej. Może to starość. Mięśnie zaczynają ćmić, do-

piero druga godzina sesji, chyba zaczynam żałować, że w ogóle tu jestem, myśl o tym, ile zostało do końca, napawa mnie głębokim zniechęceniem.

– Możemy? – pyta realizator, wprost przewiercając mnie wzrokiem.

– Już – odpowiadam.

Facet o złych oczach kiwa dłonią, czytam.

„Trzej członkowie załogi Twardego klęli na całego. Mieli tylko dwadzieścia pocisków do działa i zszargane nerwy. Z zewnątrz dochodziły odgłosy coraz bardziej zażartej walki. Nieprzyjaciel wprowadził na plac boju działa, pojazdy pancerne i liczne oddziały piechoty. Co chwilę o pancerz czołgu dzwoniły rykoszety, co z pewnością nie poprawiało humorów załogi.

Ale rozkaz to rozkaz. Byli aż nadto świadomi, że stanowią ostatni pancerny argument batalionu.

Czołg powoli posuwał się do przodu.

Dowódca ujrzał w celowniku ścianę kamienicy. Długa lufa Twardego znieruchomiała.

– Odłamkowym – powiedział.

Za plecami usłyszał znajomy zgrzyt mechanizmu ładującego.

– Jest – zameldował celowniczy.

– Ognia.

Huk rozdarł powietrze.

Pięćdziesięciotonowy czołg zakołysał się. Pocisk w ułamku sekundy przebył dzielący go od celu dystans, po czym eksplodował. Gdy opadł dym, dowódca ponownie przytknął oczy do okularu. Dziura w murze miała trzy metry szerokości. Włączył mechanizm odwracający wieżę. Lufa pojechała do tyłu.

– Naprzód – zakomenderował”.

Mylę się w ostatnim słowie, milknę, własny głos jeszcze brzmi mi w uszach, po sekundzie słyszę realizatora:

– Panie Jerzy, poprawiamy cały fragment.

– Co było źle? – pytam.

Człowiek zza konsolety uśmiecha się z zakłopotaniem, choć w jego oczach jest, jak mówiłem, nie tylko zakłopotanie, ale też niechęć, szyderstwo, może jeszcze coś, czego na razie nie umiem odgadnąć. Wielkie ekrany komputerów migocą przytłumionym blaskiem, oświetlenie dyskretne i w reżyserce, i w studiu, wszystko dla komfortu lektora, szklanka z niegazowaną wodą mineralną pod ręką, eksperymenty z zimnym piwem i czymś mocniejszym z colą lub sokiem pomidorowym mamy już za sobą, nic z tego nie wychodziło, choć początkowo wszyscy, ze mną na czele, wierzyli, że alkohol pomoże mi się rozluźnić.

– Powtórzy pan cały kawałek? Od słów: „Trzej członkowie załogi Twardego”? – odpowiada pytaniem, z zauważalnym wysiłkiem nadając głosowi miłe brzmienie. To już czwarte podejście. Obaj zaczynamy być zmęczeni. Właściwie jestem zmęczony, odkąd tu wszedłem. Powinienem zająć się własnym zdrowiem, nie czytaniem.

– Puść od początku – mówię.

Realizator przez chwilę trwa w niemym uporze, potem niechętnie sięga do myszki komputera.

Przez głowę przebiega kilka złych myśli, odganiam je, staram się nie sznurować ust w wąską kreskę, Helena zawsze w takich razach powtarzała, że wyglądam jak furiat, któremu brakuje argumentów. Zdanie Heleny nie powinno mnie w najmniejszym stopniu obchodzić, nie po to pracowicie burzyłem dotychczasowe życie, żeby teraz się przejmować jej opiniami na mój temat, życie jednak śmiesznie się układa; nie powinienem i nie chcę, a nadal się stosuję do niektórych rad, staram się nie być dziecinny, nie chcę na złość prawie byłej żonie odmrażać sobie uszu.

Słucham przed chwilą nagranego fragmentu. Głos brzmi wyraźnie, wibruje, wzbudza rezonanse tam, gdzie trzeba, dynamizuje akcję, tembr dostojny, namaszczony, dykcja więcej niż poprawna. Słucham uważnie, starając się wyłapać fałsz czy nieczyste brzmienie – nie znajduję niczego.

– Nie widzę tu niczego do poprawy – oznajmiam.

Realizator krzywi się, widzę za szybą producentkę, jeszcze wczoraj mówiła, że się spóźni, bardzo nalegałem na jej obecność, twierdząc, że wpływa na mnie stymulująco. Producentka ma trzydzieści lat i może jeszcze ze dwa lub trzy, nazywa się Tola Pasek, krótko obcięta, piegowata, ruda, kolczyk w uchu, długa bluza jak po starszym bracie, wąskie dżinsy i glany od Doktora Martensa, moda na Jarocin z lat mojej młodości pasuje jej jak druga skóra, piegi tylko dodają uroku, biust niepompowana trójka, z tych najbardziej poręcznych.

– Cześć, Jerzy – mówi przez interkom, głos ma niski, schrypnięty, gdyby była czarna, mogłaby śpiewać jazz w klubach Nowego Orleanu.

– Cześć, Tola – odpowiadam, uśmiechając się szeroko. Poprawiam się na krześle, przez moment myślę o wczorajszej wizycie u Starego Lwa, szybko skupiam się na tym, co teraz, na razie przychodzi mi to bez trudu.

– Może wolisz czytać mniejszymi kawałkami? – pyta.

– Nie. Jedźmy dalej.

Realizator jest zły. Tola kładzie mu rękę na ramieniu.

– Czytanie mniejszych fragmentów pozwala lepiej panować nad techniką – tłumaczy, a ja dopiero po chwili orientuję się, że mówi do mnie. – Jeśli się skupiasz na pojedynczych zdaniach, możesz znacznie lepiej interpretować tekst.

– Co było źle? – drążę.

– Nie było źle. Chodzi o to, żeby było świetnie.

Przekrzywia głowę, patrzy mi w oczy, mimo szyby wydaje mi się, że jest tuż przy mnie, czuję jej zapach, widzę wyraźnie oprawę oczu, fakturę skóry, minimalnie opadnięty lewy kącik ust. Rudy kosmyk zagląda jej do oka, rzęsa pociągnięta leciutką czarną kreską, Tola wie, że przy alabastrowej cerze nadmierna czerń nie służy urodzie, zieleń oczu obroni się sama, ma kolor morza, okalającego o poranku dalekie, egzotyczne wyspy.

– Dobrze. – Kiwam głową.

Czuję, że coś zaczyna pulsować w żołądku, krew płynie szybciej, adrenalina budzi się z letargu, zaczyna pobudzać organizm do walki, walka jest czymś, co kocham, z czego żyję od wielu lat i czego nie zamieniłbym na inne zajęcie, tak mi się przynajmniej wydaje w tych momentach, gdy wiem, po co żyję.

Realizator puszcza poprzedni fragment, słyszę w słuchawkach swój głos, widzę uniesiony palec, szycie, wchodzę, niemal krzyczę, jestem tam, w Powstaniu, na polu bitwy, czuję smród kordytu, krwi, łzawią mi oczy, ranni krzyczą, pociski latają nad głową, zgrzyt gąsienic wbija się w mózg.

„Trzej członkowie załogi Twardego klęli na całego. Mieli tylko dwadzieścia pocisków do działa i zszargane nerwy. Z zewnątrz dochodziły odgłosy coraz bardziej zażartej walki”.

Przerywamy, Tola podnosi kciuk, realizator kiwa głową, jedziemy dalej, nareszcie idzie gładko, rozkręcam się, słowa płyną, co jakiś czas cięcia, już się nie złoszczę, zawodowstwo i spokój, powtarzam, co i kiedy chcą. Wszyscy wyglądają na zadowolonych, nawet facet za konsoletą, ponury i małomówny drab przed czterdziestką, który nabawił się skrzywienia kręgosłupa od siedzenia w studiu, widział już wszystko i doświadczył wszystkiego. Słyszałem, że potrafi zrobić gwiazdę z wokalistki pozbawionej słuchu, której jedyną kwalifikacją do zaistnienia w szołbiznesie jest wprawa w kręceniu odwłokiem i podstawianiu go komu trzeba, nadać brzmienie Metalliki garażowym kapelom, weselnym zespołom klezmerskim przydać rys oryginalności i rozrywki na wysokim poziomie.

Robimy przerwę, piję duszkiem wodę ze szklanki, wchodzi Tola z nową butelką, nalewa mi, staje blisko, jej udo przy moim, ciepła jest i miękka, nie patrzy na mnie, choć widzi mój wzrok, nie przysuwa się, ale i nie oddala, mam ją w zasięgu, trzymam dłonie na blacie, Tola stawia butelkę, upewnia się, że mam jeszcze czas, mam, oczywiście, że mam, tyle, ile trzeba. Wychodzi, nagrywam dalej, ostatnia część mojej najgłośniejszej sagi wojennej,

długo oczekiwana premiera, domknięcie losów bohaterów, gorzko-słodki finał.

Gdy ponad dziesięć lat temu debiutowałem pierwszym tomem, nie miałem pojęcia, że piszę pierwszy tom czegokolwiek. Uważałem się za niebywałego szczęściarza, że ktokolwiek zainteresował się tekstem. Fakt, że był to wydawca pierwszoligowy, wtedy nie za bardzo do mnie dotarł, a nawet gdyby, i tak by mnie nie obchodził. Chciałem na półkach księgarni zobaczyć książkę ze swoim nazwiskiem na okładce i tyle. Gdy zaczęła się sprzedawać, miałem poczucie wznoszenia się ku niebu. Byłem pierwszy na rynku z takim podejściem do historii, druga wojna światowa połączona z fantastyką, batalistyka z nieśmiałymi ambicjami do sienkiewiczowskich nawiązań, intryga sensacyjna i styl Alistaira MacLeana, wszedłem w lukę rynkową i zabetonowałem wejście, przez dwa lata uzupełniłem pierwszą książkę trzema kolejnymi, konkurencja dobijała się, kopała, pluła i smarkała, byłem pierwszy, reszta mogła zadowolić się rolą epigonów, zaroiło się potem od nieudolnych podróbek, wydawca opowiadał mi o tym ze śmiechem głośnym i szyderczym.

Zerkam na wielki zegar, minęła czwarta godzina sesji, czuję się jak po przebiegnięciu maratonu, kończę butelkę wody, mimo tego w gardle piasek, oczy chodzą ciężko, zaczyna mnie boleć kark, drętwieje lewe ramię, rozmasowuję, wstaję, coś mi strzyka w kolanach, jestem stary i zmęczony, bieganie chyba mniej wyczerpuje. Realizator pakuje manatki, kiwa dłonią i wychodzi, wygląda gorzej niż ja, mimo poprawy stosunków jednak nie pała do mnie przesadną sympatią. Zostajemy sami z producentką, idę do reżyserki.

– Jak wrażenia? – pytam.

– Było nieźle – mówi Tola. Zerka na drzwi, potem na mnie, potem znowu na drzwi. – Robisz postępy. Z każdą sesją jest lepiej.

– W okolicy końca będzie już bardzo dobrze – dopowiadam.

Tola chichocze.

Podchodzę blisko, ujmuję w dłonie jej twarz, pochylam się. Wargi Toli Pasek smakują i pachną dojrzałymi owocami, są sprężyste i miękkie. Zrzucam z niej bluzę, stanik typu *push-up*, zupełnie bez sensu, bo Tola ma piersi kategorii olimpijskiej, nie powinna ich podpierać żadnymi stanikami, tylko prezentować ludzkości jako wzorzec dobrej roboty, boskiej, a może tylko rodzicielskiej. Całuję je, one całują mnie. Przenosimy się na stojącą pod ścianą kanapę, moje ubranie zalega podłogę w nieładzie, mamy mało czasu i nie możemy zbytnio hałasować, choć zdaje się, że oboje mielibyśmy ochotę. Tola wyskakuje z butów, spodni i majtek w sposób magicznie niezauważalny i cudownie szybki, jest na mnie, pode mną, obok, otacza mnie ze wszystkich stron. Jej ciało pachnie dobrze utrzymanym ciałem wciąż młodej kobiety, trzydziestka minęła, ale to nic nie szkodzi, na ogół jest to wiek, *par excellance*, bardzo przeze mnie pożądany, są oczywiście wyjątki, o czym już wspomniałem. Odwdzięczam się biegłością i witalnością, nie kończę zbyt szybko, pozwalam nam obojgu upić się rozkoszą, tak przynajmniej myślę, że rozkosz jest udziałem mojej aktualnej partnerki, mojego świata na najbliższy kwadrans.

„Upić się rozkoszą”, niezła metafora, mam jednak predylekcje do żeromszczyzny, grafomanii niekontrolowanej, cóż poradzić, Pan Bóg talentem nie obdarza po równo, całe szczęście zresztą, może nie moje, ale dla ludzkości jak najbardziej to szczęśliwa okoliczność, że nie jest złożona wyłącznie z geniuszy. Tola wiruje przed oczyma, czuję ją każdym milimetrem ciała, molekułą, atomem. Dochodzimy do szczytu, jesteśmy zgrani jak para tancerzy sportowych, mistrzostwa świata, a my na najwyższym stopniu podium, gratuluję sobie w myślach, opadamy na plecy, leżymy biodro przy biodrze, moje kościste, jej miękkie, czas zatrzymał się rok albo dwa lata temu. Próbuję sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach poznałem Tolę Pasek – pierwsze, co zobaczyłem, to cygaro i piegi, potem stalową piersiówkę, z której nieustannie pociąga Jacka Danielsa, czarne, błyszczące jak lustro glany, potem dopiero resztę. Tola Pasek ma słuch absolutny, wypro-

dukowała płyty kilku topowych zespołów, które od razu pokryły się platyną, nie wiem, jakim sposobem Jakub Tyszkiewicz przekonał ją do przyjęcia posady producenta audiobooka. Gdy leżeliśmy na tej samej kanapie kilka dni temu, wyznała, że lubi moje książki, ale nie sądzę, żeby o to chodziło. Jestem przystojny, wysoki, zamożny i piszą o mnie w gazetach, na ogół zresztą dobrze, skandale to nie ja, może nawet szkoda. Nadal nie sądzę, żeby o to chodziło. Chciałbym spytać, ale nie pytam.

– Chyba musimy wstawać – szepcze Tola, gdy nieco uspokaja oddech.

Jej piersi bacznie mi się przyglądają, zastygają w oczekiwaniu, co odpowiem, czy wykażę się inicjatywą, klasą, diabli wiedzą czym. Cycki Toli Pasek są osobnymi bytami, mają odrębny charakter i potrzeby, nie mam co do tego wątpliwości.

– Jeszcze chwilę – wzdycham.

Opieram się na łokciu, lustruję sto siedemdziesiąt centymetrów i sześćdziesiąt kilogramów leżącego obok mnie człowieka, myślę, czy już wystarczy, czy chciałbym jeszcze, na przykład w moim mieszkaniu, bez pośpiechu, po dobrej kolacji i dwóch butelkach kosztownego wina, przy łagodnej muzyce, gdzie nie musiałbym patrzeć na konsoletę i ściany pokryte nieco zatęchłą wykładziną dźwiękochłonną. Przeżywam każdą chwilę, Tola jest pozbawiona poczucia wstydu, mogę patrzeć i patrzeć, może nawet pozwoliłaby na jakąś sesję fotograficzną, co jest nowym pomysłem, tego jeszcze nie próbowałem.

Wstajemy, ubranie wraca na swoje miejsce, Tola poprawia włosy, bez sensu, i tak nigdy nie wiadomo, czy jest po czesaniu czy przed, całuję ją, wychodzimy przed budynek, słońce zalewa nas oceanem światła. Podchodzi banda oberwanych szarpidrutów, witają się z Tolą bardzo poufale, kapela na topie, nie pamiętam, a może po prostu nie znam nazwy, wkurza mnie polski rock, wtórny i bez sensu, mają robić remiks starego hitu, trzeba dać nowy impuls karierze w sytuacji, gdy nowych pomysłów brak, wyglądają na naćpanych, częstują Tolę skrętem, na mnie nie zwracają uwagi. Wyglą-

dałem podobnie dwadzieścia lat temu, może nawet miałem dłuższe włosy, na pewno paliłem czystszą trawkę, co za kretynizm.

Macham Toli ręką, odchodzę, wsiadam do auta, głośniki wypluwają jeden z numerów Stone Sour, po chwili przerzucam na Francuzów z Gojiry, czasem lubię takie pokręcone dźwięki. Mój samochodowy system nagłośnienia został zrobiony na zamówienie, ma czterysta watów mocy i audiofilską jakość. Jadę, wczesne popołudnie, Puławska zakorkowana umiarkowanie, nigdzie mi się nie spieszy, choć powinienem jechać do domu i pisać książkę, jestem trochę spóźniony w stosunku do harmonogramu, dzisiejszą normę wyrobiłem rano, ale popołudnie nie jest złym czasem na małe nadgonienie zaległości, trochę mi się nie chce, choć nie powinienem sobie odpuszczać. Norma. Dzienny urobek. Brzmi jak anons na tablicy stachanowskich ogłoszeń, ale tak to wygląda, pisarz jest w ogromniej mierze wyrobnikiem, musi pisać, słowo po słowie, tysiąc, dwa albo trzy dziennie, są szaleńcy, którzy piszą pięć, całe szczęście do nich nie należę. Artyzm jest ukryty miedzy słowami, brzmi w podtekstach, duchu bardziej niż fizycznej materii, może się mylę, na razie nie jestem artystą, na razie jestem nie-artystą z pretensjami do bycia artystą, rzemieślnikiem z ambicjami, czemu nie, mam marzenia, nie ukrywam, że ładnie mi pachnie uznanie poważnej krytyki, robię przymiarki, całkiem konkretne.

Czuję w lędźwiach przyjemne zmęczenie, jesteśmy z Tolą idealnie dopasowani anatomicznie, ani ona za szeroka, ani ja za duży, wszystko jak garnitur szyty na miarę, krzywię się, co za krawieckie porównanie. Nic z tego oczywiście na dłuższą metę nie będzie, każde z nas idzie swoją ścieżką, co nie przeszkadza przeżywać chwil błogich spazmów raz na jakiś czas.

Dzwoni moja najstarsza córka. Bardzo mnie cieszy ten telefon, każdy kontakt z nią jest ważny, przypomina o mojej kondycji moralnej, nie pozwala wpaść w samozachwyt, wybujałe ego jest przecież domeną pisarzy, taki zawód, u mnie jeszcze nie jest najgorzej, znam idiotów potrafiących

mówić dobrze tylko o sobie, innych darząc pogardą nawet nie skrywaną, pogardą, z której uczynili znak firmowy. W gruncie rzeczy mi ich żal, wyglądają na śledzienników zżeranych przez kompleksy na temat pochodzenia, wykształcenia, inteligencji, talentu, pewności siebie, diabli wiedzą czego. Ale może się mylę, może to ja jestem śledziennikiem z kwasem zalewającym usta, a oni wszyscy chodzą uśmiechnięci, oślepiając ludzkość blaskiem bijącym od ich pisarskich epoletów.

– Cześć, Zośka – rzucam.

– Cześć, tato – odpowiada piętnastoletnim głosem dziewczyny, która musi dźwigać ciężar dorosłej kobiety, ponieważ włożyłem jej na barki dojrzałość trzydziestolatki.

Mogę być dumny, zabrałem jej dzieciństwo, zmusiłem do rewolucyjnego wydoroślenia przed terminem. Nie chce mnie urazić, jako jedyna ze mną rozmawia, stara się nie trzymać niczyjej strony, a jednocześnie wspierać matkę we wszystkim, wyczyn nie lada, niezależnie od wieku. Młodsze siostry wahają się, czy pójść w jej ślady, czy raczej podążyć za matką.

– Julka i Zuzia odmówiły – informuje mnie.

Czuję gorzki smak w ustach, choć przewidywałem rezultat. Na razie, jak widać, moje młodsze córki podjęły decyzję pójścia śladem matki.

– Szkoda – mówię. – To podobno bardzo dobry film, podobałby im się.

– Pójdą z mamą.

– Oczywiście.

– Ja natomiast chętnie wybiorę się z tobą.

– Bardzo się cieszę. Masz jakiś konkretny termin?

– Dziś? – mruczy.

– Odbiorę cię ze szkoły i pojedziemy.

– Świetnie.

Zastanawia się, czegoś jeszcze ode mnie chce, słyszę to wyraźnie w jej wahaniu, marszczy pewnie nos, dotyka go wskazującym palcem, może lekko pociera podbródek.

– Mama nie chce mnie puścić na imprezę w sobotę – mówi.

– Bo?

– Uważa, że powinnam przystopować.

– A co ty uważasz?

– Że nie muszę przystopować.

Śmiejemy się przez chwilę. Jestem przeciwnikiem bezstresowego wychowania, ale moja sytuacja jest, delikatnie mówiąc, ambarasująca; nie tylko moja żona nie przyznaje mi prawa do pouczania własnych dzieci. Ja również go sobie nie przyznaję. Nie znoszę hipokryzji, hipokryci budzą u mnie zdrową, entuzjastyczną, nieskażoną wahaniami i moralnymi rozdrapami agresję. Nie powinienem jej umoralniać, nie mam do tego prawa.

– Zawsze mieliśmy z mamą jedno zdanie, pamiętasz? – pytam.

Jest to ostatnia, ale za to żelazna zasada, obowiązująca do dziś. Nigdy nie podważać opinii czy decyzji drugiego rodzica, choćby nie wiem jak znienawidzonego. Wobec dzieci wspólny front, jedność ideowo-rodzicielska, wychowawczy monolit. Co ciekawe, nigdy się z Heleną na ten temat nie umawialiśmy, ani przed moim… hmm… zniknięciem, ani, tym bardziej, po nim.

– W dawnych czasach, gdy z nami mieszkałeś – kontruje moja córka.

– To się nie zmieniło.

– Tato!

– Nie zmieniło się.

– A więc nie idę.

– Skoro mama tak twierdzi.

– A co ty twierdzisz?

– To samo, co mama.

– Hipokryta z ciebie. Stosujesz tylko te zasady, które pasują tobie.

Oddycham głęboko. Celny cios.

– Jak to sobie wyobrażasz? – bronię się słabo. – Że pozwolę ci iść, podczas gdy matka się nie zgadza? Powołasz się na moje pozwolenie i wyj-

dziesz z domu?

– Nie traktuj mnie jak dziecka – prawie krzyczy Zosia. – Idziesz mamie na rękę moim kosztem. Jakoś w innych sprawach nie byłeś taki zgodny.

Ma rację, smarkata.

– U kogo ta impreza? – pytam.

– U koleżanki. Nie znasz.

– Będziesz grzeczna?

Pytanie jej nie śmieszy, ale dostrzega w nim szansę.

– Będę.

– Okej, powiedz mamie, że jeśli się zgodzi cię puścić, odbiorę cię z imprezy o ustalonej godzinie i odwiozę do domu.

– Nawet o północy?

– Nawet o godzinie, którą ustali mama.

– Dziękuję.

Milczymy oboje, już znacznie spokojniejsi.

– Kino aktualne? – chcę wiedzieć.

– Tak.

– O której kończysz?

– Mam jeszcze jedną lekcję.

– Będę czekał pod szkołą.

Rozłączam się, nie bardzo wiedząc, czy przegrałem, czy wygrałem.

Mam życiowe przyczółki, których rozpaczliwie bronię, Zośka jest jednym z nich. Dbam, pielęgnuję, troszczę się, zależy mi, wykazuję empatię, działam; dlatego ustąpiłem. Sam nie umiem tego nazwać. Chciałbym dyskomfort moich córek zredukować do minimum, *mission impossible*, zwłaszcza że dwie młodsze nie chcą mnie znać. Mój syn to osobna sprawa, mój syn to gość specjalny, tu nie mam żadnych usprawiedliwień, żadna troskliwość, udawana czy szczera, ale na odległość, niczego nie naprawi, błąd tkwi w założeniu, kiedyś opowiem o tym dokładniej, odłóżmy to na później, dobrze? Dziś chyba jestem w zbyt dobrym nastroju. Znów dzwoni ko-

mórka, jestem człowiekiem popularnym, numer wyświetla się, ale nie jest mi znany, nie powinienem odbierać i na ogół tego nie robię, Tola Pasek wprawiła mnie jednak w optymizm i życzliwe nastawienie do świata, klikam zieloną słuchawkę.

– Pan Jerzy Grobicki? – pyta męski głos. Już po trzech słowach mi się nie podoba, wieje od niego wielkomiejską arogancją, facet jest nadętym kutasem, oględnie mówiąc, nawet przez telefon świeci korporacyjnym blaskiem, traktuje źle swoich pracowników, kopie psa, zdradza żonę, ma progresywne, europejskie poglądy i chciałby spróbować kiedyś tych rzeczy z chłopakiem.

Mam chorą wyobraźnię, wiem.

– Przy telefonie – mówię.

– Dzień dobry, bardzo mi miło, panie Jurku, po tej stronie Marek Sztajnberg, agencja Go Forward…

Słyszę, że facet oprócz wyżej wymienionych cech kocha pierdzieć kolorowym pudrem, co nastawia mnie jeszcze bardziej wrogo, powoduje wydobycie z ukrycia karabinu maszynowego i załadowanie taśmy, jeszcze słowo i położę palec na spuście, po czym nacisnę go.

– Skąd ma pan mój numer telefonu? – pytam, w kwestii doboru odpowiedniego tonu sprawnie przeskakując do epoki lodowcowej.

– Ach, wie pan, w dzisiejszych czasach to nie jest chyba żaden problem, prawda? – śmieje się.

– Do widzenia – odpowiadam i rozłączam się.

Dzwoni po pół minucie. Nie odbieram. Dzwoni ponownie. Ja nic. Po chwili esemes: „Bardzo przepraszam, jeśli czymś uraziłem. Możemy porozmawiać?”.

Dwie ulice dalej wybieram jego numer.

– Przepraszam jeszcze raz… – mówi przymilnie.

– Po pierwsze, żadne „panie Jurku”, nie znamy się, zasady dobrego wychowania wprost mówią, że forma „panie Jurku” jest formą poufałą, a ja

pana do poufałości nie dopuściłem. W momencie, w którym będę miał na to ochotę, dam znać. Jasne? – zaczynam, po chwili napiętego milczenia ciągnę dalej: – Po drugie, jeśli pytam, skąd ma pan mój numer telefonu, oczekuję odpowiedzi. Nie rozdaję go na lewo i prawo. Chce pan rozmawiać dalej?

– T-tak… oczywiście… – jąka się, zepsułem mu drugą połowę dnia, satysfakcja drobna, ale zawsze jakieś zwycięstewko, wiktoryjka nieznaczna, życie się składa z drobiazgów, zwycięstewka też kolekcjonuję, wieszam na ścianie, na półce stoi osobny słoik z wiktoryjkami. Dziś paru jego współpracowników dostanie kilka dodatkowych kopów, co mnie to obchodzi, nie jestem podwładnym Marka Sztajnberga.

– Słucham.

– Chodzi o numer telefonu?

– Tak, chodzi o numer telefonu.

– Wspólny znajomy – mówi, nadal niepewny, może jest czerwony z wściekłości, może ostatkiem sił powstrzymuje się od rozbicia telefonu o ścianę. – Józef Galaś.

– Pan Galaś nie jest moim znajomym – informuję go. – Znamy się, ale to znajomość wyłącznie na gruncie zawodowym. Widziałem go trzy razy w życiu, co w żadnym stopniu nie wyczerpuje słownikowej definicji znajomego. Powinien pan zacząć używać słów zgodnie z ich znaczeniem.

Śmieję się w duchu, rola nudnego pedanta przewrażliwionego na własnym punkcie zaczyna mi nawet pasować, mógł się nie podkładać ten Marek Sztajnberg z agencji Go Forward, mógł zacząć normalnie, naprawdę byłem pełen dobrej woli, trafił na nieczęsty u mnie moment, nieczęsty zwłaszcza ostatnio, gdy za dużo piję i za dużo myślę.

Sztajnberg chce jakoś zawrzeć pokój, nie za bardzo umie, czekam, pełen gotowości do wojny.

– Rozumiem, rozumiem – mówi z wyczuwalną bezradnością. – Ale to on dał mi telefon do pana.

– Nie upoważniałem go do tego.

– Przykro mi.

– No cóż, przyjmijmy, że to nie pańska wina – oznajmiam wielkodusznie. – Będę się niedługo widział z panem Galasiem, porozmawiam z nim o tym.

– Tak. Bardzo przepraszam jeszcze raz.

Milczę. Niech w końcu powie coś konkretnego.

– Mam dla pana propozycję. Miałby pan czas w tym tygodniu na kawę?

– Tak brzmi propozycja? Kawa z panem?

Śmieje się, niezbyt szczerze.

– Nie, oczywiście, że nie. Chcę przy kawie omówić tę propozycję.

– Niech pan ją teraz w kilku zdaniach streści.

– Aha… – znowu nie wie, co powiedzieć. Rozmowa telefoniczna ma liczne zalety, brak mowy ciała jest jedną z nich, przynajmniej nie muszę oglądać min tego faceta. – No dobrze. Jestem właścicielem i prezesem zarządu agencji Go Forward. Moja firma zajmuje się…

– Wasz profil znajdę sobie w internecie – przerywam. – Niech pan w końcu powie, w czym rzecz. Rozmawiamy od pięciu minut i wciąż nie wiem o czym.

Facet jest najwyraźniej nieprzemakalny, nadal się nie obraża. Albo dobrze udaje, co z punktu widzenia skutków wychodzi na to samo.

– Jasne, znowu przepraszam, muszę ograniczać gadulstwo – usprawiedliwia się głupio. – A więc do rzeczy. Moja firma chce zaproponować panu współpracę przy promocji pańskiej twórczości za granicą.

Śmieję się głośno.

– Powiedziałem coś zabawnego? – pyta.

– Nie, nie. Słucham dalej.

– Doszliśmy do wniosku, że na rynku polskim osiągnął pan już wszystko, co możliwe. Czas zrobić krok na Zachód. Może też na Wschód.

– Czas – przyznaję.

Bierze wtręt za dobrą monetę. Gardło nieznacznie mu się rozluźnia. Głos jest dźwięczniejszy.

– Jesteśmy gotowi, żeby poprowadzić bardzo szeroko zakrojoną, rozbudowaną kampanię promocyjną. W dwa lata będzie pan miał równie głośne nazwisko, co Grisham czy Clancy.

Chichoczę wewnętrznie, chociaż nadal siedzę w samochodowym fotelu, wprost zataczam się ze śmiechu, turlam od nadmiaru wesołości, wręcz rozsadza mnie szampański humor. Na zewnątrz jestem śmiertelnie poważny.

– Ciekawe – mruczę.

– Prawda? – odmrukuje seksownie. Nie tylko siebie wprawiam w dobry nastrój, jego również, choć z całkowicie różnych przyczyn. Dureń bierze moje słowa za dobrą monetę. – Ma pan ogromny potencjał, osobiście uważam, że „Zima” przebija jakąkolwiek powieść wszystkich brytyjskich czy amerykańskich gwiazd. Ma lepiej wymyślonych bohaterów, ciekawszą intrygę i warstwę obyczajową, której tamci nigdy nie będą umieli nakreślić. Czuje się u pana melancholię, a zarazem powieść jest w gruncie rzeczy optymistyczna, podtrzymuje wiarę w ludzką dobroć i bezinteresowność.

Proszę, proszę. Pan Marek Sztajnberg jest również krytykiem literackim z predylekcjami do filozofowania.

– Wiem – kwituję.

– Dlaczego więc nie zaatakować?

Och, panie Marku, z tysiąca powodów, myślę, ale mówię coś zupełnie innego:

– Jak wyobraża pan sobie wynagrodzenie pańskiej firmy?

– Dogadamy się. Jest bardzo rozsądne.

– Zaliczka?

– Niewielka.

– Reszta uzależniona od efektu?

– No nie, raczej nie. Wie pan, my włożymy masę pracy…

– Dobrze – przerywam mu. – Muszę kończyć. Na fanpejdżu jest namiar do mojego agenta, Jana Wieteski. Proszę się z nim skontaktować, umówić na spotkanie i przedstawić ofertę.

– Ale…

– Do usłyszenia – rozłączam się.

Nadal mi wesoło. Mam przed oczami rozmowę Wieteski ze Sztajnbergiem i naprawdę jest śmiesznie. Mój agent potrafi obrażać ludzi w sposób, który pamiętają do końca życia, a pomimo tego jeszcze bardziej wzrasta ich motywacja do pracy z nim i ze mną. Jak on to robi, nie mam pojęcia. Sztajnbergiem będzie się delektował przez dwa tygodnie, każe mu poprawiać ofertę, po czym wyśmieje ją punkt po punkcie, złośliwymi szyderstwami zmuszając właściciela agencji do obniżania stawek i zwiększania zakresu obowiązków. Inna sprawa, że to niepotrzebny wysiłek, rodzaj niezobowiązującej rozrywki. Zachód mnie nie chce, nie mam mocy sprawczej, żeby to zmienić, nawet dywizja Sztajnbergów nic tu nie poradzi.

Podjeżdżam pod szkołę. Zmierza ku mnie urodziwa piętnastolatka, włosy ciemnoblond, nos prosty, gracja w ruchach, niemal płynie po chodniku. Wsiada. Całuje mnie w policzek.

– Ładne perfumy – mówię.

– Oj, tato, każdej dziewczynie to powtarzasz? – Krzywi się z udawanym niesmakiem.

– Tylko tym, które kocham.

Wierzy mi. Oboje już nie pamiętamy o niedawnej sprzeczce.

Wyjeżdżam z parkingu, mijam dwóch wyrośniętych nastolatków, ubranych jak spod jednej sztancy. Odprowadzają nas złymi spojrzeniami. Są kolegami Zosi. Nie rozumiem, o co im chodzi, ich rodzice jeżdżą identycznymi albo droższymi samochodami. Zosia ogląda się, patrzy przez chwilę, ma wieloznaczną minę, dojrzały kobiecy wyraz twarzy, który wiele obiecuje i odpycha zarazem, jej matka zakłada identyczne maski, gdy wchodzi na obroty.

– Coś się stało? – pytam ulicę dalej.

– Dupki – mruczy Zosia.

– Chłopcy w tym wieku są bez wyjątku dupkami – oświadczam z namaszczeniem. – Gra idzie o to, żeby jak najmniej z nich pozostało na tej drodze, gdy już wydorośleją.

Śmieje się, marszczy nos, potrząsa głową, widzę młodszą wersję Heleny, odwracam wzrok. Przez moment czuję smutek, wylazł z jakiegoś ciemnego kąta i zaatakował bez ostrzeżenia, odpycham go, zapędzam do ciemnicy, wcale mi od tego nie lepiej. Jest piękne wrześniowe popołudnie, jadę z córką na film, najnowszy hollywoodzki blockbuster, jadę z przyjemnością, jadę z ochotą, przy okazji podpatrzę, jak się opowiada epickie historie w amerykańskim stylu, w którym nad tekstem pracuje kilku jawnych i kilkunastu niejawnych scenarzystów, gdy każdy etap produkcji jest ściśle zaplanowany i zrealizowany z żelazną konsekwencją. Można się z nich śmiać, ale nie sposób zaprzeczyć, że najgorsza amerykańska chała ma ręce i nogi, niczego jej pod względem formalnym ani technicznym nie brakuje, wszystko jest doskonale zmontowane i opakowane. Jakiż kontrast z naszym, pożal się Boże, przemysłem filmowym, gdzie nadal duch króluje nad materią, gdzie trzyaktowa struktura traktowana jest przez cokolwiek wyleniałe lwy polskiej kinematografii z pogardą i wyższościowym uśmieszkiem, gdzie reżyser sam pisze scenariusze, których nikt nie sprawdza ani nie weryfikuje, bo przecież tak zasłużony dla polskiej kultury twórca ma prawo do autorskiej wizji, jasne, pieniądze publiczne, nie o zysk przecież chodzi, a o sztukę.

Siedzimy w sali kinowej, kończy się blok reklamowy, startuje film, wybuchy, pościgi, piękne kobiety w kostiumach obcisłych do niemożliwości, moja córka patrzy na widowisko z mieszaniną lekkiej pogardy i fascynacji, jemy popcorn, a jakże, cywilizacja śmierci bywa bardzo smaczna, może odrobinę przesolona, wolę serowe nachos, ale Zośka słyszeć o nich nie chce. Na ekranie bohater skacze z siódmego piętra, ma coś u rąk, jakby

skrzydła, a może lotki, szybuje spokojnie, z miną znudzoną, rakiety latają mu nad głową, żadna nie trafia, nie może, do końca filmu jeszcze pół godziny. Wielki finał – gdy się wydaje, że głośniej być nie może, producenci przyciskają gaz, nie wiadomo, kto do kogo strzela, piękna kobieta pada bohaterowi w ramiona, jest w tym coś z życia, tyle że nie mogę zgadnąć co. Wychodzimy.

– Podobało ci się? – pytam.

Zośka krzywi się, nie chce mnie urazić, biedna, nie wie, że mnie nie sposób urazić.

– Chyba jestem już na to za duża – odpowiada.

– Sama chciałaś.

– Wiem. Mam nauczkę.

– Ja się świetnie bawiłem – śmieję się.

Popycha mnie lekko. Dobrze mi z nią.

– Może poszlibyśmy na koncert? – proponuję.

– Chyba nie dam rady wytrzymać dwóch godzin z twoją ulubioną muzyką – mówi.

– Możemy pójść na coś, co ty lubisz. Co kilka dni jest w Warszawie jakaś znana kapela.

Patrzy na mnie. Nigdy nie byliśmy na koncercie. Zosia lubi jazz, jak matka. Obie młodsze córki gustują w hip hopie. Trudno wyprowadzić średnią.

– Na przykład?

– Wybierz coś. Dostosuję się.

Podjeżdżamy pod blok, w którym spędziłem osiem dobrych lat i jeden rok bardzo zły. Mimowolnie podnoszę wzrok. Balkon jak zwykle jest symfonią czerwono-różowo-żółtych kwiatów. Zosia widzi, że patrzę. Wzdycha. Nie jest mi od tego lżej.

– Wybiorę – mówi i całuje mnie znowu w policzek, wychodzi, zostaje po niej delikatny zapach młodzieżowych perfum i tembr głosu.

Patrzę, jak wchodzi do klatki. Jestem jej wdzięczny, że nie wspomniała o Helenie. O nieprzespanej nocy. O zapuchniętych od płaczu oczach. O czarnych myślach. O braku perspektyw. Nie sądzę, by moja żona szczegółowo zrelacjonowała swej najstarszej córce rezultaty wczorajszej wizyty u prawnika, ale na pewno nie umiała ukryć swego nastroju. Zośka jest inteligentna. Zna matkę dobrze. I wie, za czyją przyczyną wygląda jak chodząca śmierć.

Tym bardziej podziwiam swoją córkę.

Mam wrażenie, że z góry ktoś mi się przygląda, wścibskie oczy, może tylko niechętne, może mi się wydaje, może jestem chory albo przewrażliwiony, robię ludziom różne rzeczy, ale chcę mieć dobre samopoczucie – sprzeczność, jakich wiele w moim życiu, którego chyba nie lubię.

Jadę, w radiu pasmo kulturalne w przerwach między reklamami i rąbanką z komputera, w gruncie rzeczy *chapeau bas*, że komercyjna stacja znalazła chwilę – i nie jest to chwila w środku nocy, tylko po południu, gdy wszyscy wracają z pracy i dla zabicia czasu słuchają w samochodach radia – na dyskusję o kinowej adaptacji książki uznanego autora. Jeden z krytyków głosem głębokim i zatroskanym twierdzi, że scenarzysta nie do końca oddał wartość książki, ale to i tak ogromny sukces, bo powieść jest skądinąd nieprzekładalna na język kina; na usta ciśnie się pytanie, po co taką książkę przekładać na film, skoro jeszcze przed pierwszym klapsem wiadomo, że wyjdzie chała i porażka, w studiu rada mędrców, ale nikt takiego pytania nie zadaje, wszyscy z namaszczeniem dywagują o duchu i przesłaniu, odrobinę o aktorstwie, ale raczej w kontekście posłannictwa, mentalnie tkwią w kinie moralnego niepokoju, obejrzałem kiedyś z ciekawości kilka takich filmów, śmiać mi się chciało, jakie to nieporadne i bełkotliwe.

Mam za sobą dwa filmy na podstawie moich wczesnych kryminałów. Oba okazały się sukcesem, jeden całkiem dużym, to on wykopał moją karierę na wyższy poziom, byłem współscenarzystą, sporo się wtedy nauczyłem. Pisanie scenariusza to co innego niż pisanie powieści, inne podejście,

znacznie sztywniejsze wymagania, forma narzuca reguły, w tej i tej minucie pojawia się bohater, mamy tyle i tyle minut, by go zaprezentować wyłącznie za pomocą obrazu i dialogu, potem zwrot akcji, tempo, tempo, kolejny twist, suspens, pościg, mylny trop, kulminacja i wielki finał, gdy dobro triumfuje nad złem. Mój towarzysz był starym lisem, ale z tych przytomnych, którzy nie uważają Amerykanów za durniów, obskurantów i spłyciarzy, ale za ludzi przywiązujących wagę do rzemieślniczego warsztatu, naucz się prawidłowo pisać pierwszy akt, potem drugi i trzeci, wtedy pogadamy o sztuce. Miałem początkowo inne zdanie, ambicja to ambicja, naoglądałem się filmów i seriali premium, sądziłem, że wiem, jak to się robi, szybko doszedłem do przekonania, że facet ma rację, w naszym kraju ma się w pogardzie rzetelność warsztatową – naucz się, głupku, reguł języka polskiego i gramatyki, skleć trzy zdania bez błędu, napisz dwie, trzy powieści proste pod względem formalnym, potem dopiero eksperymentuj, ile wola. Większość adeptów łapie się za łamanie reguł, zanim zdąży je poznać, z czego wychodzi bunt dla buntu, bełkot i tyle. Jestem za tym, żeby robić skromniej, ale dobrze. Lataj na trzech metrach, skoro nie umiesz na dwustu, ale lataj prosto i nikogo nie zabij.

Pod koniec audycji przegląd ostatnich premier kinowych i telewizyjnych, o mnie oczywiście ani słowa, choć serial wyprodukowany na podstawie „Zimy” przez Nancy i jej firmę jeszcze całkiem niedawno bił rekordy popularności. Przyzwyczaiłem się. Jestem w mediach obecny, ale na specyficznej zasadzie, mam wrażenie, że wydawcy i producenci programów chętnie upchnęliby mnie gdzieś na półce razem z disco polo, ludowy twórca dla ludu, niewysokie wymagania, humorek i akcja, prosty język, nic wymagającego myślenia, wszyscy mnie zapewniają, że oczywiście uprawiam literaturę przez duże „L”, ale wiem swoje, fałszywe uśmieszki da się rozszyfrować na odległość. Czy to mnie obchodzi? I tak, i nie. Czy to mnie boli? I tak, i nie. Nie twierdzę, że jestem konsekwentny.

Podjeżdżam pod okazały apartamentowiec, Wieteska mieszka na Wilanowie, apartament kawalerski na ostatnim, trzecim piętrze, bardzo ładny widok na sąsiedni budynek, jakaś pani gimnastykuje się w samej bieliźnie dokładnie na wprost, okna wielkie, niezasłonięte, pełne światło, ciało niezłe, skąd taka desperacja, by pokazywać się wszystkim, którym chce się spojrzeć? Z tarasu dochodzi muzyka, ciężkie basy i ostre wysokie tony, mój agent audiofilem nie jest, ale kocha hałas, musi być szybko, agresywnie i do przodu, gwar zmieszanych głosów, brzęk szkła, ktoś wychyla się przez barierę, widzi mój samochód, głos podniecony, wjeżdżam do garażu, parkuję na wykupionym miejscu tuż obok samochodu Wieteski.

Na ostatnim piętrze hałas jest już niemal ogłuszający, Wieteska ma zwyczaj zapraszać na imprezy sąsiadów, genialny ruch, niezbyt ciekawi ludzie, ale przynajmniej obywa się bez skarg i zawiadamiania policji.

Dzwonię, otwiera jakaś pani, pierwszy raz widzę, mini sięgające aż do górnych brzeżków ud, bluzka maleńka, może zbiegła się w praniu, fryzura na wampa, oczy czarne, makijaż z górnych stanów kosztowych, prawie niewidoczny, w wypielęgnowanej dłoni kieliszek.

– Dobry wieczór – mówię.

Dama uśmiecha się z dojrzałą zmysłowością.

– Dobry wieczór – odpowiada i nieco się cofa.

Wchodzę, gwar i muzyka atakują, trochę tu za głośno jak na mój gust. Podaję damie rękę.

– Jerzy Grobicki – mówię.

– Antonina Bilska – rewanżuje się.

Dłoń ma chłodną, choć upał. Podnosi kieliszek, pije, spogląda na mnie, tania sztuczka, ale działa niezawodnie. Czuję coś na kształt zadowolenia, uśmiecham się, pani reaguje prawidłowo, odwzajemnia uśmiech, wchodzimy do salonu, gdzie kilka osób tańczy, a kilka innych dyskutuje. W kącie jakaś para maca się bezwstydnie, w drugim odchodzi orgia wciągania koki albo amfy, nie dostrzegam szczegółów, zapadł zmrok, wszystko tonie

w zmysłowym całunie. Muzyka nieco cichnie, dwie panie i jeden pan wymykają się do zapasowej sypialni, każdy gość będący po raz pierwszy w tym przybytku otrzymuje od gospodarza szczegółowe instrukcje dotyczące kopulacji, żadnego tarzania się byle gdzie, czystość i porządek, układ dowolny, ale miejsce ściśle określone, nie można go przy tym zajmować dłużej niż pół godziny, inni też mają swoje potrzeby, w łazience żadnego bzykania, łazienka służy do czego innego, chociaż dwuosobowa kabina z deszczownicą wprost zaprasza do figli na stojąco, nagie, mokre ciała mają swój powab, trudno zaprzeczyć.

Podchodzę do baru.

– Jak znam Wieteskę, samoobsługa – mówię, nalewając sobie sporą porcję wódki i zalewając ją colą zero, okropność, ale lubię.

– Przynajmniej nie trzeba odganiać się od kelnerów – stwierdza moja nowa znajoma.

Otwieram usta, szykując się do dowcipnej odpowiedzi, ale jak spod ziemi wyrasta koło mnie młody człowiek z brodą i w dżinsach, niechlujny i spocony, typ nigdy niestarzejącego się fana „Gwiezdnych Wojen”.

Widzę go po raz pierwszy w życiu, ale już właściwie wiem, kim jest.

– Pan Jerzy Grobicki, prawda? – zagaja bez wdzięku, oczy mu się świecą, trzyma w ręku jakiegoś bajecznie kolorowego drinka.

– To zależy, kto pyta – mówię.

Brodacz jest tak podniecony, że nic nie jest w stanie zbić go z pantałyku. Szklanka przechyla się, połowa drinka leci na podłogę, czego tamten nawet nie zauważa.

– Tak bardzo chciałem pana spotkać, poznać, dłoń uścisnąć – tokuje. – Czytałem wszystko po dwa albo trzy razy. Każe słowo znam niemal na pamięć.

Patrzę na Antoninę, ona odpowiada nieodgadnioną miną, ale czuję, że sytuacja ją bawi.

– Współczuję – mówię.

– A te pańskie pomysły… Wyobraźnią mógłby pan obdarzyć kilka osób.

– Zwłaszcza niepiszące.

– Niepiszą… – jąka się mój psychofan. – Przepraszam, ale dlaczego pan mi współczuje?

– Bo to straszne, co mówisz.

Brodacz zastanawia się przez chwilę, rumieniec z szybkością wichru przebiega mu przez twarz, przekłada drinka do lewej dłoni, prawą wyciąga ku mnie.

– Co za idiota ze mnie – mówi. – Przepraszam bardzo. Wojtek jestem. Wojtek Bogucki.

– Nie ręczę, że zapamiętam – zastrzegam się, ale ściskam spoconą i pulchną dłoń.

– Panie Jerzy, to naprawdę dla mnie zaszczyt.

– I na tym poprzestańmy.

Nie usłyszałby trąb Sądu Ostatecznego, a co dopiero moich złośliwości.

– Wie pan, bardzo mnie intryguje, w jaki sposób poprowadził pan wątek spisku politycznego w „Zimie”. Taki dar przewidywania, coś niesamowitego… Myślę…

Łapię go za rękę.

– Wojtku – mówię z naciskiem, wysuwając brodę w stronę rozsuwanych, szklanych drzwi. – Tam jest taras, jedzenie i drinki. Idź, nałóż sobie coś dobrego, nalej solidnie, posłuchaj, co ludzie mówią. A ja może później przyjdę.

Ramiona mu opadają.

– Ale… – protestuje.

Popycham go lekko.

– Jesteśmy umówieni – kończę dyskusję.

Odchodzi zmartwiony, odwracam się do Antoniny.

– Przepraszam – mówię.

– Biedny – odpowiada Antonina. – Za entuzjazm spotkała go kara.

– Nadmierny entuzjazm jest przeważnie oznaką głupoty, nie uważasz? – ripostuję.

Moja towarzyszka kiwa głową, ale chyba nie dlatego, że się ze mną zgadza. Rozmawiamy. Dziewczyna okazuje się inteligentniejsza, niż myślałem, wyjawia, że czytała niektóre moje książki, mówi o nich z sympatią, ale dość krytycznie wypowiada się o kilku pomysłach i płyciznach intelektualnych, nie nadskakuje mi, nie uważa za cud świata, a mojego pisania za objawienie, zaczyna mnie coraz bardziej interesować.

Dotyka mojej dłoni, jej palce płynnie przechodzą na udo, wędrują w ciemności coraz wyżej i wyżej, zatrzymują się parę centymetrów poniżej pasa, manipulują zręcznie. Z gościnnej sypialni wychodzą panie i pan, pan słania się na nogach, ma na sobie tylko spodnie, panie są w bieliźnie i szpilkach, żadne kurwy, skądże, jedna, o ile wiem, jest dziennikarką prasową, druga pracuje w dużej, ogólnodostępnej stacji telewizyjnej; idę szybko przez salon, dziewczyna za mną, sypialnia pusta, pachnie spermą i perfumami, zamykamy się. Antonina wysoka, prawie mojego wzrostu, rozbiera mnie fachowo i zręcznie, klęka, opiera dłonie na moich pośladkach, bierze do ust to, co tak urosło i aż domaga się pieszczot, nadal ma na sobie ubranie, na razie mi to nie przeszkadza. Czy lubię fellatio? Teraz akurat jest dobrze, ale bywa różnie. Czasem te mniej wykształcone używają zębów zamiast języka. Ohyda, na dodatek bolesna. Ale w dzisiejszych czasach stanowi obowiązkowy punkt programu, prawidłowy kontakt nie może się bez tego obejść, najpierw robimy loda, a potem mówimy „dzień dobry”.

Pracuje, pracuje, robię się nieco zdyszany, podnoszę ją po chwili, stajemy twarzą w twarz, dziewczyna wyskakuje z ciuchów, nie spieszy się, ma technikę wypróbowaną przy tysiącach okazji, mnie to odpowiada, nie jestem panem od moralności z pierwszych stron gazet. Opadamy pomału, teraz ja nurkuję pomiędzy jej udami, Antonina smakuje tak, jak powinna, zdecydowanie powyżej średniej dobrze utrzymanej warszawskiej cipki. Pani jęczy cicho, chyba robi to szczerze, jestem dość zręczny w tych spra-

wach, ktoś puka do pokoju nachalnie, widać, że pośpiech, ja nie mam zamiaru od niczego odrywać się przed czasem, niech sobie puka, słychać kobiece głosy, dwie panie muszą sobie zrobić wzajemnie to, co ja robię mojej tymczasowej kochance, ależ proszę bardzo, tylko za chwilę, dobrze? Antonina dochodzi, albo jest aktorką pierwszej wielkości, albo ma płytko ustawiony punkt rozkoszy, albo ja taki mistrz, cokolwiek to znaczy. Kładę się na niej, dziewczyna sięga do torebki, rozpakowuje gumę, zakłada mi ją ze zręcznością kieszonkowca, nie tracimy nic z napięcia i nastroju chwili, nakładanie gumy jako część gry, bardzo to lubię, jeśli wykonawczyni biegła i zręczna, wchodzę w nią, cudowny poślizg, jest jak trzeba, dziesięć ruchów, koniec, wcale nie za wcześnie, bo wszystko, co najważniejsze, zrobiliśmy uprzednio. Oddychamy przez chwilę głęboko, za drzwiami panie dyskutują o czymś zawzięcie, może się kłócą, może odejdą, nic z tego, nie odchodzą, tym razem nie pukają, a walą do drzwi, mało zawiasy nie wylecą. Antonina parska śmiechem, ja również, całuję ją, jest bardzo ciepła, ubieramy się starannie, żadnego pokazywania się komukolwiek w dezabilu.

Dwie damy mijają nas w drzwiach, nawet nie widząc, są już porozpinane tu i tam, jedna starsza, doświadczona, z wielkim, zrobionym biustem, druga młoda, nieśmiała, z tych, co to już wiedzą, że są kobietami, ale jeszcze rzekomo nie mają pomysłu, jak się ową kobiecość wykorzystuje. Drzwi huczą, tak im się spieszy, że przeciągły jęk dochodzi już po kilku sekundach, ponownie parskamy z Antoniną śmiechem, trzymam jej dłoń, ona po chwili nieco się cofa.

– Było bardzo miło – mówi. Zerka w wielkie, wiszące w przedpokoju lustro, poprawia włosy. – Ale nie licz na nic więcej.

Trochę mi przykro, zupełnie bez sensu. Spodobały mi się jej oczy. Chciałbym jeszcze kiedyś zobaczyć jej uśmiech i pot między piersiami podczas szczytowania.

– Ponieważ? – pytam, choć nie powinienem. W dzisiejszych czasach to panie regulują ruch, my tylko konsumujemy.

– Bo mam faceta. Bo go kocham. Bo chciałam tylko spróbować, jak smakuje najpopularniejszy pisarz w Polsce.

Logiczne wytłumaczenie, przyjmuję je z wdzięcznością. Mimo wszystko szkoda. Oprócz pięknych oczu, uśmiechu i potu między piersiami podczas szczytowania Antonina Bilska ma w sobie coś, co w kobietach bardzo cenię. Nie obiecuje, że będę wiedział o niej wszystko po dwóch czy trzech spotkaniach, odwrotnie – nie chce być do końca rozszyfrowana nigdy. Umie pielęgnować tradycje naszych babek, które nie tylko wiedziały, jak wabić mężczyznę, ale również jak go utrzymać. Ale może się mylę. Może wcale tak nie było. Albo ona taka nie jest.

No cóż, mimo wszystko wieczór należy do udanych.

Idziemy na taras, Antonina Bilska tuż obok, w dłoń cudownym sposobem wskakuje mi kieliszek z czerwonym winem, taras ogromny, niemal tak duży jak mieszkanie, w kącie stół z cateringiem, bateria alkoholi, kelner w białej koszuli uwija się w pocie czoła, w drugim kącie kopci grill, Wieteska lubi takie zagrywki, elegancja elegancją, ale nie ma nic lepszego nad dobrze wypieczoną karkóweczkę. Polemizowałbym. Widzę go, rozmawia z Wojtkiem, już wiem, kim jest Wojtek, Wieteska kilka tygodni temu wymusił na mnie, żebym pozwolił mu zająć się innymi pisarzami, stawiałem opór krótko i raczej *pro forma*, co za różnica, moja kariera kręci się sama, wszystko naoliwione, rynek czeka, czytelnik czeka, producenci czekają, każde wydawnictwo jest gotowe zapłacić milionową zaliczkę, jeślibym kiedyś zdecydował się porzucić mojego dotychczasowego wydawcę.

Mój agent wypił już sporo, ale to nic, aluminiowa wątroba, odporność słonia, kiedyś przez tydzień pił z Rosjanami i nic mu nie było. Dostrzega mnie, pańskim gestem odprawia Wojtka, niemal pada mi w ramiona, całuje z dubeltówki, co zabawne, naprawdę mnie lubi, choć powinien nie lubić.

– Jureczku, widzę, że poznałeś Tosię – mówi, sprawnie kontrolując wymowę co trudniejszych głosek.

– Miałem przyjemność.

– Tosia jest wielbicielką twojego talentu.

– Przesada – mówi Antonina. Mam jeszcze w ustach jej smak, a w nozdrzach zapach. – Po prostu podobają mi się niektóre twoje książki. A niektóre nie.

– Brawo – mówię, po czym nachylam się do Wieteski. – Jasiu, czy mógłbyś więcej nie zapraszać przytytych palantów, którzy chcą mi zrobić laskę przy wszystkich?

Łypie na mnie ze zrozumieniem.

– Ach, więc poznałeś Wojtusia – mówi. – Fakt, jest trochę egzaltowany. Ma cię za idola, powiesił twoje zdjęcie nad łóżkiem.

– Powiedz mu, że jestem hetero.

– Ale przy tym nieźle pisze.

– Nie mógłby się zająć czymś bardziej społecznie użytecznym?

– Zdolny, pracowity, debiut mu się nieźle sprzedał.

Wzruszam ramionami. Tosia przygląda nam się z zainteresowaniem. Coraz bardziej podoba mi się jej dyskretna powściągliwość.

– Trzymaj go z daleka ode mnie – burczę.

– Jureczku, twój tron i tak jest niezagrożony. Gdyby Wojtuś okazał się zbyt zdolny, poderżniemy mu gardziołko.

– Ty poderżniesz. Ja jestem od regularnych dostaw treści.

– Nie pieprz.

Badamy się wzrokiem. Wycofuję się o pół kroku, przybieram na twarz uśmiech, unoszę ku górze kieliszek.

– Przepraszam – mówię do Tosi. – My jak stare kawaleryjskie konie. Na dźwięk trąbki biegniemy do ataku.

– Nie szkodzi – mówi Tosia. – Bardzo interesujące spojrzenie na sztukę.

Słyszę gdzieś z boku podniesiony głos. Odwracam się. Trzy kroki dalej naprzeciw zadbanego, przystojnego faceta stoi ślicznie pijana Małgosia Rapacka, dyrektor programowa największej komercyjnej stacji telewizyjnej, ogólnopolska cesarzowa telenowel, czterdziestka z twarzą tak pociętą przez

chirurga, że aż nierealną; gdy Małgosia się śmieje, drżę o całość jej policzków i nosa. Wietesce zdaje się to nie przeszkadzać, Wieteska ma w tej materii całkowicie odmienne zdanie, zdradził kiedyś, że w trakcie na twarz i tak nie patrzy, interesuje go to, co niżej, a to Małgosia ma ponoć jeszcze w pierwszorzędnym gatunku, nie wiem, nie próbowałem, wstrząsa mną sama myśl, że mógłbym. Małgosia jednak bardzo dużo może, kieruje strumieniem ogromnych pieniędzy, przy tym zna wszystkich producentów i reżyserów, nawet z tych najbardziej niedostępnych. Właśnie o nich toczy się rozmowa.

– X? – śmieje się, z trudem panując nad pijacką czkawką, Małgosia bardzo lubi wypić, odporności nie ma jednak zbyt wielkiej. Reżyser X kręci ambitne dzieła na bardzo dobrym poziomie, film nie częściej niż co trzy lata, własny scenariusz, ale naprawdę dobry, głębia ludzkich uczuć i meandry postępowań, tajemnica, tragedia, mocne postacie. Kino autorskie w najlepszym wydaniu. X jest artystą i uważa się za artystę, nigdy nie splamił się kręceniem nie swoich rzeczy. – Ależ oczywiście, że on też robi w nowelach, u mnie nakręcił ze trzydzieści odcinków, tyle że pod pseudonimem. Y? Nie rozśmieszajcie mnie. Dwa razy w miesiącu miauczy, czy nie mam czegoś dla niego, bo brakuje mu na jedzenie.

– Co tam telenowele – wtrąca lekceważąco zadbany pan. Ma około trzydziestki, jest świeżo od fryzjera i w ciuchach wprost z Mediolanu. Pracuje, zdaje się, w branży reklamowej jako producent. – Oni są gotowi robić mi laskę codziennie, żebym dał im wyreżyserować reklamę.

– Nic, kurwa, dziwnego, jak im płacisz trzydzieści tysięcy za dzień zdjęciowy! – wrzeszczy Małgosia. Wieteskę sytuacja najwyraźniej bawi. Mogę się założyć, że, nim przyszedłem, sprowokował całą tę dyskusję.

Małgosia podchodzi do baru, bierze drinka przygotowanego specjalnie dla niej i odwraca się bez utraty równowagi, co w jej stanie i na dwunastocentymetrowych szpilkach nie należy do wyczynów bagatelnych.

– Płacę, bo mnie stać – ucina pan z fryzurą.

– Twoich klientów stać, dupku – naciera Małgosia. – Oni ci za wszystko trzy razy przepłacają.

Odwraca się do nas, rozkłada ręce, jest niezła, w jej zawodzie talent dramatyczny bywa bardzo przydatną umiejętnością.

– Wynajem kamery, trzy razy stawka rynkowa! – krzyczy. – Gaże aktorów, trzy razy stawka rynkowa, reżyserowi płacicie, kurwa, dziesięć razy tyle, co wszyscy. Pół minuty reklamy ma budżet trzy miliony, w Polsce dwanaście odcinków serialu robi się za pięć.

Pan z fryzurą pije wino małymi łykami, jest całkowicie trzeźwy, nie zauważyłem, żeby coś wciągał, jakiś nietypowy. Nie znam go, nigdy nie widziałem, potem Wieteska powie mi, że facet ma trzy apartamenty, w tym jeden na Teneryfie, dwa samochody po pół miliona każdy, a także jacht pełnomorski, którym dwa razy w roku pływa po Karaibach. Daj mu Boże zdrowie, niech sobie pływa, nie jestem zawistny.

– Rynek – mówi pan. – Słyszałaś o rynku, Małgosiu? Klient chce mieć najlepszy towar, więc płaci wysokie stawki. Płacę wykonawcom dużo za dobrą robotę. Tak powinno być.

Ma rację. Popyt i podaż – skoro są frajerzy gotowi za wszystko przepłacać, to czemu nie sięgnąć do ich pieniędzy? Sam robię to samo, uczę kreatywnego pisania za honorarium, które organizatorkom czyni całe przedsięwzięcie nieopłacalnym, a mimo to organizatorki zabijają się, bym poprowadził sześciotygodniowy kurs. Moje nazwisko na szyldzie ściąga wszystkich, czytających i nieczytających, organizatorki są cwane, stratę odbiją sobie przy innej okazji.

Małgosia Rapacka macha ręką z niecierpliwością, pan z fryzurą odchodzi w poczuciu zwycięstwa.

– Muszę się zbierać – oświadcza Tosia.

Odprowadzam ją do drzwi.

– Może dasz mi jednak numer telefonu? – pytam.

Całuje mnie lekko.

– Ten twój cykl o złodzieju ze Lwowa to dobry pomysł, ale słabo wykorzystany, za dużo wątków pobocznych i nudnych dialogów, wiesz o tym, prawda? – pyta, trzymając swój policzek przy moim.

Uśmiecham się. Tosia odpowiada uśmiechem, po czym znika z mojego życia. Czuję nieokreślone ukłucie żalu.

Wracam na taras. Tym razem Wieteska otoczony jest przez kilku mężczyzn. Mój agent wygłasza kolejną ze swoich żelaznych teorii.

– Mój znajomy entuzjasta motoryzacji mawia, że tylko kupno nowego drogiego samochodu ma sens, bo widać, że cię stać, i fura wtedy świadczy o twoim prestiżu – peroruje, pijąc małymi łykami absoluta z lodem. – Jeśli kupujesz z górnej póki samochód używany, pokazujesz wyłącznie, że cię stać na jego utrzymanie.

Wszyscy kiwają głowami, mimo pozorów blichtru nie każdy ze słuchających może sobie pozwolić na nowe auto klasy premium, połowa doskonale wie, o czym mowa. Tyle że to nie koniec.

– Dostosowałem tę teorię do potrzeb relacji z kobietami – ciągnie myśl Wieteska. – Jesteś młody i masz piękną żonę, widać, że jesteś zdobywcą, zgadza się? Ale jeśli po pięćdziesiątce masz nadal tę samą piękną żonę, jednak starszą o dwadzieścia pięć lat, świadczy to tylko o tym, że nie stać cię na młodszą.

Rechoczemy, oczy samców płoną niezdrowym blaskiem, zjawia się Małgosia, ma poprawiony makijaż, a na nogach czółenka na płaskim obcasie. Jest niższa, ale porusza się dużo pewniej.

– Co tam, chłopaki? – pyta.

Wieteska macha ręką.

– Samcze dowcipy – odpowiada.

– Kocham samcze dowcipy po pijaku – mówi Rapacka, po czym zawiesza wzrok na mnie. – Jureczku, nareszcie, jesteś w końcu.

Całuję ją solennie w oba policzki.

– Witam cesarzową – mówię.

Wieteska bierze Małgosię pod ramię, prowadzi w stronę bariery ze stali nierdzewnej. Jesteśmy sami, muzyka trochę nas kryje, goście znowu zajmują się sobą i kokainą, nawet Wojtuś gdzieś zniknął.

– Powiedz mu – mówi Wieteska.

Małgosia patrzy na mnie maślanym wzrokiem, z widocznym wysiłkiem stara się skupić.

– Jureczku, ty jesteś najlepszy, ty jesteś, kurwa, krok przed tymi wszystkimi palantami – zaczyna, po czym robi przerwę.

Podnoszę kieliszek w niemym salucie, Wieteska trąca mnie łokciem, Małgosia chichocze, po chwili poważnieje.

– Moja stacja wchodzi w segment premium – oświadcza. – Chcemy zamówić u ciebie serial.

– Twoja stacja wchodzi w segment premium? – pytam z niedowierzaniem.

– No wchodzi, wchodzi. I zaczynamy od ciebie. I nie mów do mnie cesarzowo, bo się czuję jak mumia egipska.

Unoszę brwi.

– A co z waszymi klientami? – dociekam.

– Chuj z naszymi klientami. Zostaną tam, gdzie są. Chcemy nowego segmentu rynku, chcemy wyznaczać trendy.

Wieteska obdarza mnie miną zaświadczającą, że to wszystko jego zasługa. Nie wykluczam.

– Jakaś konkretna książka? – pytam.

Potrząsa głową.

– Żadna książka. Piszesz od początku – mówi. – Nowy świat, nowi bohaterowie, żadnych schematów, wszystko wymyślone od samego zera. Chodzi nam o wykreowanie takich postaci i fabuły, żeby raz na zawsze zajebać konkurencję. Dziś dostałam zielone światło. Zrobimy cię showrunnerem. Budżet milion dolarów na odcinek.

– Skąd wiesz, że spodoba wam się to, co napiszę? – pytam.

Rapacka chwieje się, Wieteska dyskretnie podtrzymuje ją za ramię, a przy tym piorunuje mnie wzrokiem.

– Jakoś się nie boję. Ty umiesz i o seksie, i o pieniądzach, i pif-paf zrobisz jak trzeba i, kurwa, wszystko – mówi Małgosia.

– Wszystko – basuję.

– Wiesz – zapala się, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi. – Ja ci powiem… Musi być facet, wysoki, przystojny, taki jak ty, żeby siuśki miały na co patrzeć… Musi mieć mroczną przeszłość, jakiś hak w życiorysie, rozumiesz? I kilka niezłych dup, w każdym odcinku seks, taki, kurwa, wiesz, bez muślinowych zasłonek. Dużo laserów, komputerów, noktowizorów, karabinów. Dookoła same ciemne typy. On nie chce działać, ale musi, przeszłość pcha go do czynu, ma dużo na sumieniu, potyka się na każdym kroku, pije, pierdoli na lewo i prawo i jest z tym nieszczęśliwy… I trochę polityki, wiesz, politycy myślą tylko o własnej dupie i takie tam…

– Ty już wszystko masz, Małgosiu – mówię. – Jestem ci całkowicie zbędny.

– Nie pierdol – odpowiada. – Nikt tego do kupy nie poskłada tak, jak ty. Fachowiec.

– Chcecie fachowca od ładnego opakowania gówna – mówię.

Wieteska ma ochotę mnie kopnąć, ale Małgosia się nie obraża.

– O to w tym wszystkim chodzi, nie? – ripostuje z godnością.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Pomyślę – oświadczam.

– Byle szybko, bo tego…

– Tak czy inaczej, nie dam wam wyłączności – mówię. – Pracuję też dla konkurencji.

– Dla tej wypindrzonej Amerykaneczki? – prycha cesarzowa telenowel, zdradzając, jak dobrze jest poinformowana. – A pracuj sobie. Bylebyś wyrobił się dla nas z terminami. Jak będzie sukces pierwszego sezonu, masz robotę do emerytury.

– Pijemy – oświadcza Wieteska.

– Pomyślę – powtarzam.

– Niech Jaś do mnie przyjdzie w tym tygodniu, pogadamy o umowie – mówi Rapacka. – A ty, Jureczku, siadaj i pisz treatment, szkoda czasu.

– Pijemy – upiera się mój agent.

Małgosia wypija swojego drinka do dna.

– Jasiu, czy ja mogę na ciebie liczyć teraz, zaraz, dziś wieczorem? – pyta.

– Do usług, królowo – kłania się Wieteska.

– No. Idę przypudrować nosek. Tylko żebyś mi nigdzie nie uciekł.

– Skądże znowu.

– A ty, Jureczku, nie myśl. Ty pisz.

Podnoszę kieliszek. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że jednak warto za to wypić.

Rapacka chwiejnym krokiem opuszcza taras.

Moja kapitulacja jest spóźniona, Wieteska rzuca się na mnie jak rozwścieczony tygrys, niemal przygważdża mnie do bariery.

– Pojebało cię? – syczy.

– Pojebało mnie, że w ogóle z nią rozmawiam – droczę się, bo jednak dawne opory nie do końca we mnie wygasły.

– Bo co? Jej pieniądze ci nie pasują?

– Jej podejście mi nie pasuje.

– Co cię obchodzi jej podejście?

– Chcę, żeby doceniała moją pracę.

– Docenia. Nie rozmawia z nikim innym, tylko z tobą. Uważa za najlepszego w branży, nie dlatego, że jest taka, kurwa, uprzejma, tylko dlatego, że jesteś najlepszy w branży i ona to wie.

– Wiecznie nawalona cesarzowa telenowel podnieciła się słupkami, które jej dzięki mnie wzrosną.

Wieteska zaczyna być naprawdę zły. Wychyla potężny haust wódki. Nachyla się ku mnie, mówi cicho.

– Najpierw musiałem przekonać ją. Potem ona musiała przekonać zarząd, czterech zapierdzianych starych pryków, którzy tkwią mentalnie w czasach „Dynastii” i którzy nade wszystko wierzą w kryminały za pięć groszy, telenowele, scripted docu i talent szoły. I oni wszyscy musieli dojść do wniosku, że tylko ty ich wyprowadzisz na szerokie wody. Dali milion baksów na odcinek. Ty wiesz, co to znaczy? Nikt jeszcze w Polsce nie miał takiego budżetu. I takiej władzy, jaką chcą ci dać. A ty pierdolisz o braku szacunku.

Ma rację. Takiej władzy nie ma nikt w Polsce, o budżecie nikt nawet nie śni, nie wiem, co się stało, może to zasługa Wieteski, a może po prostu oddech światowych trendów.

– Skąd wiesz, że ja nadal chcę pisać te bzdety? – bronię się.

Klepie mnie w ramię. Wie, że właśnie zawinęliśmy do bezpiecznego portu.

– Bo pozwalają ci żyć, jak chcesz – stwierdza.

Znowu ma rację.

Patrzę na gimnastykującą się naprzeciwko panią. Wypina tyłek w naszą stronę, kręci nim rytmicznie, jest tak skąpo ubrana, że właściwie naga. Ładnie się rusza, sporo w niej wdzięku i naturalnej sprawności.

– Ona tak zawsze? – pytam.

Wieteska patrzy bez zainteresowania, wzrusza ramionami.

– Czasami jest w ogóle bez niczego – odpowiada.

– Desperacja? – chcę wiedzieć.

– Następnym razem ją zaproszę, zapytasz.

Wpatruję się w jaskrawo oświetlone przedstawienie.

– Ma niezłe ciało – mówię. – Dobrze się rusza. Nie wygląda na intelektualistkę, ale pewnie swoje wie, pewnie skończyła studia, pewnie zna języ-

ki, ma pracę, skoro stać ją na mieszkanie tutaj. I tańczy w oknie wystawowym, żeby ktoś ją zauważył.

– Jureczku, codziennie potykam się o atrakcyjne trzydziestki, które wyją po nocach do księżyca, bo w ich targecie sami homo albo metro, albo socjopaci – odpowiada Wieteska. – Ta jest przynajmniej przedsiębiorcza.

– Świat zmierza ku przepaści.

– I bardzo dobrze. Na tym się najlepiej zarabia.

Dopijam wino.

– Będę się zbierał.

– Pani będzie zła?

– Tego nigdy nie wiem – mówię z nagłą melancholią, po czym pociągam nosem. – Powinienem wziąć prysznic.

– Powinieneś ją pogonić.

– Dobrze mi z nią.

Wieteska rozgląda się, jakby Doris ukryła się w którymś kącie.

– Właśnie widzę.

– Powinienem wziąć prysznic – powtarzam.

Wieteska cofa się o pół kroku, zniechęcony.

– Ręcznik tam, gdzie zwykle.

Pół godziny później jadę taksówką, kierowca szczęśliwie milczy, podjeżdżam pod budynek, w którym mieszkam od jakiegoś czasu. Winda wiezie mnie na drugie piętro, przekręcam klucz w zamku, otwieram drzwi. Ciemno, tylko w saloniku światło sączy stojąca w rogu lampa. W drzwiach zarys postaci, kolano schowane za kolano, bark oparty o framugę, łuk biodra smukły wedle najpiękniejszych tradycji i wyobrażeń o idealnej kobiecej figurze. Wzrok pomału przyzwyczaja się do ciemności, zaczynam rozróżniać szczegóły. Doris ma na sobie koronkowe stringi i stanik. W dłoni trzyma kieliszek wina. Jej włosy okala aureola światła.

Powoli wylewa wino na dekolt. Cienki strumyczek spływa wzdłuż idealnie wyrzeźbionego brzucha, masuje gładką skórę niczym najwytrawniej-

szy specjalista.

– Napijesz się? – pyta kobieta, dla której zmieniłem całe dotychczasowe życie.

Teraz już wiem, co powinienem był odpowiedzieć Wietesce. Rozbieram się i idę za nią do sypialni. ■

ROZDZIAŁ 3

We śnie widzę wilka.

Stoi przede mną ogromny, jasnoszary, z ciemniejszymi plamami na bokach. Patrzy. Oczy ma jasnożółte, aż przezroczyste. Podnosi fafle, kły lśnią w blasku księżyca. Warkot jest cichy, ale słyszę go wyraźnie, jego brzmienie przeszywa mnie do kości, brzmi niczym obietnica wszystkiego najgorszego. Próbuję krzyczeć, zastraszyć go, nie mogę wydać dźwięku głośniejszego od szeptu.

Stary basior śmieje się z mojej bezradności, strachu, niemożności pogodzenia się z porażką. Krzyczę niemo, aż zlewa mnie pot, żyły nabrzmiewają na szyi i skroniach, w gardle zasycha z wysiłku. Ma rację stary wyga: płaczę z bezsilności, on jest górą, choć tylko stoi i wbija we mnie ślepia płonące żywym ogniem. Jest piękny, a ja czuję się starcem zaskorupiałym w niemocy.

Czuję dłoń na ramieniu, ciepłą, miękką, Dłoń – Ratunek, Dłoń – Pocieszenie, Dłoń – Balsam. Otwieram oczy i widzę twarz Doris, blisko, tuż nad moją twarzą. Jest zaniepokojona, orzechowe oczy lśnią czymś, co przy pewnej dozie dobrej woli można nazwać troską. Trzyma mnie za rękę.

– Jesteś lodowaty – mówi ochryple. Kocham chrypę Doris. – Włosy na rękach ci się podniosły, jakby cię ktoś podłączył do prądu.

Subtelność Doris kocham już nieco mniej.

– Dzień dobry – mruczę.

Nadal widzę ślepia basiora, choć bledną coraz bardziej, jak blask księżyca ustępujący miejsca jutrzence. Jestem rzeczywiście zlany potem. Mięśnie bolą niczym po długim biegu. Kark zesztywniał i stał się drewnianym kołkiem bez czucia.

– Śniło ci się coś złego?

– Nie pamiętam. Nie wiem. Nie chcę wiedzieć.

Doris przygląda mi się przez chwilę, po czym jej zainteresowanie mija. Widzę ją całą, bielizna Calvin Klein, niebieskie klapki, mokre włosy lśnią. Odwraca się, idzie do łazienki skończyć przygotowania do szturmu na kolejny dzień. Zdaje się, że moje senne majaczenia wyrwały ją spod prysznica.

Doris. Opiszmy ją.

Ma dwadzieścia dziewięć lat, od dziesięciu mieszka w stolicy, dokąd przeniosła się z zapadłej dziury gdzieś na południowym wschodzie Polski. Skończyła studia, zrobiła MBA, wszystko z celującymi lokatami, na ostatnim roku poszła na praktyki do jednego z deweloperskich gigantów, spodobała się, po roku zaproponowano jej umowę o pracę. Od tej pory pnie się w górę, teraz, jak słyszę, ma szansę zostać Senior Czymś Tam Menedżerem i mieć pod sobą ośmioosobowy zespół wysoko opłacanych specjalistów. Współczuję tym ludziom. Doris ma osobowość niemieckiego policjanta, skrzyżowanego z hollywoodzkim wampem, tego pierwszego czynnika więcej, stal nieugięcie złośliwego charakteru połączoną z zabójczym seksapilem. Jest prostą dziewczyną o ogromnej inteligencji, potrafi być ujmująco czarująca tuż po zrobieniu karczemnej awantury, niemal całkowita atrofia empatii przy jakiejś wzruszającej, choć nieczęstej bezradności. Rzadko bywa zagubiona, a jeśli już, nigdy nie przychodzi wypłakać się w rękaw, na pewno nie mój. O ile wiem, nie zdradza mnie, nie ma ochoty, choć mogę się mylić, możliwe, że jest to kwestia braku czasu i zapracowania, albo mnie zdradza, czego nawet nie umiem się domyślić.

Jest proporcjonalnie zbudowana, wysoka, wszystko idealnie proste gdzie trzeba i wypukłe gdzie trzeba. Ma ostrą twarz o symetrycznych rysach i nieco zbyt małych oczach, które są orzechowe, gdy się cieszą, i czarne, gdy topią ofiarę w oceanie gniewu. Doris nie boi się mnie ani nikogo innego, świat służy jej jako pole eksploracji, czerpania zysków materialnych i cielesnych, duchowych najmniej. Czyta trochę, moje książki służą jej jako oręż na towarzyskich spotkaniach, co kilkakrotnie było zabawne, gdy na-

tknęła się na sztych gryzącej ironii prawdziwych koneserów literatury. Prawdziwych piszę bez cudzysłowu, do czego jeszcze wrócimy, i to pewnie nieraz, zanudzę was opowiadaniem o tym i innych moich kompleksach. Doris miała wtedy kilka sekund zawahania, nader rzadkich momentów defensywy, ja uśmiechałem się głupio i ani myślałem pomóc, o co potem była nocna pretensja i chłód w łóżku przez kilka dni. Doris pamięta, nie wybacza, Doris zestarzeje się brzydko i z nadkwasotą, ale do tego jeszcze daleko. Po co mi Doris? Zastanawiam się nad tym, ostatnio coraz częściej. Wieteska twierdzi, że ostatnio w ogóle za dużo myślę, co uważa za zabójczo niebezpieczne w mojej sytuacji; na pytanie, co rozumie przez moją sytuację, nie chce odpowiedzieć. Wieteska filozofuje często, zwłaszcza gdy solidnie wypije, potrafi dzwonić o północy i zanudzać mnie swoim widzeniem świata. Mam alergię na domorosłych filozofów, wszyscy znają się na wszystkim, przestrzeń zapchana fachowcami od polityki, ideologii, ekonomii, historii, łącza przeciążone kłapaniem na każdy temat. Zbywam go więc, co nie jest proste, pijacy mają tytanową odporność na aluzje, by się odczepili.

Po co mi Doris, poza tym, że fenomenalnie wygląda w koronkowych stringach?

Słyszę, jak wychodzi z łazienki, pogwizduje lekko, wrzuca w siebie tost i kawę, wszystko w biegu pomiędzy makijażem a prasowaniem garsonki, w której wygląda jak pszczoła ubrana w obcisły kubrak. Wkłada kosztowne buty, a także płaszczyk kolorem dopasowany do reszty.

– Pamiętaj, że masz pisać. Do południa piszesz, nie odbierasz telefonów, nie odpowiadasz na maile, nie siedzisz na fejsie – zarządza.

– Taki mam zamiar – mówię, a ona wyczuwa fałsz.

Patrzy na mnie uważnie.

– Jerzy, żyjemy z tego, co napiszesz – jej głos staje się jeszcze bardziej stanowczy. „My” żyjemy. To bardzo ciekawe, biorąc pod uwagę, że zarabia cztery średnie krajowe. – Niech Wieteska się zajmuje sprzedażą, ty masz dostarczyć towar.

Mimo wszystko uważam się za pisarza zajmującego się tworzeniem. Doris ma mnie za producenta towaru dostarczanego użytkownikom, który nazywa treściami. Treści, rozumiecie? Między gwoździami a treściami istnieje może różnica, ale dla Doris nie jest ona specjalnie ważna. Snobizm bycia kobietą najlepiej sprzedającego się pisarza w Polsce eksponowany jest na użytek zewnętrzny, nie ma wiele wspólnego z jej prawdziwymi przekonaniami.

Nie odpowiadam. Doris nie ciągnie tematu, myślami jest już pewnie przy zespole doskonale opłacanych specjalistów. Czuję na wargach lekkie muśnięcie jej warg, słyszę trzaśnięcie drzwi, oddycham z ulgą, dopiero teraz schodzi ze mnie senne napięcie, prawie już nie pamiętam wilka i jego gróźb, robi mi się lżej, ogólnie czuję się dobrze, choć gdy patrzę na telefon z otrzymanym wieczorem esemesem, wraca wspomnienie wczorajszego nastroju, ściśle związanego z moimi wyczynami u prawnika – i już nie ma mowy o pogodzie ducha.

Jest ósma albo nieco po ósmej, mam przed sobą cały dzień poszatkowany na drobne kawałki, każdy zaplanowany do ostatniego szczegółu, każdy tkwi w czyimś kalendarzu, większość spowoduje lawinę poleceń i decyzji ciągnących za sobą poważne skutki finansowe i organizacyjne. Doris ma oczywiście rację, jestem twarzą i lokomotywą solidnego przedsiębiorstwa, przynoszącego milionowe dochody, fenomenem niedostrzeganym przez nikogo ważnego.

Idę pod prysznic, gorąca woda dolegliwie chłoszcze ciało, które kiedyś było wzorcowe, teraz jest przykładem hedonistycznego zaniedbania, choć jeszcze mnie nie kompromituje, nie muszę chodzić z kobietami do łóżka przy zgaszonym świetle. To nie potrwa długo, co odnotowuję z melancholią, powinienem się za siebie wziąć, jakiś osobisty trener, indywidualny program trzy razy w tygodniu, może cztery, nie więcej, w końcu nie jestem sportowcem. Postanawiam, że od jutra zacznę biegać, żaden wyczyn i spazmy z przemęczenia, dwa–trzy kilometry na początek, w średnim tempie,

tyle powinienem zrobić, potem pomyślę nad zwiększeniem dawki. Mój organizm kiedyś był uzależniony od wysiłku, kochał wysiłek, kochał ból mięśni, nie mógł bez tego żyć. Potem odpuścił, przekupiony dobrym jedzeniem, dobrym alkoholem i dobrymi kobietami.

Postanowienie powzięte, wpadam w nieoczekiwanie dobry humor, plan dnia nie wydaje się taki zły, biec można szybciej lub wolniej, jestem starszym panem, starsi panowie już nie muszą galopować, nie przystoi im nawet. Przystoi, cóż za uroczo archaiczne słowo. Jak honor. Jak *savoir vivre*. Zapomniane zabawki na śmietniku ludzkich wartości.

Wycieram się, jem szybko jajko sadzone, kawa i już jestem przy biurku. Nowa powieść, „Wiosna", kontynuacja „Zimy", rynek czeka, rynek się domaga, rynek nie może spać z niecierpliwości. Nie chce mi się tego pisać, znudziły mnie strzelaniny i trupy, banalne intrygi pozujące na demoniczne knowania demiurgów światowego zła. Wszystko już było, nikt nie jest w stanie wymyślić niczego nowego, nie jestem wyjątkiem, przeżuwam to, co stworzono wcześniej, owszem, sprawniej od innych i lepiej maskuję wtórność, stąd sukcesy, nietrudno o nie, gdy ktoś w miarę udolnie posługuje się językiem i elementarną, nieobrażającą inteligencji logiką. Oczywiście, z czasem nauczyłem się tego i owego, poprawiłem warsztat, wiem, kiedy przycisnąć, a kiedy zwolnić, kiedy zawiesić napięcie i kiedy opowiadać wprost, bez niespodzianek. Pisania nie można się nauczyć. Pisać się umie lub pozostaje się beztalenciem, ale warsztat można mieć lepszy lub gorszy. Możliwe, że wyrażam się niejasno, ale wiem, o co mi chodzi.

Mechanicznie stukam w klawiaturę, słowa płyną, potrafię pisać bez literówek, potem jest niewiele poprawek, redaktorzy mnie kochają, moje teksty są czyste, oni szybko zarabiają pieniądze. Dwie strony napisane, nie jestem stachanowcem, jak jeden młody strzykający nową powieścią co miesiąc, robię przerwę, ekspres huczy ponownie, dzwoni komórka.

– Tak rano? – mówię bez złości.

– Musimy się spotkać z Tyszkiewiczem – skrzypi Wieteska jak nienaoliwione wrota od stodoły, jest przesiąknięty tytoniem, wódką i może czymś jeszcze, w tle wypowiadane damskimi głosami słowa, leniwe, poranne, zmysłowe, świeży towar tuż po dostawie, jak to ujmuje mój przyjaciel agent. Żaden z nich nie należy do Małgosi Rapackiej, skąd, Małgosia była aktualna wczoraj, można powiedzieć: stosunek służbowy, zresztą nie ma nigdy zwyczaju zostawać u aktualnego dogadzacza na noc, twierdzi, że zbyt wysoko ceni sobie swój status społeczny, ale mnie się zdaje, że po prostu najbardziej lubi spać we własnym łóżku.

– Piszę – odpowiadam.

– Bardzo dobrze, że piszesz – odpowiada tonem „nie zawracaj dupy, nie ty jeden jesteś zajęty”. – Ale to pilne.

– Mów.

– Nie przez telefon. Spotkajmy się za pół godziny, streszczę przed spotkaniem. Tyszkiewicz ma dla nas temat.

Krzywię się, Tyszkiewicz jest bardzo ważnym graczem na mojej mapie zwycięstw, dużo mi zawdzięcza, byłem gwiazdą, gdy jego firma mieściła się przy jednym biurku i składała z trzech komputerów, z czego jeden był pożyczony od znajomych. Zgodziłem się na współpracę, od razu stając się lokomotywą ciągnącą sprzedaż, okupowałem jedynkę przez dwa lata właściwie bez przerw. Teraz firma Tyszkiewicza pożarła konkurentów w Polsce i okolicach, zabiera się do konsumpcji na Zachodzie i Bóg wie gdzie jeszcze. Mam wrażenie, że Tyszkiewicz czasem zastanawia się, czy musi pamiętać o wdzięczności. Płaci mi tyle, że to się chyba nie opłaca, mimo zawrotnych poziomów sprzedaży. Może trzyma mnie jako symbol własnej zaradności. Przypominam mu, jaki jest sprytny.

– Dobrze mi się pisze – marudzę. Nie mam już dziś najmniejszego zamiaru dalej tworzyć treści, ale chcę na razie zostać w domu. Przed oczyma staje szacowna fizys Starego Lwa. Telefon do podstarzałego jebaki z profesorskim tytułem – oto moje zadanie na najbliższe minuty.

– Jureczku, czy moja mówić niewyraźnie? Moja mieć coś ze zgryzem? – podnosi głos Wieteska. – Moja załatwiać bardzo mnóstwo szklanych paciorków dla bwana Jureczek, a bwana Jureczek mieć w dupie biedny agent?

– Czarni nie dawali białym szklanych paciorków – tłumaczę. – Było odwrotnie.

– O kurwa.

Milczymy pracowicie. Kobiece głosy w tle nawet mnie, oddalonego o kilka kilometrów, przyprawiają o gęsią skórkę. Nie mam ochoty nigdzie się ruszać przed dwunastą. I tak popołudnie jest zapchane jak metro w godzinie szczytu.

– Co to za sprawa? – pytam.

– Duża. – Chyba wyczuł, że musi powiedzieć coś więcej. – Bardzo duża. Sen o Wschodzie okazał się prawdą.

Przekładam słuchawkę do drugiego ucha, wstaję. Nie chce mi się tworzyć treści, ale nadal jestem głodny sukcesów. Nadal uważam, że świat zasługuje na moje książki. Na moje pomysły. Sławę i *charme*. Nawet jeśli nie, ja zasługuję na pieniądze, które świat ma do zaoferowania.

– Dobrze – mówię. – Podjadę po ciebie, w samochodzie mi opowiesz.

Rozłączam się. Garderoba, wybór spodni, koszulka, koszula, bohaterowie moich książek nieczęsto tak mają, ale ja lubię dobrze wyglądać. Co mnie obchodzą bohaterowie moich książek? Schodzę do samochodu, dzwoni Hania, nie odbieram, po chwili esemesem pyta, jak się czuję. Wyjeżdżam, na pierwszym z brzegu czerwonym świetle piszę, że okej, potem już nie reaguję. Wieteska ma przekrwione oczy i czuć od niego wódkę, ale wygląda nieźle, ciągle energiczny i chętny do życia za solidny procent od mojego majątku.

– Mów – rzucam.

Nagle robię się zły. Nie zadzwoniłem do Starego Lwa, czuję, że powinienem porozmawiać z Heleną, bez świadków i emocji; zamiast tego jadę

z moim przepitym agentem, od którego na kilometr czuć chędożeniem, na spotkanie, na które nie mam ochoty.

Wieteska łypie, wyczuwa nastroje jak barometr burzę, potrafi uśmierzać moje irytacje, z tego żyje, teraz jednak mu się spieszy.

– Chiny – mówi. – Chinole chcą twoje książki.

– Dobrze – odpowiadam. – Po co ci ja?

– Kurwa, nie udawaj zblazowanego – denerwuje się. – Chiński rynek, kumasz? Worek bez dna.

– Nadal nie wiem, po co mnie tam ciągniesz. Negocjuj, a ja podpiszę.

– Jureczku, z tobą się robi coraz gorzej.

Wiem to bez niego. Milczę, wyprzedzam samochody, nie jadę płynnie, nie używam kierunkowskazów. On próbuje coś powiedzieć, patrzy na mnie, całym sobą daję mu do zrozumienia, żeby tego nie robił.

Dojeżdżamy, siedziba firmy Tyszkiewicza jest modernistyczna w duchu i formie, w zeszłym roku facet kupił na Pradze starą ruderę z widokiem na Wisłę, architekci zrobili z niej cacko, co rzadko zdarza się w moim rodzinnym mieście, w którym estetyczna ślepota jest normą, gdzie królują krzywizny, skosy, szmaciane reklamy i biurowce ze szkła, wszystkie spod jednej sztancy. Parkujemy pod ziemią, idziemy, gabinet szefa na ostatnim piętrze, sekretarka gnie się w ukłonach, ma dla nas zieloną herbatę jaką tylko chcemy.

Jakub Tyszkiewicz podrywa się zza biurka. Trochę mu brakuje do czterdziestki, miły, szczupły, dwa fakultety, obywatel świata. Uśmiech szczery, biznes to dla niego środowisko naturalne, jak powietrze. Zbudował firmę od zera, gdy wszyscy pukali się w czoło, twierdząc, że książki czytane są dobre dla niewidomych, ale poza tym nie ma tam pieniędzy. Dziś facet mógłby sobie kupić cały ten brzeg rzeki i jeszcze zostałoby mu na jakąś przyjemną wyspę na Karaibach. Siadamy w fotelach tak miękkich, że aż niewygodnych. Gabinet prosty, bez żadnych ozdób; prostotę z nawiązką równoważy panorama Wisły i Starego Miasta.

– Mam pół godziny – oznajmiam.

Chcę jeszcze pomyśleć, zanim mnie wessie popołudnie.

Wieteska sapie, Tyszkiewicz jest dobrze wychowany, nie reaguje na zaczepkę.

– Oczywiście – mówi. Jest właścicielem największego w kraju wydawnictwa produkującego audiobooki, a ja nadal rządzę na listach bestsellerów jego firmy we wszystkich kategoriach. Grzeczność mu się po prostu opłaca. – Przejdę do rzeczy. Mój chiński partner zainteresował się pańskimi audiobookami. Na razie kryminałami. Potem może przyjdzie kolej na resztę.

– Co to znaczy: zainteresował się?

– Chce kupić licencję na co najmniej trzy pozycje.

Pozycje. To i tak lepiej niż „treści”, „kontent” w ichniejszym żargonie.

Kiwam głową. Potrafię sobie wyobrazić, ile zachodu go to kosztowało. Musiał opisać moją twórczość językiem korzyści zrozumiałym dla Chińczyków. Przetłumaczyć próbki na chiński. Pojechać kilka razy do Pekinu. Obiadki i lancze. Drogie hotele. Prezenty.

– Jestem zainteresowany – odpowiadam.

Wieteska chucha wczorajszą imprezą.

– Jakie warunki? – pyta, a w jego głosie jest groźba. Według niego jak zwykle zbyt szybko się zdeklarowałem. Ma rację, Tyszkiewicz tylko wygląda niewinnie. W gruncie rzeczy to pirania bez skrupułów.

– Stała stawka od sprzedanej sztuki.

Pozornie brzmi dobrze, identyczne zasady mam tutaj, w kraju. Haczyk tkwi w wysokości stawki.

– Po ile tam chodzi audiobook? – pyta Wieteska.

– W przeliczeniu jakieś czterdzieści złotych.

– Tyle co u nas. Więc stawka musi wynosić co najmniej tyle samo co w Polsce.

Tyszkiewicz kiwa głową, nie dlatego, że się zgadza. Chce pokazać, że docenia podejmowane przez Wieteskę wysiłki.

– Nie da rady. Oprócz licencji on musi ponieść koszty promocji nowego autora. Bez obrazy, nie ma pan tam znanego nazwiska.

– Jasne – mówię.

– Mówimy o ogromnym nakładzie. Połowa polskiej stawki – proponuje Tyszkiewicz.

Wieteska zakłada nogę na nogę.

– Nie przyjechaliśmy tutaj słuchać, jak będzie pan obrażał mojego klienta – warczy.

– Chiński partner deklaruje co najmniej milion sprzedanych sztuk rocznie.

Zapada cisza. W kraju pięć procent tej liczby wywindowało mnie na gwiazdę. Rynek audiobooków pnie się w górę, ale nadal jest tylko dodatkiem do sprzedaży wersji papierowej i elektronicznej. Milion to galaktyka, Droga Mleczna, nieosiągalny horyzont.

– Milion? – upewniam się.

– Co najmniej. Z tendencją rosnącą. Potencjalny rynek to ćwierć miliarda odbiorców.

– Pan to będzie miał na piśmie?

Tyszkiewicz udaje, że się zastanawia.

– Nie sądzę, by mój partner chciał się deklarować.

– Niech go pan skłoni.

– A jeśli się nie uda osiągnąć miliona, bo na przykład sprzeda dziewięćset trzydzieści tysięcy, mam mu naliczać kary umowne? Nigdy się na to nie zgodzi. Ale proszę się nie martwić, chiński rynek nie ma dna. Milion to tylko ostrożna estymacja na początek.

Tyszkiewicz ma rację, Tyszkiewicz umie każde zagadnienie przedstawić w ten sposób, że tylko przytakujesz, dziwiąc się swej pazerności.

– Trzy czwarte stawki – oferuje Wieteska. Nawet słowna deklaracja miliona słuchaczy robi na nim wrażenie.

– Podkreślam, mój partner musi zainwestować pieniądze w promocję i reklamę – nie ustępuje Tyszkiewicz.

– Cały czas słucham, ile musi zainwestować pański partner – paruje Wieteska.

– Ma koszty wprowadzenia na rynek. Ale to się opłaci. W całej Europie nawet za pięć lat nie sprzedamy połowy tego.

Znowu ma rację. Tyszkiewicz wydał kilka moich audiobooków w Niemczech, Hiszpanii i Beneluksie. Jakieś pieniądze z tego są, ale trudno mówić o sukcesie. Nie wiem, czy zwróciły mu się koszty tłumaczenia i lektora. Nikt na Zachodzie nie chce pisarza ze Wschodu. Wszyscy mają swoich, w każdym rozmiarze i kolorze, znacznie lepiej sformatowanych pod gust poprawnego politycznie konsumenta. Jeśli chodzi o wydania papierowe, jest jeden wyjątek, o którym opowiem później. Wiążę z nim pewne nadzieje, choć nie poczuję się zdziwiony, jeśli nic z tego nie wyjdzie.

– Trzy czwarte – podkreśla Wieteska.

Tyszkiewicz patrzy za okno, na rzekę. Woda lśni, lekkie podmuchy wiatru marszczą taflę w cieniutki grzebień, dwóch jaskrawo odzianych fanatyków kajakarstwa wiosłuje dziarsko pod prąd. Nie dziwię się Tyszkiewiczowi, że kupił budynek, w którym utopił fortunę. Widok jest wart każdych pieniędzy.

– Wiecie, że wszedłem na giełdę? – pyta po chwili, nadal zapatrzony w dal.

– Więc? – rozkłada ręce Wieteska na użytek swego odbicia w szybie. Odbicie przekazuje gest właścicielowi audiobookowego galeonu, złotego galeonu nowych czasów.

– Nie mogę stosować stawek niemających pokrycia w sprzedaży – wyjaśnia Tyszkiewicz. – Akcjonariusze tego nie znoszą.

– Bez żartów – parska Wieteska.

– Trzy czwarte to za dużo.

Wieteska zerka w moją stronę. Siedzę nieruchomo, on wie, co powiedzieć, pantomima nam niepotrzebna.

– Ile wynosi opłata za licencję?

Tyszkiewicz kiwa głową w uznaniu celności ciosu. W ramowej umowie o współpracy, podpisanej kilka lat temu, kiedy Tyszkiewicz nic nie znaczył, a ja znaczyłem wszystko, mamy paragraf zezwalający nam na wgląd w księgi handlowe firmy. Możemy zarządzić audyt, od którego się nie pozbierają. Trzymamy dłoń na guziku atomowym. Tyszkiewicz kilkakrotnie próbował wynegocjować usunięcie tego zapisu, Wieteska pił kawę, śmiał się i odmawiał. Nawet nie musiał grozić, że odejdziemy do konkurencji.

Tyszkiewicz musi powiedzieć prawdę, co mu się nie podoba.

– Pół miliona dolarów.

– Połowa dla nas – cedzi Wieteska, choć bladość wskazuje, że suma uderza go niczym obuch. – I zgodzimy się na sześćdziesiąt procent stawki.

– Tego nie ma w umowie.

– Co z tego?

Zakładam nogę na nogę i wyłączam się. Nieoczekiwanie brzmi mi w uszach dziecięcy śmiech.

Ożeniłem się parę lat przed trzydziestką. Moja nadal jeszcze aktualna żona jest rzeźbiarką utalentowaną w stopniu niezrozumiałym dla zwykłego śmiertelnika. Szczęśliwa ludzkość powinna codziennie składać jej hołdy dziękczynne i wynagradzać trud. Helena jest przy tym pracowita i sumienna w stopniu proporcjonalnym do jej dziecięcej naiwności i całkowitego braku umiejętności chodzenia wokół swoich spraw. Ma w sobie zbyt wiele dobroci i wyrozumiałości. Jedyną osobą, która wzbudza w niej agresję i uruchamia zażartego wojownika, gotowego bić się o każdą piędź ziemi, jestem ja. Poznałem ją, będąc dwudziestopięcioletnim muzykiem bez zespołu i kontraktu płytowego, a jedyną perspektywą, jaka się przede mną roztaczała, była perspektywa wpadnięcia w alkoholizm, co wtedy wydawało mi się rozwiązaniem nader atrakcyjnym. Ona pierwsza dostrzegła w moich tek-

stach coś więcej niż zwykłe rockowe bla bla, zachęciła do pisania. Podobała mi się tak bardzo, że w pijackim widzie napisałem opowiadanie na jej cześć. Trzymam je do dzisiaj. Ma w sobie pomysł, werwę i, szczerze mówiąc, niewiele ponadto, jest wzruszająco nieporadne. Ale Helena uznała je za całkiem udane.

Jako pisarz zadebiutowałem dwa lata później. Lata biedy i szczęścia, ciągłych walk o pieniądze i wzajemnego szacunku. Dzieci pojawiały się w półtorarocznych odstępach i były czymś tak naturalnym jak powietrze. Helena sprzedawała jedną rzeźbę rocznie, co starczało mniej więcej na materiały do kolejnej. Pamiętam ten czas jako okres intensywnego koloru i zapachu, wielopoziomowej kreatywności, zdolnej przenosić góry.

Wyciągam komórkę, której zapomniałem wyciszyć. „Musimy porozmawiać", piszę. Potem kasuję. „Przepraszam za moje zachowanie. Bardzo Cię proszę o rozmowę". Trochę lepiej, ale jeszcze nie to. Przychodzą mi do głowy wyłącznie melodramatyczne zdania.

– Jurek? – słyszę.

Wysyłam to, co jest, i podnoszę głowę.

– Co sądzisz? – pyta Wieteska, choć wie, że nie mam pojęcia, o czym mowa.

– Przepraszam – bąkam. – Zamyśliłem się.

– Dwieście tysięcy dolarów zaliczki i pięćdziesiąt pięć procent polskiej stawki płacone od sprzedanego egzemplarza po odstukaniu zaliczki.

Wzruszam ramionami. Powinno mnie to obchodzić, a jakoś nie obchodzi.

– Może być. – Podnoszę się. – Termin płatności jak najszybciej. Ustal resztę, muszę lecieć.

Nie słucham ewentualnych protestów i polemik, żegnam się, wychodzę, słońce świeci pięknie, mam ochotę gdzieś wyjechać. Stoję przed budynkiem i patrzę na ludzi. Patrzę na starców i kobiety w sile wieku, małe dziewczynki i byczkowatych nastolatków. Jest ciepło, jesień dopiero nadej-

dzie, deszcze i mgły przenikną mury i ciała, ale to jeszcze przede mną, a może nie, lepiej o tym nie myśleć.

Jednak myślę.

Telefon wysyła impuls w stronę najbliższego masztu, program w centrali wybiera numer Starego Lwa. O dziwo, Stary Lew ma dla mnie czas.

– Dzień dobry, witam najlepszego pisarza w Polsce. W czym mogę pomóc, mistrzu? – słyszę.

Wiem, że robi to z życzliwości, w ogóle zawsze uśmiechnięty z niego człowiek, dla każdego ma dobre słowo, ale nazywanie mnie mistrzem powoduje, że mam ochotę starszego pana bić w zęby. Jest w tym pogarda, jakieś chłopaczkowate poklepywanie po ramieniu, dobrzeście Janie pracowali, jak mawiał dziedzic do fornala.

– Chciałbym panu zająć kwadrans – mówię. – Może nawet mniej.

– Oczywiście – odpowiada niezwłocznie. Mam bujną wyobraźnię, mogę przyjąć, że jego gorliwość posiada nie tylko profesjonalne podłoże, żadnego związku z pieniędzmi, które mu płacę. A może pięknodupna asystentka ma wolne i Lew nie wie, co zrobić z nadmiarem czasu. – Kiedy? – pyta.

– Nawet teraz.

– Moment. – Słyszę szelest kartek. – Tak się składa, że mam półgodzinne okienko. Zapraszam, jeśli da pan radę szybko dojechać. Chyba że woli pan pogawędzić przez telefon.

Myślę szybko.

– Może tak będzie lepiej – odpowiadam. – Niech pan powie otwarcie, co mi grozi.

Tym razem Stary Lew milknie na dobrą chwilę, a ja nie pozwalam mu się schować za profesjonalną uprzejmością.

– Proszę o absolutną szczerość – naciskam.

– Operacja będzie w gruncie rzeczy dość rutynowa… – zaczyna ostrożnie.

Dawno już doszedłem do wniosku, że wszystko, co słyszymy przed „ale”, jest gówno warte.

– Ale? – pytam.

– Ale pewne ryzyko istnieje.

– Śmierci?

Słyszę biegnący po jego korze mózgowej prąd. Słabe bzyczenie, raz wyższe, innym razem bardziej basowe. Mogę przysiąc, że słyszę, z moją wyobraźnią wszystko w porządku.

– Owszem, tego nie można wykluczyć. Myślałem jednak raczej o powikłaniach neurologicznych.

– Na przykład?

– Jakaś forma niedowładu.

– Niedowładu czego?

– Na przykład kończyn.

– Niech pan się nie boi, nie rozmyślę się.

Chyba poczuł się urażony.

– Źle mnie pan zrozumiał – mówi, a głos staje się wyczuwalnie ostrzejszy. – Ma pan znacznie większe szanse na wyzdrowienie niż na kłopoty. A bez zabiegu bomba wybuchnie, jedyną zagadką pozostaje tylko kiedy.

Ostatnio o wiele lepiej się czuję, gdy ludzie mówią wprost, co myślą. Mogę im się zrewanżować tym samym. Wisła nadal lśni, babie lato w całej krasie, żółć, czerwień i złoto drzew, jeszcze ciepło, jeszcze atmosfera wakacji, Warszawa nie zerwała się na dobre do jesiennego maratonu, do przedzawałowego szaleństwa w coraz szybciej zapadających ciemnościach.

– Dobrze – mówię. – Melduję się u pana zgodnie z planem.

– Uszanowanie, mistrzu.

Zgrzytam zębami, rozłączam się, pika esemes. Helena.

„Co się stało, że tak pilnie musisz się ze mną spotkać?”

„Porozmawiajmy”.

„Co się stało?”

„Jestem chory”.

Dzwonek. Odbieram.

– Co się stało? – słyszę.

Jest wściekła, że musi ze mną rozmawiać, wietrzy zasadzkę, zbudowała sobie pancerz, poza którym nie ma miejsca na troszczenie się o mnie, na zajmowanie się moim istnieniem, zapewne lepiej byłoby, gdybym umarł. Nie utrudnia mi kontaktów z dziećmi, ale sama jest niewidzialna, gdyby mogła, u mecenasa nie pojawiłaby się również. Robi, co może, radzi sobie, od przedwczoraj, na własną co prawda prośbę, w jeszcze trudniejszych warunkach.

– Jestem chory – oznajmiam, bo zupełnie nie mam pomysłu, jak powiedzieć to wszystko, co chcę powiedzieć. Co wydaje mi się, że chcę powiedzieć.

Nawet się nie zastanawia.

– Oczekujesz porady? – Szyderstwo leci przez eter, jest fizyczne, namacalne, o, szybki jęzorek to moja żona ma, szybszy niż Doris, choć Doris jest mistrzynią słownej szermierki, zwłaszcza wtedy, gdy nie ma potrzeby uprawiania jej.

– Oczekuję, że porozmawiasz ze mną poważnie.

Śmieje się jak czarownica, szeptunka na bagnach, wiedźma przy kotle z trującym wywarem. Jest w tym szyderczym rechocie tyle siły, że aż się kulę. Widać wiedźmy potrafią też pogardzać.

– Jestem chory – powtarzam bezradnie.

Śmiech wygasa, pojawia się cisza. Jakiś prowadzony przez starszą panią zapasiony kundel zaczyna ujadać, patrzę na niego, pies przestaje szczekać, warczy, potem podkula ogon i skamle. Staruszka zerka na mnie, odchodzi szybko. Miewam takie dni, ostatnio coraz częściej.

– Czego chcesz? – rzuca.

Pytanie wisi w powietrzu, myślę, stanowczo za długo milczę, ona zniecierpliwiona, mam obawy, czy jeszcze jest na linii.

– Rozumiem twój gniew – mówię. – Zachowuję się jak kutas. Rozumiem, dlaczego nie chcesz od mnie niczego, po tym co wygadywałem. Ale ja chcę zabezpieczyć dzieci finansowo.

Tym razem Helena zwleka z odpowiedzią. Wyobrażam ją sobie, jak stoi przy kuchennym blacie i, rozmawiając przez telefon, wyciera go do czysta. Ma długie palce, zawsze lekko poobijane, uwielbia młotki, dłuta i śrubokręty, kocha kleić, wiercić i heblować. Niedługo po mojej wyprowadzce zaczęła projektować i robić meble. Kiedyś zobaczyłem zrobiony przez nią fotel wystawiony na sprzedaż, dzieło sztuki. Kupiłem go anonimowo, oferując cenę dwukrotnie wyższą od sugerowanej, śmiesznie niskiej. Może jej się zwrócił koszt włożonego w pracę czasu. Wspomniałem już, że głowy do interesów nie ma ta moja żona Helena?

– Nie bardzo rozumiem.

– Mam tętniaka w głowie. Może być różnie.

Nie lubi chorób, nienawidzi chorób, ma alergię na szpitale, lekarzy, recepty. Gdy ktoś w jej otoczeniu choruje, robi się nieznośna. Zżera ją strach, że nie będzie potrafiła pomóc. Mnie to oczywiście nie dotyczy. Jestem z jej lęków wymazany na zawsze.

– Czy… to jest groźne?

– Idę na operację. Facet, który mnie będzie operował, twierdzi, że powinno być dobrze, ale wiesz, jak to jest.

– Nie wiem – słyszę złość. Gniew. Bardzo nie chce przyjmować do wiadomości moich problemów. Powinienem umrzeć w ciszy i spokoju i nie zawracać jej głowy.

– Istnieje ryzyko powikłań. Dlatego chcę uporządkować… – Teraz ja się waham. – Chcę anulować umowę rozwodową. Dostaniesz wszystko, w razie czego.

– Nie ma mowy – wybucha. Nareszcie znalazła odsłonięte pole w mojej obronie. I wali, okłada pięściami, spycha na liny, bije od dołu, z całej siły. – Podpiszemy i będziesz miał spokój.

– Lena…

– Nie nazywaj mnie tak! – naprawdę krzyczy. Muszę odsunąć słuchawkę od ucha, mimo to słyszę ją nawet zbyt wyraźnie. – To już było i nie wróci, choćbyś miał umrzeć na tego pierdolonego tętniaka, choćby miały ci pęknąć wszystkie żyłki w tej twojej pojebanej głowie…

I tyle. Gapię się na zamilkłą nagle słuchawkę, słyszę szum ulicy i gwar rozmów, słońce przygląda się życzliwie mojej minie wziętej z kiepskiej komedii, mam przemożne wrażenie, że nigdy nie miałem głupszej. Czego właściwie się spodziewałem? Pracowałem ciężko i uparcie, by przyjęła moją ofertę właśnie tak, bym dostał za swoje, bym się męczył z żalu nad samym sobą. Moja umiejętność przewidywania pomału staje się legendarna.

Wracam do garażu, wsiadam do samochodu, jadę przez miasto, które mnie kocha i któremu jestem obojętny, wszystko naraz, jak w tyglu z Belzebubem jako szefem i mistrzem ceremonii. Zjeżdżam na bok, wchodzę przez ajfona na stronę banku, patrzę na stan konta i ogarnia mnie zdumienie. Dawno tu nie zaglądałem, a nie mam pamięci do liczb. Mój status materialny stawia mnie w górnym promilu Polaków, mój status materialny jest nieosiągalnym marzeniem większości celebrytów, gdyby ktokolwiek go znał, byłbym królem, cesarzem, przedmiotem szczerej, uczciwej nienawiści. I tak jestem. Nie umiem inwestować, większość pieniędzy po prostu leży na jakimś słabo oprocentowanym rachunku. Wieteska skłonił mnie do zakupu stumetrowego apartamentu w najbardziej prestiżowym wieżowcu Warszawy, wynajmuje go jakaś gejowska para z Ameryki za sześć i pół tysiąca dolarów miesięcznie. Gdy Helena odziedziczy wszystko, wykształci dzieciaki na Harvardzie i jeszcze będzie miała na długie i dostatnie życie, a to, co zostanie po jej śmierci, wystarczy również im na jakiś czas.

Rozumiem ją i nie rozumiem. Muszę wrócić do tej rozmowy. Muszę coś zrobić, zanim Stary Lew otworzy moją czaszkę i zacznie w niej grzebać, wystawiając się na ryzyko popełnienia błędu przez zmęczone starością i nadmierną chucią dłonie.

Wracam do mieszkania Doris i z obowiązku siadam do pisania. Idzie mi źle, wybiłem się z rytmu, miałem rację, na spotkaniu z Tyszkiewiczem byłem całkowicie zbędny, Wieteska uwielbia pokazywać mnie wszem i wobec, by przypominać ludziom o własnej potędze. Patrzcie, mówi, to mój autor i chuj wam wszystkim w dupę, możecie sobie wszystkie krytyki literackie wsadzić, może niektórzy z was piszą lepiej albo wiedzą więcej o świecie, ale to nie zmienia faktu, że to my sprzedaliśmy prawa do ekranizacji prawie wszystkich powieści, że dwa filmy okazały się hitami, że serial klasy premium kochają wymagający widzowie, że nasze książki biją rekordy sprzedaży, że zaraz będzie następny, że audiobooki idą tak, że zapychają się serwery. Wieteska ma rację. Świat jest źle urządzony.

Kończę urobek na dzisiaj, półtora tysiąca słów, akcja rozpędza się, kontynuacja bestsellera w założeniu powinna być lepsza, mocniejsza, bardziej zakręcona niż pierwsza część, rzadko się to udaje, ale próbować trzeba. Brak zapału maskuję znajomością materii, bohaterowie dobrze wymyśleni, więc byle nie popsuć, nie przekombinować, dać trochę więcej gazu i powinno wystarczyć. Intryga mocna, kilka trupów na początek, obowiązkowa scena seksu oralnego, a jakże, bohaterka ma problemy emocjonalne, które topi w alkoholu i przygodnie spotkanych facetach, dla każdego coś miłego, kanty wygładzone, tezy ogólnie słuszne, mam konkretne poglądy na wiele spraw, ale to nie znaczy, że powinienem zniechęcać potencjalnych czytelników z drugiej strony barykady.

Zamykam folder i otwieram nowy plik z projektem, o którym nikt nie wie. Piszę od dwóch miesięcy powieść obyczajową, głęboką prozę psychologiczną, eksperymentuję z formą i treścią, postacie niejednoznaczne, żadnej fizycznej przemocy, intrygi brak, raczej spojrzenie z góry na ziemskie sprawy, choć nie stronię od konkretu. Idzie mi dobrze, czuję dawno nieodczuwaną radość pisania, mam dreszcze przy niektórych sformułowaniach, jestem podniecony niczym debiutant. Skończę niedługo, choć nic mnie nie goni, żadna umowa ani zaliczka. Myślę o wydaniu pod pseudonimem, opcja

zerowa, siła formy i tematu, nie nazwiska, być może nie mój stały wydawca, raczej średniej wielkości oficyna na dorobku, sondowałem temat, wszyscy chętni, buchają entuzjazmem, zgodzą się na każdy warunek. Nie zależy mi na dobrej stawce, chcę tylko, by książka była eksponowana i miała recenzje w poważnych mediach, o ile jeszcze takie w ogóle istnieją. Przed operacją pewnie skończyć nie dam rady, choć piszę szybko, z dużym udziałem podświadomości, proces typu *flow*, z luźnej kiści, jak to się kiedyś mawiało. Piszę i czuję, że żyję.

Kończę, bo powinienem zabrać się za przeróbki treatmentu serialu wojennego dla Amerykanów, jakoś mi się nie chce, na razie nie ustaliliśmy terminu, więc nie chce mi się tym bardziej. Odkrywam przyczynę dobrego samopoczucia – nie boli mnie głowa. Nie muszę walczyć z nudnościami, nie mam przed sobą kilku godzin bólu odbierającego chęć do życia, wysysającego resztki energii, bezcelowego i bezsensownego. Ból to idiotyczny wynalazek, choćby miał nie wiem jak ważne fizjologiczne uzasadnienie. Co robić? Ubieram się i jadę w miasto, wchodzę do modnej kawiarni, znajomy barista kiwa mi głową, automat syczy, duże latte na chudym, a jakże. Siedzę i patrzę w okno.

Dzwoni Wieteska, dawno go nie słyszałem, zaraz będzie pewnie dwie godziny, niemal zdążyłem się stęsknić.

– Dopięte – mówi. – Szkoda, że poszedłeś.

– Jeśli dopięte, to nie szkoda. Mam robotę.

Ekspres syczy, Wieteska zaczyna się śmiać.

– Właśnie słyszę.

– Co jest? – pytam.

Zniecierpliwienie w moim głosie pewnie słychać, bo robi się zły.

– Na tym wywiadzie nie pajacuj – przestrzega.

– Nie mam zamiaru.

– Nie chcesz jej przelecieć?

– Może innym razem.

Znowu się śmieje, zgrzytliwie, jakby pociąg przejeżdżał przez zwrotnicę.

– Jureczku, pani jeszcze do czterdziestki nie dobiła, wygląda na dychę mniej, przestań.

Jakoś mnie to nie bawi.

– Jestem zajęty.

– Jasne.

Milczymy. Czuję, że coś do mnie ma, nie wiem skąd, ale wiem. Znamy się długo, jesteśmy towarzyszami broni, lubimy wiele takich samych rzeczy.

– Co jest? – pytam.

– Chcę pogadać.

– Gadamy.

– Na żywo. Wpadniesz?

Spoglądam na zegarek. Mam być w studiu za czterdzieści minut. Jakieś nastolatki przyglądają mi się uparcie, pokazują palcami, chichoczą, jedna bardzo ładna, czarne oczy, czarne włosy, ma szesnaście lat i wszystko przed sobą. Oceniam, ona nie ucieka wzrokiem, gdzie takie gówniary uczą się takiego patrzenia na facetów, jakąś szkołę wieczorową chyba otworzyli ostatnio, Jezu, jestem od niej dwa i pół razy starszy, jeszcze parę lat i od biedy mógłbym być jej dziadkiem. Odwracam wzrok.

– Mogę wpaść wieczorem, po zajęciach – mówię.

– Wpadaj.

– Nie chcę pić.

– Darujemy sobie tym razem.

Poważna deklaracja. Nie będziemy poruszać tematów zawodowych, pijaństwo nigdy Wietesce wtedy nie przeszkadza.

– Coś się stało? – pytam, choć wiem, że tak.

– Przyjdź, przyjdź.

– Po dziewiątej.

– Do zobaczenia.

Rozłączam się, patrzę na zegarek, kończę kawę i pędzę. Jadę na Grochów, stacja zajmuje cały dziesięciopiętrowy budynek, potęga budowanego od dwudziestu lat imperium, portierowi się nie spieszy, ktoś musi po mnie zjechać, trochę mnie to złości, ale nie tak jak kiedyś. Stary Lew włożył mi do głowy sprawy odsuwające na bok pierdoły, duma i rozdęte ego to pierdoły, szkoda, że można je dostrzec tylko wtedy, gdy ziemia pali się pod nogami. Schodzi sekretarka, uśmiecha się, jedziemy windą, charakteryzatorka pacykuje moje blade oblicze, macha rozlicznymi pędzelkami, ładnie pachnie, i ona, i powietrze, bardzo intymne takie pacykowanie, bliski kontakt z człowiekiem płci przeciwnej. Ściąga ze mnie pelerynkę, idę korytarzem, siadam w miękkim fotelu, przychodzi gwiazda, wita się promiennie, na żywo wygląda jeszcze lepiej niż na ekranie, chuda może i niezbyt wysoka, ale urodziwa i na trzydzieści duże coś tam nie wygląda. Wygląd to jej kontrakt, wszystko jasne, jeszcze miesiąc temu rzuciłbym się na nią z impetem, teraz po prostu paplę, co tylko do głowy wpadnie. Idziemy do studia, będziemy nagrywać, wywiad pójdzie w prajmie, pięć minut to wieczność w wieczornym paśmie. Pozycję na rynku mierzy się między innymi takimi sprawami, wszyscy mnie chcą, miałem kilka propozycji, by poprowadzić własny program, podobno jestem fotogeniczny.

Siadam w wąskim i niewygodnym foteliku, pani usadawia się naprzeciw mnie, nogi lśnią, opalone tyle, ile trzeba, żadnej solaryjnej przypalenizny, odsłonięte ze stuprocentową akuratnością. Żartujemy sobie, kamerzyści się kręcą, chaos, w końcu zaczynamy.

– Witamy pana Jerzego Grobickiego, pisarza, autora wielu wspaniałych książek – mówi pani, a blond loczek filuternie zagląda jej w oko. – Bardzo dziękuję, że zgodził się pan przyjąć nasze zaproszenie.

– Dobry wieczór. – Szczerzę się, demonstrując zamontowane trzy lata temu nowe uzębienie. Mam w oczach wyłącznie radość ze spotkania i sza-

cunek dla widzów. – Zawsze przyjmuję zaproszenie od państwa z ogromną przyjemnością.

Tak właśnie trzeba, tak jest najlepiej, gładziutko i do celu.

Pani przekłada nogi, gracja bije z każdego ruchu, maszyneria działa bez zakłóceń.

– Pańska powieść „Zima” spotkała się z ogromnym zainteresowaniem czytelników – mówi pani zza blond loczka. Nie wspomina o serialu, co oczywiste, serial wyprodukowała kodowana stacja typu premium, konkurencja, nie ten target, nie ta liga, nie te budżety. Mnie serial pomógł, dodatkowe sto tysięcy „Zimy” poszło po pierwszej emisji, choć już wtedy byłem gwiazdą, sprzedaż audio też poszybowała. Tak czy inaczej, w tych murach o innych stacjach się nie mówi. – Proszę powiedzieć, czy doczekamy się kontynuacji?

Kiwam głową i opowiadam. Mówię ze swadą i energią, ale nie przesadzam, nie unoszę się, entuzjazm ściśle kontrolowany, raczej spokojny namysł zawodowca świadomego, czego oczekują czytelnicy, niemaskowana za to radość, że będę mógł zaspokoić ich pragnienia. Proporcje starannie dobrane, osobowość silna, ale nieprzytłaczająca, żadnego pajacowania, żadnego eksponowania swojej seksualności, dzieło stoi przed autorem, dzieło dla czytelników, im należy się szacunek przede wszystkim, od ust sobie przecież odejmują, by uczestniczyć w kulturze, amen.

Pani czuje konwencję, podprowadza mnie bardzo ładnie, słowa płyną, ja poważny, ja elokwentny, niemal prorok nowych czasów. Mówię, że dzieło popularne nie musi być pozbawione drugiego dna, jakiejś prawdy o człowieku, choćby minimalnej, choćby małej informacji zakopanej gdzieś w piwnicy, tuż pod dnem wartkiej narracji, strzelanin i dzikiego seksu bez zabezpieczeń. Pani robi mądrą minę, usteczka jej się układają do kamery, do pierwszego loczka dołącza drugi, dokładnie minutę przed końcem.

Co dalej? Plany bogate, terminarz napięty, póki zdrowia starczy, a więc panie Jurku życzymy dużo sił twórczych, weny i samych sukcesów, rączka

silna i ciepła, żegnamy się na wizji, bardzo ładnie to wyszło w ostrym świetle reflektorów. Po wyłączeniu kamer rozmawiamy swobodnie, pani daje do zrozumienia, że jakby coś, to czemu nie, brak sprecyzowanych planów na wieczór, odkąd się rozwiodła, przyjęła zasadę, że nie planuje niczego na wieczór, chichoczę porozumiewawczo, mimochodem rzucam kilka uwag na temat mojego zapchanego harmonogramu, ale delikatnie, nie w formie odmowy, wychodząc z założenia, że nie warto palić mostów, może po operacji sięgnę po telefon i spędzę noc w towarzystwie tej kobiety pozującej na poważną dziennikarkę, nie bez pewnych sukcesów, pozory w tej branży to grunt, jak w większości innych zresztą również.

Żegnamy się, zerkam na zegarek, klnę, znowu jestem spóźniony, jadę do Śródmieścia przez most Łazienkowski, światła, korki, piesi na pasach, klnę jeszcze głośniej, nie znoszę się spóźniać, audio wyje, Alissa White-Gluz daje z siebie wszystko, jej koledzy grzmią niczym wiosenna burza, mało szyby nie wypadną od nadmiaru basów. Bieg na trzecie piętro stylowej kamienicy wyciska ze mnie szybki oddech i siódme poty, wpadam, organizatorka boi się pokazać, że jest zła, kurs czeka, kurs ma obiecane silne przeżycia, kurs chce przystąpić do dzieła, a mnie, głównego aktora i głównego wabika dla kursantów, brakuje przez pierwszych dziesięć minut. Zapewniam organizatorkę, że koniec ze spóźnieniami, dziś był ten ostatni raz, na mieście korki, a wywiad dla telewizji nieco się przeciągnął. Wskakuję na salę i widzę dziesięć kobiet wpatrzonych we mnie z natężeniem powodującym gęstnienie powietrza.

– Dzień dobry – mówię i uśmiecham się z zakłopotaniem. – Nazywam się Jerzy Grobicki, jestem pisarzem, niezbyt znanym, choć może się tak zdarzyć, że jedna czy dwie z pań może o mnie słyszały. – Zawieszam głos, by dać wybrzmieć pierwszemu śmiechowi, grunt to je trochę rozluźnić, pozbawić tremy i paraliżującego onieśmielenia. – I bardzo przepraszam za spóźnienie. Przykro mi, że musiały panie czekać, obiecuję, że się to więcej

nie powtórzy, a jeśli się powtórzy, będą panie miały możliwość wymierzenia mi dowolnej kary, dokładnie takiej, jaką uznają panie za stosowną.

No, tu już je mam, każdą trzymam w garści, rumieńce, oczy błyszczą, ależ to szybko idzie.

Jadę dalej.

– Po pierwsze, proponuję, byśmy mówili sobie po imieniu, o ile nikt nie ma nic przeciwko temu. – Oczywiście, że nie mają, kiwają głowami tak mocno, że szlag trafia większość fryzur. „Po drugie, chciałbym powiedzieć, że pisania nie można nikogo nauczyć. Większość z was to nieuki i beztalencia, z mierną wiedzą o świecie, kulturze, człowieku, o języku polskim nie wspominając. Tracę tu czas tylko dlatego, żeby kilka z was wyrwać i przelecieć, a z tego, co widzę, potencjał jest ogromny, przedstawcie się, Olga, Wioletta raczej nie, nie wyobrażam sobie pójścia do łóżka z kimś o imieniu Wioletta, o, Karolina, bardzo ładnie, pójdziesz na pierwszy ogień, dwadzieścia dwa lata, co prawda jesteś już nieco wiekowa, ale jeszcze się mieścisz w widełkach, figura dobra, biodra szerokie, żadnych chłopackich pośladków, korpus krótki, nogi długie, piersi średnie, o to chodzi, dziś wieczorem nie, nie bądź taka prędka, to ja proponuję, może po drugich zajęciach, gdy już poznamy się lepiej, jestem w tych sprawach dość staroświecki”.

Słyszę śmiech ulgi, chyba swój własny, że nie powiedziałem tego na głos, przechodzę od rojeń do rzeczywistości.

– Mamy więc ustalone, że mówimy sobie na ty, bardzo mi miło, Jurek jestem, postaram się zapamiętać wasze imiona, z góry proszę o wybaczenie, gdybym z racji sędziwego wieku z początku się mylił – peroruję, przyglądając się każdej kursantce po kolei, oceniając jej potencjał. – Każdego można nauczyć pisać, niezależnie od wykształcenia, statusu społecznego czy nawet talentu, tak, talentu, talent to tylko dodatek do pracowitości i konsekwencji, a te dwa atrybuty przede wszystkim stanowią o sukcesie pisarza.

Kłamię i nic się ze mną nie dzieje, piorun nie strzela, nos nie robi się drewniany, uczestnictwo w kursie kosztuje prawie dwa tysiące od osoby,

chętnych jest pięć razy tyle co miejsc, mógłbym nic nie robić, tylko uczyć, mógłbym na tych kursach prezentować tylko swoją twórczość i nie powiedzieć słowa o konstruowaniu ciekawego bohatera czy elektryzującej fabuły, a one i tak spijałyby mi z dzióbka każde, najdurniejsze nawet słowo.

Panie są poruszone, w paniach wzbiera zapał, przypominają mi Amazonki idące do ataku, chcą już zdobywać szczyt, cokolwiek pod tym pojęciem rozumieją. Każę wyjąć kartki lub laptopy, napisać o ulubionym bohaterze, jego inicjały nie mogą brzmieć JG, chichot, palce zaczynają szurać po klawiaturach, przyciskać długopisy, twarze skupione, mogę na chwilę oderwać myśli, zwłaszcza że zaczyna mnie boleć głowa.

A jednak.

Malutkie ukłucie, przypominacz właściwie, igiełka na pół paznokcia, na ćwierć, ale wyraźna, czubeczek ostry, mikronowy, drapie gałkę oczną od wewnątrz.

Sięgam do torby, gmeram na oślep, fiolka otwiera się łatwo, pastylka w ręku, dłoń do ust, łyk wody, nikt niczego nie zauważył, panie skupione na wypracowaniu, ja nauczyciel, ja mistrz, one uczennice, pilne, bo dobrowolne. Jest ciepło, w głowie brzmi głos Doris, nieprzyjemny, napastliwy, Doris chce jak najszybciej wyjść za mnie za mąż, jest samodzielna finansowo i daleko może zajść nawet o własnych siłach, ale mój majątek – nie zna konkretów, nigdy nie odpowiadam wprost na pytania, ile mam na koncie, lecz przecież domyśla się, jakie są stawki, informacje o nakładach moich książek nie są tajemnicą – pomógłby jej osiągnąć status bizneswoman – celebrytki, a to jest coś, o czym marzy, o czym skrycie roi, pieniądze są środkiem prowadzącym do władzy, władza ją najbardziej interesuje, już dawno na to wpadłem. A zatem małżeństwo trampoliną do skoku na najwyższą półkę, jakież to typowe. Mnie to pasuje, nie obrażam się, jestem z tej samej gliny.

Panie kończą, wpatrują się we mnie z czcią, żadna nie śmie głębiej westchnąć, patrzę, Karolina uśmiecha się samymi kącikami ust, nie odpowia-

dam, nagle dochodzi do mnie, że tracę czas, powinienem pisać, ciągnąć mój ambitny projekt literacki, poprawiać serial dla Nancy, dojść do ładu z Heleną. Wzdycham nieznacznie, proszę, by panie przeczytały to, co napisały, Karolina idzie na pierwszy ogień, Matko Boska, żadnego poprawnego zdania, koślawe słowa, koślawe myśli, dwója z polskiego od podstawówki do końca liceum, o ile w ogóle ktoś ją do liceum puścił, klasyczny przykład urody-zmyłki, widzisz subtelność i wdzięk, a pod spodem wulgarność i prostota granicząca z absurdem, głosik piskliwy i „bynajmniej" w charakterze zastępnika słowa „przynajmniej". Panie starają się zachować obojętne miny, ale widać, że walczą ze sobą, patrzą, jak zareaguję, dziękuję Karolinie, proszę następną, Olga ma dwadzieścia kilo nadwagi i trzy tony kompleksów, a także ogromny talent, wrażliwość i szatańskie poczucie humoru. Napisała trzy akapity fajerwerków, lekkich, dowcipnych, na temat, z rozpoczęciem, rozwinięciem i puentą. Matko, zdolniejsza ode mnie, większy zasób słów, bujniejsza wyobraźnia, umiejętność niebanalnych skojarzeń zdolna powalić słonia, przy tym brak pretensji do niesprawiedliwego świata, który obdarzył ją figurą mastodonta i urodą robotnika budowlanego. Odhaczam Olgę w pamięci, uśmiecham się serdecznie, panie czytają, nie jest źle, Karolina pierwsza do dyskusji, panie się kłócą, moderuję życzliwie, przechodzę do wykładu, gadać mogę w nieskończoność, cisza jak makiem zasiał, opowiadam o tym, skąd brać pomysły, kretyński temat, ale obowiązkowy, cóż poradzę. Zadaję pracę domową, Karolina zapewnia mnie, że bynajmniej do mnie napisze kilka pytań mailowo, odpowiadam coś w biegu. Znowu jadę przez Warszawę, tym razem wieczorną, luźniejszą, lubię Warszawę wieczorną, mniej widać, a więcej można sobie wyobrazić, na przykład że to nowoczesna europejska metropolia.

Wieteska otwiera mi po pierwszym dzwonku, w ręku szklanka z jakimś sokiem, mój agent trzeźwy, poważny, nie jest dobrze.

– Cześć – mówię, rozsiadając się na kanapie.

Igiełka drapie w oko od spodu, ketonal odpiera ataki, da się wytrzymać, zasada jest taka, by połknąć dawkę tuż po pierwszym symptomie, wtedy jest jakaś szansa na przespaną noc.

Wieteska siada naprzeciw, wciska mi w rękę szklankę z piwem, jest wieczór, zimne piwo bardzo dobrze mi robi wieczorem, ale jego coś gnębi, chyba go takiego jeszcze nie widziałem.

– Znasz się z Wojtyńskim – mówi, a ja już wiem, o co chodzi. Mogę się mylić, ale nie sądzę, żebym tym razem się mylił.

– Znam się. – Idiotyczny zwrot „znać się z kimś”, każdemu swojemu uczniowi wyrwałbym ucho za takie sformułowanie. – Co się stało?

– Staszek… – zaczyna i zacina się.

Staszek to jego syn, poczęty z mamusią zaginioną w burzliwych odmętach Wieteskowego życiorysu. Widziałem go raz czy dwa – rozrośnięty w barach szesnastolatek, miły, trochę postrzelony, nos w smartfonie, w sumie zwykły chłopak. Nie wiem, kto oprócz mnie ma pojęcie o jego istnieniu, możliwe, że nikt poza szczęśliwym tatą.

– Staszek i Wojtyński – podpowiadam. – Zakładam, że nie chcesz ich skontaktować w celu wymiany wypracowań z polskiego.

– Aresztowali go – mamrocze.

Poważnieję. Wiem, że nie przyszedłem tu na piwo, nikt nie ma prawa oglądać o tej godzinie trzeźwego Wieteski, jeśli nie wylała Wisła lub lokalne trzęsienie ziemi nie zdemolowało połowy miasta.

– Mów.

– Był na imprezie z kilkoma koleżkami. Browarki, panienki, normalka. Ktoś przyniósł amfę. Pociągnęli po kresce, wpadła policja, pozamiatała, tyle.

– No, no. – Detektyw ze mnie żaden, bywam naiwny jak dziecko, niekiedy dziwię się, że udaje mi się doprowadzić śledztwo moich książkowych bohaterów do końca. Ale w tej historii coś się nie składa. – Policja tak sama z siebie wpadła?

– No, nie bardzo. Sąsiad zadzwonił, że za głośno.

– Jasiu, powiedz, co się stało, dobrze? – proszę najspokojniej, jak umiem.

Wieteska wzdycha, patrzy za okno, za którym gimnastykuje się ta sama sąsiadka co zawsze, już późno, przeszła do pozycji jawnie erotycznych, obrzydliwe właściwie takie podglądanie, mało mnie to interesuje, a patrzę, sam nie wiem po co.

– Mówię – broni się jeszcze.

Prostuję plecy, piwo wchodzi gładko, ból da się znieść, ogólnie byłby to nie najgorszy dzień, gdyby nie wspomnienie tonu, jakim Helena ze mną rozmawiała. Igiełka pcha sztychem na wprost. Kulę się, chcę zniknąć, w żołądku zalega kula strachu, wilgotna, gąbczasta, pęczniejąca z każdą chwilą. Zaczynam sobie wyobrażać, jak położę się na stole u Starego Lwa, każdy detal widzę wyraźnie, w rozdzielczości 4K, czuję zapach chloroformu i tanich perfum instrumentariuszki, głos anestezjologa dochodzi z daleka, ale brzmi jak kurant, cudownie czysto, wszystko rozumiem, w plecy lekko drapie zielone prześcieradło. Nie chcę zamknąć oczu i zasnąć, lekarz grozi mi palcem, żartobliwie, z dobrocią na twarzy, nie śpię, nie śpię, boję się zasnąć, nikt nie powinien się dziwić, nikt nie da gwarancji, że się obudzę.

Otwieram oczy, odstawiam niedopite piwo na blat, Wieteska patrzy na mnie ze wstydem, a może oburzeniem.

Wstaję.

– Niepotrzebnie przyjeżdżałem – mówię, choć chcę krzyczeć.

Kłamię, nie mam specjalnie ochoty stąd iść, ostatnie, czego potrzebuję, to słuchać monologów Doris. Zbyt często o niej ostatnio myślę, zbyt wiele czasu spędzam na wyobrażaniu sobie tego, co powinno nastąpić możliwie szybko.

Wieteska wzdycha z rezygnacją, nie ma w nim nic z teatru, agresji, pewności siebie, którą terroryzuje wszystkich dookoła.

– On miał przy sobie… – bąka.

– Amfę? – pytam.

– Kokę – mówi.

Powinienem teatralnie zagwizdać, unieść brwi ze zdumienia, zastygnąć w pełnej zaskoczenia pozie. Powinienem wyrazić oburzenie, żal, może współczucie. Gdybym był hipokrytą, powinienem był to wszystko zrobić. Ale jestem winien Wietesce szczerość.

– Nie znam się, ale czy koka to nie poważniejszy kaliber? – pytam ostrożnie.

On kiwa głową, nieznacznie, jakby każdy ruch był wysiłkiem ponad możliwości.

– Dużo? – ciągnę niczym rasowy pies, niczym bohater „Zimy”.

– Za dużo.

Myślę. Znam Wojtyńskiego, nigdy go o nic nie prosiłem, on zachwala moje książki przy każdej okazji, na spotkaniach zachowuje się jak panienka na pierwszej randce. Znamy się wyłącznie towarzysko. Stanę się jego dłużnikiem, co wprawia mnie w gniew. Facet jest śliski jak wąż, uśmieszek cwaniaka na przystojnej, zawsze gładko ogolonej twarzy.

– Co z policją? – powtarzam pytanie.

Wzdycha jeszcze głośniej.

– Mieli informatora. Dał cynk, przyjechali, zawinęli towarzystwo.

Jeszcze gorzej. Nawet ja rozumiem, że policja nie wsadza informatora w byle towarzystwo, nie ma czasu ani środków, by śledzić szesnastoletnich gówniarzy, którym z nudów i nadmiaru pieniędzy rodziców miesza się w pustych łbach. Biorę do ręki telefon.

– Wiesz, że będziesz mu musiał powiedzieć wszystko? – pytam dla pewności.

Przytakuje. Wybieram numer.

– Witam, mistrzu – mówi Wojtyński.

– Dobry wieczór, panie Januszu – zwracam się do najskuteczniejszego w Warszawie prokuratora rejonowego.

Po pięciu minutach odkładam aparat. Siedzimy i czekamy. Boimy się tego czekania, boimy się ciemności, powinienem wstać i wyjść, jakoś nie mogę zostawić Wieteski samego, notuję w pamięci stan, w jakim się znajduje. Nie mówimy nic.

Dzwonek do drzwi wyrywa nas z odrętwienia. ■

ROZDZIAŁ 4

– Jerzy, wstawaj – słyszę energiczny głos.

Otwieram oczy, mam ciężkie, ołowiane powieki, światło razi, mrugam, nie dostrzegam poprawy, próbuję zorientować się, gdzie jestem. Odwracam głowę, zasłony odsunięte, wrześniowe słońce świeci mi prosto w twarz. Patrzę na Doris i już oczywiście wiem, gdzie jestem, kiedy i z kim. Doris siedzi tuż przy mnie, dres, włosy spięte w niedbały kok, twarz jeszcze nietknięta makijażem, jakaś nieatrakcyjna, ale zyskująca na naturalności. Podaje mi kubek z kawą, jest niczym siostra miłosierdzia ratująca bliźniego w potrzebie. Aromat mnie budzi, lubię takie zapachy, kojarzą mi się ze spokojem, pogodą, zadumą, brakiem pośpiechu.

– Która godzina? – pytam.

– Siódma. Musimy porozmawiać.

Mrugam powtórnie, wzrok wraca, światło nie rani, nadal jestem trochę poza realnym światem, mało spałem, w moim wieku powinienem spać więcej.

– Teraz? – próbuję nadać głosowi odpychające brzmienie, nutę agresywnej defensywy, liczę, że Doris nie ma czasu albo motywacji, żeby przebijać się przez zasieki, wilcze doły i mury niechęci, w pracy musi być punktualnie, jazda zajmuje jej godzinę.

– Teraz. Wczoraj wróciłeś o pierwszej – upiera się, a ja już widzę, że całkowicie nie doceniłem jej determinacji. Doris ma umysł szachisty, wyrzuciła z życia improwizację, wszystko planuje, przewiduje skutki, każdy ruch obliczony, warianty „A” i „B”, czasem nawet „C”, czekają w zanadrzu, w każdej chwili gotowe do użycia. Byłaby świetnym trenerem piłkarskim, ma zmysł do taktyki, zawodnicy baliby się jej jak ognia.

Opuszczam stopy na parkiet, Doris nie znosi dywanów, chłód, minimalizm i biel to jej ulubione atrybuty nowoczesnego mieszkania, oddalone

o tysiąc mil od rodzinnej tradycji. Piję łyk kawy, wstaję, ona nadal siedzi na brzeżku tapczanu, góruję nad nią, z czego niewiele wynika. Patrzy na mnie z dołu, oczy czujne, twarz spokojna, uładzona, ciało ułożone w erotyczne zaproszenie. Tak się prowadzi poważne rozmowy o życiu i biznesie. Doris zawsze osiąga to, co chce.

– Mogę najpierw umyć zęby? – pytam.

Zostawiam ją w sypialni, zamykam się w łazience, puszczam wodę w prysznicu, wchodzę do kabiny, jest mi niedobrze, chyba jestem po prostu zmęczony, zmęczony po sześciu godzinach snu. Stoję, woda działa kojąco, przestało mi się gdziekolwiek spieszyć.

Rozmowa z Wojtyńskim nie należała do łatwych. Facet okazał się konkretny, właściwie obcesowy, po kilku zdawkowych uprzejmościach zapytał, po co ściągaliśmy go z domu, jego pytania były tylko pozornie proste, w każdym kryła się pułapka. Wieteska wyglądał na człowieka, który woli się schować za moimi plecami, Wojtyński szybko zaczął mnie ignorować, zmierzał wprost do celu, w końcu mój agent jest prawnym opiekunem syna, nie mogłem go zastępować. Wieteska próbował kluczyć, Wojtyński jasno sformułował myśl, że jest wieczór, który powinien spędzać z rodziną, tymczasem traci czas na bzdury. Porzuciwszy próby zawieszenia Wieteski na krzyżu, zdradził, że na temat sprawy wie właściwie wszystko, co było przypadkiem zaskakującym i w zasadzie niekorzystnym, wolałbym, by zajmował bardziej neutralną pozycję. Zaserwował nam opowieść o młodzieży, która ma zdecydowanie zbyt dużo pieniędzy i zbyt wiele wolnego czasu, imprezy sześć razy w tygodniu, seks bez zabezpieczeń, dragi na drugie danie i deser. Wedle wersji Wojtyńskiego synalek Wieteski okazał się kimś w rodzaju lokalnego Pablo Escobara, od roku głęboko siedział w biznesie, prokurator znał sprawę dogłębnie. Wieteska załamany, chyba nie udawał, naprawdę nie zdawał sobie sprawy, jak jest, rozmowa zmierzała donikąd, bo nie mieliśmy Wojtyńskiemu niczego do zaoferowania, nie znaliśmy nikogo, kto byłby cennym zamiennikiem, kogo moglibyśmy wystawić. Po

uprzejmości prokuratora nie pozostał ślad, byłem dla niego co najwyżej przezroczysty, rzucił mimochodem uwagę, że nie powinienem się wtrącać. Zarzucił Wietesce niedopatrzenie obowiązków rodzicielskich, miał rację, mamusia zdaje się z tych niezbyt troskliwych, mój agent zbyt uporczywie hołdował zasadzie, że jakoś to będzie.

Wróciłem późno i trzeźwy, zaprzątnięty planowaniem następnych kroków.

Zakręcam kran, słyszę, jak Doris krząta się po mieszkaniu, strata czasu nie jest czymś, na co może sobie pozwolić, Doris wie, że nie mam ochoty na rozmowę, właśnie dlatego chce ją przeprowadzić, złapała mnie nagiego i słabego i zepchnęła do narożnika, taki jej styl, pielęgnuje go i udoskonala, nie dostrzega czynników, które mogłyby ją skłonić do zmiany obranego kursu. Wychodzę z łazienki, idę do kuchni, włączam ekspres. Druga kawa jest koniecznością, by przetrwać kolejny kwadrans.

Zjawia się Doris. Jest już ubrana, fryzura jak pluton piechoty na zbiórce, został jej tylko makijaż. Siada przy jadalnianym stole, zakłada nogę na nogę, jej łydki powinny być odlane w złocie i ustawione w Sèvres. Razem z resztą ciała.

– Co powiedział prawnik? – pyta.

Namysł zajmuje mi sekundę, o sekundę za długo. Powinienem wyznać prawdę, na co nie mogę sobie pozwolić. Powinienem skłamać, na co nie mam ochoty.

– Rozmowy się przedłużają – odpowiadam odruchowo. A więc wariant drugi. Muszę uważać. Doris umie odkryć kłamstwo znacznie lepiej niż inne kobiety. Mam jakieś dziwne przekonanie, że nie czepia się kontaktów z Hanią, Tolą Pasek czy innymi tylko dlatego, że jest jej to chwilowo na rękę.

– Jurek, nie mam zamiaru rozmawiać w ten sposób – gani mnie. Udaje złą, w środku jest spokojna, wie, że pokona opór. – Dlaczego ona nie chce się zgodzić na twoje propozycje?

– Jest uparta – mówię.

– To wiedziałeś wcześniej.

– Co niczego nie zmienia.

– Pracujesz z najdroższym prawnikiem w mieście. – Doris zawsze mówi „w mieście”, nigdy nie wymienia nazwy „Warszawa”. Jest w tym kompleks pozujący na wielkopański gest. „U mnie w mieście”, mówi komunikat, gdzie „u mnie” jest najważniejszą częścią. To jej miejsce, ona jest tu pretendentem do objęcia władzy absolutnej. Małe mieszkanko na Mokotowie jest etapem przejściowym, celem – trzystumetrowy dwupiętrowy apartament na ostatnim piętrze budynku Liebieskinda, gdzie kilka kondygnacji niżej mam swój, o czym Doris, chwalić Boga, nie wie. – Opowiadałeś przez tydzień, jaki jest skuteczny – kontynuuje. – Dawno powinno być pozamiatane, biorąc pod uwagę, ile mu płacisz.

– Ale nie jest.

– Bo?

Tym razem waham się krótko, Doris od dawna wie, co myśleć o mojej żonie, nie zmienią tego żadne słowa, nie na tym etapie, nic już nie popsuję.

– Bo różnimy się co do szczegółów – mówię.

– Jakich?

Milczę, bo wiem, że to test. Opanowuję chęć zaciśnięcia pięści, ruszenia do przodu, wzięcia zamachu. Zmuszam do posłuszeństwa nie tylko dłonie, również mięśnie twarzy, oczy, usta, całe ciało.

– Jakich? – drąży Doris.

– Dogadamy się.

– Pytam: ile?

– A ja mówię: dogadamy się.

Kręci głową, zamykam oczy, otwieram je, nie czekam na kolejny sztych.

– O czym rozmawiamy? – pytam.

– O twoim braku silnej woli – odpowiada.

Wstaję, odstawiam kubek.

– Chyba ci się spieszy.

– Nie aż tak bardzo. – Nadal siedzi. – Nie mów do mnie w ten sposób.

Zerkam na stojącego na biurku laptopa, pod spodem leży na wpół wypełniona walizka, są w niej moje ubrania. Doris nie znajduje czasu, by zamówić dodatkową szafę. Moje aktywa w tym miejscu sprowadzają się do komputera i pudła z plastiku, wypełnionego wymiętymi łachami. Może również paru książek, które mogę sobie odkupić.

– To się niedługo skończy – kapituluję.

Muszę zostać sam, muszę przestać słyszeć jej głos, muszę stłumić w sobie chęci, które mnie przerażają.

Doris wstaje, podchodzi do mnie blisko, pachnie pięknie, sam wybierałem perfumy.

– Kurs jest obrany, obojgu nam z tym dobrze – mówi cicho, patrzy prosto w oczy, jest w niej szczerość, stanowczość schodzi na drugi plan, na pierwszym pojawia się pozór łagodności, przynęta, która zawsze działała na mnie bezbłędnie. Doris nie ma powodu uważać, że tym razem jest inaczej.

– Wiem – przytakuję.

To jej metoda, styl i szyk. Skłonić ofiarę, by się odsłoniła, uczynić choć na moment bezbronną, i wtedy zadać cios.

– Wieczorem musimy pogadać o twojej chorobie – mówi przyjaznym tonem.

– O mojej chorobie? – pytam.

Pokazuje ręką na szafkę stojącą pod biurkiem. Leży na niej teczka, którą dostałem od Starego Lwa.

– Tam jest wszystko napisane, prawda?

Stoję jak słup, Doris całuje mnie z uczuciem, idzie do łazienki zrobić makijaż, stoję nadal zamyślony.

– Widzimy się wieczorem, nigdzie nie wychodź – słyszę po kilku minutach, gdy zdążyłem już przejść w okolice lodówki.

Każdy krok wymaga wysiłku, czuję się jak maratończyk podczas kryzysu kilometr przed metą. Trzaśnięcie drzwi powinno zmobilizować mnie do działania, zwykle tak jest, zadowolony z życia siadam do komputera, kawa pachnie, blok wypełniony odgłosami porannej krzątaniny, matki mówią podniesionymi głosami, dzieci piszczą, zgrzyta mechanizm otwierający bramę garażową, akurat pod oknem. Wyłączam się, wkładam słuchawki, puszczam coś łagodnego na początek, Metallicę albo Rammstein, jeszcze nie jestem do końca obudzony, czas na ostre dźwięki przyjdzie później.

Dziś jest inaczej, dziś stoję przy lodówce, jakby ten zwykły sprzęt miał w sobie nieodparty powab, słucham gwaru, słucham zwykłych ludzkich spraw, jestem wszędzie, mam podgląd każdego zakamarka ludzkiej jaźni, mogę o wszystkim decydować i wszystko rozsądzić. Mogę szeroko wypowiadać się na temat każdej duszy, z wyjątkiem swojej.

Nic nowego, wszyscy znają mnie lepiej niż ja sam.

Mam ochotę na drinka, robię przegląd dzisiejszych zajęć, na Wieteskę nie bardzo mogę liczyć, ma przesłuchanie w prokuraturze, właściwie jego syn ma, mój agent chce przy tym być, adwokat z górnej półki zamówiony, obiecuje, że nic poważnego stać się nie ma prawa, adwokaci z tego żyją, że obiecują wszystko, co trzeba.

Mój kalendarz jest szczelnie wypełniony, wieczorem kolacja, z której nie chcę rezygnować. Jeśli wypiję kilka szotów, do wieczora zdążę dojść do siebie, na kolację pojadę taksówką, resztę odwołam. Nie mogę sobie przypomnieć, co komu naobiecywałem, nie wiem co, nie wiem na kiedy ani w jakich ilościach, przez ostatnich kilka dni notatnik w komórce rdzewieje na deszczu, zarasta chwastami, przestaje mnie to cokolwiek obchodzić. Jest zbyt wcześnie, by dzwonić, świat korpo jeszcze nie zaczął dnia, wszyscy w samochodach albo tramwajach, już myślą o nadchodzących godzinach, prezesi na telefonach albo na lotniskach, centrale chcą raportów, chcą sukcesów, chcą zwyżek cen akcji, by mieć dla siebie na premie.

Równo pół godziny po wyjściu Doris pakuję laptopa i teczkę z badaniami do torby, nie zapominam o słuchawkach, zakładam koszulę i spodnie, domykam walizkę, biorę ją również, rozglądam się, wychodzę. Jadę przez Warszawę, wyszedłem za późno lub za wcześnie, korki największe, słucham najnowszej płyty Black Label Society, bardzo ładnie facet gra na gitarze i równie dobrze śpiewa, chciałbym wyglądać tak jak on, ale broda nie chce rosnąć, a motocykli nie lubię. Płyta się kończy, cierpliwość jeszcze nie, komputer odtwarza kawałki nagrywanego przeze mnie przed dwoma dniami audiobooka, słucham z nieoczekiwanym zainteresowaniem, zagłębiam się we własny głos, w końcu dojeżdżam, taszczę bagaże na górę, wchodzę do mieszkania, w końcu czuję się jak u siebie. Włączam ekspres, ochota na alkohol jakoś mi przeszła, choć czasem lubię pić rano. Rozglądam się, jakbym był w tym miejscu pierwszy raz w życiu. Mieszkanie służy mi jako garsoniera, ale jest w pełni wyposażone, szafa pełna ubrań, siedem albo osiem par butów, wszystko, co trzeba. Jest nawet biurko i fotel, oba meble chyba do tej pory nieużywane, zawsze najbardziej przydatne okazywało się łóżko, albo dywan, jak ostatnio z Hanią. Widzę plamę po winie, nawet czuję resztki zapachu, otwieram wszystkie okna. Dziewiąta, można dzwonić.

– Dzień dobry, panie Jakubie – mówię.

Patrzę na ulicę, mały ruch, mało ludzi, małe sklepiki, niewiele takich enklaw w Śródmieściu.

– O, witam pana. – Tyszkiewicz sprawia wrażenie ucieszonego. W jego fachu udawanie jest równie ważne, co oddychanie. Może źle go oceniam, może wcale nie udaje, może cieszy się, że dzwonię, zawsze wolał rozmawiać ze mną niż z Wieteską. – Jeszcze nie zdążyliśmy przygotować umowy z Chińczykami… – zaczyna się tłumaczyć.

– Ja nie z tym – przerywam mu. – Kwestię umowy proszę negocjować z Wieteską. Chciałbym pogadać o audiobooku.

– Chwileczkę. – Słyszę, że szuka czegoś w komputerze. – Produkcja mówi, że idzie dobrze i że skończycie w przyszłym tygodniu.

Zamykam oczy. Powieść mającą stanowić wielki finał sagi o współczesnym oddziale Wojska Polskiego przeniesionym w czasy drugiej wojny światowej skończyłem z niejakim trudem. Nie miałem ochoty tego pisać, uważałem sprawę za zamkniętą, jednak czytelnicy domagali się kontynuacji, wydawca domagał się kontynuacji, moje dzieci domagały się kontynuacji. Napisałem w końcu coś, co uważam za znośne, nawet nieźle się bawiłem, o ile można tak powiedzieć o eksploatowaniu pomysłu, który wydawał mi się wyeksploatowany do cna. Równoczesna premiera na wszystkich nośnikach ma się odbyć za dwa tygodnie. Miasto oblepione banerami, nie zejdziesz do metra, żebyś nie zobaczył faceta we współczesnym mundurze, strzelającego do gestapowca, żebyś nie przeczytał, że czeka cię najgorętsza premiera roku, że wkrótce wejdzie na ekrany długo oczekiwany film, że będziesz szczęśliwy, jeśli wydasz na książkę te głupie czterdzieści złotych, w oczekiwaniu na kinową ucztę. Może rzeczywiście jestem coś winien czytelnikom, a zwłaszcza słuchaczom.

– Zmieniłem zdanie – mówię. – Chciałbym, żeby czytał ktoś inny.

Milczenie.

Doskonale rozumiem tę ciszę. Jest w niej oczywiście zaskoczenie, może gniew pomieszany z rozbawieniem, na pewno satysfakcja. Długo forsowałem swoją kandydaturę na lektora. Tyszkiewicz przekonywał mnie, że mają do dyspozycji najlepsze głosy, mogę wybrać dowolnego aktora, największe gwiazdy czekają w kolejce, by dostąpić zaszczytu czytania moich książek, są gotowe na zmniejszenie stawki, byle tylko dotknął je ten honor. Ja upierałem się przy swoim, nie groziłem, Wieteska popierał mnie, bo nie mógł inaczej, choć prywatnie próbował mnie skłonić do zmiany zdana. W odpowiedzi zaklinowałem się w pozycji „naprzód”, rzadko mi się to zdarza, w tym wypadku blokada okazała się totalna, Tyszkiewicz w końcu odpuścił, data premiery zbliżała się szybko, wszedłem do studia i bawiłem się dobrze,

choć spędzanie kilku godzin dziennie na czytaniu okazało się męczące, podczas sesji wypijałem dwa litry wody, Tola Pasek była zbawieniem trzymającym mnie przy życiu. Realizator robił, co mógł, Tola uśmiechała się miło, udostępniała mi w wolnych chwilach swe ponętne ciało, szło nam dość wolno, ale okazałem się systematyczny, termin nie był zagrożony.

– Co się stało? – pyta.

– Panie Jakubie, znamy się długo, co by pan powiedział, żebyśmy w końcu przeszli na „ty”?

– Z przyjemnością – odpowiada. – Jestem Jakub.

– Jurek – kończę telefoniczny bruderschaft, po czym wracam do tematu. – Uważam, że źle to wychodzi.

Znowu milczy, nadal doskonale go rozumiem.

– Myliłem się – ciągnę. – To robota dla zawodowca.

– Co się stało?

– Słuchałem rano fragmentów na świeżo. Ty wiesz, że to gówno, a ja wpadłem na to dziś rano. Obaj tego nie chcemy. Przepraszam.

Śmieje się, chce obrócić wszystko w żart, za co mu chwała. Takie rozmowy nie są łatwe, można naruszyć równowagę pomiędzy rynkową pragmatyką a rozdętym ego przereklamowanego autora. Ale ja dzisiaj mocno w siodle, nie sposób mnie z niego wysadzić, mam pancerną skórę, zniosę każdą obelgę, zaczynam dopuszczać myśl, że to nie ego przeszkadza światu w zrozumieniu mnie.

– Nie będzie łatwo załatwić dobrego lektora od razu.

– Wiem. Możemy przełożyć premierę.

Obaj wiemy, że to nie takie proste. Główna strona serwisu od kilku tygodni trąbi o monumentalnym zakończeniu najsłynniejszej polskiej sagi heroicznej. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi czeka w dołkach startowych, nawet, zdaje się, ruszyła przedsprzedaż, słuchacze powpłacali pieniądze, jakby musieli rezerwować sobie miejsce na serwerze, dziwne, że w dzisiejszych cza-

sach ktoś się na to nabiera, a jednak, książka, której nie ma, po sześciu godzinach weszła na pierwsze miejsce listy sprzedaży.

– Spróbuję.

– Przepraszam – powtarzam, starając się, by zrozumiał, że naprawdę mi przykro.

– Nie ma za co.

– Zwrócę koszty studia – deklaruję.

Tym razem milknie na dłużej, bo nie spotkał się z taką sytuacją. Jestem idiotą, każąc samemu sobie płacić za własne błędy. Tyszkiewicz nie spotyka na swej drodze zbyt wielu idiotów, dzisiejszy ranek musi być dla niego niezwykły.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Nalegam. Chcę oczyścić sytuację do spodu.

– No, skoro nalegasz – śmieje się, jest w tym może jakaś sympatia, raczej jednak lekka pogarda, on nigdy by tak nie postąpił, a na pewno nie pokazywał odsłoniętego podbrzusza.

– Dołóż te pieniądze gwieździe do honorarium. Dodatek za ekspres.

– Dobrze.

– Daj znać ile.

– W porządku.

– I nie mieszajmy do tego Wieteski.

– Oczywiście.

– Aktor ten, co poprzednio?

Pierwszych pięć tomów czytał gwiazdor, ludzie kochają jego głos i interpretację, jednym z argumentów Tyszkiewicza był fakt, że słuchacze nie znoszą, by cykl czytały inne głosy. Byłem jak zaimpregnowany.

– Zaraz powiem produkcji, żeby się z nim skontaktowali. Ale może być trudno.

– Znajdź coś, czego chce, i daj mu to.

– Dziękuję za radę.

– To ja dziękuję za zrozumienie. Cześć.

Otwieram laptopa, podłączam kabelki, łączę się z routerem, czuję się dobrze, dawno nie odczuwałem takiej satysfakcji z prostych czynności. Odkrywam, że chcę powrotu do prostych spraw i prostych odruchów, odkrycie na miarę nowej planety, jestem geniuszem, Einsteinem literackich peryferii w kraju, w którym dwie trzecie obywateli nie tknęło żadnej książki i, zdaje się, nie ma najmniejszego zamiaru zmieniać tego stanu.

Piszę „Wiosnę”, ale po dwóch akapitach zamykam plik. Otwieram nowy projekt, muszę go jakoś nazwać, na razie ma tytuł „Autora duszy granie”, co mnie nieustannie bawi, na kursach kreatywnego pisania zwalczam takie pomysły na równi z zaimkami i stroną bierną. Cóż jednak poradzę: słowa płyną, samo się pisze, psychologiczne wygibasy, pot, łzy i męka, proza ambitna, sam miód i kreacja, nigdy nie wierzyłem, że wena istnieje, a tu proszę, wena pożarła mnie w całości, monstrum silniejsze ode mnie.

Dzwoni telefon, zrobiło się południe, słońce świeci, napisałem dwa i pół tysiąca słów, co za ulga, chwacko zbliżam się do mety.

– Mów – rzucam do mikrofonu.

– Na razie zamknęli go na cztery osiem – chrypi Wieteska.

– Można się było spodziewać.

– Prokurator wystąpił do sądu o tymczasowe zatrzymanie na miesiąc – dodaje.

Powstrzymuję się od wyrazów współczucia.

– Kiedy będzie decyzja?

– Sąd ma wydać postanowienie jutro.

– Kto prowadzi sprawę?

– Jakiś pajac tuż po studiach. Gorliwiutki chujek.

– Wojtyński był?

– Wpadł na chwilę. Nie był takim złamasem jak wczoraj, powiedział na offie, że będzie przyglądał się sprawie. Że jak się da, nie będą się upierać

przy dojebaniu mu. Mieli oko na kogoś innego. Na dilera gwiazd. Mój synalek dostał rykoszetem.

Diler gwiazd. W środowisku, w którym teoretycznie się obracam, jest człowiek, który załatwia wszystkim wszystko. Towar pierwszej jakości, prosto z Kolumbii na przykład, jak ten u Wieteski kilka dni temu. Spotkałem faceta kiedyś. Dwa fakultety, trzy języki, gładko ogolony, garnitur ręcznie szyty, ma dwóch ochroniarzy wielkości szaf gdańskich, których pokazuje wszem i wobec. Co jest śmieszne, bo jeśli chciałby go zdjąć zawodowiec, poradziłby sobie i z pięcioma takimi, kwestia wyszkolenia i planowania.

– Co mówi mecenas?

– Że zna szefa Wojtyńskiego i pogada z nim. Że sprawa jest do ugrania. Na razie martwi mnie ten tymczasowy areszt.

– Pójdzie na dołek dla młodocianych.

– To wielka różnica, czy przecweli go rówieśnik, czy dorosły, rzeczywiście.

– Dowiedz się, gdzie go posadzą. Spróbujemy dotrzeć do strażnika.

– Powinniśmy dotrzeć do kogoś, kto tam rzeczywiście rządzi.

Ma rację. Obaj jesteśmy dyletantami, nasze związki z wymiarem sprawiedliwości sprowadzają się do wręczania łapówek za jazdę zbyt szybką lub pod wpływem. Ale wśród moich czytelników są naprawdę różni ludzie. Skrzynka na fejsie zapchana deklaracjami wszechstronnej pomocy w każdej dziedzinie. Gdybym ogłosił, że chcę polecieć w kosmos, ekipa do zbudowania rakiety zebrałaby się w godzinę.

– Daj znać.

– Widzimy się u Szumskiego.

Nawet się nie zastanawiam.

– Odwołaj – mówię. – Obaj nie jesteśmy w nastroju.

Słyszy coś w moim głosie.

– Jest okej? – pyta.

– Jest okej. Odwołaj.

– Dam znać.

Odkładam aparat.

Czuję, że muszę się ruszyć, wyjść na otwartą przestrzeń. Zakładam dres i buty do biegania, pika esemes od Hani, martwi się o mnie, przy okazji daje do zrozumienia, że mimo awarii jej się podobało, patrzę na plamę po winie i przypominam sobie złote sandałki, impuls przebiega przez mój skołatany mózg, pytam ją, czy może teraz, odpowiada, że może za dwie godziny, zapraszam ją. Pogwizdując, schodzę na dół, słuchawki na uszy, Slipknot nie bierze jeńców, podkręcam głośność, zaczynam biec. Pora jest idiotyczna, spaliny i wrześniowy upał, ale mnie to nie przeszkadza, po kwadransie truchtania docieram do parku Ujazdowskiego, zwiększam tempo, naprzeciw śliczna dziewoja, dresik opięty, cud anatomii, mój Boże, życie jest za krótkie. Uśmiecham się odruchowo, dziewczę odpowiada, mijamy się, zaraz następna kobieta, starsza, figura czterdziestolatki z ambicjami, włosy w idealnym sportowym nieładzie, wymieniamy spojrzenia, krokomierz podpowiada, że mam na liczniku trzy kilometry, zdyszany i spocony, ale nadal czuję się dobrze, szaleńcy ze Slipknota atakują.

Nagle padam.

Ból pojawił się znikąd, bez przygotowania, w niespotykanym dotąd natężeniu. Czaszka eksploduje, oczy wypadają, chyba jęczę, może bełkoczę, możliwe, że ślina cieknie mi z ust. Czuję pod palcami ostry żwir pokrywający ścieżkę, jest mi niewygodnie, nagle zaczynam marznąć, zamarzam na śmierć, trzęsę się, jęczę, słyszę krzyk, kilka głosów, damskich, choć możliwe, że się mylę. Ból dał sobie spokój z igłami, dziś używa dziesięciocalowych hufnali, które wcześniej włożył do pieca hutniczego. Biały, może lekko pomarańczowy, ale głównie biały jest dziś ból. I kwaśny, nigdy nie miał aż tak ohydnego, piekącego posmaku.

– O Boże, niech ktoś wezwie karetkę – słyszę głos.

Patrzące z poziomu żwiru oczy rejestrują, że pochyla się nade mną dziewoja, którą przed chwilą minąłem, dekolt głęboki, głos lekko zatroskany,

spojrzenie odrobinę współczujące. Dziewoja nie wie, co zrobić, wyciąga komórkę, wybiera numer. Klęka nade mną czterdziestolatka. Nie ma w sobie nic z improwizacji, łapie mnie za przegub, sprawdza puls, potem patrzy w oczy.

– Słyszy mnie pan? – pyta, a mnie jej głos kojarzy się z matczyną troskliwością.

To pani konkretna, przez co pozbawiona złudzeń, może mąż ją rzucił dla młodszej, ze dwoje dzieci, prawie odchowanych, wygląda dobrze, może jeszcze ktoś się nią zainteresuje, ale nie jest to dla niej priorytet, zna swoją wartość, nie uważa życia za wiecznie otwarte okno wystawowe, giełdę towarów szybkozbywalnych. Może zresztą się mylę, może jest singielką z wyboru, zmienia facetów jak rękawiczki, może jest szczęśliwą mężatką albo lesbijką bez zobowiązań, co mnie to obchodzi, za dużo myślę o nie swoich rzeczach, jakbym był jakimś autorem głębokim.

– Słyszę – odpowiadam. – Mam atak migreny.

Chyba mnie zrozumiała, bo kiwa głową, nadal patrząc mi w oczy, ładna jest, lekkie piegi dodają jej uroku, twarz myśląca.

– Jestem lekarzem – oznajmia.

Dziewoja o idealnej figurze rezygnuje z dzwonienia gdziekolwiek, przygląda mi się intensywnie, na twarzyczce olśnienie, poznała mnie, celuje obiektywem, szuka ujęcia, pstryka jedną fotkę, drugą, trzecią, zaraz wyląduję na Instagramie, czy gdzie tam się teraz ląduje w takich sytuacjach.

– Ej – mówię silniejszym głosem.

Dziewoja kiwa głową, jakby podzielała moje zdanie, lekarka patrzy na nią z odrazą, komórka ląduje w kieszonce tuż pod wydatnym biustem, dziewoja odwraca się, biegnie, tyłek jej się mało nie urwie, pomyliłem się, z przodu wygląda dużo lepiej niż z tyłu, zostajemy sami z lekarką.

– To nie wygląda na atak migreny. Zdarzało się panu wcześniej coś takiego? – chce wiedzieć pochylona nade mną samarytanka.

– Nie aż tak – mruczę. Mam wrażenie, że hufnale zwolniły nieco ruch do przodu, może zdążyły ostygnąć. Wyciągam z kieszeni ketonal, łykam, pani doktor nie protestuje. – Jestem pod kontrolą lekarza – wyjaśniam, bo jakoś podoba mi się jej troska, nawet jeśli to tylko profesjonalny odruch.

Próbuję wstać. Świat kołysze się, horyzont ucieka, twarz samarytanki szarzeje, kładę się na chwilę, oddycham głęboko, czuję ten cholerny żwir, ciepło bijące od ziemi, ponawiam próbę. Stoję, chwieję się, ale świat nabrał stabilności, horyzont na swoim miejscu, pani doktor ma już twarz wyraźną. Ból cofa się, sam z siebie, ketonal nie zdążył jeszcze zadziałać.

– Mieszka pan niedaleko? – pyta. – Odprowadzić pana?

– Dziękuję, nie chcę sprawiać kłopotu – odpowiadam, głos wraz z resztą mnie pomału wraca do żywych, mówię wyraźniej.

Stoję, zdrapuję z kolan kamyczki, wdycham powietrze. Po ataku zimna nie ma śladu, teraz mi dla odmiany za gorąco.

– Nie sprawia pan – zapewnia.

– To chodźmy – decyduję.

Opuszczamy park, chodnik idealnie równy, duży ruch, reprezentacyjne miejsce Warszawy, z wyciem przejeżdża kolumna rządowa.

– Mam tętniaka, stąd bóle głowy – mówię, choć towarzyszka wcale nie narzuca się z pytaniami.

– Poważna sprawa – komentuje. – Ale szanse operacyjne są znacznie większe niż kiedyś.

– To samo mówi profesor Kurcewicz.

– Znam profesora Kurcewicza – odpowiada. – Jest pan w bardzo dobrych rękach.

– Dziękuję.

Naprawdę jakoś mi lżej, choć nie znam tej kobiety, nie wiem, czy to prawda, że jest lekarzem, czy jej opiniom można ufać.

– Po operacji bardzo ważny jest spokój i dobra opieka.

Śmieję się, przypominam sobie asystentkę Starego Lwa.

– Och, u profesora w klinice nie można narzekać na deficyty troskliwości.

– Mówię raczej o tym, co dzieje się po wyjściu ze szpitala. Zapewne czeka pana rehabilitacja. Życie musi zwolnić.

Myślę o Doris jako opiekunce i robi mi się zimno. Chłodna kalkulacja podpowie jej, że opłaca się krzątać wokół mnie, ale będzie to krzątanina podobna do zabiegów ogrodnika podlewającego jabłonkę. Sensem istnienia jabłonki jest dawanie owoców, żadna empatia nie jest nikomu potrzebna, a na pewno nie ogrodnikowi.

Pani doktor coś dostrzega w mojej twarzy, bo jej rysy przez sekundę ściągają się smutkiem. Rozumie mnie, pewnie jednak jest żoną porzuconą dla młodszej.

Wyciągam dłoń.

– Jerzy Grobicki – mówię miękko.

– Maria Czerska – odpowiada.

Jest naprawdę urodziwa, ma raczej mniej niż czterdzieści lat, mądrość w oczach i szary markowy dres wypełniony biodrami w takim stopniu, jak trzeba.

– Muszę wracać.

– Poradzi sobie pan?

– Tak. Chciałbym bardzo podziękować za pomoc. Może pozwoli się pani zaprosić na kawę? Jeśli będzie pani miała ochotę, oczywiście.

Patrzy na mnie, ocenia, szuka drugiego dna, choć może pierwszego, diabli wiedzą w dzisiejszych wyzwolonych czasach. Waha się, ale to też mi się w niej podoba.

– Lepiej nie – mówi w końcu.

– Jak pani uważa – ukrywam rozczarowanie.

Ból cofnął się do połowy dystansu, kąsa z daleka, bez przekonania, będzie ćmić do wieczora, ale pozwoli żyć. Zmienił się – atakuje mocno, ale

krótko. Może tak jest przed ostatecznym szturmem, po którym tylko ciemność.

– Do widzenia – mówi moja nowa znajoma i uśmiecha się leciutko, samymi oczyma. – Pańska ostatnia książka nie zachwyciła mnie. Poprzednich kilka było świetnych, ale teraz zaczyna pan wpadać w rutynę.

– Nie mam innego wyjścia – mówię z nieoczekiwaną szczerością. – Muszę pisać dużo i szybko.

– Współczuję.

Odwraca się, kołysze biodrami, robi to oczywiście specjalnie, chodzi jak modelka, stopy w jednej linii, po chwili zaczyna biec. Spoglądam na zegarek, do przyjścia Hani pozostało pół godziny, idę szybkim krokiem, myśląc o Marii Czerskiej i jej odmowie, bardzo mnie cieszy, że są jeszcze kobiety, które nie rzucają się na faceta przy pierwszym mrugnięciu.

Wchodzę do mieszkania, prysznic, drink, ból śpi tak głęboko, że słychać chrapanie, nie będę się tym martwił. Tyszkiewicz informuje mnie esemesem, że gwiazdor zgodził się czytać książkę, stawka wyższa, ale bez szaleństw, niemal zaczynam gwizdać, gdy widzę, jak wysoką stawkę pan prezes winszuje sobie za studio, obietnica to obietnica, wysyłam przelew, świat bywa naprawdę znośny.

Przychodzi Hania, tym razem ma na sobie dżinsy i lekką bluzkę, rozbieram ją już w korytarzu, konsekwentnie trzyma się zasady nienoszenia bielizny, jestem dziki, jestem zły, mam ogromne kły, a konkretnie jeden gotowy do akcji kieł, ból definitywnie odchodzi w niebyt, Hania daje maksymalną moc, ja też, mogę całkiem dużo, gdy mam dobry dzień, ona krzyczy tak, że powinienem zamknąć okno, ma gładką, brzoskwiniową skórę, włosy aksamitne, ambitna jest, a przy tym potrafi milczeć, gdy już leżymy bez tchu, tym razem w łóżku. Leżymy i leżymy i nam dobrze, myśli krążą leniwie, ma instynkt mała, mówiłem już, że daleko zajdzie, byle tylko nie próbowała pisać.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówi Hania, gdy puls wraca do normalnego poziomu, a słońce pokonuje pokaźny odcinek dziennej wędrówki.

– Wszystko, co chcesz – mruczę, nagle senny.

Jestem wdzięczny tej dziewczynie za jej dzisiejszą aktywność, za jej młodość i energię, pogodę ducha, milczenie i biegłość w świntuszeniu.

– Jest taki chłopak… – zaczyna i nagle rumieni się, prawdziwym, naturalnym rumieńcem wstydu.

Ogarnia mnie fala ciepła. Przytulam ją.

– Hania – mówię. – Bardzo się cieszę.

– Naprawdę? – Ona też cieszy się jak dziecko, którym właściwie jeszcze jest. – Nie jesteś zły?

– Odwrotnie. Chcę, żebyś miała w życiu jak najlepiej. Tylko uważaj. Dzisiaj niełatwo o chłopaka, który wiedziałby, co i jak.

Wzdycha tak głęboko, że robi mi się jej żal. Mam na pewno łatwiejsze życie od niej, mimo jej urody i młodego wieku, w którym wszystko jest możliwe, a na pewno wydaje się możliwe.

– Pisarka ze mnie żadna – wyznaje. Próbuję protestować, Hania macha ręką, ma na twarzy wyraz dojrzałego skupienia. – Przestań, przestań. Wiem, że chcesz być miły, ale to, co piszę, jest do dupy. Poszłam na kurs, bo jesteś sławny i w ogóle, ale myślałam przy tym, że może się czegoś nauczę i będę mogła zająć czymś konkretnym, bo z chłopakami… – Wzdycha jeszcze głębiej. – Nie to, że oni się nie nadają, rozumiesz? Ich nie ma. Ich, kurwa, w ogóle nie ma, choćbym nie wiem gdzie szukała. Synki na mamusinym cycku, geje albo jacyś metroseksualni jebusie z wydepilowanymi klatami, jak nie zaczną dnia od latte ze starbunia, to jakby nie żyli. Jak już któryś coś mniej więcej, to może się spotkać raz, maks dwa razy w tygodniu, bo sobie na lotni musi polatać, na bungee skoczyć, kanioning pouprawiać, do mamusi na obiad pójść. Rozpacz, mówię ci. W moim targecie faceci wyginęli jak dinozaury. No i trafił się jeden, co odprowadzi, przepuści w drzwiach, przed

bzykaniem do teatru zaprosi. A jeszcze wygląda jak człowiek i nie gada za dużo.

– Nie gada za dużo – mówię z rzetelnym podziwem, bo to dziś towar rzadki. Jezu, dziewczyno, jak ja cię rozumiem.

– Tylko na temat, czasami w ogóle nic – przytakuje Hania.

– Trzymaj się go, już choćby z tego powodu.

Chichocze, ma prawidłowo ustawione poczucie humoru, również na własny temat. Wprawia mnie w pewien smutek fakt, jak nietrafnie ją oceniłem.

– Będę musiała się zbierać.

Wyobrażam sobie, co będzie, gdy ona opuści te mury, robi mi się naprawdę smutno. Dziś jak mało kiedy potrzebuję towarzystwa kogoś sensownego. Hania wyskakuje z łóżka, słońce podświetla ją jak rzeźbę w muzeum, nie spieszy się z szukaniem garderoby, daje się nacieszyć widokiem, od którego starcom w moim wieku grozi zawał. W końcu jednak wciąga dżinsy, zakłada bluzkę, czesze się zmysłowo, całuje mnie na do widzenia.

– Szczęściarz ten twój chłopak – informuję ją, oparty na łokciu.

– Mówię mu to trzy razy dziennie – odpowiada, uśmiecha się po raz ostatni, po czym znika z mojego mieszkania i życia.

Wciągam powietrze, zapach jej ciała i niezbyt kosztownych, ale świetnie dobranych perfum łaskocze nozdrza, robi mi się naprawdę smutno, jestem naprawdę sam, ściany nic nie mówią, meble melancholijne zupełnie jak ja, patrzę na mieszkanie zupełnie nowym okiem, myślę o nim inaczej niż dotychczas. Dzwoni telefon, nie odbieram, pikają esemesy, nie odczytuję, leżę pod kołdrą wpatrzony w sufit. Słońce biegnie po nieboskłonie, chyba robi się późno, w końcu wstaję, biorę do ręki telefon. Pierwszy esemes od Nancy: „Może jutro wieczorem? Dziś nie mogę, przepraszam”. Odpisuję, że jak najbardziej, bardzo mi to na rękę. Druga wiadomość i nieodebrane połączenie od wydawcy, mam się bardzo pilnie skontaktować. Mieliśmy się

spotkać, prosiłem Wieteskę, żeby odwołał, może zapomniał, a może to naprawdę coś ważnego.

– Cześć, Jerzy – mówi Henryk Szumski.

– Witam mojego ulubionego wydawcę – odpowiadam. – Dzwonił do ciebie Wieteska?

– Dzwonił, ale nic nie powiedział, jak nie on. Brzmiał, jakby przed chwilą zszedł z krzyża i wybierał się na niego z powrotem. Chyba po to dzwonił.

– Małe zawirowanie – mówię. – Mam nadzieję, że szybko minie. Mów, co jest.

– Gardan chce zmian.

Wszyscy czegoś ode mnie chcą. Jedno z największych europejskich wydawnictw najwyraźniej nie stanowi wyjątku. Zdecydowali, że zakupią prawa do wydania trzech pierwszych powieści z cyklu wojennego. Chcą zrobić solidną reklamę, chcą zorganizować serię spotkań autorskich, chcą pokazać, że pisarz ze Wschodu też potrafi pisać prozę gatunkową, która trafia do ludzi Zachodu. Są tym wyjątkiem, o którym wspominałem wcześniej.

– Niech zgadnę. – Rozsiadam się wygodnie w fotelu. – Nie podoba im się niedocenianie roli kulturowej i cywilizacyjnej Wehrmachtu i Waffen SS na wschód od Odry. Albo chcą, żebym zamienił Niemców na nazistów. Albo żebym pokazał masowość oporu zwykłych Niemców przeciw Hitlerowi. Albo wszystko naraz.

– Nawet nie, choć podejmowali takie próby. Powiedziałem, że nigdy się nie zgodzisz, bo musiałbyś napisać nową książkę, na co nie masz ochoty, a zresztą na pewno nie będziesz widział powodu.

– Więc?

– Główny bohater ich zdaniem jest rasistą, homofobem, a przede wszystkim seksistą.

Robi mi się wesoło. Dawno nie czułem tak dużego przypływu dobrego humoru. Świat wydaje się piękny, mimo że ból do końca nie minął, czekają

mnie jeszcze co najmniej dwie bardzo poważne rozmowy, a pracy mam tyle, że nie wiem, który projekt powinienem traktować jako priorytet.

– Bo przepuszcza kobietę w drzwiach? – pytam.

Szumski stara się zachować powagę.

– Gorzej. Traktuje ją dobrze nie dlatego, że jest kobietą, tylko dlatego, że ją kocha i że uważa ją za mądrą.

– Poważnie? Tak powiedzieli?

– Literalnie. Uważają, że różnicowanie kobiet według przymiotów umysłowych jest przejawem seksizmu. I dyskryminacji.

– Czego to się człowiek o sobie nie dowie.

– To nie wszystko. Zbyt często podkreślasz, że bohaterka jest ładna.

– Przestań – prycham.

– Jestem śmiertelnie poważny. Poczekaj, przeczytam ci… O, jest. Napisała Jane Columbus, redaktorka prowadząca: „Ukazywanie bohaterki przez pryzmat urody i inteligencji jest dla niej poniżające. Gdyby przyjąć ten punkt widzenia, kobiety o niefilmowej fizyczności i mniejszych walorach umysłowych byłyby ludźmi niepełnowartościowymi, co jest poglądem zdecydowanie niezgodnym ze standardami przyjętymi w naszym wydawnictwie”. Może nie dość dobrze znam angielski, pewnie nie jest to najdokładniejsze tłumaczenie, ale sens zachowałem.

– Przyślij mi tego maila.

– Jasne.

Milczymy przez chwilę. Nadal czuję w powietrzu obecność Hani. Postanowiłem do wieczora nigdzie nie wychodzić. Nalewam sobie drinka, proporcje wódki do soku pomidorowego w wersji dla dorosłych. Nie muszę się niczym ograniczać.

– Co ty na to? – pyta ostrożnie.

Jest w bardzo niezręcznej sytuacji. Mamy podobne poglądy na wiele spraw. Z drugiej strony Szumski w razie podpisania kontraktu z Gardanem będzie pobierał dziesięć procent mojego honorarium od każdego sprzedane-

go egzemplarza. Gardan ma oddziały w całym świecie anglosaskim, w Stanach jest graczem pierwszoligowym, w Europie rządzi i dzieli.

– Kiedy masz coś odpowiedzieć?

– Nie określili daty.

– Muszę się z tym przespać – mówię.

– Cieszę się, że nie podejmujesz decyzji od razu – odpowiada Szumski.

– Zmiany wymagałyby co najmniej dwóch miesięcy pracy – zastrzegam. – Nie chodzi o kosmetykę w kilku scenach.

– Wiem. Trzeba rozszywać wątki i szyć je na nowo, zmieniać monologi wewnętrzne…

– Nie jestem pewien, czy mi się chce.

– Zastanów się. Jak idzie „Wiosna”?

– Według planu – kłamię pewnym tonem.

– Dobrze słyszeć. Jutro zadzwonię.

– Czekam.

Bez nacisku, bez nerwów, bez zbędnej argumentacji. Znamy się od lat, od pierwszej książki. Szumski założył wydawnictwo w połowie lat dziewięćdziesiątych, długo pracował na pozycję, jako jeden z pierwszych zaczął stawiać na polskich autorów, jako jeden z pierwszych zaczął dobrze na tym wychodzić, jako jeden z pierwszych zaczął płacić godziwe stawki i inwestować spore pieniądze w marketing. Zgłosiłem się do niego, zaryzykował, wydał nie bardzo umiejącego pisać debiutanta, bo dostrzegł w nim potencjał, odwdzięczyłem się książkami dostarczanymi punktualnie co dwanaście miesięcy. Szumski wie, że termin dla mnie rzecz święta, nawet dziś, kiedy naprawdę nic nie muszę. Na najnowszą powieść nie podpisaliśmy jeszcze umowy, datę oddania tekstu ustaliliśmy przez telefon, co nam obu wystarczy.

Znowu leżę i patrzę w sufit, kolejny drink krąży w żyłach, od dawna alkohol tak dobrze nie smakował, nie pomagał tak precyzyjnie myśleć. Ukła-

dam listę rzeczy do zrobienia, punkt po punkcie, sporo tego jest, tylko mała część związana z pisaniem. Dzwonię.

Stary Lew znów ma dla mnie czas.

– Dzień dobry, mistrzu – mówi wesoło.

– Witam światową sławę neurochirurgii – rewanżuję się.

Śmieje się. Stary Lew umie docenić ciętą ripostę, nawet jeśli jest cięta siekierą.

– Co pana do mnie, że tak powiem, sprowadza?

– Krótkie pytanie: możemy zmienić termin operacji?

– Odradzam. Trzeba ją przeprowadzić jak najszybciej.

– Źle mnie pan zrozumiał. Chciałbym ją przeprowadzić jak najszybciej – kładę akcent na ostanie dwa wyrazy.

Niepokoi się.

– Co się stało?

– Dziś rano byłem w parku… próbowałem biegać. Miałem jakąś zapaść. Upadłem. Nigdy jeszcze głowa mnie tak nie bolała.

– Ból za okiem?

– Za dwoma. Jakby ktoś je dźgał rozpalonym żelazem.

– Panie Jerzy… – Waha się. – Zobaczę, jak wygląda grafik zabiegów. – Słyszę szelest kartek, Lew coś mruczy, jest staroświecki, terminy operacji ma zanotowane w papierowym kalendarzu, zawsze wszystko zapisuje osobiście, zawsze niebieskim długopisem, zawsze bardzo starannie. Stary Lew jest jedynym znanym mi lekarzem, który nie wymaga od czytających zatrudnienia grafologa. – Na pewno nie powinien pan biegać – mówi w międzyczasie. – O, mam. Pański zabieg zaplanowany jest na wtorek. Dziś mamy czwartek. Od biedy mógłbym pana wcisnąć na jutro, tyle że zaraz potem mamy weekend.

– Rozumiem – odpowiadam, choć Lew nie zadał żadnego pytania. W sobotę i niedzielę połowa załogi ma wolne. Na dyżurze jest dwóch znudzonych lekarzy. W razie komplikacji mogę liczyć tylko na opatrzność bo-

ską i na to, że Lew będzie w pobliżu, na tyle mało pijany, żeby móc interweniować. – Może jednak zostaniemy przy wtorku.

– Chyba tak będzie najlepiej.

– Dobrze, poczekam.

– Panie Jerzy – Stary Lew zniża głos, jakbyśmy byli starymi konspiratorami – niech mnie pan uważnie posłucha. Wiem, że żądam rzeczy bardzo trudnej, domyślam się, jak wygląda pański dzień, jest pan z pewnością bardziej zajętym człowiekiem ode mnie, choć ja nie narzekam na nadmiar wolnego czasu. Ale musi pan, podkreślam, musi pan zwolnić, rozumiemy się? Niech pan to potraktuje jak oficjalne lekarskie polecenie: prowadzić jak najspokojniejszy tryb życia. Zrezygnować ze wszystkiego, co stresujące. Również z aktywności fizycznej, nawet seksualnej. Żadnego alkoholu, żadnych używek. Proszę dużo spać, relaksować się, pooglądać seriale, cokolwiek. Świat się nie zawali, jeśli pan odpuści na dwa tygodnie.

– Nie bardzo sobie mogę na to pozwolić – protestuję niemrawo. – Może nie muszę pisać, ale na pewno nie mogę przeleżeć najbliższych dni w łóżku.

– Niech pan nie żartuje – mówi Lew, a w jego głosie brzmią nuty, których dotychczas nie słyszałem. – Ma pan taką pozycję, że może pan tego wszystkiego odmówić swoim partnerom, a oni będą grzecznie czekać, aż gwiazda zechce się odezwać ponownie i wyznaczyć nowe terminy. Zawali pan oddanie książki o kilka tygodni? No to co? Rynek się na pana obrazi? Bez żartów, panie Jerzy. Obaj wiemy, na jakim świecie żyjemy. Tacy jak my wyznaczają trendy, nie odwrotnie.

Zaczynam rozumieć, jakim sposobem Stary Lew doszedł do majątku. Jest znacznie mądrzejszy i cwańszy, niż wskazywałby na to obnoszony na co dzień *image*. Proponuje mi nową rolę: Jerzy Grobicki, trendsetter. Interesujące. Nigdy w ten sposób o sobie nie myślałem, może czas zacząć. Może rzeczywiście jestem już w takim wieku, że czas zacząć.

– To nie takie proste – nadal protestuję, bardziej pro forma. – Dobrze się sprzedaję, ale nadal muszę machać nóżkami. Produkuję dobra szybkozbywalne. Jestem coca-colą rynku wydawniczego.

– Niech pan tak nie mówi, bo w gruncie rzeczy obraża pan sam siebie i wysiłek, który pan w to wszystko włożył. Ja również muszę co chwila wymyślać coś nowego, choćby nowe opakowania starego produktu, a nigdy bym się tak nie nazwał. Wracając do tematu: dwa–trzy tygodnie to nie rok czy dwa. Nikt o panu nie zapomni.

– Ma pan rację – poddaję się, bo Stary Lew ma rację. – Widzimy się we wtorek o dziewiątej.

– Ta dzisiejsza zapaść to ostrzeżenie – mówi z namaszczeniem, jakby nie przyjmował do wiadomości zamknięcia tematu. – Niech pan naprawdę zwolni. Niech pan siedzi w domu i nie odbiera telefonów.

– Do widzenia.

Z ulgą rzucam aparat na blat. Mam dziwne przeczucie, że świat postara się, żebym się zanadto nie rozluźnił. Porady Starego Lwa są oczywiście sensowne i logiczne, to w końcu sześć dni, potem tydzień obserwacji, rzeczywiście, niczego na świecie nie ubędzie, jeśli zniknę. Ale to nie takie proste. Nie wiem, czy wstanę z tego cholernego stołu, po tym, jak Lew otworzy mi czaszkę, a potem ją zamknie.

Podnoszę się, jakbym był ze szkła.

Wylewam do zlewu drinka, starannie myję szklankę. Rzucam do pralki dres, w którym biegałem. Wietrzę zapach po Hani. W mieszkaniu robi się szaro, półmrok, latarnie uliczne zaglądają w okna, komórka podryguje na blacie. Piszę esemesa do Doris, potem do Wieteski. Na odpowiedź obojga nie muszę czekać nawet minuty. Oboje są wściekli, powody inne, ale reakcje prawie identyczne, wyciszam telefon, jak to dobrze, że Nancy nie miała dziś czasu. Siedzę po ciemku, szum ulicy jakiś kojący, nawet pojedyncze ludzkie głosy mnie uspokajają.

Siadam do komputera, wchodzę na swój fanpage. Blisko sto tysięcy obserwujących czeka na cokolwiek, co napiszę, ochłap, ślad życia, jedno zdanie o pogodzie. Piszę, że zniknę na jakiś czas ze względów zdrowotnych, rekordzista lajkuje po czterech sekundach, po kilku minutach gotuje się od komentarzy, kilku zawodowych trolli szydzi, że zrobię wszystko dla lansu, nawet umrę, żeby zwiększyć sprzedaż, akurat mogą mieć rację, skurwysyny. W skrzynce masa prywatnych maili, ale widzę jedno nazwisko i pochylam się nad ekranem. Maria Czerska pyta, jak się czuję i czy informowałem o zdarzeniu profesora Kurcewicza. Robi mi się ciepło, odpowiadam, że owszem i że Stary Lew stanowczo zakazał mi wysiłku, w tym uprawiania seksu, więc czy możemy się jednak umówić? Odpowiedź przychodzi szybko, powoduje, że uśmiech nie schodzi mi z ust. Podaję numer telefonu, pani doktor rewanżuje się swoim. Obiecuję, że wkrótce się odezwę.

Zapalam światło, przez chwilę walczę z obawą, że znajdzie mnie Doris, bzdura, o tym mieszkaniu nie wie nikt poza notariuszem, nawet Wieteska tu nie był. Chyba muszę dokupić nieco mebli, półkę na książki, może kilka ręczników czy prześcieradeł.

Biorę do ręki telefon. Sześć nieodebranych połączeń, czternaście esemesów. Ignoruję je, solidarnie i bez wyjątku. Wybieram numer Jakuba Stańczaka.

– Przepraszam, że tak późno – mówię.

– Nie szkodzi – odpowiada mój prawnik. – Jeszcze jestem w biurze.

– Chciałbym zmienić treść ugody z moją żoną.

Chwila nieprzyjemnego zaskoczenia. Nikt nie lubi słuchać, że jego wielotygodniowa praca właśnie wylądowała w koszu.

– Nie rozumiem – mówi z wahaniem. – Przecież ugrał pan więcej, niż chciał.

– Zmieniłem zdanie. Chcę jej dać wszystko – odpowiadam szybko.

Tym razem Stańczak milczy dłużej.

– Nie rozumiem – szepcze, a ja wiem, że naprawdę nie rozumie.

– Po prostu. Dam jej wszystkie swoje aktywa. No, może prawie wszystkie. Będzie jeden wyjątek, niezbyt istotny.

– Panie Jerzy…

– Przepraszam uprzejmie za zamieszanie. Po prostu zmieniłem zdanie. Jej się to po prostu należy.

– Walczyliśmy pół roku.

– Rzetelnie panu płaciłem.

– Nie o to chodzi. – Chyba zaczyna się trochę irytować. Ja w jego sytuacji ryczałbym jak lew. – Ugoda jest dla pana wyjątkowo korzystna.

– Właśnie tego nie chcę.

Znowu namysł. Stańczak protestuje z przyzwoitości, profesjonalnego przymusu, diabli zresztą wiedzą czego. Mam to gdzieś.

– Dobrze – mówi. – Zadzwonię do mecenasa Tolaka.

– Proszę, żeby pan to zrobił teraz.

– Oczywiście.

– Wysyłam przelew z pańskim honorarium.

– Dziękuję. Dobranoc.

Kładę aparat, chwilę spędzam przy komputerze, uszczuplam konto o bardzo pokaźną sumę, po chwili podnoszę aparat z powrotem.

– Cześć, Doris – mruczę.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– Wyjechałem poza miasto na parę dni. Muszę odpocząć przed zabiegiem.

Mówiąc to, ryzykuję. Mam w Warszawie wielu rozplotkowanych znajomych, dla których obgadywanie wszystkich dookoła stanowi istotę istnienia. Każdy może mnie zobaczyć i donieść Doris, że widział mnie tu czy tam. Może jednak ryzyko nie jest tak wielkie. Szansa, że w Warszawie, mieście miliona outsiderów, nasze ścieżki się przetną, nie jest zbyt wielka. Unikam knajp i miejsc publicznych, nie zamierzam dużo przebywać poza domem.

– Przyjadę do ciebie – oferuje.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Jerzy, powiedz, gdzie jesteś. Musimy porozmawiać.

– Nie, na razie nie musimy.

Doris zmienia strategię.

– Potrzebujesz pomocy.

– Jedyne, czego potrzebuję, to święty spokój.

Rozumie, oczywiście, że rozumie. Mój upór doprowadza ją do wściekłości.

– Nie rozmawiaj ze mną w ten sposób. Masz zobowiązania.

– Tak? Obejmują brak reakcji na grzebanie w moich rzeczach? – mówię najłagodniej, jak potrafię.

– Nie musiałabym tego robić, gdybyś był łaskaw mnie poinformować, że masz tętniaka.

– W ten sposób można usprawiedliwić wszystko.

Milczy. Możliwe, że jednak udało mi się ją zaskoczyć.

– Jerzy, co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?

– Muszę odpocząć – powtarzam, tchórząc.

– Ode mnie?

– Też.

– Ach tak. Dobranoc.

Rozłącza się, a mnie zostaje gorzki posmak w ustach. Za łatwo poszło. Czeka mnie ciąg dalszy, obym go przeżył.

Po zapachu Hani nie ma śladu, po łagodnym nastroju również, ale wiedziałem, że tak będzie. Sprzątanie nie jest zajęciem ani łatwym, ani przyjemnym. I męczy. Jest konieczne, niestety.

Na kolejny telefon nie muszę czekać zbyt długo.

– Dobry wieczór – mówi moja żona.

– Dobry wieczór, Heleno.

Parska śmiechem, jestem pewien, że niezamierzenie, z pewnością teraz wolałaby zachować powściągliwość. Bawi ją mój pełen namaszczenia ton, powaga zupełnie do mnie niepasująca, namysł, refleksja niemal. Jestem uroczyście poważny. Gdy kiedyś założyłem garnitur, śmiała się podobnie.

– Co się stało? – przechodzi od razu do rzeczy, myśli, że będzie jej łatwiej, jeśli zaatakuje. Wszyscy mnie dziś pytają, co się stało.

– Nic – odpowiadam, trzymając się poprzedniego tonu. – Po prostu przemyślałem pewne sprawy. Doszedłem do wniosku, że miałaś rację, a ja się myliłem.

– Coś takiego – stara się nadać głosowi złośliwie brzmienie, nie bardzo jej wychodzi.

– Kazałem prawnikowi anulować ugodę.

– Dlatego pytam, co się stało. Nigdy nie kapitulujesz. Nie w ten sposób.

– Starzeję się.

Tym razem otwarcie się śmieje. Udaje mi się rozśmieszyć moją żonę, Helenę Berezowiec, rzeźbiarkę dotkniętą przez Boga.

– Przestań tak mówić, bo to by znaczyło, że ja też się starzeję, co nie jest prawdą.

– Ty się nie starzejesz – zaprzeczam. – To dotyczy tylko trzecioligowych pisarzy po czterdziestce z purchawką w głowie.

– Wiesz, że fałszywa skromność jest strasznie pretensjonalna? Nie ma nic bardziej żałosnego niż pisarz strojący miny do czytelników.

– Nie jesteś moją czytelniczką.

– Skąd wiesz?

Odsłoniła się za bardzo, co dostrzega szybko, ale poniewczasie. Wyraźnie słyszalny do tej pory pobłysk ciepła znika z jej głosu jak zdmuchnięty wiatrem.

– Jerzy, naprawdę chcę, żebyś mi wyjaśnił, skąd ta zmiana zdania – żąda. Ostrość tonu jest raczej na pokaz, ale nastrój zmienił się.

– Dobrze – mówię. – W cztery oczy.

– Rozmawiamy – upiera się.

– W cztery oczy.

Zastanawia się, rozważa zagrożenia.

– Kiedy? – pyta.

– Jak najszybciej. Teraz, jeśli możesz.

– Wiesz, że nie.

– To jutro rano. Mogę pomóc przy dzieciach…

– Nie możesz. – Teraz twardość nie jest udawana, udało mi się ją jednak zezłościć, jakoś jeszcze nie nauczyłem się podążać do celu prostą drogą. Dzieci stanowią drażliwy temat. – Nawet nie próbuj – dodaje.

– Nie próbuję.

Dwukrotne sapnięcie.

– Przepraszam. Naprawdę nie chcę cię denerwować – mówię, gdy ona nadal milczy.

– Tak. Mogę jutro o dziewiątej. Która kawiarnia?

– Chciałbym cię zaprosić do siebie.

– Do tej zdziry? Myślałem, że lepiej mnie znasz – szydzi, jest już naprawdę zła, za chwilę odłoży słuchawkę i wrócimy do początku. Gorzej, będę musiał długo ją przekonywać, żeby zechciała zacząć od początku.

– Nie proponowałbym ci tego – mówię z wyrzutem i wcale nie gram. Niemal czuję się urażony. – Mam mieszkanie na mieście.

Znowu śmiech. Znowu rozmawiamy jak ludzie.

– Że też o tym nie pomyślałam. Zawsze byłeś asekurantem – chichocze.

– Nigdy nie byłem.

Zły już jestem na całego, a nawet nie wiem, czy powinienem.

Znowu się zastanawia. Jakiś wieczór refleksji nam się zrobił.

– Podsumujmy – mówi. – Zapraszasz mnie do siebie, żeby ogłosić kapitulację. Mam przyjść do twojej tajnej garsoniery, żebyś powiedział mi, że się myliłeś, a ja miałam rację. Nie jestem aż tak głupia, żeby myśleć, że

chcesz mnie zaciągnąć do łóżka w ramach rekompensaty za ustępstwa. Masz pod nosem dużo dobrego, świeżego towaru. Więc co?

Sporo spostrzeżeń jak na kilka zdań. Miała mało czasu, ale odgadła bardzo wiele.

– Po prostu chcę spokojnie pogadać.

– Kłamiesz.

– Tym razem nie.

– Będę tego żałowała.

– Jest takie ryzyko.

– Zmieniłeś się.

– Oboje się zmieniliśmy.

– Wyślij mi adres. Będę o dziewiątej.

Ulga. Czuję się lekki, czuję się spełniony, czuję się niemal jak uczciwy człowiek, co tylko świadczy, jakim jestem głupcem. W gruncie rzeczy spodziewałem się, że Helena odmówi. Nie znałem jej, nadal jej nie znam, po tylu latach małżeństwa.

Wciąż mam aparat w dłoni, wysyłam adres, pika sygnał przychodzącej wiadomości, jestem pewien, że to Helena potwierdza, czytam, sztywnieję, otwieram załącznik.

Krótki film, dokładnie czterdzieści sekund. Ze mną w roli głównej. Nie przysparza mi chwały.

I nie został wysłany po to, bym sobie przypomniał, jakim bywam idiotą.

Zasypiam, nie gasząc nocnej lampki. Ciemność jest dzisiaj moim wrogiem. ■

ROZDZIAŁ 5

Budzi mnie słońce.

Leżę, przypomniawszy sobie, że nigdzie mi się nie spieszy. Jest siódma, Helena przyjedzie o dziewiątej, mam sporo czasu na myślenie. Myślę więc, potem przeglądam skrzynkę w komórce, film omijam, muszę zareagować, zrobię to później, na razie nie chcę oglądać go ponownie. Nocny esemes od Wieteski informuje mnie, że mój agent jest dobrej myśli, bo adwokat odwołał się od decyzji sądu o zatrzymaniu młodego na miesiąc w areszcie. Nowy sędzia zapozna się ze sprawą dziś rano, pół Warszawy go zna, on zna wszystkich, których znać wypada, wszystko w rodzinie, mecenas gwarantuje pomyślny obrót rozprawy. Piszę, żeby zadzwonił, gdy coś będzie wiadomo, bo poza wszystkim musimy wrócić do kwestii zawodowych. Potem reflektuję się, że dla Wieteski godzina siódma jest porą barbarzyńców i nawiedzonych, wstrzymuję się z wysłaniem odpowiedzi. Wstaję niespiesznie, poranne przygotowania, kawa, przegląd wiadomości, przegląd planów życiowych.

W internecie gotuje się od obecności nowej nadziei polskiego kryminału. Trzydzieści lat, przystojny, po dobrym humanistycznym wydziale i kilku kursach kreatywnego pisania, pracoholik. Pisze na akord, na stachanowską normę, byle więcej, byle szybciej, bardziej wybuchowo i krwawo. Wieteska zarzekał się, że ten gość nie istnieje, teksty pisze banda ghostwriterów, a młody jest tylko szyldem, kolorowym plakatem, że konkurencyjne wydawnictwo postanowiło mnie załatwić ilością, jakość odkładając na później. Słabo to się składa z faktem, że gość bywa tu i tam, widziałem go w telewizji, opowiada ze swadą, dobrą polszczyzną. Jeśli to fejk, to nieźle zrealizowany. Przejrzałem jedną z powieści, dobrze skonstruowane czytadło, postacie ciekawe, intryga poprawna, niezbyt skomplikowana, na średni gust. Nie ma w tym ognia, jest ładne opakowanie. Nazwisko młodziaka zalewa rynek

niczym powódź. Efekt finansowy, zdaje się, jest, parę razy nowa powieść wskoczyła przed moją. Co z tego? Czy to mnie martwi, irytuje, gniewa, zajmuje uwagę choćby?

I tak, i nie.

Owszem, wolę być pierwszy, ale moja ambicja nie bardzo cierpi, gdy nie jestem. Bardziej niepokoją mnie inni autorzy, zdolni, mroczni, umiejący pisać bez żadnych kursów, bez czytania dzieł pisarzy, o których nikt nie słyszał, ale którzy za skromną opłatą mają gotowy przepis, jak napisać bestseller. Kryminał jako gatunek nigdy się nie znudzi, potrzebuje tylko co jakiś czas odświeżania formuły, wymagając jednocześnie ścisłego trzymania się zasad. Pozornie sprzeczne, na pewno trudne w realizacji. Przyszłość należy do twórców, którzy są w stanie sięgnąć głęboko w mrok, wydobyć z bohatera nieoczywiste reakcje, dać mu rys, który uczyni go wyjątkowym. Pomysłów na fabułę nie ma znowu tak wiele, wszystko już było, wszyscy skubiemy tę samą trawkę, przeżutą i wydaloną przez naszych poprzedników, wampirowato cmoktamy krew dawno zmarłych pisarzy. Bohater jest kluczem, bohater włada masową wyobraźnią, nowego herosa, choćby odrażającego mordercy, łaknie publiczność, łącznie z tą bardziej wyrafinowaną. Wymyśl nowego bohatera, a będziesz bogiem, demiurgiem, władcą umysłów.

Jest kilku takich autorów w okolicy, to głównie kobiety, młode, zdolne, przy tym urodziwe, co w naszym wiślanym kraju na razie jeszcze nikomu nie przeszkadza, przeciwnie, ludzie akceptują fakt, że uroda pomaga w karierze i w życiu i niech sobie progresywne pańcie z Gardanów tego świata wrzeszczą ile sił, że jest inaczej. Autorki te nie spieszą się, wypuszczają powieść raz na dwa lata, długą, dopracowaną, z psychologią, że proszę siadać, można tylko zazdrościć warsztatu, polszczyzny, znajomości psychiki, znajomości brudnych ludzkich zagrywek. To mnie martwi bardziej.

O ile jednak w ogóle obchodzi mnie praca, najbardziej martwią mnie inni, usadowieni półkę wyżej.

O tym kiedy indziej, bo dzwoni telefon. Do przyjścia Heleny mam jeszcze chwilę, odbieram więc.

– Coraz wcześniej wstajesz – zagajam.

– Muszę. – Wieteska brzmi świeżo, energia aż kipi, dobrze mu zrobił dzień trzeźwości. – Poszło odwołanie, jest szansa, że go wypuszczą.

– Mam taki stary pas ze świńskiej skóry. Pożyczę ci. Musisz skroić mu dupę tak, żeby nie usiadł przez tydzień.

– Taaa… – zastanawia się. – Może to jest pomysł. Na goły tyłek, z góry na dół, starannie obliczony kąt natarcia, odpowiednio dobrana siła…

– I pół roku szlabanu na imprezy.

Czuję, jak się uśmiecha.

– Mamusia to oświecona liberałka. Kolejna wielbicielka doktora Spocka. Nawet nie będę podejmował dyskusji. Winni są zawsze wszyscy, koledzy, społeczeństwo, ja. Powie, że to z mojego powodu zaczął ćpać i dilować. Teraz najważniejsze jest, żeby dziecko nie miało stresu.

– Powiedz, że obetniesz fundusze.

– Zaskarży mnie.

– Niech skarży. Pół roku dawno już minie.

– Twardy jakiś się robisz.

– To ty chcesz bić dziecko, nie ja.

Obaj śmiejemy się serdecznie.

– Chwilę o sprawach zawodowych – przerywam w końcu tę radosną fiestę, bo zaczyna mi się spieszyć.

– Mów. – Oddycha z ulgą, jakby powrót do pracy dawał mu konieczny moment wytchnienia.

– Dzwonił Szumski. Gardan chce zmian.

– Było do przewidzenia.

Streszczam mu postulaty redaktorów.

– Co mówi Szumski? – pyta Wieteska ostrożnie.

– Nic – odpowiadam. – Chce, żebym podjął decyzję.

– Podjąłeś?

– Myślę o spuszczeniu ich na drzewo.

Niemal widzę, jak się krzywi. Jak wyobraża sobie utraconą fortunę. Jak skręca się na myśl o zaniechaniu kupna kolejnego samochodu.

– Dla Amerykanów robisz zmiany, dla Gardana nie chcesz – mówi, ukrywając w głosie wszystko to, o co go podejrzewam. – Nie ogarniam. Przecież nie chodzi o Nancy. Masz na pęczki młodszych i ładniejszych, w każdym rozmiarze i kolorze, bez żadnych kolacji w drogich knajpach.

– Chodzi o zasady – tłumaczę.

– Nadal nie ogarniam. Amerykanie chcą przeróbki na gówno i przerobisz im na gówno. Gardan chce przeróbek na gówno, a tobie się zebrało na fochy.

– Gardanowi chodzi o coś zupełnie innego. – Staram się być cierpliwy. Dobrze mi robi trening cierpliwości. – Amerykanie chcą zmian dotyczących struktury i dramaturgii. Gardan mówi, co wolno, a czego nie.

– Pieprzenie – podsumowuje Wieteska.

– Mam w dupie takie podejście. To oni są barbarzyńcami, nie ja.

– Jureczku, czy ja dobrze słyszę? Chcesz ich nawracać?

– Nie. Szkoda czasu. Głupiec nigdy nie chce słuchać, że jest głupcem.

– Zastanów się.

– Zastanowiłem się. Przeczytać ci tego maila jeszcze raz?

– Okej, okej. Rozumiem, że nie masz ochoty pracować z idiotami. Ale może warto pochylić się nad ich kasą?

– Brakuje ci kasy?

– Kurwa, bez demagogii, dobra? – warczy, nie jest już w dobrym humorze. Może wolałby wrócić do spraw prywatnych. – Zawsze mi brakuje kasy. Każdemu zawsze brakuje kasy. W ten sposób świat idzie do przodu, odkąd ludzie wyszli z jaskini.

– Rozumiem.

Zastanawia się, sapie, nie chce psuć rozmowy jeszcze bardziej.

– Jeszcze nie dałeś odpowiedzi?

– Dam jutro.

– Możesz przynajmniej obiecać, że jeszcze nad tym pomyślisz?

Krzywię się, nie chcę już nad tym myśleć, zbędny wysiłek.

– Proszę – dodaje.

To coś nowego. Mój agent nie chce grozić, obrażać się, odkładać słuchawki. Jestem mu potrzebny.

– Dobrze.

Milczy. Obmyśla kolejny argument do przełamania mojej nieomal podjętej decyzji. Nie czekam.

– Zrezygnowałem z czytania audiobooka dla Tyszkiewicza – mówię.

– Z-zrezygnowałeś… – jąka się. – Dzień cudów, kurwa mać. Traciliśmy czas i siły, żebyś teraz zrezygnował?

– My traciliśmy? – Zaczynam się jednak złościć.

– No, rozmowy z Tyszkiewiczem nie były twoją własnością. Stałem za tobą, popierałem cię i robiłem z siebie durnia.

Ma rację. Ja się upierałem, on był złym policjantem. On groził zapisami w umowie, straszył prawnikami, opowiadał o konkurencyjnym rynku, na którym aż roi się od firm chcących mnie mieć na pokładzie.

– Co się stało? – pyta, gdy już jakoś zdołał się oswoić z nowym układem sił.

– Posłuchałem kawałka, czytam jak ostatnia pierdoła – wyznaję.

– Szkoda, że nie słuchałeś, gdy ci to wszyscy mówili.

– Też żałuję. Tyszkiewicz przełknął temat, zwróciłem mu koszty. Aktor już dogadany.

– Zwróciłeś mu koszty?

– Tak.

– Zażądał tego?

– Sam zaproponowałem.

– Sam za… – Milknie. Słyszę dobiegającą z ulicy rozmowę. Zwykłe ludzkie głosy dziś cieszą mnie jak jeszcze nigdy. Gdy Wieteska wraca, brzmi inaczej. Spokojnie, ale niemal bezdźwięcznie. – No cóż, powiedzmy, że zmieniłeś zdanie. Kto ma czytać?

– Ten sam aktor, co poprzednie tomy.

– Jest dobry, ale wolny. Nie wyrobi się.

– Przesuniemy premierę audiobooka o dwa tygodnie.

Myśli, aż prawie słyszę, jak myśli. Możliwe, że narzuciłem zbyt szybkie tempo.

– W sumie czemu nie? – przyznaje mi rację. – Książka pójdzie na pierwszy ogień. Audio później. Efekt rozciągnie się w czasie.

– To samo powiedziałem Tyszkiewiczowi.

– Jakieś jeszcze rewelacje?

– Pamiętasz, że mnie od wtorku nie ma?

– Pamiętam. Co mówi ten stary pierdziel?

– Że rehabilitacja potrwa. I powinienem zwolnić.

– Każdy lekarz tak mówi.

– Wczoraj poszedłem pobiegać. Miałem zapaść, ledwo wróciłem do domu. Serio. W życiu nie czułem się tak źle.

Wieteska sapie. Zna mnie dobrze. Wie, że nigdy nie rozczulałem się nad sobą. Kiedyś zmarnowałem idący na żywo program w telewizji, wywalając w powietrze znaną modelkę, która opowiadała o swoich dolegliwościach. Nie znoszę hipochondryków.

– Musisz założyć, że zniknę na trzy miesiące – mówię.

– Niemożliwe.

– Dla własnego dobra uznaj, że możliwe. Trzeba przenegocjować umowy.

– Jurek, to niemożliwe – podnosi głos. – Maszyna się kręci wokół ciebie. Znikniesz, my też znikniemy.

Zaczyna mnie to irytować.

– Pomogę ci – mówię. – Wyobraź sobie, że zostaję na tym cholernym stole. Że kładę się, zasypiam i już się nie budzę. Że pęka mi coś w głowie i nie da się tego posklejać.

– Pieprzenie.

Zgrzytam zębami, co on chyba słyszy i co ja mam z pewnością gdzieś.

– Stary Lew dał wyraźnie do zrozumienia – ciągnę temat. – Ryzyko nie jest wcale takie małe. Dla własnego dobra przyjmij wariant, że tak się stanie. Będziesz musiał powiedzieć rynkowi, że mnie już nie ma. I wyciągnąć z tego parę milionów dla mojej żony i dzieciaków.

– Co słyszę? Helena ma dostać kasę?

– Wszystko. Zaraz się z nią spotykam – oznajmiam.

– Kurwa mać, Jurek, ty chyba naprawdę jesteś chory.

– W końcu załapałeś.

– Z tego punktu widzenia nie kumam odmowy Gardanowi. Byłoby więcej kasy dla Heleny.

– Pomijając ideologię, nie zdążę, to robota na dwa miesiące.

– Taaa – mówi, po czym milknie.

Mam kilka minut do przyjścia mojej nadal aktualnej żony.

– Zrobimy tak – zaczynam. – Jeśli będzie okej, wszystko zostaje po staremu. Jeśli będę musiał zrobić przerwę i wypadnę z rynku na pół roku, czy rok, ogarniesz to i wszystko zostaje po staremu. Jeśli zdarzy się trzeci wariant…

– Nie chcę o tym słuchać…

– …jeśli zdarzy się trzeci wariant, dostajesz dwadzieścia procent od wszystkiego, co na tym ugrasz. Od każdego miliona dwieście tysięcy. Dwa razy tyle, co teraz. Zrobisz z mojej śmierci wydarzenie trzydziestolecia, największy, kurwa, ubytek dla polskiej kultury w dziejach trzeciej RP. Reszta kasy dla Heleny. Rozumiesz? Mogę dziś podpisać umowę. Masz się o nią i dzieciaki troszczyć jak o własne, za dwadzieścia procent od wszystkiego, co się wydarzy po moim zejściu.

– Jesteś jebnięty.

– Dlatego proponuję ci tak dużo, ty ślepy kretynie.

Sapie, słychać, że chodzi po mieszkaniu, dzwoni szkło, niemal czuję zapach alkoholu, sam mam ochotę się napić.

– Muszę pomyśleć – twierdzi.

– Zadzwonię później – odpowiadam i rozłączam się.

Bardzo dobrze, niech myśli, kiedy go naprawdę zdenerwuję, wykazuje się największą kreatywnością.

Kręcę się po mieszkaniu, czuję się dziwnie, Lew stanowczo doradzał spokój, nic nie poradzę, że na dnie żołądka zagnieździły się glutowate kule, które z każdą chwilą robią się cięższe.

Dzwonek, niemal podskakuję, Helena przez domofon brzmi naturalnie i swobodnie, choć to pewnie poza. Naciskam guzik, czekam chwilę, słyszę szum windy, otwieram drzwi, stoi w nich, wysoka, czarnowłosa, modna bluzka i dżinsy, lekki makijaż, rozstanie dobrze jej robi, wygląda na dziesięć lat mniej, niż ma. Walczę ze sobą, muszę przez moment przytrzymać się framugi. Sam nie wiem, o co mi chodzi.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiadam, puszczam framugę, cofam się.

Przekracza próg, ostrożnie, niemal z wahaniem, oczy czujne, patrzą przed siebie, ale widzą wszystko. Wchodzimy do pokoju, Helena rozgląda się, omiata spojrzeniem przestrzeń, ocenia, nadaje miana i symbole w sobie tylko znanym języku.

– Ładnie tu – mówi lekkim tonem, ale mogę przyjąć, że wygłosiła pochwałę.

– Dziękuję – odpowiadam.

– Widać, że męskie gospodarstwo, ale i tak ładnie – dokłada, bo nie byłaby sobą, gdyby nie dołożyła.

Jej oczy nagle zwężają się, a ja wiem, że popełniłem błąd.

– To ty – szepcze.

Po jej pozytywnym nastawieniu nie ma śladu.

Zerkam przelotnie na fotel, nad którego wykonaniem ona męczyła się miesiąc i którego zapomniałem wynieść. Nie chciałem oglądać jej reakcji, nie chciałem dawać jej pretekstu, żeby znienawidziła mnie jeszcze bardziej. Muszę jeszcze wiele się uczyć nowego siebie. O ile jest jakiś nowy ja, o ile zdąży przed położeniem się na stół wyeksplikować nowe zasady i reguły.

– Podobał mi się – mówię.

– Ty draniu. – Szept zamienia się w syk, niski, nieprzyjemny, jakby dobywający się z najgłębszych głębin jej stosunku do mnie. – Dobrze wiedziałeś, kto go zrobił.

– Wiedziałem.

– Nie chcę od ciebie niczego, rozumiesz? – nadal mówi cicho, mam niemal kłopoty z rozróżnieniem poszczególnych sylab.

– Helena – mówię. Spokój dużo mnie kosztuje, ale instynktownie czuję, że jest jedynym wyjściem. – To nie jest żadna zapomoga ani akt łaskawości. Zrobiłaś świetny mebel, chciałem go mieć, podbiłem stawkę, żeby mnie nikt nie ubiegł.

– Nie – ucina.

– Tak. Nawiasem mówiąc, dałaś za niską cenę wyjściową. Nie sądzę, żeby zwróciła ci koszty.

– Ach tak. – Marszczy nos. Stoi pośrodku pokoju, ja pod oknem, nie chcę żadnym gestem sprowokować jej odejścia. – Będziesz mi mówił, jak mam prowadzić biznes?

Śmieję się, nie mogę opanować nerwowego chichotu, zmarszczki na nosie Heleny pogłębiają się, podejrzewa mnie o wszystko, co najbardziej podłe. Nie dziwię się.

Zbieram się na odwagę, podchodzę bliżej, łapię jej dłonie. Jak zwykle poobijane i poranione tu i tam. Nie cofa ich, choć nadal jest sztywna i gotowa do odwrotu.

– Nie ma żadnych podtekstów – zapewniam. Wskazuję na fotel. – Zobacz, jak on tu pasuje. Myślałem o sobie, nie o tobie.

– Kłamiesz, ale i tak mi przykro – stwierdza i napięcie opada.

Uśmiecham się.

– Nie kłamię. Nie chciałem ci pomóc, choć może powinienem powiedzieć, że bardzo chciałem. Podoba mi się to, co robisz. Jestem koneserem pięknych rzeczy.

Teraz ona chichocze. Siada na fotelu, patrzy na mnie, zakłada nogę na nogę, kładzie dłonie na poręczach, zmienia pozycję, słońce oświetla jej twarz.

– Muszę poprawić oparcie – mówi. – Powinno mieć łagodniejszy profil.

– Mnie pasuje – odpowiadam. – Kawy?

– Proszę. Z mlekiem.

Idę do ekspresu, maszyna syczy, podaję Helenie filiżankę, siadam na sofie, kątem oka dostrzegając plamę wina na dywanie. Niemal czuję woń perfum, mieszają mi się obrazy i zapachy, przed oczyma miga zgrabna sylwetka, nie umiem jej zidentyfikować, za okiem coś skrobie, wytężam całą siłę woli, żeby odgonić diabła choć na godzinę, choć na pół, na kwadrans. Zaczyna mi się spieszyć.

Podaję Helenie teczkę z badaniami i diagnozą. Otwiera, czyta łapczywie, źrenice jej się rozszerzają, lekko blednie, choć tego ostatniego nie jestem pewien. Musi podjąć decyzję, na którą nie jest gotowa, może jeszcze o tym nie wie, może jeszcze ma nadzieję, że nie musi, że są jakieś argumenty na „nie”, że pozostawię ją w spokoju, a dzieci pomału o mnie zapomną. Wraca do początku, niektóre fragmenty czyta jeszcze raz, odkłada teczkę na niski szklany stolik, który dokupiłem, żeby fotel się ładniej komponował. Stawiam ją w sytuacji, której nienawidzi.

– Źle to wygląda – mówi cicho.

– Nie chciałem tego przyjąć do wiadomości – wzdycham. – Wiesz, jak jest. Tempo, praca, terminy.

– Nie wiem.

Oszukuje, wiem, że wie. Gdy już było źle, powtarzałem tę frazę po dziesięć razy dziennie. Helena dostawała alergii na wieść o liczbie słów, które muszę codziennie napisać. Gdy się wyprowadziłem, w pierwszej chwili musiała poczuć ulgę.

– Co dalej? – pyta.

– We wtorek mam operację. Lekarz mówi, że są spore szanse na sukces.

– Co to za lekarz?

Opowiadam, nie pomijam szczegółów, dokonania i referencje Starego Lwa robią wrażenie, warunki szpitalne na najwyższym poziomie, rehabilitacja, opieka, szeptanie bajek na ucho. Brzmi dobrze, brzmi jak spełnienie amerykańskiego snu, i to mimo iż pomijam fizyczną atrakcyjność pielęgniarek, asystentek i instrumentariuszek.

– Ale jest też możliwość, że pójdzie nie tak – przyznaję.

– Tylko dlatego ze mną rozmawiasz.

Nie pyta, właściwie twierdzi, podejrzewa drugie dno i ma rację.

– Zachowałem się jak skurwysyn – mówię.

– Co za wyznanie – śmieje się, pod spodem zła, bo za bardzo huśtam łodzią, którą tu dopłynęła.

Dołączam. Chichoczemy. Obojgu nam smutno, dlatego przez moment śmiejemy się głośno.

– Masz co do mnie rację – przyznaję, gdy się uspokajamy. Widzę, że jej filiżanka jest pusta, robię drugą kawę, dla siebie wybieram większy kubek, mam ochotę na kofeinę, do diabła z zaleceniami. Moja komórka podskakuje na biurku, zbliża się do krawędzi blatu, nie ruszam się z miejsca, wibracje ustają, do krawędzi niedaleko, kolejnego klienta aparat nie przetrzyma, może to i lepiej. – Nie umiem o tym opowiadać – ciągnę. – Kłamałem. Ale teraz nie gram w żadną grę. Jeśli zostanę na tym pierdolonym stole, albo potem stanę się warzywem, chcę, żebyś wzięła wszystko. Należy ci się. Dlatego poczekajmy z rozwodem.

– Niezbyt to logiczne. Jeśli staniesz się warzywem, będziesz potrzebował mnóstwa forsy na opiekę.

– Mam bardzo wysokie ubezpieczenie. Poza tym możemy się umówić, że sfinansujesz ekstrawydatki.

– Skąd wiesz, że dotrzymam słowa?

Patrzę na nią, odkąd się widzieliśmy ostatnim razem, zmarszczki wokół oczu lekko się pogłębiły, dodają jej powagi i dojrzałości, nie ujmując niczego z atrakcyjności fizycznej.

Nie bardzo wie, co myśleć, to ją gniewa, w gruncie rzeczy nie ma ochoty na kapitulację. Włożyła ogromny wysiłek, by ułożyć sobie życie na nowo.

– To twoje pieniądze, zawsze tak twierdziłeś – mówi.

– Mówiłem różne rzeczy, które nie były prawdą.

– Były twoją prawdą.

– Pewnie tak – przyznaję.

Rozgląda się jeszcze raz.

– Co się stanie, jeśli operacja się uda? – pyta.

– No cóż, to nie jest najlepsze wyjście, ale musimy je brać pod uwagę.

Nie docenia żartu, ma zaciśnięte usta, nadal zastanawia się, jak stąd wyjść bez zawierania żadnej umowy. Siedzi, ale gotuje się do zakończenia wizyty.

– Nie wierzę ci – stwierdza i oddycha z ulgą. Koniec żartów, nawiązań do dawnych kodów porozumienia, do fizycznej bliskości i wspomnień wypraw nad jezioro. – Nie wierzę w twoją nagle objawioną dobroczynność, przepraszam cię, ale nie. Twój adwokat przez rok twierdził, że wszystkie pieniądze zostały zarobione przez ciebie, że mojego wkładu nie było w tym żadnego, że celowo nie podejmowałam pracy…

– Za to mu płaciłem – odpowiadam, nie przyjmując do wiadomości przegranej. – Chciałem cię upokorzyć.

– Po co?

– Ze strachu. Z poczucia winy. Z poczucia wyższości. Z głupoty. Wybierz sobie.

– Skurwysyn z ciebie.

– Musisz w to uwierzyć, inaczej się nie dogadamy.

– Jezu.

Patrzę na nią, kubek grzeje mi dłonie, kolory i kontury wydają się ostre jak nigdy. Helena ma trzydzieści osiem lat. Jest bardzo atrakcyjna, posiada solidne pokłady seksapilu, a także ogromny talent, który w końcu nauczy się wykorzystywać. Ma też czworo dzieci. Troje z nich jest samodzielnych, inteligentnych, dobrze wychowanych, ciekawych świata, chłonnych wiedzy, empatycznych, wspierających matkę, najstarsza córka potrafi to robić bez palenia mostów prowadzących do ojca, duża sztuka i takt, którego mnie tak bardzo brakuje. Jestem ich ojcem i spędzam bezsenne noce, myśląc, jak bardzo za nimi tęsknię.

– Spójrz na to praktycznie – przekonuję. – Rozumiem, że nie chcesz ich dla siebie, chociaż te pieniądze ci się należą, jesteś nadal moją żoną. Weź dla dzieci. Nikt nikomu nie wyświadcza uprzejmości.

– Tak czy inaczej chcę rozwodu.

– Oczywiście – staram się ukryć rozczarowanie, które potwierdza, jak niewielkie postępy poczyniłem na drodze do dorosłości. Powinienem poczytywać za cud, że Helena w ogóle ze mną rozmawia i zgodziła się to zrobić w moim mieszkaniu. Że nie ma ochoty roztrząsać przeszłości, choć jestem gotów dać jej swoją głowę na tacy. Nie chce mojej głowy, po co głowa, która wkrótce pęknie? – Jak chcesz – mówię.

– Utworzysz specjalny fundusz dla dzieciaków.

– Już utworzyłem. Potrzebny tylko twój podpis. Musimy razem iść do banku.

– Skurwysyn z ciebie. Przewidujący skurwysyn.

Tym razem jest w tym pochwała.

– Zabezpiecz sobie pieniądze na wariant drugi – mówi. – Nie chcę w tym uczestniczyć.

– Ciężko przewidzieć ile… – zaczynam niemrawo.

– Wymyśl coś. Mogę cię odwiedzić raz czy dwa, ale nic więcej.

– Dobrze.

– Osiemnaście milionów? – Nie patrzy na mnie, chyba sama nie może uwierzyć, że o to pyta.

– W sumie na to wychodzi. Jedenaście milionów gotówką. Apartament w Liebeskindzie wart sześć. Samochód pół. Prawa przechodzą na ciebie, z praw będzie ci spływała kasa jeszcze przez co najmniej pięć lat, z serialu i filmu dłużej. Kilkaset tysięcy rocznie. Gdybym nie przeżył operacji, Wieteska ma przykazane wyciągnąć z mojej śmierci maksimum. Bierze dwadzieścia procent prowizji, reszta dla ciebie. Ostrożnie licząc, pięć milionów, szczerze mówiąc, myślę, że siedem lub więcej. To – macham ręką dokoła – chciałbym sobie zostawić, w razie gdybym przeżył. I samochód też.

Jest zdumiona, nawet nie potrafi ukryć, jak jest zdumiona. Nigdy nie interesowała się stanem konta, wystarczała jej świadomość, że może pokryć wydatki na życie. Nie ma zbyt dużych potrzeb materialnych.

Widzę, że stara się skupić.

– Co z prawami, gdybyś przeżył? – pyta.

Jest silna i dużo się nauczyła przez czas mojej nieobecności. Uśmiecham się pod nosem.

– Są twoje.

– Z czego będziesz żył?

Wyciągam przed siebie dłonie. Mam bardziej wypielęgnowane palce niż moja żona. Puszczam je w ruch, jak pianista. Wstaję, podchodzę do sprzętu stereo. Biorę do ręki pilota.

– Posłuchaj.

Płynie muzyka. Etniczne bębny, kontrabas oszczędny, punktujący, sekcja smyczkowa snuje melancholijny temat, muzyka narasta, ma strukturę

„Bolera”, dochodzą instrumenty dęte, fagoty, waltornie, puzony, grzmi wielki basowy bęben, przejmująca żeńska wokaliza o skomplikowanej, urzekającej linii melodycznej z bałkańskimi naleciałościami dopełnia całości. Nie patrzę na Helenę, widzę siebie od wewnątrz, całym sobą czuję taką samą radość jak wtedy, gdy tworzyłem ten kawałek. Miałem coś istotnego do powiedzenia, do załatwienia, do zdradzenia. Utwór trwa blisko dziesięć minut, gdy milknie, nadal nie patrzę na mojego gościa, klikam pilotem, idzie następny motyw, bardziej melancholijny, oszczędny, spokojny, znacznie krótszy. I trzecie uderzenie: maksimum energii, wszystkie instrumenty forte, wchodzą gitary jak z Metalliki, żeński głos spina wszystko w całość, dominuje nad utworem, nad nami, nad światem. Znalazłem tę dziewczynę przypadkiem, na jakimś spotkaniu autorskim w Pierdziszewie Górnym, lokalna kapela miała próbę, słychać ich było w całym powiecie, grali źle, ale dziewczyna miała głos jak dzwon, wyprzedzała ich o lata świetlne. Zajrzałem, zagadałem, kilka tygodni temu zafundowałem bilet do i z Warszawy. W studiu gubiła się, zawstydzona swoją prowincjonalnością, nadwagą, siedemnastoletnimi pryszczami, zbyt rzadkimi włosami i dżinsami opinającymi jej biodra niczym guma wiadomą część ciała. Poczęstowałem kieliszkiem wina, potem drugim, w końcu zaśpiewała, realizatorowi oczy wyszły na wierzch, już pierwsze wersje były do wzięcia, zrobiliśmy blisko trzy kwadranse muzyki w czasie sześciogodzinnej sesji. Gdy pojechała, szczęśliwa, słuchałem tego, co nagrała, nawet bez podkładu, sam jej głos i lekkie echo z komputera, wokaliza prosto od Boga; sam czułem się blisko nieba.

– Będę żył z tego – odpowiadam na pytanie, o którym Helena już nie pamięta.

Chrząka, szybko mruga, dawniej bardzo lubiła niektóre moje numery, po prostu ją kręciły albo dostrzegała w nich coś, czego sam nie umiałem dostrzec. Teraz z trudem wraca do realnego świata.

– Twoje? – pyta najbardziej seksownym ze swoich głosów, szkoda, że niezamierzenie.

Kiwam głową, podchodzę do kąta, zdejmuję pokrowiec z imponującej klawiatury najnowszego produktu firmy Kurzweil. Obok mały mikser, kilka efektów i kabel prowadzący do komputera z oprogramowaniem.

– Kupiłem miesiąc temu. Zgranie zrobiłem w profesjonalnym studiu. Kiedyś przecież grałem i komponowałem, nie?

– A ta wokalistka?

– Panna Nikt. Pierwszy raz w życiu widziała Pałac Kultury na żywo.

– Jezu! – wzdycha.

Milczymy.

– Puść jeszcze raz.

To najwyższa pochwała. Muzyka znowu nami włada. Siedemnaście minut z kawałkiem huczy, aparatura przenosi każdą nutę, każdy niuans; nie bez powodu wydałem na nią prawie dwadzieścia tysięcy.

Gdy gasną najlżejsze echa dźwięków, Helena nie pamięta o mnie, kawie, dzieciach i pieniądzach.

Wstaje.

– Zadzwonię do ciebie – mówi i wychodzi.

Wciągam powietrze do płuc. Czuję ją, jest moim życiem, przez chwilę nie bardzo wiem, czy mam na myśli Helenę, czy muzykę, autorem trzeciorzędnych bestsellerów zostałem w gruncie rzeczy przypadkiem, żona i muzyka żadnymi przypadkami nie były. Robię sobie kolejną kawę, siadam do komputera, otwieram plik powieści obyczajowej, słowa płyną same, nabieram rozpędu, robi się późne popołudnie, piszę trzystronicowy konspekt, czego niemal nie zauważam. Dzwoni Wieteska, umawiam się na jutro rano, wysyłam maila do niego i Szumskiego, dwa załączniki, wskakuję pod prysznic. Gdy wracam, widzę nieodebrane połączenie od Doris. Dzwonię.

– Myślę, że jesteś w mieście – mówi.

– Nie.

– Myślę, że jesteś tchórzem i nie chcesz mi powiedzieć, że odchodzisz.

– Nie.

– Widziałeś filmik?

– Co chcesz ugrać, Doris?

– Mam jeszcze dużo tego towaru. Znacznie bardziej interesującego. Sporo niegrzecznych rzeczy robiłeś.

– Chcesz mnie skłonić do pozostania szantażem?

– A więc jednak odszedłeś – śmieje się złośliwie.

– Muszę przemyśleć parę spraw.

– Na mój temat?

– Też.

– Może mi chociaż powiedz, co się stało.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Myślę, że lepiej ci będzie bez mnie. Masz inne potrzeby niż ja.

– Wiesz lepiej, jakie mam potrzeby?

– Jedziemy w różnych kierunkach, Doris.

– No cóż, kochany, nie pójdzie ci tak łatwo.

Trzask, nie ma jej, w głosie brak groźby, suchy komunikat, przyrzeczenie, jakieś dostojeństwo. Może źle to wszystko rozumiem. Może ona jest aniołem stróżem, przestrzegającym mnie przed spadnięciem w przepaść. Odpycham się od stołu, ruszam powoli, prysznic, golenie, spodnie, koszula, marynarka, woda kolońska, wszystko idzie automatycznie, planuję kolejne ruchy, jadę przez miasto. Dzwoni telefon, który muszę odebrać, kolejny raz boję się tego, co usłyszę.

– Witam najbardziej ulubioną z ciotek – mówię z przymilnym uśmiechem, który, mam nadzieję, widać po drugiej stronie połączenia. Staram się odgonić brzmienie głosu Doris, jej groźby i jej determinację, wilczą chęć dominacji. Nie przychodzi mi to łatwo, choć próbuję się skupić.

Ewelina Krüger śmieje się życzliwie.

– Dobry wieczór, Jerzy – odpowiada.

– Najbardziej krytyczną z krytyków – dodaję.

– Sam chciałeś.

– Chciałem. Zdanie cioci jest dla mnie bardzo ważne.

– Nie mów do mnie ciociu. Czuję się jak na własnym pogrzebie, co, sam przyznasz, nie jest specjalnie frapujące.

Ciocia Ewelina jest ode mnie starsza o półtora pokolenia. Zbudowana została na przedwojennych podzespołach, to zupełnie inna jakość, ma umysł sprawniejszy niż dzisiejsi dwudziestolatkowie. W jej mieszkaniu czuję się jak w świątyni. Sama biblioteka liczy sześć i pół tysiąca tomów. Ciocia przeczytała wszystkie, niektóre po kilka razy. Ciocia narzeka, że trzy lata temu musiała do czytania zacząć używać okularów. Ciocia jest kosmitką, surowym krytykiem odchyleń od jej własnego wzorca postępowania. Ciocia wyśmiewa moje literackie osiągnięcia. Smaga mnie przy każdej możliwej okazji, okłada pejczem, tarza w smole i pierzu. Byłem na nią bardzo zły. Po piętnastu wydanych książkach obawiam się, że ma rację.

– Dzwoniłeś do Heleny? – pyta.

– Tak.

– Nareszcie. Chciała z tobą rozmawiać?

– Przekonałem ją.

– Jesteś idiotą – twierdzi stanowczo.

– Przyjmuję do wiadomości.

– Dobre i to.

– Czym mogę ci służyć? – pytam.

– Przeczytałam – mówi.

– Bardzo się cieszę. Zanim jednak mi o tym powiesz, chciałbym o coś zapytać.

– Ja z kolei się cieszę, że ludzie chcą mnie nadal pytać o zdanie. W moim wieku cieszę się już nawet z prostych rzeczy.

– Kokieteria tylko dodaje ci uroku, Ewelino.

– No, tak już jest znacznie lepiej. „Ewelino” brzmi dobrze. Czuję się, jakby mi ubyło dwadzieścia lat. Mów, o co chodzi.

– Bardzo duże zachodnie wydawnictwo chce wydać kilka moich książek. Na razie na rynek brytyjski i irlandzki, wkrótce amerykański.

– Pogratulować. Zawsze o tym marzyłeś.

– Chcą, bym dokonał zmian w tekście.

– Jakich?

Opowiadam, staram się ograniczyć tylko do faktów, cytuję z pamięci maila od Jane Columbus, przytaczam opinię zarówno Szumskiego, jak i Wieteski. Nie ukrywam też mojego stosunku do poprawek żądanych przez amerykańską stację telewizyjną reprezentowaną przez Nancy.

– Rozumiem, że się wahasz.

– To bardzo istotne zmiany…

– Wiem, słyszę. Czytałam twoje książki, wiem, ile pracy musiałbyś w nie włożyć. Zmiany może nie będą ważne dramaturgicznie, ale jeśli je wprowadzisz, zmieni się ton, a moim zdaniem również perspektywa opowiadania. Co więcej, twoi bohaterowie wejdą w nowe interakcje. Główny bohater stanie się w zasadzie innym człowiekiem. Pomijam kwestie światopoglądowe. Pytanie, czy jest to twoim celem.

– Nie.

– Więc masz odpowiedź.

– To nie takie proste.

– Domyślam się, że w grę wchodzą poważne pieniądze.

– Nawet nie wiem dokładnie ile, ale masz oczywiście rację. Na pewno docelowo będzie to bardzo opłacalne.

– Tu nie pomogę. Sam musisz zdecydować, czy dasz radę żyć bez tej sumy, czy jednak jest ci ona potrzebna.

Pewnie coś mruczę, drapię się po policzku, omiatam niewidzącym wzrokiem otoczenie.

– Może podejmę decyzję po tym, co usłyszę. Nie trzymaj mnie w niepewności – mówię.

– Zmusiłeś mnie do analizy fragmentu – zmienia ton, mówi z większą powagą. Zupełnie nie wiem, co mnie czeka. Ewelina Krüger przeszła na emeryturę blisko dekadę temu, mimo to nadal jest niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie krytyki literackiej, o ile jeszcze kogokolwiek obchodzi krytyka literacka z prawdziwego zdarzenia. Nie ulega modnym trendom, brzydzi się rewolucją, nadal iskrzy w niej intelekt człowieka ponadprzeciętnego, wrażliwość świętego, erudycja filozofa. – Oczywiście wiem dlaczego, niemniej nie mogę ocenić formy, bo nie widzę całości – kontynuuje Ewelina. – Mam jednak wrażenie, że po raz pierwszy nie przywiązujesz zbyt dużej uwagi do kompozycji. I bardzo dobrze. W tym utworze luźna forma tylko dodaje uroku. Bardzo dopracowałeś język. Używasz błyskotliwych sformułowań. Potrafisz być dowcipny. Ale przede wszystkim widzę w tym mądrość, wiedzę o człowieku, choć w gruncie rzeczy jesteś strasznym pesymistą.

– Nie ja, narrator jest – mówię, czując zalewającą mnie falę ulgi.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów odnajduję sens w tym, co robię. Mam ochotę zawrócić, przejechać przez pół Warszawy i ucałować ciotkę w oba policzki.

– Kochany, wiem, co to narracja – śmieje się ciocia Ewelina. – Umiem też rozpoznać, kiedy mówisz w swoim imieniu.

– Jak zwykle masz rację.

– Twoje kryminały to bardzo sprawnie napisane, wybacz sformułowanie, czytadła. W powieściach wojennych zbyt mocno chcesz iść w ślady Sienkiewicza, co nie mogło się udać, to jednak zbyt wysokie progi. Masz talent narracyjny, ale zbyt płytko sięgasz, nie pogłębiasz postaci, tło traktujesz zbyt pobieżnie. Ale zawsze czułam, że siedzi w tobie coś więcej. Przesłanym do mnie fragmentem udowodniłeś to. To twoja polemika z Bułhakowem, dobrze zgadłam?

– No cóż…

– Nie wstydź się.

– Wątek Jeszui i Piłata zawsze wydawał mi się zbyt oderwany od reszty.

– Och, kochany, związki z głównym nurtem fabuły są bardzo wyraźne.

– Mam inne zdanie.

– Nareszcie.

Lekko mi się robi, ciepło, silnik pomrukuje, Warszawa wydaje się przyjaznym, europejskim miastem, Ewelina Krüger, demiurg i strażnik tajemnej mocy feruje wyrok, który mnie właśnie stwarza na nowo, jest akuszerką moich powtórnych narodzin, być może sama nawet o tym nie wie, albo mylę się całkowicie, ciocia doskonale zaplanowała każdy ruch.

– Dziękuję.

– Nie spiesz się z podziękowaniami. Skończ dzieło, to twoje najważniejsze zadanie.

– Staram się. Odłożyłem inne rzeczy.

– Masz już tytuł?

– Mam kilka pomysłów, ale jeszcze nie zdecydowałem.

– Przede wszystkim nie obniżaj lotów. Przemyśl zakończenie. Wysoko postawiłeś sobie poprzeczkę, błahe zakończenie popsuje wszystko.

– Dziękuję. Nie będę się spieszył – kłamię.

– Wysoko sięgnąłeś. Może to jest twoja droga w drugiej połowie życia, chociaż bardzo ryzykujesz. Ludzie nie lubią zmian.

– Stać mnie na komercyjne fiasko.

– Cenna szczerość. Może to jest odpowiedź na twoje pierwsze pytanie. Bądź zdrów.

Zwalniam, rzeczywiście słowa czasami potrafią zmienić życie, bylebym przeżył wtorek, a potem środę i kolejnych kilka dni. Ewelina Krüger ofiarowała mi dar. Na razie jeszcze nie do końca wiem, co z nim zrobić.

Parkuję, mam do przejścia sto metrów, pokonuję je dostojnym krokiem, jestem pół minuty przed czasem, punktualność to mój pancerz i opoka, niecześta w branży, mało ludzi ją docenia, większości robię tylko kłopot, przychodząc punktualnie na spotkania. Uniżony kelner prowadzi mnie do stoli-

ka, biel obrusa oślepia, pianista zaczyna grać Gershwina. Zamawiam aperitif złożony z niegazowanej wody, nowy ascetyzm mi służy, zobaczymy jak długo, łykam prewencyjnie ketonal, wchodzi Nancy, sukienka przed kolana, obcas średni, makijaż tak doskonały, że aż niewidoczny. Jest pewna siebie, wstaję na jej widok, kelner zjawia się jak spod ziemi. Niemal walczymy, kto ma podać krzesło.

– Dobry wieczór – mówię.

– Cześć – odpowiada.

– Pięknie wyglądasz.

– Nie stać cię na bardziej wyszukany komplement?

– To szczyt moich możliwości, w końcu jestem pisarzem, którego nie chcesz.

– Masz naprawdę tak niską samoocenę? – paruje cios, uśmiecha się leciutko i równie leciutko rumieni. Pomieszałem rzecz prywatną z rzeczą służbową, na razie nie stara się tego rozplątać, co cieszyłoby mnie, gdyby sytuacja była normalna.

Śmiejemy się oboje. Ona wie, po co tu przyszła, muszę ją wyprowadzić z błędu, w gruncie rzeczy nie żałuję, może tylko szkoda mi zawiedzionych nadziei siedzącej przede mną kobiety. Zmiany, jakie we mnie zachodzą, obserwuję z niejakim rozbawieniem, jeszcze nie wiem, czy jestem z nich zadowolony, ale staram się być konsekwentny. Moja nowa zabawka, zobaczymy, na jak długo wystarczy.

– Chciałbym cię przeprosić – mówię. – Obiecałem sobie, że nie będziemy rozmawiać o sprawach służbowych. Jednak muszę.

Kiwa głową, udaje, że przyszła wyłącznie w celach zawodowych. Bardzo mi się to podoba, sztuka dla sztuki, lizanie loda przez szybę, ale jednak.

– We wtorek będę miał operację.

Podnosi brwi, oczy lekko się zwężają, narasta w niej napięcie, którego nie rozumiem. Nie jestem dla niej aż tak ważny.

– Coś poważnego?

– Tętniak. – Macham ręką, żeby chociaż przez moment sprawiać wrażenie faceta, który nie przejmuje się takimi rzeczami, któremu do hipochondrii równie daleko, co na Księżyc, co zresztą jest prawdą, a może było prawdą, dopóki nie zachorowałem naprawdę. – Dobry lekarz, dobry szpital, chyba nie ma się czym martwić. Tyle że będę musiał zrobić przerwę.

– Jak długą?

– Dwa miesiące, jeśli wszystko pójdzie gładko. Może mniej.

Myśli, nie podoba jej się to, co słyszy. Stacja chwali się, że nie są dla niej ważne wyniki oglądalności, że najważniejsza jest jakość, wysokie standardy, wartość artystyczna niedosiężna dla innych, spokój, głęboki namysł i profesjonalizm. Ale ja rozumiem Nancy Sanchez. Podejrzewam, właściwie jestem pewien, że ustalony harmonogram to dla jej szefów rzecz święta. Firma działa jak normalna korporacja, tyle że przedmiotem działania jest produkcja programów telewizyjnych. Centrala w Nowym Jorku czy może Waszyngtonie surowo rozlicza z wyników, bardzo nie lubi sytuacji, gdy solidna zaliczka dla scenarzysty zostaje wydana, a efektów brak. Suma wydatków musi z naddatkiem zostać pokryta przychodami, bilans musi się zgadzać, nikt nie lubi dopłacać do interesu, koniec roku, kiedy księgowi biorą się do roboty, nadejdzie wkrótce.

– Będą poważne opóźnienia – odzywa się po chwili milczenia.

– Wiem. Dlatego mam propozycję. Jest taki facet, młody, zdolny, który to napisze.

– Bierzesz współautora?

– Nie. Pozostanie anonimowy.

– Co już napisał?

– W zeszłym roku wydał „Ogień na pograniczu”.

– Powieść? – krzywi się.

– Owszem. Bardzo dobra.

Kręci głową.

– To wszystko?

– Napisał kilka scenariuszy, ale jeszcze się nie przebił.

– Czyli nawet nie jest debiutantem.

– Mówię ci, są niezłe.

– Chcę przeczytać.

Biorę jej dłoń. Jest chłodna, ma dokładnie taką fakturę skóry, jakiej się spodziewałem. Przemyka mi przed oczyma jej naga sylwetka.

– Biorę za niego odpowiedzialność. Za dwa tygodnie dostaniecie poprawione treatmenty.

– Nie będzie dodatkowego honorarium.

– Biorę go na siebie.

Nie jest zadowolona, do czego ma pełne prawo. Wciskam jej coś, czego nie chce. Przyszła na randkę, ja natomiast każę jej podejmować decyzje biznesowe.

– To musi zostać między nami – żąda.

– Cieszę się, że podobnie myślimy – odpowiadam.

Cofa dłoń, bawi się kieliszkiem, upija łyk wina, ponownie obraca szkło w palcach. Kelner przynosi carpaccio dla niej i sałatkę dla mnie. Jemy, ona elegancko, ja niezdarnie, jakbym nagle stracił czucie w palcach. Staram się ukryć drżenie rąk, Nancy zerka na mnie, odkładam sztućce, chowam dłonie pod stół, zaczyna mi drętwieć lewa połowa ciała, czuję się bardzo dobrze, wszystko rozumiem i słyszę, ale tylko prawą częścią, wykwit histerii, zmarnowanego życia opatrzonego wyłącznie materialnym sukcesem. Staram się panować nad sobą, nad twarzą, nad słowami, w końcu nic mnie nie boli, drętwotę da się znieść.

– Kiedy on zacznie? – pyta Nancy.

Skupiam się, nie pamiętam, która połowa mózgu odpowiada za mowę, chyba nie ta, którą mam czynną, układam wargi do pierwszej sylaby.

– Jutro rano – odpowiadam.

We własnych uszach brzmię jak stara katarynka, ale Nancy rozumie, kiwa głową, odkłada sztućce, pije wino.

Drętwota mija, jakby jej nigdy nie było, znowu jestem sobą, istnieją bóle fantomowe, czy występują również fantomowe histerie, miraże paraliżu?

– Dawno się dowiedziałeś o tętniaku? – pyta.

– W dniu, w którym mieliśmy ostatnie spotkanie. Dlatego się spóźniłem.

– Na spotkaniu nie wyglądałeś na specjalnie przejętego.

– Nie byłem. Potem do mnie dotarło. Pogadałem z profesorem, który mnie będzie kroił. Zalecał zwolnienie tempa na kilka miesięcy.

– Rozumiem.

– Nancy – mówię ostrożnie. – Nie chcę stracić tego serialu, chociaż uważam, że nie macie racji. Przy „Zimie” nie ingerowaliście za bardzo i wyszło bardzo dobrze. – Podnosi dłoń, chce protestować, pokazuję jej, że nie mam ochoty na kłótnie, nie po to tu przyszedłem. – Dlatego załatwiłem tego chłopaka. On jest naprawdę dobry. Ja wylecę z obiegu, ale praca będzie szła. Będę czytał to, co on napisze, i trzymał linię.

– Miałam kilka dyskusji na ten temat – odpowiada, trochę nie na temat. – Centrala nie pała wielkim entuzjazmem do lokalnych produkcji w ogóle, a polskich w szczególności. Za dużo śliskich tematów, a za mało uniwersalności. Oni wolą eksportować swoje treści. Mają nie tylko pełną kontrolę nad procesem, ale i wyższą marżę. A twój pomysł wydał im się okej, byle bez uwarunkowań, wiesz, politycznych.

– Czego się boją?

– Tego, co wszyscy. Oskarżeń o homofobię, antysemityzm, rasizm. Stacja musi pozostać czysta. I nadal wyznaczać odpowiednią linię.

Rozumiem ich. Oficjalnie są otwarci na każdy pomysł, ale w rzeczywistości żyją w matriksie, każde zetknięcie z realnym światem musi powodować rany i obrażenia. I tak cud, że zrobiliśmy „Zimę”. Występuje tam homoseksualista, który jest jednoznacznie zły. Który czyni zło, bo lubi zadawać ból. Bo sprawia mu to perwersyjną przyjemność. I tatuś wcale go nie molestował w dzieciństwie. Obyło się bez ingerencji. Może źle ich oce-

niam. Może, mimo deklaracji Nancy, rzeczywiście chcą pokazywać świat w całej złożoności, z harmonią postaw, moralności i wierzeń, bez ideologicznych uprzedzeń, bez założonych z góry preferencji.

– Zrobimy to – obiecuję.

Rozmawiamy o ich kolejnych posunięciach, komentujemy branżowe plotki, Nancy pije trzeci kieliszek, nie widać po niej żadnego wzmożenia, ma żywe, śmiejące się oczy, sporo wie i umie dzielić się wiedzą, kilka złośliwości pod adresem konkurencji, pieprzna anegdota z życia znanej aktorki, która poszła do łóżka z największym konkurentem swojego męża, pech chciał, że konkurent nagrał scenę i zostawił komórkę niestrzeżoną, co wykorzystała narzeczona konkurenta i, pragnąc zemsty, zamieściła nagranie w sieci. Nawet ja o tym słyszałem, bez szczegółów, co świadczy, że skandal był naprawdę huczny, nic mnie takie rzeczy nie obchodzą, lubię chodzić do łóżka z różnymi paniami, a nie o tym czytać, to, co robi bliźni, jest mi w gruncie rzeczy obojętne, chyba że jego działania wpływają na moje życie, prosta filozofia, ale do tej pory służyła bezbłędnie. Nancy na coś czeka, zastanawiam się, czy jej to dać, na razie trzymam się uprzedniego postanowienia, że nie, coś chyba powinienem powiedzieć, ochota mi nie minęła, tyle że rozsądek wziął górę, jak to ująć w słowa nieobraźliwe i zręczne? Może nie powinienem nic mówić? Nancy patrzy na zegarek, wspomina o tym, że zrobiło się późno, jutro ciężki dzień, muszę podjąć ostateczną decyzję, ona chyba czeka na zaproszenie.

– Może cię podwiozę? – pytam.

– Dość daleko mieszkam – odpowiada, co kwituję podniesieniem dłoni.

– Przyjemność po mojej stronie.

Nieoczekiwanie kiwa głową, nieco zbyt szybko, jak na taktyczne posunięcie. Płacę rachunek, wychodzimy, siada na fotelu pasażera, mam w samochodzie kobietę, która rządzi największymi budżetami w Europie Środkowej i jest bardzo atrakcyjna, w wieku, który wydaje mi się optymalny, ciało jeszcze młode, a rozum dojrzały, nie trzeba tłumaczyć oczywistości,

tracić czasu na niepotrzebne gesty i słowa. Niektórych to nie razi, ja niczego tak nie cierpię jak dewaluacji pojęć i znaczeń tonących w paplaninie dwudziestolatek, którym wydaje się, że są dorosłe, Hania akurat była wyjątkiem. Zastanawiam się nad następnym ruchem, znajduję się w nowej sytuacji, na ogół idę za instynktem, szybkie ustawienie kontekstu, nadanie jednoznaczności, intencje z góry ogłoszone, żadnych niedomówień, gra w otwarte karty, czysta biologia udrapowana na romantyczne westchnienia, z czym też bez przesady.

Z nowym podejściem mam kłopoty, nie wiem, co to czysty ton, a co fałsz, gram na nieznanych instrumentach, płynę po tajemniczych wodach, tajemniczych dla mnie, bo dla większości są to pewnie wody codziennego użytku. Z płyty leciutko pomrukuje Stone Sour, Nancy pyta, czy takiej muzyki słucham, ja na to, że tylko gdy pragnę chwili uspokojenia i relaksu, odrobiny pastelowych kolorów, kręci z niedowierzaniem głową, podkręcam głośność, subwoofer niemal wyrzuca ją z siedzenia, śmieje się już całkiem otwarcie, ostatnia okazja, by się zadeklarować. Podjeżdżamy pod elegancką willę na Saskiej Kępie, z wysokim ogrodzeniem i kamerami nad bramą oraz w każdym narożniku, czynsz minimum dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie, takie splendory funduje swoim menedżerom potężna korporacja zza Wielkiej Wody, w kraju dzikich, niecywilizowanych tubylców, łaknących szklanych paciorków.

Samochód cicho mruczy silnikiem, nabieram powietrza, Nancy kładzie swoją dłoń na mojej.

– Jutro mam ciężki dzień – mówi. – Nie obrazisz się, jeśli nie zaproszę cię na kawę?

– Trochę się obrażę – odpowiadam, mając nadzieję, że nie widać po mnie ulgi, tylko zawiedzione nadzieje ukryte pod maską dobrego nastroju. Aktor ze mnie nierówny, raz gram rolę oscarową, innym razem nie przyjęto by mnie do teatrzyku szkolnego.

Nancy uśmiecha się słodko, całuje mnie w policzek.

– Nie bądź rozczarowany – mówi i wysiada.

Co chciała mi powiedzieć? Zganić? Nagrodzić? Wyręczyć, czy odwrotnie, wyrazić zawód spowodowany brakiem wysiłku?

Dlaczego mam nie być rozczarowany? Czym?

Nie jestem rozczarowany ani sobą, ani nią. Nie zwyciężyłem, ale i nie przegrałem. Umówmy się na remis.

Widzę, jak otwiera furtkę i niknie mi z oczu, fotokomórka zapala lampy na ścieżce, wydobywając z półmroku ślicznie zaprojektowany fragment ogrodu, jakiś fragment Kalifornii na prawym brzegu Wisły, metafizyka chwili i nastroju, Nancy musi się tu czuć jak u siebie, w środku zapewne podobna jakość, co na zewnątrz, nie ma powodów sądzić, że jest inaczej, inteligentny dom, czujniki w każdym pomieszczeniu, ogromny ekran w salonie, wnętrza w stali, szkle i chromie, zmiksowane z przedwojenną architekturą i stuletnimi meblami tu i tam. Czemu nie? Co mnie to obchodzi? Życzę jej dobrze, w sumie pozytywna postać, na rynku mrowie gorszych, podlejszych, przy tym znacznie brzydszych, o piskliwych głosach i krzywych nogach, wiecznie pokrytych czerwonymi plamami od nadmiaru depilacji.

Jadę do siebie, dziwnie spokojny, jeszcze wcześnie, Warszawa jeszcze nie kładzie się do snu, wszędzie można szybko dojechać, ale mnie się nie spieszy, przestałem czuć ciągłą potrzebę przybywania na czas nawet w najbłahszych sytuacjach. Dzwoni komórka, zerkam, chyba blednę, włączam zestaw głośnomówiący.

– Cześć, Zosiu – mówię.

– Dobry wieczór, tato – odpowiada moja najstarsza córka. – Nie przeszkadzam?

– Nie żartuj.

– Mogę ci zająć chwilę? Słyszę, że jedziesz samochodem.

– Mam zestaw i tyle czasu, ile chcesz.

– Czy wydarzyło się coś nowego? – słyszę w jej głosie ostrożność, tembr ma podobny do matki, młodsza wersja Heleny pod względem uroku, urody, inteligencji i postrzegania świata.

– Co masz na myśli?

– Odkąd wróciłam ze szkoły, mama chodzi po całym domu… wszędzie jej pełno. Czasem mam wrażenie, że jest w dwóch albo trzech miejscach naraz.

Uśmiecham się pod nosem.

– Jest zła? Zdenerwowana? Krzyczy?

– Nic z tego. Pogwizduje.

Śmieję się już od ucha do ucha. Chętnie usłyszałbym motyw gwizdany przez moją utalentowaną żonę.

– To chyba nie tak źle, prawda?

– Tato, nie traktuj mnie jak dziecka, dobrze?

– Nie traktuję cię jak dziecka.

– Mama nie jest sobą. Pogwizduje coś ładnego… – Słyszę, jak zastanawia się przez moment. – To brzmi jak coś w twoim stylu.

– Melodia, którą gwiżdże mama, przypomina ci jakieś moje kawałki?

– Tak, przypomina. Wiesz, że niektóre mi się podobały. Ale to coś nowego, nie słyszałam jeszcze.

Milczymy oboje.

– Widziałem się dzisiaj z twoją mamą, rzeczywiście puszczałem jej kawałek, który niedawno skomponowałem. Kupiłem sobie trochę sprzętu, mam czasami wolną chwilę… Może jej się spodobało. Chcesz, to ci przyślę.

– Chcę – odpowiada odruchowo, po czym eksplikuje to, co ważniejsze. – Tato, spotkałeś się z mamą?

– Tak. Nie tylko słuchaliśmy muzyki. Również rozmawialiśmy.

– O czym?

– Wolałbym, żeby na to pytanie opowiedziała ci mama.

– Dlaczego?

– Bo nie wiem, jaką decyzję podjęła w sprawie tego, o czym rozmawialiśmy.

– Ach, więc jednak traktujesz mnie jak dziecko.

– Odwrotnie. Traktuję cię bardzo poważnie, dlatego nie chcę, żebyś miała wrażenie, że cię rozgrywam przeciwko mamie albo coś takiego.

Milknie znowu, nie przeszkadzam jej. Odkąd się wyprowadziłem, przyjąłem żelazną zasadę, jedyną, na jaką mnie było wtedy stać, o całkowitej szczerości w stosunkach z najstarszą córką. Nie ukrywałem zamiarów ani opinii na temat małżeństwa, na swój również. Zośka była na tyle dojrzała, że jej się to po prostu należało. Z czasem zacząłem dostrzegać głębszy sens tej decyzji, błogosławić wartość prostych rozwiązań, szczerych odruchów, przed którymi tak wyraźnie ostrzegał stary cynik Talleyrand. Młodsze córki to co innego. Z Julką i Zuzią nie udało mi się zbyt wiele osiągnąć.

– Chyba nie rozumiem – przyznaje.

Wzdycham.

– Porozmawiaj z mamą. Jedno mogę ci przyrzec: nie pokłóciliśmy się.

– Poważnie?

– Odwrotnie: dawno nie rozmawiało nam się tak dobrze. Dla ostrożności: moim zdaniem dawno nie rozmawiało nam się tak dobrze.

– To dobrze.

– Ale to była tylko rozmowa.

– Od czegoś trzeba zacząć.

– Zośka, na razie na pewno nie możemy mówić o niczym więcej.

– Domyślam się.

– Chodzi o to, żebyś nie myślała, że wszystko już jest okej.

– Wiem.

– Jeśli w ogóle miałoby się coś stać, czeka nas długi proces i musimy oboje bardzo tego chcieć.

– A ty chcesz? – pyta najsłodszym z głosów.

Zmusza mnie do zastanowienia się. Czego ja chcę?

– Za wcześnie o tym mówić – stwierdzam, pragnąc, by nie wzięła odpowiedzi za wykręt.

– Słyszałam, że nigdy wina nie leży po jednej stronie – mówi po dłuższej chwili. – Że zawsze winne są obie strony. Może tak jest. Ale wydaje mi się, że w tym wypadku większość to twoja wina. Że w dużej mierze to ty jesteś tym złym. Dobranoc, tato.

W mojej rodzinie szczerość działa w obie strony.

Zostaję sam z ciszą. Za oknem wieczorna Marszałkowska, najbardziej niewykorzystana ulica w Polsce, nieliczni przechodnie snujący się bez celu, kolorowe neony, na które nikt nie patrzy, martwe szklane wieżowce.

Zaczynam czuć ciężką, oślizgłą kulę w żołądku. Rozrasta się, zaczyna dusić, mam wrażenie, że idzie ku górze, dyszę jak po długim biegu, kierownica nagle mokra od potu, obraz chwieje się, zmazuje, różnobarwne światła zlewają się w wielką feerię kolorów, oślepiają, powodują fizyczny ból, odruchowo hamuję, zjeżdżam na prawo, koła z hukiem wskakują na krawężnik, samochód chwieje się, w końcu nieruchomieje. Zaciskam powieki, nie widzę niczego, przez moment mam pewność, że już nigdy niczego nie zobaczę, nie zapamiętam. Oddech przechodzi w rzężenie, łykam powietrze jak murowany kandydat na topielca, krótko, łapczywie, spazmatycznie. Zdejmuję dłonie z kierownicy, zaciskam w pięści, czuję ból, paznokcie orzą skórę, krew, a może mi się wydaje, niczego nie jestem pewien.

Słyszę trąbienie, jakieś głosy, otwieram ostrożnie oczy, ludzie zaglądają do środka, kobieta w średnim wieku i starzec z mojego rocznika, dwa samochody nie mogą mnie wyminąć, tarasuję połowę prawego pasa. Podnoszę wzrok, zerkam w lusterko wsteczne, widzę dwoje płonących strachem oczu, dzikich, rozszerzonych, nie moich, choć mają ich kształt i kolor i tkwią w moich oczodołach.

Zwalniam oddech, rzężenie ustaje, dłonie przestają się pocić. Wycieram je chusteczką.

Żyję.
Ruszam. ■

ROZDZIAŁ 6

Budzę się spocony, bez tchu, kołdra na podłodze niczym wymięta szmata, poduszka mokra, na prześcieradle plamy, pokój zalany światłem, serce wyrywa się na wolność. Przymykam oczy, wraca obraz ze snu, a może niedawnej jawy, wraca strach i udręka, znowu widziałem starego basiora, chciał podejść, uciekałem w panice, jak zwykle w takich razach stopy grzęzły w gumowatej magmie, parującej i strzelającej bąblami, pomimo tego nieparzącej, w sposób właściwy snom; cofałem się, nie tracąc z oczu wilka, który sunął nad powierzchnią z zupełnie nadprzyrodzoną mocą. Podszedł blisko, czułem odór idący z paszczy, ślina ciekła po pożółkłych zębiskach, fafle unosiły się i opadały, bulgot dobiegający z piersi przeraża mnie nawet teraz, gdy wilka już nie ma. Nie znam się na snach, nie przywiązuję do nich wagi, ale ten jest inny, natrętny, regularny. Czy zwiastuje najgorsze? A może zapowiada tylko kolejny ból głowy?

Odrzucam kołdrę, zerkam na zegarek, ostatnio budzę się coraz wcześniej, koniec długiego snu, wiek średni dla wczesnych emerytów ćwierćwiecze przed emeryturą, zaczynam jęczeć jak niektórzy zblazowani trzydziestolatkowie głoszący, że stoją nad grobem, nudzi mnie to i brzydzi, robię się taki sam, stanę się nieznośny już wkrótce. Otwieram fejsa, piszę krótki post streszczający w kilku zdaniach żądania Gardana, nie podaję kto i co, chodzi o zasadę, nieco wyolbrzymiam skalę zmian, robię z tego problem moralny, twórca a dzieło, granice kompromisu, sam fakt istnienia kompromisu, czy autor ma prawo do zmian, czy po opublikowaniu powieści bohaterowie i fabuła stają się własnością publiczną, czy są zawłaszczeni przez czytelników, jak to według was jest, moi drodzy? Reakcja błyskawiczna, nadal nie rozumiem mechanizmu, wedle którego ludzie przygotowują się do wyjścia do pracy, jedzą śniadanie, odwożą dzieci do szkoły, kochają się i kłócą, a mimo to mają czas pisać komentarze na portalu społecz-

nościowym. Podzielność uwagi? Nadrzędna konieczność zaistnienia? Fetyszyzm? Dziś jest sobota, ludzie mają wolne, teoretycznie powinni spać, a jednak siedzą i piszą. Chodzi o zasadę. Słaby jestem z socjologii, fenomeny współczesnej komunikacji nie dla mnie, nic z tego nie rozumiem, poza tym, że nauczyłem się ich używać dla własnej korzyści, więc jednak może nieco rozumiem, stylizacja na poczciwego chłopka-roztropka to jedna z moich twarzy, fałszywa jak inne, przyznaję. Po kwadransie w sieci shitstorm dziesiątego stopnia, czytelnicy oburzeni, *no pasaran*, żelazny elektorat istnieje nie tylko w polityce, niektórzy fani są zatwardziali, nie oddadzą ani guzika z mojej twórczości, hoolsi leżącego na antypodach literackiego mainstreamu. Śmieję się serdecznie, robi mi się lepiej, kawa nadal smakuje dobrze, prysznic, golenie, wygląd w dalszym ciągu jest ważny. Ciekawe, czy po operacji Stary Lew zaordynuje jakąś specjalną dietę, wyda biuletyn dotyczący ograniczeń, gładząc brodę, nakaże zmianę, która szybko mnie zabije, przemieni w mentalnego starca, obnaży wszystko, co miałkie i złe, za to w trumnie będę wyglądał bardzo fit.

Komentarze zmieniają ton, do głosu dochodzą oburzeni inaczej, na mnie i moje kołtuństwo, seksizm to najczęstszy argument, jestem ulubionym celem ataku feministycznych radykałów, choć we właściwej tym środowiskom stylistyce wypadałoby raczej powiedzieć o radykałkach. Pozwoliłem sobie kiedyś wyśmiać w jakimś wywiadzie feministyczne końcówki rzeczowników, proponując konsekwencję i ustanowienie żeńskiej wersji inżyniera jako inżynierkę, a budowlankę robiąc odpowiednikiem budowlańca. W moim przekonaniu tego typu zabiegi brzmią jak głośne pierdnięcie na eleganckim przyjęciu; zostałem potem zasypany groźbami i obelgami, dawno nie nurzałem się w takim szambie, nawet byłem trochę zbrzydzony, choć w zasadzie uważam się za odpornego. Wieteska łajał mnie przez tydzień, ma zdanie podobne do mojego, ale na użytek publiczny jest okrągły i teflonowy, nie posiada żadnych poglądów wykraczających poza truizmy, z „kochajmy się” na czele. Mówi, że pieniądze nie mają poglądów. Do tej pory

zgadzałem się z nim, obaj jesteśmy głupcami, pieniądze w sposób oczywisty mają poglądy.

Dzwoni komórka, odbieram z obawą, walcząc zarazem z nieodpowiednim dla obecnej chwili zadowoleniem.

– Cześć, Heleno – mówię.

– Cześć. Masz chwilę? – odpowiada moja nadal jeszcze aktualna żona.

Nawet nie patrzę na zegarek.

– Oczywiście.

– Nie wierzę ci – oświadcza, po czym wypuszcza ciężko powietrze, jakby musiała dotrzymać do rozmowy ze mną tę stanowczą deklarację i jedynym sposobem było wstrzymanie oddechu. – To znaczy wierzę, że chcesz dać pieniądze dzieciom, zawsze starałeś się być dobrym ojcem, nie o to chodzi. Ale nie wierzę, że zrobiło ci się głupio, czy masz wyrzuty sumienia.

– Nie powiedziałem, że jest mi głupio – protestuję.

– Dałeś do zrozumienia. Umiem wyciągać wnioski.

– Czyli kłamię?

– Najprawdopodobniej.

– Nawet jeśli, co to zmienia?

– Nie znoszę nieuczciwości, wiesz o tym.

– Nie próbuję cię przekonać, że jestem aniołem.

– Zawsze mogę ci zaproponować, żebyś spadał – grozi.

– Możesz wszystko – zgadzam się.

– Kiedy odszedłeś, bolało jak skurwysyn, czułam się źle, jak ostatnia idiotka. Uważałam, że na to nie zasługuję. Zniszczyłeś mi samoocenę. Mało nie wpadłam w alkoholizm. Wyjście z dupy, w której mnie umieściłeś, zajęło pół roku. Pozbierałam się i radzę sobie. I teraz chcesz znowu przemeblować mi życie.

– Chcę tylko, żebyś wzięła pieniądze.

– O tym mówię, głupku.

– Masz rację, za te pieniądze można kupić sporo mebli, nawet dość kosztownych.

Udaje mi się ją rozśmieszyć, ale chichot szybko milknie. Helena doskonale wie, że to jedna z moich metod odciągania uwagi od istoty problemu.

– Pamiętam taki dzień… – mówi, zdaje się, że nie à propos – …dziewczynki były małe, Mikołaja jeszcze nie było na świecie. Już coś pisałeś, ale jeszcze miałeś w domu sprzęt i gitarę. Wyszłam rano. Odprowadziłeś Zośkę do przedszkola. Wróciłeś. Zaraz potem wpadł Wojtek.

– Przyniósł worek piwa – przypominam sobie.

– Potem policzyłam butelki – ciągnie Helena. – Trzydzieści osiem. I zaczęliście grać. Powstała jedna z twoich najlepszych piosenek.

Pamiętam. W ciągu dwudziestu minut skomponowałem hit, który nie stał się hitem tylko dlatego, że nie ujrzał światła dziennego, napisałem słowa, które, czytane dziś, nie wzbudzają we mnie obrzydzenia. Wojtek, wtedy najlepszy przyjaciel, grający na klawiszach muzyk z klasycznym wykształceniem, pił ciepłe piwo wprost z butelki i grał rzeczy niepojęte, ja miałem pięć pomysłów na minutę, wszystkie wydawały mi się dobre. Jeszcze wtedy, zdaje się, byłem święcie przekonany, że nadal będę żył z dzielenia się z kosmosem efektami moich muzycznych talentów i fascynacji.

– Sąsiadka zadzwoniła do mnie i powiedziała, że w przerwach między łomotem słyszy płacz dziewczynek – ciągnie Helena.

– Tak.

– Pamiętam jak dziś: ty chrapiesz z gitarą na brzuchu, on na czworakach dopija resztki z butelek, a dziewczynki w kuchni gotują obiad. Weszłam, kiedy Julka próbowała zapalić gaz pod wodą na makaron. Obudziłeś się następnego dnia rano.

– Ba.

– Tydzień później sprzedałeś gitarę i resztę gratów.

– No właśnie.

– Nigdy mi nie powiedziałeś. Nigdy nie mogłam odgadnąć.

– Czego ci nie powiedziałem?

– Który Jerzy Grobicki był prawdziwy. Ten, który olewa własne dzieci, jest na tyle bezmyślny, żeby puścić samopas dwie dziewczynki, jedną roczną, drugą dwuipółletnią, czy ten, który jednego dnia odgryza pępowinę łączącą go ze starym życiem, sprzedaje gitarę i resztę gratów, przysięga, że już nigdy więcej nie postąpi równie głupio, i dotrzymuje słowa.

Myślę. Helena ma rację. Staram się być dobrym ojcem, ale staraniem się nie można usprawiedliwić bezmyślności, krótkowzroczności, egocentryzmu, tendencji do pijackich ciągów czy skłonności ekshibicjonistycznych. Dzień, o którym przed chwilą usłyszałem, z oczywistych względów pamiętam jak przez mgłę, natomiast nigdy nie pozbędę się poczucia wstydu. Może to i dobrze. Człowiek powinien się wstydzić jak najczęściej. Dziś to trudne; kończymy uniwersytety pozbywania się wstydu, robimy doktoraty ze zwalczania wstydu, specjalizujemy się w rozstrzeliwaniu wstydliwego uczucia wstydu.

– Nie umiem odpowiedzieć – mówię. – Pewnie obaj. Albo żaden.

– Filozof z ciebie.

– Zawsze do usług.

Znowu się śmieje, inaczej, łagodniej, cofam się w czasie, widzę ją po raz pierwszy, tajemniczą, smukłą, w sukience, przez którą patrzy mi w oczy słońce, ma dwadzieścia dwa lata, nieudany związek za sobą, parę posiniaczonych wspomnień, studia, których nie lubi i których nie skończy. Ma do mnie stosunek sarkastyczno-lekceważący, prowokuję raczej drwinę niż zainteresowanie, ciągnie ją do innego faceta, nagle zaczyna mi zależeć, po raz pierwszy w życiu na czymś mi zaczyna zależeć naprawdę, gdy ją w końcu skłaniam do pójścia do łóżka, uważam się za Aleksandra Macedońskiego, w zasadzie dosłownie.

– Mój adwokat dzwonił z samego rana. Mówi, że taka okazja nie zdarza się często. Właściwie w jego karierze nie zdarzyła się nigdy. Pogania mnie, namawia, żebym się zdecydowała.

– Posłuchaj go.

– Chcę zrobić to, co słuszne.

– Przez całe życie byłaś altruistką, walczyłaś o to, co dobre dla innych. Teraz powinnaś w końcu zrobić to, co ci się opłaca. A moja oferta ci się opłaca. Po prostu idź i podpisz.

Najchętniej wymierzyłbym sobie kopniaka. Nie chciałem mówić o ofercie. Helena całe szczęście nie zwraca uwagi na wypowiedziane przed chwilą słowa.

– Kiedy idziesz na operację?

– We wtorek.

– Przed wtorkiem dam ci odpowiedź.

– Gdybyś chciała posłuchać muzyki, dzwoń.

– Nie powinieneś tego mówić.

Rozłącza się, zostawiając mnie siedzącego na fotelu, który zaprojektowała i wykonała.

Oczywiście, nie powinienem tego mówić. Moja muzyka nie ma dla Heleny znaczenia, razem z moim życiem jest niechcianym wtrętem w uporządkowany z wielkim wysiłkiem świat, wrzodem na czystej skórze moralnej odnowy. Kobiety bywają albo fatalistkami skazanymi na porażkę, albo nieuleczalnymi optymistkami, co nieraz na jedno wychodzi.

Ubieram się, wychodzę, jadę powoli, skupiony, nie chce mi się właściwie z nikim rozmawiać, muszę być na spotkaniu, ale uniknąłbym go, gdybym mógł, gdybym był o kilka dni młodszy.

Wchodzę do siedziby wydawnictwa. Wieteska pod krawatem, nieczęsty widok, może później ma spotkanie z prokuratorem albo sędzią, czasem zależy mu, żeby sprawiać wrażenie poważnego człowieka, jest wtedy cichy i stonowany, literacka polszczyzna absolwenta uniwersytetu ze starych dobrych czasów, gdy uczono jeszcze czegokolwiek wartościowego. Henryk Szumski wstaje na mój widok, wyciąga obie ręce, chce przytulić do serca, uchylić nieba, ofiarować cały świat. Znam go, żadna poza czy gra, taki jest,

życzliwy z niego człowiek, z zasadami, czasem się zastanawiam, jakim cudem osiągnął sukces. Wygląda na takiego, którego nietrudno oszukać przy kupnie gazety, każdy żebrak może liczyć na jałmużnę, każdy sto lat niewidziany znajomy wystąpić o pożyczkę, o którą pożyczkodawca zapomni się upomnieć. Duża, mięsista, budząca zaufanie twarz, broda à la Karol Marks, tyle że całkowicie siwa, słuszna postura, dwadzieścia kilogramów misiowatej nadwagi. Szumski mógłby grać role kapitanów dziewiętnastowiecznych żaglowców, brakuje mu tylko lunety w dłoni i fajki w zębach. Ma jednak dobrze skalibrowany rozum, kocha czytać, uważa, że literatura powinna służyć ludzkości radą, wsparciem, otwieraniem horyzontów, rozrywką w ostateczności, że roli literatury nie sposób przecenić, że dobrej książki nie zastąpi nic, z czym się nie zgadzam, ale ja nie gram w lidze, którą Szumski ma na myśli, jestem królem błotnistego i cuchnącego majdanu nazwanego popkulturą, ale za górami i lasami moja władza nie obowiązuje, wśród mieszkających za lasami i górami koneserów piękna moje nazwisko wywołuje pogardliwe uśmieszki. Szumski jednak traktuje mnie poważnie, nawet nie tyle pieniądze, które na mnie zarabia, ale właśnie mnie, lubi ze mną rozmawiać, może go bawię, twierdzi, że działam na niego stymulująco, co przy mojej reputacji brzmi dwuznacznie.

Reputacja – co to właściwie znaczy? Tłumy śledzących profil na fejsie? Setki ludzi na każdym spotkaniu autorskim, żebrzących o autograf złożony na czymkolwiek, nawet na dłoni? Bezlik tak zwanych recenzji, na ogół pisanych przez pryszczate piętnastolatki, których kulawa polszczyzna i naiwność myślenia są odwrotnie proporcjonalne do dobrych chęci i pretensji do bycia koneserem? Zainteresowanie pań w każdym wieku i o każdej pozycji społecznej? Wieteska zbywa te pytania wzruszeniem ramion, mnie nawiedzają coraz częściej, stają się niemal tak samo ważną częścią życia, jak spanie i jedzenie.

Siadamy. Jest sobota, mimo wolnego dnia będąca w rozciągliwym wieku sekretarka Szumskiego o nieokreślonej fryzurze trwa na posterunku

i serwuje doskonałą kawę. Wzdycham, bo nie mam do powiedzenia niczego pocieszającego. Stawiam przed sobą laptopa, otwieram go, włączam, nadgryzione jabłuszko zaczyna się jarzyć przymglonym białym blaskiem. Otwieram plik z powieścią, obracam ekran w ich stronę.

– Na czerwono zaznaczyłem miejsca ingerencji – mówię. Przewijam, strony migają, czerwone plamy zajmują jedną trzecią, czasem połowę tekstu, krew, pot i łzy niepotrzebnej pracy. Obaj moi rozmówcy wpatrują się w monitor, Wieteska kręci lekko głową, Szumski skrywa myśli i uczucia za imponującą brodą, gładzi ją odruchowo, maleńkie drobinki kawy zostają tuż pod ustami, wygląda na zaskoczonego, choć przecież nie powinien, ciekawe, co powie. – To tylko pierwszych trzydzieści stron, potem już mi się nie chciało. Dalej będzie tak samo.

Zaskakuje ich skala, są przytłoczeni, mieli nadzieję, że żądania Gardana będą dla mnie w gruncie rzeczy kwestią ambicji, a nie czasu i włożonej pracy. Jestem świeżo upieczonym woluntarystą z silnymi tendencjami do racjonalizmu, żadnych emocji, wymowa faktów, podanych na czysto, bez interpretacyjnego sosu. Nowa rola trochę jeszcze uwiera, jeszcze muszę się w niej osadzić, poczuć pewniej, po co krzyczeć, skoro można odwołać się do konkretów?

– Skurwysyny – mruczy Wieteska.

– Rzeczywiście, sporo – podsumowuje Szumski. – Rozumiem, że zaznaczyłeś tylko to, co niezbędne.

– Ściśle według klucza. Raczej mniej niż więcej.

Milczą, namyślają się, kalkulują.

– Moja odpowiedź brzmi: nie – mówię oficjalnym tonem, nim zdołają zabrać głos. Obaj kiwają głowami, bo chyba ich nie zaskoczyłem, ale widzę, że będą walczyć, będą kwilić jak dzieci pozbawione w ostatniej chwili truskawkowego loda. – Musiałbym napisać od nowa postać głównego bohatera. Zmienić połowę dialogów. Jedna z postaci drugoplanowych powinna wylecieć, bo jej teksty dla tamtych są wyłącznie seksistowskie, a bez

tych tekstów nie istnieje. Monologi wewnętrzne, opisy, narracja, właściwie wszystko. Myślałem, że to robota na miesiąc. Pomyliłem się. Raczej dwa, i to po dziesięć godzin. Szybciej byłoby chyba napisać tę książkę od nowa.

– Rozumiem. Możemy dać ci kogoś do pomocy.

Wzruszam ramionami.

– Przyszło mi to do głowy. Ale nie uważacie, że to kurestwo?

– Bez dyskusji – kiwa głową Wieteska. Obaj nie mamy na myśli pomocnika. – Zwykła cenzura.

– Nie mam zbyt wielkiego szacunku do tego, co piszę – mówię, ignorując podniesioną dłoń Szumskiego i skrzywienie warg mojego agenta. – Ale piszę tak, jak umiem i w zgodzie ze sobą. Nie głoszę manifestów politycznych, ale nikogo nie udaję. Jeśli w coś uderzam, to ze względu na logikę fabuły.

– Według nich zmiany posłużą logice – odpiera łagodnie Szumski.

– Oni chcą, żebym umył sobie mózg, a potem wystawił go na widok publiczny.

– Ja bym do tego podszedł jak do ćwiczenia intelektualnego. Wprowadź zmiany, ale nie zaprzeczaj sobie – proponuje.

– Przez rok będziemy się bawić w kotka i myszkę. Im nie chodzi o kompromis. Im chodzi o podbój. To intelektualni imperialiści, ubrani w troskę o godność człowieka.

– Przesadzasz.

– Nie.

– Jureczku – wzdycha Wieteska, krzywiąc się, bo nie znosi pompatycznych uogólnień. – Oni na Zachodzie nie wiedzą, że dają dupy. Mają gdzieś twoją moralną wyższość, mają gdzieś moralną wyższość kogokolwiek. Oni są pewni, że mają rację, nie nawrócisz ich swoją odmową. Ale co z tego? Tego, co przerobisz, a oni przetłumaczą, nikt tu nie przeczyta. W kraju nic się nie zmieni, poza twoim kontem bankowym.

– Jeszcze będę musiał z tym żyć – odpowiadam.

– Nie rób z tego dylematu moralnego. Nie żyjemy w czasach komunizmu, a ty nie jesteś Tyrmandem.

Patrzę na niego, Szumski zaczyna się wiercić, w końcu mój agent spuszcza wzrok.

– Sorry – mruczy.

– Zrobiłem próbną kalkulację sprzedaży według przysłanych przez nich parametrów – włącza się do rozmowy Szumski. – Mówimy o dwustu tysiącach euro wpływu w ciągu pierwszych trzech miesięcy.

Nieco się dziwię. Myślałem, że to Wieteska będzie mówił o pieniądzach.

Coś mnie zaczyna gnieść w żołądku, to już niemal codzienny rytuał, bóle za okiem i pulsujące gluty w brzuchu. Na mój kiełkujący nieśmiało racjonalizm jest już, zdaje się, za późno.

– Rozumiem, że przejdzie wam koło nosa dużo pieniędzy – mówię. – Moja odpowiedź nadal brzmi: nie.

Szumski wzdycha.

– Chodzi mi o to, żebyśmy byli świadomi, na co się decydujemy – mówi.

– Przykro mi – odpowiadam.

Słońce zagląda przez okno. W głowie brzmi głos Heleny, gniecenie w żołądku nasila się. Zaczynam być pewien, że powinienem stąd wyjść jak najszybciej, robić coś zupełnie innego, może wyjechać z Warszawy na parę dni, pooddychać świeżym powietrzem, pojeździć konno, popływać, posłuchać wiatru.

– To nie wszystko – mówię. – Nie oddam „Wiosny” w terminie.

– Hm – odpowiada Szumski, marszcząc brew. O ile wiem, to u niego oznaka konfuzji. – Jeszcze przedwczoraj…

– Mam tętniaka – odpowiadam. – We wtorek idę na operację. Wypadam z obiegu przynajmniej na trzy miesiące.

Szumski chce zadać pytanie, waha się, jest dobrze wychowany, mało kto umie się zachować w sytuacji, gdy rozmówcy grozi pobyt w szpitalu i zabieg, jeśli nie chce wygłosić kilku płaskich komunałów.

Streszczam opinię Starego Lwa, bez szczegółów, ale i bez upiększeń, szczerość i prostota przekazu, kreślę warianty, łącznie z najczarniejszym. Wieteska bębni placami po poręczy, pijemy kolejną kawę, Szumski myśli intensywnie, czeka go masa pracy, przesunięcie terminu, uśmierzenie gniewu dystrybutora, rozmowy z drukarnią, kataklizm, który bezpośrednio dotknie kilkadziesiąt osób, nie licząc trzystu tysięcy spragnionych czytelników, awaria maszynerii to poważna sprawa.

Szumski jest zbyt taktowny, by protestować, już od dawna podejrzewa, że robota zaczyna mnie nudzić, nie naciska na kolejne książki, obaj wiemy, jak jest, ale zdaje sobie przy tym sprawę, że nie jestem pozerem, zawsze dotrzymywałem terminów. Teraz stawiam go do kąta. Mimo soboty telefon będzie czerwony, wszyscy policzą straty, książki najlepiej sprzedają się jesienią, przesuwanie ich na później to drastyczne obcięcie zysków.

– Mam sześćdziesiąt procent tekstu „Wiosny” – oświadczam.

Po minach sądząc, obaj byli pewni, że napisałem znacznie więcej. Przykro mi, panowie. Dziś jest dzień odkrytych kart. Ciągnę myśl:

– Proponuję, żeby w razie mojej śmierci tekst skończył ghost.

– Ależ Jerzy… – protestuje Szumski.

– Spokojnie – mówię. Dawno nie miałem takiego porządku w głowie. – Na razie nie wybieram się na tamten świat. Chodzi o to, żebyście nie zostali z ręką w nocniku.

Szumski podnosi obie dłonie. Piję łyk herbaty. Wieteska czeka, co dalej. Widzę, że jeszcze nie wie, jakie ma zdanie na ten temat.

– Co to za ghost? – chce wiedzieć Szumski.

– Nie teraz. – Kręcę głową. – Dogram dziś szczegóły, napiszę wam, co i jak. Tak czy inaczej, nie stracicie. Nie będzie różnicy jakości.

– Randka w ciemno, kurwa mać – jęczy Wieteska. Nic nie chce na tym ugrać, po prostu się martwi.

– Masz lepszy pomysł? – pytam.

– Nikt nie pisze tak jak ty – oponuje.

– W grobie może mi być trudno…

Szumski znowu podnosi dłonie.

– Moment – przerywa, nim się rozkręcimy. – Skoro już rozmawiamy tak otwarcie, możemy przez chwilę ciągnąć w tej konwencji?

– Inaczej nie ma sensu rozmawiać – mówię.

– Rozumiem, że masz ghostwritera, który skończy „Wiosnę” w razie twojej śmierci.

– Przyjmij, że tak.

– A nie dałby rady skończyć „Wiosny” podczas twojej rehabilitacji?

Ciekawe, że o tym nie pomyślałem, z czego smutny wniosek, że najprostsze i najbardziej efektywne pomysły często nie przychodzą mi do głowy na czas. Moje szczęście polega na tym, że mam bystrego wydawcę.

– Koszty nie grają roli – deklaruje Szumski. – Przekonaj go. Pod warunkiem, że ghost rzeczywiście dobrze pisze.

Nie dziwi mnie zapał Szumskiego. Co innego przesunąć premierę o tydzień czy nawet miesiąc, ale zostawić jesienią, co innego wypychać na zimę czy wiosnę.

– Pogadam, napiszę – odpowiadam.

Czuję, że w kieszeni po raz kolejny wibruje komórka. Kiwam na Wieteskę, żegnamy się, wychodzimy przed budynek. Cztery nieodebrane połączenia od Zosi.

Dzwonię.

– Coś ty umieścił na stronie?! – krzyczy moja córka.

– O co chodzi? – pytam.

– O co chodzi?! – krzyczy jeszcze głośniej, ale to nie wściekłość, raczej gniew, nie na mnie, coś dużego zaatakowało jej psychikę, jej wrażliwość,

naruszyło barierę bezpieczeństwa, może właściwie to strach. Moja córka nigdy nie podnosi głosu. – Wszyscy się z ciebie śmieją, tato, całe miasto ma bekę, już są pierwsze memy, ja pierdolę, coś ty narobił…

Mruczę do Wieteski, żeby wszedł na mój fanpejdż, wyjmuje ajfona, słaby transfer, w końcu wyskakuje strona, filmik.

– Oddzwonię – mówię i rozłączam się.

Wieteska puszcza nagranie. Nieruchoma kamera, pokój z przyciemnionym światłem, ale widać mnie bardzo wyraźnie, dwuosobowe łóżko, jestem nago, skaczę i śmieję się jak głupi, łapię za przyrodzenie, manipuluję nim, wymachuję, światło bardzo ładnie na mnie pada, na łóżku naga kobieta, ale jej twarz jest skryta w cieniu, prawdziwym albo sztucznym, rozkłada nogi, ja nurkuję między nimi, kobieta od góry oblewa mnie winem…

– „I co, jebańcy? Tak się bawi elita pisarzy. Kto lepszy?” – czyta podpis pod filmem Wieteska. – Ja pierdolę – dodaje po dłuższej chwili, już całkiem od siebie.

Przez moment nie mogę ruszyć z miejsca. Krew napływa do głowy, buzuje, komentarzy na fejsie przybywa w postępie geometrycznym, trzęsienie ziemi zaraz mnie zmiecie, tsunami odbiera oddech, gorąca lawa wyżarza do kości.

– Zapytam dla porządku: to ty? – warczy Wieteska.

– Na filmie? – pytam głupio.

– Nie, kurwa, na księżycu. Kto zamieścił nagranie? – dociska.

– Doris. Co za cipa jebana.

– Miała hasło?

– Zgłupiałeś? Włamała się. Ma znajomych informatyków.

– Musiałeś nieźle ją wkurwić.

Wzruszam ramionami.

– Wyprowadziłem się – mruczę.

– Nareszcie – kwituje.

– Ona nie chce tego przyjąć do wiadomości.

– Widzę.

Spogląda jeszcze raz na ekran. Oddaje mi komórkę.

– Skasuj to – poleca. Jest skupiony, zapomniał o mojej chorobie, o swoim świeżo uwolnionym z aresztu synu, o wszystkim, co nieistotne. Wykasowuję filmik i komentarz. – I pisz: „Drodzy czytelnicy, mimo iż nie jestem autorem poprzedniego wpisu, bardzo was przepraszam. To nie powinno się zdarzyć. Do czasu wyjaśnienia okoliczności zdarzenia, odnalezienia i ukarania sprawcy włamania na moje konto możliwość aktywnego uczestnictwa na stronie zostanie czasowo zablokowana”. Napisałeś? To wyślij i wyłącz możliwość komentowania.

Mechanicznie stukam w klawisze. Muszę być czerwony na twarzy, mam wrażenie, że krew tryśnie mi z policzków, czuję pulsowanie w skroniach, miarowe odliczanie w przyspieszonym tempie, w żołądku sensacje, kolana drżą. Jestem skłonny do popełnienia morderstwa z zimną krwią.

– Nie dzwoń do niej – zarządza.

– Zajebię ją – obiecuję.

Jestem śmieszny, wiem, nic nie poradzę, żądza zrobienia Doris krzywdy jest silniejsza ode mnie, chcę jechać teraz, otworzyć drzwi, nadal mam klucze, wziąć młotek albo cokolwiek innego i uderzyć mocno, z całej siły, grałem kiedyś w kosza, ważę prawie sto kilogramów, jestem wyższy od Doris o piętnaście centymetrów, ona poleci po pierwszym ciosie pod ścianę, podejdę, zacisnę palce na szyi i będę obserwował, jak z gasnących, jeszcze przed momentem dumnych, złośliwych, pewnych siebie, seksownych, pogardliwych, gniewnych, wściekłych, silnych, przez chwilę kochanych oczu ucieka życie. I będę z siebie dumny, już teraz czuję radość, po prostu uniesienie, durnie mówiący o gorzkim smaku zemsty są durniami, nie wiedzą, jak bardzo się mylą, gniew jest naturalnym uczuciem, podobnie jak chęć uśmierzenia go poprzez zadanie sprawcy cierpienia.

Wieteska patrzy na mnie, łapie za ramię, zbliża twarz.

– Daj mi login i hasło – żąda.

– Po co?

– Ona może próbować dalej. Mam znajomego informatyka, który zablokuje kolejne próby, może przy okazji namierzy chujka, który to robi. Potem zmienisz.

Podaję mu dane, zapisuje w komórce, podnosi głowę.

– Ja się tym zajmę – mówi z naciskiem.

– Zajebię ją – powtarzam starą pieśń.

– Jedź do domu. Ja się tym zajmę.

Milczę.

– Jurek. – Wieteska przybliża się jeszcze bardziej. – To się rozejdzie, wiesz o tym? Ludzie porobili printscreeny, przekazywali i będą przekazywać dalej, mleko się rozlało. Ona czeka, żebyś zareagował. Pójdziesz do niej, cipa wszystko nagra, potem będzie demonstrowała siniaki i wyniki obdukcji. Zrobisz z niej ofiarę, rozumiesz? Już się z tego nie wygrzebiemy.

– Miała, kurwa, ukrytą kamerę w sypialni, kumasz? – strzykam.

Mogę już mówić bez zaciskania zębów. Zawsze to jakiś sukces.

– Od początku ci mówiłem, że zamieniłeś złoto na tombak.

– Moralista, kurwa mać.

– Jureczku, różnica pomiędzy nami jest taka, że ja kutasa używam do pierdolenia, a nie do myślenia.

Odpycham go, agresja gdzieś musi znaleźć ujście, Wieteska nadaje się do tego bardzo dobrze, przez sześć lat współpracy zalazł mi za skórę tak wiele razy, że nie jestem w stanie spamiętać, mieliśmy ciche dni i grożenie odejściem, obustronnym, co ciekawe, to mogłoby znaczyć, że Wietesce czasem chodzi o coś więcej niż pieniądze, on zawsze upierał się, że ma zasady, że gra według zasad, nigdy ich do końca nie rozszyfrowałem, może starałem się niezbyt mocno. Na pewno chce dla mnie jak najlepiej, zawsze mobilizował mnie do pracy, kryzysy twórcze przełamywał zabieraniem mi laptopa i wypychaniem na urlop, dbając, bym spędził wolny czas w towarzystwie Heleny i dzieci. Prawdą jest, że Doris nigdy mu się nie podobała,

twierdził, że jest poniżej mojego poziomu, uważał ją za żądną sukcesu, małomiasteczkową, zakompleksioną piranię, jakich w Warszawie na pęczki.

Wieteska zwiększa dystans, ale nie rezygnuje.

– Jedź do domu, Jurek, proszę cię – mówi.

Oddycham kilka razy głęboko.

– Co chcesz zrobić? – pytam.

– Post wisiał prawie godzinę – myśli na głos. – Straty będą spore. Potrzebny jest fachowiec, który to ogarnie.

– Jak chcesz to załatwić? – chcę wiedzieć.

Wieteska kręci głową, piwne oczy lśnią, twarz ściąga się w złym grymasie.

– W końcu Baton cię lubi, mylę się? – mówi.

Zastanawiam się. Przed chwilą miałem ochotę twarz należącą do Jadwigi Stec zwaną Doris rozbić młotkiem, teraz muszę wyrazić przynajmniej milczącą zgodę, by uruchomić Batona, faceta, który mnie lubi, a dla którego przemoc fizyczna była przez dwadzieścia lat codziennością, który jest zawodowcem, nie grozi, tylko przechodzi do rzeczy, który potrafi przestraszyć samym swoim wyglądem, którego nie można zapomnieć ani zlekceważyć, który pójdzie do Doris i skłoni ją do wydania mu wszystkich nagrań, potem wydania oficjalnego oświadczenia, że włam, filmik i wpis były jej pomysłem, w końcu do wyjazdu z Warszawy na rok czy dwa. Jeszcze niedawno miałem pewność, że nie chciałbym być jego dłużnikiem. Problem w tym, że przestaje mieć to dla mnie znaczenie.

– Ma ją postraszyć, odebrać nagrania i wydobyć adres hakera, któremu zleciła włam – zarządzam. – Jego też niech odwiedzi.

Wieteska nie chowa ajfona, czeka na zakończenie rozmowy, chce już działać, ma rację, lawa rozlewa się z każdą minutą coraz szerzej i szerzej. Nie chce ode mnie rad, bardzo dobrze, muszę pozostać w cieniu, moja operacja nawet w tym pomoże, zniknę z horyzontu tak czy inaczej, nie będę bił się z myślami, co innego będzie ważne, zdarzenia biegną szybko, jutro do

obiegu wskoczy kolejny news, może ludzie zapomną, mam wrażenie, że się łudzę, złudzenia są chorobą starą jak ludzkość, nikt nigdy niczego na nich nie wygrał.

– Siedź w domu, nie wychodź, nie pokazuj się publicznie, nie odbieraj telefonów, nie zaglądaj do sieci – mówi Wieteska. – Załatw sprawę z ghostem. Domknij temat z Heleną, rób, co chcesz, tylko zostaw tę sprawę.

Przytakuję, klepię go w ramię, czuję się wymięty, jakbym nie spał przez trzy doby. Żegnamy się, gdy ruszam, Wieteska jest już zatopiony w rozmowie telefonicznej. Z poważną miną snuje plany na najbliższe pięć minut, na godzinę, na dzień.

Sobota, masa ludzi wyjechała z miasta, może część nie będzie miała dostępu do sieci, głupota i naiwność, wrócą, usłużni znajomi podetkną im upolowany smaczny kąsek, w internecie nic nie ginie, powinienem to już wiedzieć, jestem z epoki analogowej, choć przecież plotka, skandal, pomówienie, prowokacja istniały tak samo wtedy, jak istnieją teraz, miały tylko inną formę i wolniej się rozprzestrzeniały. Z drugiej strony nagość i seks nie są niczym nadzwyczajnym, funkcjonują w obiegu publicznym na równych zasadach, ludzie sami zamieszczają swoje rozbierane foty, by choć przez moment przyciągnąć uwagę, często bez efektu, są zawiedzeni, bo nikt na nich uwagi nie zwraca. Ja nie mam problemu z przyciąganiem uwagi, ale odbiór będzie prosty. Zrobiłem to celowo, jestem uważany za celebrytę, bywam często w telewizji, ale to nie to, premiera książki się zbliża, trzeba czymś publiczność zainteresować, pan się rozebrał i liże pani cipkę, pani ma niezłe cycki, pan jest pisarzem, ale jaja, ale jaja, ha, ha, ha.

Czuję się jak idiota, jakaś dama w samochodzie obok przygląda mi się uważnie i z ironią, pan na motocyklu kiwa lekceważąco dłonią, kilkuletni berbeć szarpie za rękę mamę, pokazuje mnie palcem, aż poczerwieniał z oburzenia, policjant na rogu gada przez krótkofalówkę, na pewno składa raport o moim skandalicznym zachowaniu, połowa Polski mnie potępia, po-

łowa chce aresztować, osądzić i skazać, znajdzie się odpowiedni paragraf, obraza moralności, naruszanie porządku, godzenie w sojusze, co kto chce.

Staje mi przed oczyma twarz Doris, potrafi być naprawdę urodziwa, głos i regularne rysy, było mi z nią naprawdę dobrze, Doris przez pierwszych kilka miesięcy potrafiła zadbać o miękki piar, wydawało mi się nawet przez moment, że mnie kocha. Wieczoru z filmiku nie pamiętam, było ich wiele, znacznie bardziej pornograficznych, świadomość, że ona to wszystko ma i tylko od jej woli zależy, czy upubliczni, doprowadza mnie ponownie do drżenia. Mam nadzieję, że Wieteska już spuścił Batona ze smyczy. Staję na poboczu, przekręcam niemal do oporu gałkę głośności wzmacniacza, głośniki wypluwają dźwięki muzyki Johna Petrucciego, gitara rozsadza mózg, bas i bębny zabijają, ściana muzyki naciska, niemal sprawia ból, bardzo dobrze, niech boli, niech mnie ta fala zabije.

Po trzech utworach nadal żyję. Ruszam. Ściszam, dojeżdżam do domu, drink w wersji dla bardzo dojrzałych, smakuje gorzko, nie wiem, co to znaczy. Ale alkohol działa, na wódkę zawsze można liczyć. Po kwadransie jestem na tyle skoncentrowany, by móc wybrać numer Zuzanny Cehak.

– Cześć, Jerzy – mówi. – Coś się stało?

– Cześć – odpowiadam. – Jesteś w mieście?

– Miałam wyjechać, ale jestem.

Oddycham z ulgą.

– Dlaczego miałoby się coś stać? – pytam.

– Bo jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebyś kiedykolwiek dzwonił do mnie towarzysko.

– Bardzo mi z tego powodu wstyd – przyznaję. – Chcę pogadać. Masz wolne dwie godziny?

– Powiedzmy.

– Wpadniesz?

Zuzanna śmieje się perliście.

– Kochany, pamiętasz, że ja nie gram w twojej branży?

– Pamiętam – przyznaję z niechęcią, na moment zapominając o Doris.

Zuzanna jest fenomenem, Zuzanna jest jak Mount Everest, niektórzy nań wchodzą, ja na pewno nigdy tego nie zrobię, bo nie zostanie mi dana szansa, abym spróbował.

– Więc? – dopytuje.

– Zwykła rozmowa – uspokajam ją. – Biznes.

– Biznes?

– Będziesz zadowolona.

– Jutro. I to ty wpadnij do mnie.

Umawiamy się, notuję adres, odkładam aparat, przebieram się w stary i wyciągnięty dres, nieopatrznie włączam telewizor. Ślicznie umalowana pani w popołudniowym programie informacyjnym stacji kreującej się na europejsko otwartą i dziennikarsko rzetelną mówi:

– Popularny pisarz wrzuca na swój profil wulgarny komentarz i film, na którym uprawia miłość w obsceniczny sposób, potem kasuje wpis i twierdzi, że to nie on. Za dwa miesiące ma się ukazać jego najnowsza książka, kontynuacja bestsellerowego hitu „Zima”. Czy tak powinna dziś wyglądać promocja? O granice przyzwoitości i granice dobrego smaku, o granice wolności twórczej pyta nasz reporter…

I szaleje korowód ekspertów od dobrego wychowania, od sieciowego savoir-vivre’u, od marketingu, od literatury wreszcie, bo moja znękana osoba jest tu w końcu podmiotem, fachowiec twierdzi, że w literaturze wagonowej chodzi o to, by szybciej i głośniej, nie ma znaczenia, jak głupio i wulgarnie, byle mówiło się jak najwięcej i jak najczęściej wymieniając nazwisko. Prowadząca zapowiada duży program o zjawisku patostreamingu, zdaje się, będę obsadzony w roli głównej, co ja mam wspólnego z patostreamingiem, w odpowiedzi pani przypomina casus jakiejś chorwackiej gwiazdki pop, która jakiś czas temu umieściła w sieci własnego pornola, bardzo to ponoć przysłużyło się jej sławie, a jakże, *all for fuckin’ money, why not*?

Wyłączam, znowu jestem wściekły, na siebie, ale również na innych, ponownie mam ochotę jechać przez miasto i zabijać gołymi rękoma, Wieteska miał rację, nie powinienem wykonywać najmniejszego ruchu, jestem swoim własnym wrogiem, mam tendencje do samounicestwienia, oddział zamknięty dla nieuleczalnych psychopatów, erotomanów, samobójców, deliryków nie byłby najgorszym rozwiązaniem, na pewno bezpiecznym, dobrze dają jeść i można pogadać z Napoleonem Bonaparte, a także Jezusem Chrystusem w rozlicznych inkarnacjach. Staram się pisać książkę, mój ambitny projekt, literatura wysokich lotów, tak zwana piękna, chciałbym, żeby była maksymalnie bezprzymiotnikowa, piszę dwa zdania, każde złe, wykasowuję, zamykam plik, krew buzuje w głowie, mój tętniak zapewne dostaje szału, ciekawe, czy się zbuntuje, czy jednak poczeka do wtorku. Dzwoni Zosia, nie odbieram, dzwoni Helena, z nią też nie chcę na razie rozmawiać, wybieram numer Doris, waham się, w końcu nie naciskam zielonej ikonki, nie umiem zgadnąć, co zyskałbym na rozmowie z Doris, muszę przestać kierować się emocjami. Dzwoni kolejny telefon, Maria Czerska, pani, która uratowała mnie podczas joggingu, diabeł gryzie mnie w tyłek, odbieram. Strzeż mnie, Boże, przed pierwszymi odruchami, przeważnie są szlachetne lub bezmyślne.

– Dzień dobry – mówi moja nieznajoma znajoma. – Nie w porę?

– Nie odebrałbym, gdyby dzwoniła pani nie w porę – odpowiadam.

– Zastanawiałam się, czy zadzwonić. Może pan pomyśleć, że wtrącam się w nie swoje sprawy.

– To zależy, co pani powie.

– Widziałam ten nieszczęsny filmik – oświadcza z miejsca. – Sama się tym nie interesuję, ale mój syn czyta pańskie książki, śledzi fanpjedż, często komentuje.

Czuję zniechęcenie.

– Przykro mi, że naraziłem syna na nieprzyjemności – cedzę przez zęby.

– Och nie, jemu nie jest nieprzyjemnie, ma dość grubą skórę. Raczej jest mu pana żal. On uważa, że ktoś pana wrobił.

Nadstawiam uszu.

– Z jakiego powodu tak uważa?

– Bo zawartość tego wpisu i filmu nie pasuje do pana osobowości.

– Występuję w tym filmie, trudno zaprzeczyć.

– Mimo wszystko.

To już naprawdę ciekawe. Czego ode mnie chce ta doświadczona przez życie kobieta?

– Skąd pani syn może wiedzieć takie rzeczy? – pytam.

– Był na kilku spotkaniach autorskich, słuchał pana w radiu i telewizji, czytał wszystkie książki. Myśli, że to fejk.

– Włamanie na konto? – pytam.

– Na przykład.

– A co pani sądzi?

– No, nie jestem tak zaawansowaną fanką jak Bartek – śmieje się. – Widziałam pana przez kwadrans, był pan dość zdezorientowany… możemy sobie mówić na ty? – pyta.

– Oczywiście – oddycham z ulgą.

Głos mojej rozmówczyni dobrze na mnie wypływa. Kobiety pokroju Marii Czerskiej przewiozły Polskę i Polaków przez lata nieszczęść i klęsk. To one zawiadywały domami, językiem, tradycją i honorem, podczas gdy ich mężowie ginęli w powstaniach, na Syberii i w kacetach. Lub zostawiali je dla młodszych.

– Byłeś dość zdezorientowany, obolały, na pewno przestraszony – ciągnie myśl Maria Czerska, nieoczekiwany anioł miłosierdzia. Pan Bóg ulitował się nade mną i zesłał mi ją w to pogodne sobotnie popołudnie. Albo całkowicie się mylę, jak zwykle. – Sprawiasz wrażenie pewnego siebie, może jestem w błędzie, ale wydaje mi się, że traktujesz kobiety jak przedmiot po-

lowania, co ciekawe, robisz to z dość zabawnym, staroświeckim wdziękiem, co, jak sądzę, pozwala ci odnosić sukcesy.

– Ale? – pytam.

– Ale nie uważam, żebyś lubił się nagrywać w takich sytuacjach i epatować bliźnich tego rodzaju twórczością. Mylę się?

– Nie – mówię stanowczo, po raz pierwszy od kilku godzin myślę racjonalnie, nabieram energii, zaczynam postrzegać sprawy w ich właściwych kolorach i zapachach. Powinienem pomyśleć o jakiejś formie podziękowania dla Pana Boga, tego strażaka od spraw beznadziejnych, który zsyła mi kolejnego anioła, po raz wtóry płci przeciwnej.

– Problem w tym, że inni mają inne zdanie – kończę myśl.

– Obchodzi cię to? – pyta.

Zastanawiam się.

– Właściwie nie bardzo – przyznaję. – Ludzie to w większości motłoch kierujący się stadnymi instynktami, podążający za opinią najsilniejszych albo najgłośniej krzyczących. Żebyś widziała niektóre komentarze, nawet pochwalne. Bagno – wzdycham.

– Domyślam się.

– Oczywiście, jest sporo ludzi inteligentnych, wrażliwych, dobrze wychowanych, rozumiejących, co się do nich mówi – ciągnę. – Ale nie oni nadają ton.

– Rozumiem. Przecież żyjesz ze sprzedaży – podpowiada Maria Czerska.

– I sprzedaż nie odróżnia dobrego wychowania od złego albo czytelnika głupiego od mądrego – potakuję.

– Z tego punktu widzenia film może ci pomóc.

– Nie życzę sobie takiej pomocy – irytuję się. – Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie interesuje mnie to.

– Nagość nie jest niczym zdrożnym w dzisiejszych czasach – mówi, a mnie się wydaje, że słyszę w jej głosie melancholię. – Ani nadzwyczaj-

nym. Podobnie akt seksualny. A że bawisz się własnym penisem? No to co z tego? Nie masz się czego wstydzić, o ile znam się na penisach.

No, jeśli chciała mnie pocieszyć, kiepski strzał.

– Zachowuję się jak idiota – prawie krzyczę. – Poza tym nigdy nie wystawiałem prywatności na widok publiczny. Nigdy.

To akurat prawda. Jeszcze za czasów szczęśliwego małżeństwa dość obcesowo zbywałem zadawane publicznie pytania o życie rodzinne, dzieci, żonę, mieszkanie.

Maria Czerska wzdycha.

– Jestem po twojej stronie – oświadcza niespodziewanie. – Ja nawet nie potrafię sobie wyobrazić siebie w takiej sytuacji. Spaliłabym się ze wstydu.

– Mnie jest całkiem niedaleko – przyznaję.

– Możesz powiedzieć, co się właściwie stało?

– Mieszkałem z kobietą – mówię, dziwiąc się, jak gładko idzie. Nie mam oporów przed spowiadaniem się osobie widzianej raz w życiu. Czy to świadczy o samotności, o rozpaczliwiej potrzebie pogadania z kimś, kto przynajmniej będzie udawał zainteresowanie, kto sprawi wrażenie, że stara się zrozumieć? Gdy mieszkałem z Doris, takie pomysły nawet nie przychodziły mi do głowy. – Czułem, że się duszę, wyprowadziłem się – kontynuuję. – Ona nagrywała nasze figle, o czym nie miałem pojęcia, musisz mi, niestety, uwierzyć na słowo. Teraz włamała się na moje konto i zamieściła kawałek. Dwa dni temu przysłała mi próbkę, żebym się nad sobą zastanowił. Zignorowałem ją. Zostałem ukarany.

– No cóż, jestem daleka od pouczania kogokolwiek, jak ma meblować sobie życie, ale to nie wygląda na miły koniec.

– Końce na ogół nie są miłe.

– Wiem z autopsji, że można je zorganizować lepiej lub gorzej.

Staje mi przed oczyma postać Doris i śmieję się w duchu. Doris i zrozumienie? Doris i empatia? Litości, ludzie. Myśl, że z Doris można iść na kompromis w kwestii, przy której się upiera, jest nieodparcie śmieszna,

choć to rechot z gatunku tych, jakim śmieją się wariaci. Doris wali w drzwi o szóstej rano, wymachując nakazem rewizji i wrzeszcząc, że każde słowo może być użyte przeciw podejrzanemu. Pięć minut później podejrzany zamienia się w oskarżonego, po chwili jest już po wyroku i zaczyna się odbywanie bardzo surowej kary, która musi być maksymalnie dolegliwa i od której nie przysługuje żadna apelacja.

– Nie załatwiłem tego dobrze – przyznaję. – Nie umiem się rozstawać. Z żoną próbuję to zrobić od roku i nie wychodzi. Jestem złym uczniem.

– Ach, więc jesteś żonaty.

– Byłem… właściwie jeszcze jestem, rzeczywiście.

– I wyprowadziłeś się od żony do innej kobiety, od której się właśnie też wyprowadziłeś.

– Tak, zostawiłem żonę dla dziesięć lat młodszej dupy. Jestem typowy.

– Czy w swojej typowości posunąłeś się do tego, żeby tę młodszą, jak byłeś łaskaw się wyrazić, dupę, zostawić dla jeszcze młodszej? Dla hożej dwudziestki?

– Nie.

– Mimo wszystko banał. Nie ma nic banalniejszego – mówi. Słyszę odrazę, Maria reaguje prawidłowo, mój Boże, dlaczego nie spotkałem jej wcześniej?

– Mam również SUV-a z czterystukonnym silnikiem, czarnego, na najszerszych alufelgach, jakie były dostępne – dodaję, by upadek był całkowity, by moja odrapana, popękana, żałosna dusza doznała jak największego upokorzenia. – A także garsonierę na mieście, gdzie bzykam panienki. I gdzie chciałem zwabić ciebie. Nie lubię dwudziestek, tak nawiasem, wolę bardziej doświadczone panie. Prowadzę kursy kreatywnego pisania tylko po to, by wyrywać nowy towar. Z moim agentem ścigamy się na tygodniową ilość zaliczeń, robimy tabelki w Excelu i oceny semestralne, nawet wymyśliliśmy pewien algorytm, bo zaliczenie zaliczeniu nierówne. Pani z pierwszych stron gazet ma oczywiście większą wartość punktową niż dziumdzia

z prowincji. Mężatka przynosi więcej punktów niż panna. Obowiązuje podział na kategorie wiekowe, urodę, figurę, fryzurę, status majątkowy, nawet depilację intymną. Wszystko ma znaczenie, im przypadek trudniejszy do zaliczenia, tym punktów więcej. Mój agent prowadzi tylko dlatego, że mnie się ostatnio trochę odechciało. Tętniak to tętniak.

– To, co mówisz, jest obrzydliwe.

– Wiem. Dlatego właśnie to mówię.

– Ciekawe, skąd ci przyszło do głowy, że chcę tego słuchać.

– W końcu to ty do mnie zadzwoniłaś.

– Interesujące podejście. Każdemu, kto zadzwoni, zwierzasz się ze swoich świństw?

Uśmiecham się. Kobieca logika nie przestaje mnie zadziwiać.

– Nie, tylko tobie.

– Chcesz udowodnić, że w zasadzie ten filmik do ciebie pasuje.

– Nie, nie chcę. Twój syn ma rację.

Maria Czerska zastanawia się.

– Dlaczego odszedłeś od żony? – pyta.

Teraz ja myślę. Nigdzie mi się nie spieszy, słońce skryło się za chmurami, dzień refleksji, izba pamięci osobistej, pisarz dokonuje reasumpcji barwnego życia, które co prawda właśnie nieco zwalnia, kuleje i grzęźnie, ale przecież nigdy nie jest tak, że stoimy w miejscu, że nie ma wyjścia, żeby nie można było uczepić się nadziei na poprawę losu, będąc chromym, ślepym, kulawym.

– Moja żona jest rzeźbiarką, bardzo zdolną i pracowitą. Nie znam się na rzeźbie, nie jestem koneserem sztuki, a na pewno daleko mi do eksperta, ale ona robi niesamowite rzeczy. Ma jakiś dodatkowy zmysł wyczuwania przestrzeni, zainstalowaną w mózgu aplikację 3D, wszystko od razu projektuje w trójwymiarze. Zresztą… – rozpędzam się. Jeśli wcześniej nie widziałem powodu ani sensu rozmowy z Marią Czerską, teraz spływa na mnie łaska oświecenia. Dawno nie czułem takiego spokoju, Maria nie mogła wybrać

lepszego momentu na telefon. – Zresztą ma talenty też w innych dziedzinach, na przykład potrafi zaprojektować i wykonać fotel, krzesło, stół, co chcesz. Kocha wiercić i piłować.

– Już ją lubię – mruczy Maria.

– Nie ma przy tym głowy do interesów. Jest doskonałą matką. Doskonałą. Umie znaleźć równowagę pomiędzy wymaganiami a wspieraniem, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Wiem. Ile macie dzieci?

– Czworo – zamykam oczy. – Trzy wspaniałe córki i syna z trisomią dwadzieścia jeden.

– Ach tak – mówi moja rozmówczyni.

Milczy, ale inaczej. Jest nadal zaciekawiona, obrzydzenie do mnie wzrosło. Tak miało być. Niczego innego nie powinienem dziś od życia oczekiwać.

– Średnie upośledzenie, może trochę więcej niż średnie. Ma osiem lat i jest naprawdę kochany.

– I zostawiłeś ją z tym wszystkim.

– Owszem. Zakochałem się. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Nawet nie jesteś tego pewien?

Znowu staje mi przed oczyma twarz Doris, tym razem wraz z całym ciałem odzianym wyłącznie w koronkową bieliznę.

– Jeśli jest prawdą teoria o myśleniu fiutem, rozmawiasz z fachowcem.

– O kurwa.

Przekleństwo w jej ustach brzmi soczyście, energicznie, ma taki wydźwięk, jaki jest potrzebny na tym etapie znajomości.

– Jesteście beznadziejni – podnosi głos Maria Czerska. – Co wam to daje? Pół roku efektu nowości, potem i tak spowszednieje, tak samo jak z żoną. No dobrze, może po dwóch latach.

– Polemizowałbym.

– Proszę uprzejmie. Polemizuj.

– Są różne przypadki. Nie ma zdarzeń czarnych i białych.

– Och, tak, wiem, żona hetera, znowu jesteś banalny.

– Moja żona nie jest heterą.

– Brzydka? Utyła po dzieciach?

– Piękna i szczupła. Mądra. Dowcipna. Wykształcona. Zdolna. Możesz ją dopuścić do polemiki z profesorem i nie przyniesie ci wstydu.

– Czy ty sam siebie słyszysz?

– Słyszę.

– Wiesz, jak to boli? – pyta po dłuższej chwili, wypełnionej ciężkimi oddechami. A potem już idzie, słowo po słowie, coraz głośniej, z coraz większą pasją. – I upokarza? Czujesz się jak ostatnia idiotka, jak szmata, którą można wyrzucić. O takich drobiazgach jak chandryczenie się o pieniądze nie wspomnę. Twoja samoocena jest na zerowym poziomie, musisz sobie potem wmawiać, że to nie twoja wina, że ty zrobiłaś wszystko jak najlepiej, że się starałaś, a on cię kopnął w dupę, bo był głupi, banalny i typowy. A miłość? Och nie, o miłości nie mówmy, to było tak wiele lat temu, teraz są tylko wspólne interesy, dzieci, kredyt, mieszkanie, przyzwyczajenia, zaczniemy nowe życie, na pewno sobie poradzisz, przecież jesteś zaradna i jeszcze dość młoda, bardzo atrakcyjna, nigdy bym tego nie zrobił, ale wiesz, Zosia, Marysia, Basia jest tak pełna entuzjazmu, przy niej czuję się młodziej, czuję, że żyję, znowu mi się chce ruszyć tyłek, uprawiać sport, wcale nie chodzi o seks, to znaczy chodzi nie tylko o seks, nie płacz, przecież naszej miłości już od dawna nie ma, ona wyparowała, nie ma co płakać, poradzisz sobie, powtarzam.

Maria milknie.

Kiwam głową, rozmówczyni tego oczywiście nie widzi, ale wie, że zgadzam się z nią całkowicie, zacytowała kawałek mojego życia, jej to zapewne obojętne, że się z nią zgadzam, myśl o typowości mojego charakteru i osobowości nie wbija mnie w dumę, rzecz jasna, ale też nie powoduje gniewu czy melancholii. Nie cenię się zbyt wysoko, już dawno przestałem

z tym walczyć, nazwałem to rozsądkiem i obiektywnym spojrzeniem na samego siebie, zdolnością akceptowania opinii innych, Wieteska protestował, zwłaszcza gdy przyznawałem się publicznie, co jeszcze nie tak dawno zdarzało się nagminnie, potem mi przeszło, ale raczej z powodu znudzenia tematem niż głębszej refleksji.

– Byłem wściekły – mówię. – Przypadek trisomii zdarza się raz na tysiąc urodzeń, dlaczego akurat mnie przytrafiło się takie jebane szczęście? Jeździliśmy po lekarzach, potem po znachorach, potem byliśmy na niego wściekli… ja na pewno byłem. Schemat. Jedna pani doktor powiedziała, że Mikołaja zesłał nam Pan Bóg, bo wiedział, że jesteśmy godni zaufania, strasznie się na nią wkurwiłem. Dopiero później przyszła akceptacja, ale chyba nigdy w całości, do końca. Choć przy tym wszystkim bardzo mojego syna kocham, nie wiem, czy miałaś do czynienia z dałnikami, są naprawdę słodkie, a Mikołaj to już sama słodycz i wdzięk, gdyby na świecie wszyscy mieli zespół Downa, nie byłoby wojen ani przestępczości.

– Znam kilku – przytakuje Maria. Już ochłonęła po swoim monologu. Mam wrażenie, że jej ta rozmowa również jest potrzebna, choć nadal nie umiem zgadnąć, co właściwie chce osiągnąć. – Nie bardzo wyobrażam sobie życia z nimi, ale masz rację, z pewnością występują gorsze rzeczy niż posiadanie dziecka z trisomią.

– Tyle że to orka całodobowa – kontynuuję, prawie nie słysząc, w pamięci galopują sceny, jakieś gorące żelazka, po które wyciągają się ciekawe dłonie mojego syna, szklanki z gorącą herbatą postawione zbyt blisko krawędzi, jakiś śrubokręt, który nie dość szybko podniosłem z podłogi. Mówię dalej: – Nie możesz na moment spuścić z oka, przynajmniej przez pierwszych kilka lat, potem też pilotujesz i to się nigdy nie skończy.

– I znudziło ci się.

– Uświadomiłem sobie, że już nigdy się z tego nie wyzwolę. Że już nigdy nie pojedziemy razem na wakacje, tylko Helena i ja. Nie będziemy leżeć nago na plaży, kochać się, kiedy przyjdzie nam na to ochota, robić, co chce-

my. Moje córki wydorośleją, pójdą swoją drogą, a my zostaniemy z wiecznym niemowlakiem.

– Ludzie z trisomią są dość samodzielni – protestuje Maria, zasłuchana, skupiona, przeistoczona w improwizowane stanowisko pomocy doraźnej.

– Mikołaj nie jest. Wymaga asysty przy pójściu do kibelka.

Milczy.

– Coś kieruje naszym losem – mówi po dłuższej chwili. Jak długo już rozmawiamy? Godzinę? Trzy? Dobę? – Nie wiem, czy wierzę w Boga, ale jestem pewna, że nie jesteśmy pozostawieni sami sobie.

– Mówisz to samo, co tamta lekarka.

– Najwyraźniej my, lekarze, tak mamy – śmieje się smutno.

– Ja wierzę, że możemy sami kierować swoimi losami.

– Naprawdę? – pyta. – Nie czujesz, że czasami chcesz coś zrobić i nie wychodzi? Ile byś siły nie wkładał, nie wychodzi. A inne rzeczy czasami przychodzą bez wysiłku. Pomyślisz leniwie, pstrykniesz placami i masz, jakby z nieba.

Teraz ja się śmieję.

– Jakoś nie zauważyłem – mówię.

– A ja jestem pewna. Mikołaj pojawił się na twojej drodze z jakiegoś powodu.

– Nie dostrzegłem go.

– Może musisz nauczyć się patrzeć – oświadcza.

Zastanawiam się.

To wiem i bez ciebie, droga Mario. Problem polega na tym, że patrzę przez sto lunet ustawionych we wszystkich kierunkach świata naraz. Czasem cudownie dostrzegam niedostrzegane przez innych szczegóły, świeże i porywające. Na ogół jednak widzę kolorową mgłę, poruszającą się zbyt szybko, powodującą zawrót głowy. Łudzę się, że to nie kwestia rozumienia lub nie. Przyjąłem za pewnik, że świat dookoła kręci się ze zbyt wielką prędkością, nie sposób objąć go rozumem ani uczuciem.

– Może – mówię, zamiast tłumaczyć się głupio.

– Muszę kończyć – oświadcza.

– Dziękuję ci – mruczę.

Odkładam telefon.

Kładę się do łóżka, drink stoi niedopity. Tym razem nie pozwolę ciemności zwyciężyć. Lampka będzie paliła się przez całą noc. ■

ROZDZIAŁ 7

Artysta – twórca natchniony? Być może tak powinno się go definiować.

Sprowadzając rzecz do konkretów: czym jest natchnienie? Weną? Objawieniem prawdy artystycznej? Myślą inną od wszystkich, niepowtarzalną, naznaczoną boską pieczęcią, stojącą w kontrze do dotychczasowego dorobku całego świata od początku świata?

Jak to można zmierzyć albo zważyć, wyznaczyć ludzkie kryteria?

Zapewne nie można, ale i tak sporo o tym myślę. Weźmy literaturę. Jeśli prawdą jest, że wszelkie schematy fabularne, których, nawiasem mówiąc, nie ma znowu tak wiele, zostały już opisane i użyte w praktyce, że twarzy bohatera, choćby bardzo wewnętrznie skomplikowanego, jest skończona ilość i legion pisarzy już dawno je odkrył i opisał – współczesnym twórcom pozostaje tylko powielanie schematów. Tak sądzę, zresztą nie tylko ja. Christopher Vogler, uznany kodyfikator schematów wywodzących się z mitologii, przez całe zawodowe życie pracujący dla amerykańskiego przemysłu filmowego, opierając się na mitoznawczych pracach Josepha Campbella, stwierdził, że „wszystkie historie składają się z kilku jednakowych elementów strukturalnych, które odnaleźć można w mitach, bajkach, snach i filmach”. Bingo. Alfabet został wymyślony, dziś miarą oryginalności i artyzmu jest nieoczywiste połączenie ognia z wodą, skojarzenie odległych od siebie tematów, wykreowanie wartości dodanej z dawno wyeksploatowanego świata. Vogler ma rację, czytam Pilcha, Tokarczuk, Rylskiego, Myśliwskiego i nie mówią mi oni niczego, czego nie powiedziałby Homer na spółkę z anonimowymi twórcami antycznych mitów, a po nich twórczo rozwinęli Szekspir, Dostojewski czy batalion innych klasyków. Przestrzeń kreacji nie jest nieograniczona, została wyciśnięta do cna. Może rozwój technologii pchnie nas w nowe, dotychczas nieznane rejony, może maszyna będzie myśleć, czuć, przeżywać rozterki i odkrywać dla nas nowe światy. To materiał

na osobną dyskusję – zresztą z pesymistycznymi wnioskami, bo twórcy staną się zbędni. Na razie jest, jak jest. Czy się tym martwię? Ani trochę, zwłaszcza że nawet uznanym pisarzom zdarza się wydawać książki żenująco słabe, co zresztą jest chyba całkowicie zrozumiałe, bo nikt nie jest w stanie pisać na równie wysokim poziomie przez całe twórcze życie.

Mam taki zwyczaj, że co dwa lata wracam do Sienkiewicza. Czytam go i smakuję każde słowo. Nadal jest dla mnie wzorem. Pochłaniam „Trylogię" i „Krzyżaków" za każdym razem z podobnym upodobaniem i zachłannością, delektuję się frazami i rytmem, zachwycam konstrukcją i językiem, podziwiam mistrzowsko wykreowane postacie. Zawsze przy tych samych fragmentach mam w oczach łzy, przy tych samych scenach czuję uniesienie. Niezmiennie odkrywam coś nowego, jakąś frazę czy myśl, których wcześniej nie zauważyłem. Powiedzieć, że stary mistrz natchnął mnie do pisania, to niczego nie powiedzieć. On odkrył przede mną świat nieokiełznanej wyobraźni i malowania słowem, rozmachu i liryki, pisarskiego cwału i literackiego stępa. Stanisław Lem, pisarz i umysł bez wątpliwości wybitny, którego również pochłaniam w całości, nie zawsze i nie do końca go rozumiejąc, powiedział o Sienkiewiczu, że jest pierwszorzędnym pisarzem drugorzędnym. Żachnąłem się na to określenie, wymyślałem Lemowi od najgorszych, mniemając, że autor „Potopu" dostarczający pokoleniom Polaków przeżyć, autor, którego określenia, powiedzonka czy fragmenty dialogów weszły na stałe do kulturowego obiegu, którego postacie służyły jako wzór choćby akowskiej młodzieży idącej w powstańczy bój, nie może być twórcą drugorzędnym. Potem, co prawda, Lem niejako się z tego wycofał, stwierdzając, że „Trylogia", a zwłaszcza jej język, wytrzymała próbę czasu, że jest to dzieło uniwersalne. Dobre i to. Świat nie jest sprawiedliwy.

Idźmy dalej.

Czy najwybitniejszy nawet aktor, genialny, nietuzinkowy, charyzmatyczny kreator tysiąca niezapomnianych ról, demiurg zbiorowej wyobraźni, jest artystą? Czy muzyk filharmoniczny, potrafiący *a vista* przeczytać z nut

najbardziej skomplikowany utwór i odtworzyć go w głowie, posiadłszy do perfekcji tajemnice instrumentu, umiejący wydobyć z niego, prócz czystych tonów, niuanse, wieloznaczności, o których nie śniło się maluczkim, jest artystą?

Nie wiem. Muzyk w filharmonii gra czyjeś utwory. Aktor recytuje czyjeś teksty. Czy to ich umniejsza? Czy sama interpretacja może być dziełem sztuki?

John Lennon, choć nie znał nut, a na gitarze grał co najwyżej przeciętnie, był artystą. Mierżą mnie jego poglądy na świat, był, jak cały ruch hippie, w gruncie rzeczy pożytecznym idiotą Kremla, ale bez wątpienia miał ogromny talent i słyszał dźwięki transmitowane wprost do ucha przez Stwórcę, co nie było dane nikomu innemu na świecie. Skomponował wagon utworów, które mnie osobiście pozostawiają obojętnym, ale patrząc obiektywnie, weszły na stałe do światowej kultury, bez podziału na wyższą i niższą. O legionie klasycznych, wykształconych instrumentalistów grających bez omyłki studwudziestkiósemki w tempie urywającym dłoń nie pamięta nikt, w zbiorowej wyobraźni, poza nielicznymi wyjątkami, nie istnieją, a Lennon będzie istniał zawsze, Lennon był wyjątkowy, Lennonowi należy się stałe miejsce w panteonie wielkich, choć umiał zagrać poprawnie trzy akordy na krzyż.

Nie zgadzacie się?

Duży plenerowy festiwal rockowy, główna scena, jestem dwudziestolatkiem z żelaznym przekonaniem, że bycie muzykiem jest jedyną dostępną i pożądaną drogą życiową, jedynym sensownym wyborem. Mój zespół trzy tygodnie wcześniej wydał płytę z dwunastoma utworami, przeważnie mojego autorstwa. Dziś nie mam o nich wysokiego mniemania, sporo w nich naiwnej toporności i formalnych uchybień, których wtedy nie przyjmowałem do wiadomości, a które teraz, słuchając po latach pokrytej kurzem płyty, dostrzegam z przeraźliwą wyrazistością. Ale coś w nich było, jakiś duch przekory, odrobina szaleństwa, kilka oryginalnych czy błyskotliwie zagra-

nych fragmentów. Wtedy bardzo wierzyłem w siłę uprawianej przez nas sztuki. Skład czteroosobowy, gram na gitarze i śpiewam, basista dołączył do ekipy dosłownie przed chwilą, mieliśmy razem cztery próby, debiutant totalny, nigdy nie występował publicznie, nawet na akademii szkolnej, umie bardzo dużo i jest pracowity, ale brak mu jakiegokolwiek doświadczenia scenicznego, oprócz niego klawiszowiec i bębniarz, stare sceniczne szczury, z którymi znam się od lat. Sporo towarzyszącej elektroniki, jeszcze wtedy byłem zafascynowany Peterem Gabrielem i Stingiem, mocnych gitar jak na lekarstwo, a festiwal ma punkowe tradycje, im ostrzej i szybciej, tym lepiej. Na płycie i na niektórych koncertach śpiewała z nami gościnnie Gwiazda Alternatywy, dziewczyna o głosie jak dzwon, cała w czerni, włosy długie, wzrok demoniczny, inteligencja duża, charakter złośliwy, kochała zwłaszcza basistów, na każdej imprezie zaliczała co najmniej po jednym. Mieliśmy grać o dziewiątej wieczorem, świetna pora, już po zmroku, pełen sceniczny show ze światłami, laserami i rzutnikiem wyświetlającym na kosmicznie wielkim ekranie specjalnie przygotowane grafiki. Dwudziestominutowy set, zresztą wszyscy mieli grać równo po dwadzieścia minut, ponieważ o północy występowała jakaś wielka gwiazda rodzimego heavy metalu, której nazwy dziś nie jestem w stanie sobie przypomnieć, i nie mogło być nawet minuty opóźnienia. Wchodzimy na zaplecze, wszystko gotowe, gitary nastrojone, trema gigantyczna, ale humory bojowe, jesteśmy dobrze przygotowani, Gwiazda Alternatywy śpiewa chórki, wokalizy i kilka partii solowych, dodaje nam sporo jakości i dobrego piaru. Na widowni trzydzieści tysięcy ludzi, przed nami gra legendarna kapela, duma podziemia, niezależni jak trzeba, mają w dupie system i wszystkich dookoła, naspawani marychą po dziurki w nosie. Mija dwudziesta minuta, oni grają, utwory dwa razy dłuższe niż radiowa norma, ciężki rytm, trans, gitary typu ściana dźwięku, publika równie naspawana co muzycy, wszyscy się kiwają jak na koncercie reggae, w powietrzu wszechobecny zapach marihuany. Mija pół godziny występu legendy, organizator się denerwuje, próbuje ich ściągnąć

ze sceny, oni świetnie się bawią i publika też, grają dalej. Zaczyna się nerwowa bieganina, coraz więcej osób macha rękami, po schodach prowadzących na znajdującą się cztery metry nad poziomem gruntu scenę pielgrzymują coraz ważniejsi ludzie, wracają z niczym, legenda zabiera się do grania następnego numeru, jeszcze bardziej transowego. Woń gandzi otacza nas ze wszystkich stron, niemal dusi, w czterdziestej minucie występu numer się kończy, zdesperowany organizator wyłącza legendzie wzmacniacze i niemal na kopach wyrzuca ze sceny. Ludzie zaczynają gwizdać i skandować nazwę legendy, a także rzucać różnymi przedmiotami na scenę, organizator wypycha mnie przed mikrofon i każe powiedzieć, że teraz my, a tamci już nie wrócą. Mówię coś, nie pamiętam co, publika gwiżdże i wrzeszczy „wypierdalać", żąda powrotu legendy, ja stoję i próbuję dalej przekonać tłum, że nie mam innego wyjścia, że muszę grać i że bardzo przepraszam. Lecą butelki po kefirze, zapalniczki, grudki ziemi, czuję silne uderzenie, potworne pieczenie na twarzy, wywracam się, leżę, widzę dach sceny i rampę z reflektorami, mam wrażenie, że zaraz na mnie spadnie.

– Wy-pier-dalać, wy-pier-dalać! – wrzeszczą ludzie. – Le-gen-da, legen-da! – żądają.

Podbiega menedżerka, pomaga mi wstać, chwiejnie schodzę po schodach, organizator stoi z głupim uśmiechem, czuję na policzku coś lepkiego i ciepłego, twarzy właściwie nie mam, boli jak wszyscy diabli, ostre pieczenie i pulsowanie, coś mi się stało po lewej stronie, nie bardzo mogę ruszyć głową.

– Co zrobiłeś, chuju?! – krzyczy menedżerka do organizatora, który w moich oczach chwieje się i faluje i któremu chyba nie jest wstyd.

Siadam na krześle, menedżerka pochyla się nade mną, chusteczką wyciera mi policzki, świat nadal się kołysze.

– Centymetr wyżej i nie miałbyś oka – oświadcza, przyglądając się uważnie zniszczeniom mojej fizjonomii, która może nie jest olśniewająca, ale którą całkiem lubię.

– Co to było? – chrypię.

– Kamień – mówi. – Jakiś fiut rzucił w ciebie kamieniem.

Kręcę głową, w uszach szum, menedżerka zakleja ranę plastrem, nawet nie wiem, skąd zorganizowała go tak szybko. Ludzie nadal krzyczą, organizator zebrał się na odwagę i coś do nich mówi przez sto kilowatów nagłośnienia, podnoszę się.

Szarpidruty z legendarnej kapeli piją wódkę i palą skręty, przyglądają się nam jak małpom w zoo, pomysł, że to oni narobili bałaganu, nie przychodzi im do zaklejonych ziołem głów. Organizator znowu jest na dole, cały spocony, chyba ma ochotę płakać, menedżerka znów na niego krzyczy, przekładam pasek od gitary, choć kręci mi się w głowie, a ból dopiero się rozkręca.

– Idziemy – mówię.

– Gdzie ty chcesz iść, kretynie? – pyta retorycznie Gwiazda Alternatywy, blada, z obłędem w oczach.

– Gramy – odpowiadam, po czym zaczynam wchodzić po schodach.

– Wy-pier-dalać, wy-pier-dalać! – doradza mi trzydzieści tysięcy gardeł.

Jestem na scenie, bębniarz i klawiszowiec tuż przy mnie. Odwracam się, na dole, u podnóża schodów, odbywa się show nie gorsze niż na widowni. Basista stoi z gitarą w ręku i ma stopę uniesioną w górę, chce wejść na pierwszy stopień. Za drugą rękę ciągnie go Gwiazda Alternatywy i pyta:

– Gdzie idziesz?

– Na scenę, idę na scenę – powtarza basista-debiutant. – Puść, kochana.

– Nie możesz, zajebią cię, nie idź.

– Puść, muszę iść – stęka basista, a mnie się chce śmiać przez ból i drętwotę policzka.

– Nie idź, kurwa, zajebią ciebie, mnie, wszystkich zajebią, gdzie idziesz, kretynie.

Ludzie nadal wrzeszczą, konsekwentnie domagają się legendy, zwinnie uchylam się przed kolejnym pociskiem, który mija mnie o włos i uderza

z hukiem we wzmacniacz. Podłączam gitarę, perkusista sadowi się za bębnami, zmienia werbel na swój, przestawia talerze, ręce drżą, obłęd w oczach, Wojtek, klawiszowiec, druh serdeczny jeszcze z podstawówki, ustawia brzmienie pierwszego utworu, pojawia się basista, bez uczepionej ramienia Gwiazdy Alternatywy, gotów do akcji, choć czerwień policzków wskazuje na stan bliski przedzawałowemu.

Podchodzę do nich, nachylam się.

– Gramy, choćby mieli nas zajebać – mówię głośno, by przebić się przez wrzask i gwizdy. Nie powiem, żebym zrobił na nich pozytywne wrażenie, ale nie zwracam na to uwagi. Ciągnę myśl: – Wywalamy pierwszy numer, zaczynamy od drugiego.

Kiwają głowami, pierwszym numerem miała być ballada, spokojny duet na dwa głosy, jeśli zaczniemy to grać, popełnimy samobójstwo, zresztą Gwiazda Alternatywy stoi nadal na dole uczepiona bariery i nie ma na razie zamiaru wychodzić na scenę. Podchodzę do mikrofonu, reflektor świeci mi prosto w twarz, widzę jak przez mgłę morze falujących głów, policzek pali żywym ogniem, adrenalina rozsadza mózg.

– Dobryyyyyyyy wieczóóóóóóór, teraz myyyyyyyyyyy! – wrzeszczę, a aparatura niesie mój ryk w dal, ochładza gorące głowy, uderza w bębenki, ogłusza, mam nadzieję, że wymiecie krzykaczy w kosmos, co oczywiście pozostaje w sferze marzeń. Kilka metrów przed sceną wolna przestrzeń pełna ochroniarzy, potem stalowa bariera i ściśle przyklejone do niej ciała, których właściciele chcą nam zrobić krzywdę.

– Wypierdalać! – odpowiadają z zapałem nasi, niestety na razie wyłącznie potencjalni, słuchacze.

Uderzam pierwszy akord najmocniejszego utworu w naszym repertuarze, tu akurat jest solidna, przesterowana gitara i prosty rytm na cztery, bas typu bum, bum, bum, bum, zwrotka, refren, zwrotka, refren, solówka. Wchodzi reszta zespołu, gramy, chrypię niczym jakiś James Hatfield, przychodzi mi do głowy spóźniona myśl, że powinienem pójść w repertuar thra-

shmetalowy, byłoby łatwiej zatkać im gęby, jakiś wysportowany fanatyk z postawionym na cukier półmetrowym, czerwonym irokezem wspina się na barierę dokładnie na wprost mnie, w ręku winylowa płyta, bierze zamach niczym piłkarz ręczny, celuje, jest blisko, z pewnością trafi i rozetnie moją biedną głowę na pół, śpiewam i gram na gitarze, nie mogę się ruszyć od mikrofonu ani uchylić, podbiega ochroniarz, wali pięścią, irokez znika razem z cukrem, wściekłą czerwienią i winylem, aparatura puszcza na scenę dym, skąpani w światłach, laserach i sztucznej mgle wyglądamy pewnie jak Pink Floyd, śpiewam z taką rozpaczą w sercu, że chyba wszyscy wpadną w depresję, następny numer, bez chwili przerwy, byle nie słyszeć ryków i gwizdów, pojawia się Gwiazda Alternatywy, a jednak, wchodzi ze swoją partią, nawet mnie przechodzą ciarki, śpiewa jak anioł zemsty, jak Jeździec Apokalipsy, choć tekst pogodny i o miłości, głos niesie na setki kilometrów, pokrywa cały kraj, zagląda pod strzechy, coraz więcej ludzi przestaje gwizdać, a zaczyna słuchać. Kolejny kawałek, duet wokalny, bębniarz rozgrywa najlepszy mecz w życiu, technika mu się poprawia z taktu na takt, Gwiazda Alternatywy robi się liryczna, ja również, dwie zwrotki i długie, bardzo długie fortepianowe solo Wojtka, genialnego ucznia Kenny’ego Kirklanda, kaskada dźwięków, pasaże improwizowane, jakbym słuchał koncertu dzwonów, staramy się nie popsuć akompaniamentem dzieła sztuki, Wojtek nigdy przedtem ani nigdy potem nie zagrał czegoś równie dobrego, Gwiazda Alternatywy stoi z rozszerzonymi oczami, szepcze bezdźwięcznie „kurwa, kurwa”, uśmiecham się do niej, ona odpowiada uśmiechem, ocean głów faluje, dostaję zapalniczką w udo, nic mnie to nie obchodzi, chciałbym, aby Wojtek grał przez miesiąc albo rok. Kończymy numer, nadstawiam ucha, grupa, która nadal pragnie, byśmy wypierdalali, ograniczyła się do stu, może dwustu najbardziej fanatycznych zwolenników naspawanej gandzią legendy podziemia, słyszę nawet brawa, trzydzieści tysięcy stoi i słucha, gramy kolejny numer, a potem wielki finał, bębny wspierane z komputera afrykańskimi perkusjonaliami, arabski motyw grany w odjechanym inter-

wale przez gitarę i organy Hammonda, Gwiazda Alternatywy wokalizuje w sposób, w jaki wokalizuje się tylko w niebie. Czerwony Irokez znów wdrapuje się na barierę, podejmuje kolejną próbę rzutu winylem, skąd on wziął tę czarną płytę, ponownie ochroniarz jest szybszy, pięść trafia prosto w nos, tamten spada z bariery, fryzura chyba nie do odtworzenia w oryginalnym kształcie, chce mi się śmiać, gramy jak maszyna, jak elektryczny mechanizm napędzany precyzyjnym algorytmem, żadna wielka orkiestra filharmoniczna obstawiona partyturami i światowej klasy dyrygentami nie zagrałaby lepiej.

Kończymy, echo powtarza ostatni akord, rozlegają się brawa, to nie halucynacja, ludzie klaszczą i krzyczą.

– Dzię-ku-je-my! – słyszę.

– Ja pierdolę – wzdycha Gwiazda Alternatywy.

Zdrętwiałymi ustami mówię coś do mikrofonu, wypinam kabel ze wzmacniacza, zabieram panel z efektami, schodzę w akompaniamencie oklasków. Na dole rozemocjonowane twarze, organizator potrząsa moją ręką i mówi, że było super, mam ochotę kopnąć go w tyłek, menedżerka całuje mnie z uczuciem, Gwiazda Alternatywy schodzi pod rękę z basistą, mamroczę słowa podziękowania, nie zwraca na mnie uwagi, basista będzie ją rżnął przez całą noc, nie ma przebacz, rano upodobni się do słaniającego się na nogach zombie, całkiem udany debiut moim zdaniem, menedżerka z kolei zadba o mnie, jesteśmy tylko kolegami z pracy, ale dziś wyjątkowy wieczór, jestem ranny i poszkodowany, a ona marzy, aby odegrać rolę siostry miłosierdzia, ma mały biust i szerokie biodra, ale skórę o pięknym odcieniu i zielone oczy, okaże się przy tym, że jest nienasycona, kobieta kameleon, nigdy niesygnalizująca żadnych potrzeb seksualnych, czego to się człowiek nie dowiaduje o paniach, które, wydawałoby się, zna od podszewki, zresztą to nieważne, ponieważ ma tylko pośredni związek z muzyką i koncertem, który zostanie mi w pamięci na całe życie.

Zwycięstwo sztuki? Artyzm?

Nigdy nie miałem przesadnego wyobrażenia o komponowanych przez siebie utworach, ale uważam, że przekonanie do siebie trzydziestu tysięcy wrogo nastawionych ludzi jest osiągnięciem. I chyba ma coś wspólnego ze sztuką. Chyba że się mylę.

Wszystko to przypomniało mi się, gdy szedłem spacerem przez niedzielną wyludnioną Warszawę, z paczką sushi i butelką śliwkowego wina pod pachą, i myślałem o nowej książce, tak wysoko ocenionej przez ciotkę Ewelinę polemice z mistrzem Bułhakowem. W jakim celu się wysilam? Kilkakrotnie podczas pisania miałem wrażenie, że sięgam za wysoko, że odwiedzam nie swoje rejony, że będę śmieszny, prowadząc krucjatę polegającą na wyważaniu dawno otwartych drzwi. W swojej kategorii jestem mistrzem, nie ma się czego wstydzić, rok temu dla zabawy u dwóch nieznających się nawzajem literaturoznawców specjalizujących się w kryminałach i sensacji zamówiłem analizę porównawczą moich książek z najbardziej kasowymi autorami zachodnimi. Chodziło o aspekty techniczne: formę, pomysły, kreowanie bohaterów, intrygę, język. Z opracowań obu panów wynikało, że moje książki niczym nie ustępują twórczości gwiazd zza Wielkiej Wody, w niektórych elementach jestem nawet bardziej kreatywny. Uważam, że tworzenie dzieł popkulturowych na wysokim poziomie też jest pewną sztuką, zajęciem w niczym twórcy nieuwłaczającym. W jakim celu więc pcham się tam, gdzie mnie nie chcą? Nigdy nie doczekam się poważnych recenzji, nie będę laureatem nagród ani nawet pretendentem, nikt nie będzie traktował mnie serio. Grobicki? Ach, to ten piszący śmieszne bzdurki o żołnierzach przeniesionych w czasie? Machamy ręką, szkoda śliny na rozmowę o głupstwach, o kretynie piszącym kretyńskie rzeczy dla kretynów. Fakt, że facet pochodzi z inteligenckiego domu, ma wyższe humanistyczne wykształcenie odebrane na dobrej uczelni, zna trzy języki, zwiedził pół świata, czyta pięćdziesiąt książek rocznie i jest pisarzem naprawdę umiejącym posługiwać się językiem polskim, nie ma najmniejszego znaczenia. O tym, kto jest inteligentem, a kto nie, decydujemy my, a nie fakty. Koniec dyskusji.

Nie umiem rozstrzygnąć, czy mnie to wzrusza, czy nie.

Dochodzę do starannie wyremontowanej secesyjnej kamienicy przy Marszałkowskiej, naciskam guzik domofonu, słyszę Zuzannę, intrygującą, niebieskooką Zuzannę. Muszę wam coś o niej powiedzieć. Zu jest absolwentką kursu kreatywnego pisania, który prowadziłem w zeszłym roku, moim największym osiągnięciem pedagogicznym, choć to określenie zdecydowanie na wyrost, moja zasługa żadna, Zu to talent samorodny. Zdolna w równej proporcji do intrygującego charakteru i inteligencji, połączonej ze szlachetnością, czymś, czego się nie kupi, nie zrobi, nie zamówi w żadnym sklepie z dobrymi genami. Zuzanna została przez los obdarzona naturalnym wdziękiem, gracją ruchów i elegancją zachowania, co nie przeczy faktowi, że potrafi kląć jak szewc, pić wódkę przez dwa dni z rzędu bez widocznych skutków lub, najczęściej, twórczo łączyć jedno z drugim. Zorientowałem się, z kim mam do czynienia, już na pierwszych zajęciach kursu, po króciutkim, obowiązkowym eseiku na jakiś błahy temat. Brylant tak wielki, że całkowicie zatraciłem się w jego blasku, od razu nie chodziło o mnie, a o nią, co ciekawe, pozostali uczestnicy kursu nie rozpoznali w niej talentu, nie dostrzegli wybitnego zmysłu narracyjnego, umiejętności językowych ani szatańskiego poczucia humoru, może dlatego, że nawet dziś, po bardzo ciepło przyjętym debiucie, Zuzanna nadal nie wierzy we własne siły, jest ekstrawaganckim połączeniem talentu z kompleksem niższości. Wtedy, po ostatnich zajęciach kursu, zawstydzona, czerwona na twarzy, zdradziła mi na osobności, że skończyła powieść, poprosiłem o przysłanie próbki, zachwyciłem się, przesłałem wydawcy z sugestią pilnego przeczytania, następnego dnia zadzwonił do mnie równie zachwycony Szumski, żądając pilnego kontaktu z autorką. Tydzień później podpisał z nią umowę, w której, o ile wiem, zagwarantował sobie wyłączność na kolejne dwie powieści, mądry ruch, postąpiłbym identycznie. Tyle mojej zasługi, choć Zuzanna dziękowała mi przez miesiąc. Wiem, że pisze nową książkę, a ja będę prosił, by ją porzuciła na jakiś czas, robię przegląd argumentów, powinny wystarczyć,

choć wiem, że Zuzanna jest bardzo przywiązana do swojego pomysłu i bohaterów, sprzedaż „Ognia na pograniczu” była na bardzo przyzwoitym poziomie, biorąc pod uwagę, że mowa o debiucie osoby bez medialnej przeszłości, bez rozpoznawalnego nazwiska. Podczas kolacji z Nancy wspomniałem, że „Ogień na pograniczu” napisał facet? No właśnie. Zuzanna pisze pod męskim pseudonimem, nie bardzo wiem dlaczego, mętnie mi to tłumaczyła, może ma to coś wspólnego z nieśmiałością, zresztą nie wnikałem w szczegóły, jej sprawa, trudności, jak połączyć anonimowość z obowiązkami medialnymi, próbował jej uzmysłowić Szumski, bez efektu, grochem o ścianę. W umowie, o ile wiem, jest zapis mówiący o całkowitej dyskrecji dotyczącej nie tylko nazwiska, ale również płci.

Wchodzę, pięknie urządzone mieszkanie, Zuzanna kocha stare meble, spatynowane, trochę nadżarte przez korniki, zapach mieszczańskiej inteligencji, mieszkanie po babci, dwa pokoje z wielką kuchnią, byłem tu dwa razy, atmosfera nie do podrobienia, wprost kojarzy mi się z mieszkaniem ciotki Eweliny Krüger. Zuzanna całuje mnie w policzek, ubrana w dres i za dużą flanelową koszulę, oboje nie znosimy konwenansów, stawiam na stole torbę z sushi i wino. Długie blond włosy związane w kok, szeroka twarz, życzliwość wypisana na niej dużymi literami, na każdym kroku daje do zrozumienia, że jej imponuję, że ceni sobie nasze koleżeństwo, jestem dla niej uosobieniem sukcesu i rzemieślniczej rzetelności. Zuzanna pracuje jako specjalista w dużej agencji piar, wielkie kampanie za miliony, ale z tego, co wiem, zarabia bardzo skromnie, może nie jest dobra w tym, co robi, albo się nie przykłada, albo agencja skąpa. Skądinąd dotarły do mnie pogłoski, że moja była podopieczna chciałaby jak najszybciej rzucić etat i utrzymywać się z pisania, godna pochwały ambicja, zamierzam ją wykorzystać.

Rozmawiamy przez chwilę, gospodyni kocha japońskie jedzenie, o czym oczywiście wiem, stąd przemyślany zakup w najlepszym barze sushi w mieście, układa z kawałków ryby fantazyjny wzór na porcelanowym półmisku, żadnego jedzenia z plastikowych tacek. Pijemy wino z wielkich,

surowych w swej prostocie kieliszków. Zuzanna najmniejszą aluzją nie zdradza, że wie o filmiku na fejsie, że ma do czynienia z moralnym półtrupem, co oczywiście ułatwia mi sytuację, nie stawia mnie od razu na przegranej pozycji, dziewczyna ma zasady, nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy, ale z pewnością brzydzi się podobnymi akcjami, tłumaczenie, że jestem ofiarą zemsty porzuconej kobiety, wzięłaby za wykręt.

– Jest interes – mruczę.

– Ciekawe – odpowiada, mrużąc kocie oczy. – Jaki może mieć do mnie interes najpopularniejszy pisarz w Polsce?

– Pojutrze idę na operację – oświadczam. Ignoruję nieznaczne skrzywienie ust, objaw niechęci lub współczucia, nie stać mnie na rozszyfrowanie płynących od niej sygnałów. – Znikam na co najmniej dwa miesiące.

– Przykro to słyszeć – mówi. – Nie pytam, czy coś poważnego, bo inaczej nie wspominałbyś o tym.

– Owszem. – Kiwam głową. – Coś poważnego. Nie chcę o tym mówić.

– Jasne.

– Mam propozycję.

– Polegającą na?

– Po pierwsze, piszę książkę, kontynuację „Zimy”. Zostało jakieś sto pięćdziesiąt stron, trzydzieści tysięcy słow. Chcę ci zaproponować, żebyś ją skończyła. Po drugie, trzeba wnieść poprawki do treatmentu serialu dla Amerykanów. Przy twojej sprawności robota na kilka wieczorów.

Jest oczywiście zaskoczona.

– To są dwie propozycje – mówi.

– Nie tylko na tym polega trudność. Oba tematy są dość pilne. Jeśli się zgodzisz, musiałabyś się zabrać za pracę już, najlepiej jeszcze dzisiaj.

Zuzanna śmieje się serdecznie.

– Kochany, nie jestem aż tak zdesperowana – mówi. – Mam umowę z Szumskim na kolejną książkę, a jestem w lesie. Piszę konspekt następnej…

Podnoszę dłoń.

– Za poprawki treatmentu dwadzieścia tysięcy – deklaruję, cedząc powoli każde słowo. – Za skończenie „Wiosny” pięćdziesiąt. Połowa jutro, połowa po zaakceptowaniu finalnej wersji. Gotówka albo przelew na konto, jak wolisz.

Zuzanna łyka głośno ślinę, ręka z kieliszkiem drży. Oboje wiemy, że takich stawek na rynku nie ma. Ona za swoją książkę nie zarobi połowy takich pieniędzy.

– Jeśli się zgodzisz – ciągnę – pogadam z Szumskim, przesunie premierę twojej książki. Warunek jest jeden: zostajesz w cieniu.

– To akurat moja specjalność – mówi, lekko chrypiąc.

Siada na krześle na wprost, myśli, bawi się kieliszkiem, w butelce śliwkowego wina widać dno.

– Po pierwsze, schlebiasz mi – mówi po dłuższej chwili całkiem przyjemnego milczenia. Dobrze mi u niej, dobrze mi z nią, myśl, że nie muszę do niczego się zmuszać ani udawać, jest całkiem miła. – Masz dość specyficzny styl, nie odpowiada mi, ale jest charakterystyczny, po trzech zdaniach można poznać, że to ty.

– Miło słyszeć. – Kiwam głową.

– Więc nie będzie łatwo go podrobić. Oprócz tego bardzo dużo rzeczy mnie irytuje, niektóre twoje postacie są okropne.

– Wiem. Takie mają być.

– Ejże, wzięłabym na wiarę to, co mówisz, gdybym cię nie znała. Może. Ale raczej nie.

– Zu, tyle razy powtarzałem, że narrator to nie to samo, co autor – mówię, grożąc jej palcem, a ona znowu śmieje się serdecznie.

– Jesteś seksistą – naciska.

– Moja droga, ciągle to słyszę. Nieprawda. Mówimy o normalnych, zdrowych relacjach damsko-męskich – odpowiadam, bardziej z przekory

niż rzeczywistej chęci polemiki. – Nie będę tego nazywał inaczej, bo tak według niektórych jest poprawnie.

Teraz ona grozi mi palcem.

– Obrzydlistwo – mówi.

– Wracając do rzeczy – ciągnę poprzednią myśl. – Muszę wiedzieć, czy wchodzisz w interes.

Zuzanna poważnieje. Dotyka nosa. Wstaje, pochodzi do wysokiej półki wypełnionej książkami. Wyciąga z niej „Zimę”, kartkuje, przez dłuższą chwilę czyta fragment gdzieś ze środka. Kręci głową.

– Męski styl – stwierdza. – Dużo przymiotników, dużo testosteronowych emocji, seksu i przemocy.

– Poradzisz sobie.

– Nie jestem pewna.

Rozsiadam się wygodnie.

– Jesteś najzdolniejszą pisarką, z jaką miałem do czynienia – mówię, ignorując jej autopogardliwy uśmieszek. Zu nie ma o sobie wysokiego mniemania, szkoda, muszę nad nią popracować, jak już wyjdę ze szpitala, w tym zawodzie nie ma innej drogi niż zuchwałość. – Masz absolutny słuch językowy i ogromną wyobraźnię. Panujesz nad formą, czujesz rytm, wiesz, gdzie trzeba przycisnąć gaz, a gdzie wcisnąć hamulec, nie czytałem lepiej skonstruowanych scen niż w zakończeniu „Pogranicza”. Nie mów, że nie dasz rady.

– Umiem pisać własne rzeczy – oponuje. – Nie wiem, czy potrafię cudze.

Wyjmuję z kieszeni pendrive’a, kładę go na stole. Mały czarny kamyk na idealnie lśniącej politurze.

– Rozumiem – mówię. – Masz swoje ambicje, ja proponuję ci brudną robotę.

– Trochę – mruczy. – Bez obrazy.

– Bez obrazy. Powiem ci, jak jest, dobrze?

Zgadza się, więc mówię. Od kilku lat jestem twarzą dobrze prosperującego przedsiębiorstwa, które, dzięki dwóm udanym ekranizacjom kinowym i serialowi nakręconemu na podstawie „Zimy”, co wywindowało sprzedaż na niespotykany wcześniej poziom dla tego typu literatury, przynosi mnie osobiście, a także wydawcom, pięć–sześć milionów rocznego zysku. Maszyna kręci się bez specjalnych zgrzytów, mam bardzo dobrą markę, ludzie chcą mnie czytać, a ponieważ chcą mnie czytać, należy im regularnie dostarczać towar w dobrym gatunku. Moja choroba nikogo nie obchodzi, ludzie zrozumieją tylko tyle, że nie dostaną na czas ulubionej zabawki. Drobne odstępstwa od stylu zostaną zauważone, nic nie szkodzi, w eter pójdzie komunikat, że autor postanowił nieco poeksperymentować z formą i językiem, wolno mu, swoboda artystycznej wypowiedzi i tym podobne rzeczy.

Widzę, że Zuzanna trawi każde słowo, mam wrażenie, że nieco ją takie postawienie sprawy brzydzi, wcale się nie dziwię, jest dorosłą kobietą, mimo to jeszcze się łudzi, że świat, do którego usilnie próbuje się dostać, środowisko autorów, wydawców, redaktorów, dystrybutorów, krytyków w końcu, jest światem pięknego ducha, nieskrępowanego artyzmu, twórczości z komercyjną powłoką tak cienką i przezroczystą, że właściwie niewidoczną.

Biedna Zuzanna.

Przechodzi mi przez myśl, że niepotrzebnie to mówię, że być może powinienem zaproponować jej współautorstwo, oba nasze nazwiska na okładce napisane lekko wypukłymi literami tej samej wielkości, oczywiście, jeśli ona chce występować pod męskim pseudonimem, proszę bardzo, nie ma żadnego problemu, załatwię to, Szumskiemu zależy jeszcze bardziej niż mnie. Ale nie wypowiadam propozycji na głos, wiem, że zaoferowana przeze mnie suma namąciła jej w głowie, Zuzanna ma zasady, chce być uczciwa wobec siebie, wolno jej, wolny kraj, nie proponuję niczego niezgodnego z prawem, nawet nieuczciwego, ale te pieniądze pozwolą jej zrezygnować z pracy i skupić się na pisaniu, przy własnym mieszkaniu i skromnym życiu

nawet w Warszawie siedemdziesiąt tysięcy wystarczy na półtora roku, może na dłużej.

– Trochę to przerażające – oświadcza, gdy milknę. Otwiera nową butelkę wina. Pijemy, doskonałe bordeaux, nawet mnie smakuje, choć nie jestem znawcą.

– Tylko pozornie – ripostuję. – Po prostu książka musi się ukazać w terminie.

– Za chwilę ukazuje się twoja książka wojenna. Ludziom nie wystarczy?

Kręcę głową.

– To tak nie działa – mówię. – Jedni czekają na zakończenie cyklu wojennego, inni na kryminał. Trochę inny czytelnik, więcej kobiet, różne oczekiwania.

Patrzy na leżącego na stole pendrive’a. Podążam za jej wzrokiem.

– Masz tu treatmenty dla Amerykanów i dokładny opis zmian, jakich żądają – tłumaczę. – W drugim pliku znajdziesz pierwszą część „Wiosny”. Na końcu umieściłem streszczenie dalszego ciągu, ale chcę oczywiście to z tobą przegadać.

– Mogę odpowiedzieć jutro?

Zastanawiam się. Zaczyna mnie boleć głowa. Nie za okiem, jak zwykle ostatnio, ale w środku, bliżej karku, ból tępy, ćmiący, upierdliwy jak mucha brzęcząca na szybie.

– Wolałbym teraz – mówię.

– Muszę przeczytać – upiera się, a ja widzę, że niczego więcej na razie nie osiągnę. – Nie znoszę randek w ciemno.

Wstaję. Słyszę zgrzyt klucza w zamku. Wchodzi Joanna, młodsza od Zuzanny o kilka lat, wyższa, w okularach i z kruczoczarnymi włosami w nieładzie. Całuje Zuzannę w usta, potem wita się ze mną, znacznie już oszczędniej.

– Widzę, że ktoś tu sobie dogadzał – mówi, patrząc na talerze i pałeczki, za pomocą których pochłonęliśmy sushi.

– Zostawiłam dla ciebie – odpowiada Zuzanna.

Joanna kiwa głową. Zdejmuje marynarkę, wiesza na oparciu krzesła.

– Uciekam – mówię. – Zadzwoń, proszę.

Zuzanna przytakuje.

– Jeszcze nie wiem, co odpowiem, ale dziękuję, że o mnie pomyślałeś – mówi, słyszę w jej głosie szczerość, mam nadzieję, że przeczyta, co napisałem, i odpowie „tak”, nie mam planu zapasowego, do operacji zostało półtorej doby, coraz mocniej zależy mi na pozostawieniu tej sprawy zapiętej na ostatni guzik.

– Dzwoń – powtarzam, żegnam się i wychodzę.

Idę bardzo powoli, myślę, jednocześnie dostrzegam wszystko, co dookoła, z nadzwyczajną szczegółowością, jakbym zamienił się tajemnym sposobem w ogromnie czuły mikroskop. Marszałkowska jest już nieco ludniejsza, widzę, jak słońce rozpala szklane fasady biurowców, obmywa kamienne elewacje nielicznych przedwojennych kamienic, punktuje szkaradztwo peerelowskich bloków i plomb wciśniętych na siłę w starą strukturę. Marszałkowska jest kwintesencją organizacyjnego galimatiasu, z jakiego słynie stolica. Warszawa jest miastem brzydkim, mówię to z przykrością jako warszawiak od co najmniej czterech pokoleń. Ma zachwycające zakątki, Łazienki są unikalne, Krakowskie Przedmieście urzeka proporcjami, elegancją i światowym sznytem, Teatr Wielki ma w sobie klasyczny monumentalizm, gdyby odbudować mu w sąsiedztwie Pałac Brühla, cały rejon, razem z parkiem Saskim i pobliskim gmachem Zachęty, stałby się perłą, w jakie są zdobne Paryże, Barcelony i Wiednie. Ale reszta to porażka, odwrócona tyłem do Wisły, upstrzona postkomunistycznymi blokowiskami Bemowów, Ursynowów i Gocławiów, doprowadzona do urbanistycznego kataklizmu deweloperskim szaleństwem lat dziewięćdziesiątych. Po placu Defilad, kilkunastohektarowej betonowej pustyni okalającej Pałac Kultury, największym uzbrojonym, położonym w ścisłym centrum stolicy placu w Europie hula wiatr, nie udało się nawet doprowadzić do fazy realizacji

konkursu na Muzeum Sztuki Nowoczesnej, może i dobrze, bo projekt przypominał bunkier przeciwatomowy, a nie budynek użyteczności publicznej. Tak to u nas jest. Brak pieniędzy? Koncepcji? Sprzeczne interesy miasta i deweloperów, pazernych pijawek, które muszą budować jak najwięcej i jak najszybciej, by międzynarodowy pieniądz, powiększony o trzydziestoprocentową marżę jak najszybciej wrócił do właścicieli, do Nowego Jorku, Londynu i Brukseli? Coś w tym jest, wystarczyło jeszcze w dobrych czasach posłuchać Doris, bez skrępowania opowiadającej o łapówkach dawanych urzędnikom, o naginaniu przepisów, o samowolkach, czasem nawet zwykłej gangsterce. Nic w tym niezwykłego. Jesteśmy krajem obciążonym postkolonialną mentalnością, chcemy szybko się dorobić, nieważne, skąd pieniądz pochodzi i za co jest oferowany. Myślę jednak, że praprzyczyna powszechnej brzydoty jest inna, tkwi głębiej, gdzieś w naszych duszach. Ta przyczyna to brak potrzeby, aby było ładnie, chroniczny deficyt potrzeb estetycznych na powszechną skalę. My nie potrzebujemy tego, żeby przestrzeń publiczna wyglądała schludnie. W naszym gniazdku – jak najbardziej, mieszkania i prywatne domy lśnią, parkiety, lustra, glazury hiszpańskie, krany importowane z Niemiec czy Włoch. Ale na zewnątrz byle co, trawnik zadeptany, no to co z tego, narożnik placu, po którym wiatr przewala śmieci, co mnie to obchodzi, ulica, przy której każdy dom stoi pod innym kątem, a pozostałą wolną przestrzeń zajmują ogrodzone parkingi? Proszę bardzo, bylebym mógł na nim swój zakupiony za ostatnie pieniądze samochód bezpiecznie zostawić na noc. Nie słyszałem nawet zaczątków dyskusji, co zrobić z blokami z wielkiej płyty, tym urbanistycznym odpowiednikiem Czarnej Śmierci, myśl, aby je wyburzyć i zastąpić domami o ludzkiej skali i estetycznym wyglądzie, nikomu nie przychodzi, zdaje się, do głowy. Przecież mieszkańcy by protestowali. Przecież się nie da. Na pewno przepisy nie pozwalają. Zresztą – po co, bloki stoją, a jest tyle ważniejszych potrzeb.

Gdy o tym wspominam, Wieteska konsekwentnie, z zapałem inkwizytora gasi takie myśli.

– Jureczku, bierzesz się za nie swoje rzeczy – peroruje, wymachując szklanką pełną wódki. – Zaczynasz się kierować tym, co słuszne lub niesłuszne, a estetyka należy do kategorii słuszności, trudno uchwytnej, ale zawsze. To tak jak z racją moralną. Nienawidzę tego. Jeśli ktoś mówi o słuszności albo moralności, od razu podejrzewam go o wszystko, co najgorsze. Najzdrowiej jest, kiedy kierujesz się interesem. Robisz tylko to, co ci się opłaca. Wtedy można ci ufać. Tak jest właśnie z estetyką. Ona się nikomu nie opłaca, więc jest, jak jest, i to jest najzdrowsze podejście do sytuacji.

– Mówisz o polityce i politykach – ripostuję. Mam na wszystko przygotowaną odpowiedź. – Oni robią tylko rzeczy, które im się opłacają, a ja chciałbym inaczej. Szerzej, mądrzej, ładniej.

– Mądrość w polityce to rzecz niebezpieczna, zwłaszcza w Polsce – odpowiada mój agent, mój zły duch. – W polityce powinny obowiązywać zasady gry, co ty mnie i co ja tobie, opłaca mi się, robię, nie opłaca mi się, nie kiwam palcem. A wyburzanie bloków nikomu się nie opłaca, bo nie da się wymyślić powodu, dla którego miałoby się opłacać.

– A uroda miasta? – jęczę. – A spuścizna? A pamięć, istota ducha narodu?

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz! – woła Wieteska, po raz kolejny napełniając szklankę. – U nas i tak jest za mało myślenia pragmatycznego, a za dużo ducha, wartości, moralnych racji. Przestań.

– Chcę, żeby Warszawa była piękna.

– To napisz o tym książkę i nie zawracaj dupy. Napisz fantastykę dziejącą się za sto lat w Warszawie, która jest najpiękniejszym miastem świata. W tym jesteś dobry, to są twoje klimaty.

– Nic nie rozumiesz – informuję go i na tym kończymy, jak zawsze obywając się bez wiążących wniosków.

Mijam roześmianą parę z dziećmi, potem zażywnego staruszka, który mamrocze coś pod nosem. W jednej z kawiarni tłum, w następnej to samo. Nikt nie przejmuje się estetyką, jest mi z tego powodu przykro.

Dzwoni Helena, tym razem odbieram, odnotowując lekkie ciepło wokół serca. Może to są sprawy ważne, a nie przestrzeń wokół mnie?

– Cześć – mówię.

– Czołem – odpowiada. – Żyjesz?

Hasło, słowo klucz. Jest jak dawniej. Po męczącej trasie, po niekończącej się sesji nagraniowej, po maratonie siedzenia po dwanaście godzin dziennie nad spóźnionym tekstem Helena pytała, czy żyję. Potem podawała kawę, czasem nawet piwo, gdy miała dobry humor i dzień łaskawości. Była w tym troska, porozumienie, czułość, kumpelstwo, miłość. Czułem się bezpiecznie, moja kobieta mnie kochała, ja kochałem moją kobietę. A potem wszystko zniszczyłem, choć nie nastąpiło to nagle.

– Żyję – mówię. – Z trudem, ale jednak.

– Przykro mi, cokolwiek się stało, ktokolwiek to zrobił i z jakiegokolwiek powodu – oznajmia moja żona. – Mam nadzieję, że ci to nie zaszkodzi.

– Tego jeszcze nie wiem, pewnie nie bardzo – przyznaję. – Wieteska próbuje zamienić porażkę w sukces.

Helena śmieje się gorzko.

– Tak, jedyna osoba, która potrafi takie rzeczy zamieniać w sukces, to on – mówi.

– W tym wypadku cieszę się, że jest przy mnie – odpowiadam, słysząc w jej głosie przyganę, a jednocześnie jakiś rodzaj ulgi. Widać, że nie tylko ja nad sobą pracuję.

– Jasne.

Milczymy. Nawet jeśli nikt nic więcej nie powie, jest dobrze.

– Może wpadniesz do nas jutro wieczorem? – pyta.

Przez dłuższą chwilę nie wiem, jak zareagować. W moim życiu jest niewiele momentów, gdy zapominam języka w gębie, teraz nastąpił jeden z nich.

– Wszyscy są za? – pytam.

– A jak myślisz?

Przełykam ślinę.

– Bardzo się cieszę – mówię przez ściśnięte gardło.

– O siódmej – zarządza, po czym już jej nie ma.

Mechanicznie stawiam kroki, wypite u Zuzanny wino wyparowało jak dobry sen, nogi mnie niosą same, uświadamiam sobie za to, jakim jestem idiotą, przykre, czuję coś w gardle, tym razem to nie wzruszenie, a gniew i żal, bardziej żal, jeszcze sekunda i zacznę płakać nad swoim losem i nad swoją głupotą. Ogarnia mnie coś w rodzaju mentalnego ADHD, nie mogę iść do domu, nie mam po co, mijam plac Konstytucji, płynę dalej, widzę masywne, strzeliste wieże kościoła Najświętszego Zbawiciela, impuls, pcham ciężkie drzwi, wchodzę do chłodnego, zadumanego wnętrza. Chyba nigdy tu nie byłem, przerwa między mszami, dwie starsze panie siedzą w przednich ławach, patrzą na ołtarz w milczeniu, biel ścian, monumentalizm postbarokowych krzywizn i łuków, bogactwo zdobień, siadam z tyłu, przyglądam się Ukrzyżowanemu, wicher przelatuje przez mój biedny, skołatany mózg. Słyszę kroki, pojawiają się ludzie, niebawem kolejna msza, wstaję, przechodzę obok ołtarza, małe drzwi, wchodzę, nie wiem, czy nie popełniam jakiegoś *faux pas*, młody ksiądz odwraca się, obrzuca mnie ostrym spojrzeniem.

– Dzień dobry – bąkam.

– Szczęść Boże – odpowiada. – Tu nie wolno przebywać, proszę pana.

Ma dość wysoki głos, stara się mu nadać defensywne brzmienie, na dobrą sprawę nie dziwię mu się.

– Wiem, proszę księdza, przepraszam – mówię. – Chciałbym porozmawiać.

– Za chwilę msza święta – oznajmia, dając do zrozumienia, że powinienem wpierw sprawdzić godziny nabożeństw, nim przystąpię do zajmowania mu czasu.

– To może po mszy? – pytam.

Przygląda mi się uważnie.

– Pan jest z naszej parafii? – pyta.

– Nie… – Waham się. – Właściwie nie wiem. Mieszkam na Hożej, ale wcześniej mieszkałem na Mokotowie.

– Nie wie pan, z jakiej jest parafii? – docieka.

Ostro ciosana twarz mieni mu się jakimś chyba rodzajem oburzenia.

– Czy to ważne? Chciałbym tylko porozmawiać – pytam.

– O czym?

– O życiu. O moim życiu.

– Proszę pana, ja naprawdę nie mam czasu – niecierpliwi się pasterz. – To są sprawy zbyt ogólne, żebyśmy je mieli teraz roztrząsać. A nawet po mszy.

– Ma ksiądz rację – mówię. – Bardzo przepraszam.

Wychodzę przed kościół, krzyże na wieżach przyglądają mi się z uwagą, której nie poświęcił ksiądz, pochylają się litościwie, szepczą słowa pociechy. Chce mi się śmiać z własnej nieporadności, amatorszczyzna w każdym zagraniu, brak planu, brak pomysłu, brak przekonującego powodu do rozmowy. Odwracam się, patrzę na białe mury świątyni, ruszam w kierunku domu, mimo wszystko czuję się lepiej, przynajmniej spróbowałem, słyszę pod czaszką głos Heleny, napominający, surowy i groźny. Mieszkanie wita mnie ciszą, z którą nie bardzo wiem, co zrobić.

Dzwoni Wieteska, desperacko potrzebuję rozmowy, choć akurat nie z nim i nie na temat, który zwiastuje.

– Musimy się spotkać – mówi.

Podaję mu adres, przecież jeszcze tu nie był, biorę prysznic, odczytuję esemesa od Marii Czerskiej, która proponuje spacer, wykręcam się, nie pa-

ląc mostów, Maria jest istotą z gatunku, który należy ze wszystkich sił wspierać, zwycięstwo nienachalnej etyki, życzliwości z głębi człowieczeństwa, ludzkość nie zginie, dopóki ma takich przedstawicieli. Puszczam Marcusa Millera, funkujący bas brzmi soczyście, łazi po ścianach i zagląda w każdy kąt, zjednoczony z bębnami, muzyka pozwala oderwać myśli od tego, co pojutrze, i od tego, co wczoraj, przerzucić się na pozytywy, szukam, znajduję, całkiem ich sporo, gdy spojrzeć pod odpowiednim kątem.

Dzwonek, Wieteska, podaję mu drinka, siadam, on nie czeka.

– Baton spędził u niej pół godziny – mówi, kładąc na stoliku laptopa i dwie bezprzewodowe kamery. – Tu jest wszystko. Ponad trzydzieści filmików. Nie oglądałem, Baton twierdzi, że też nie – dodaje.

– Nie bał się, że go nagra? – pytam, sam nie wiem po co. Znam Batona od trzech lat, Baton nie popełnia błędów tego typu.

– Nawet próbowała – przytakuje Wieteska, wypijając drinka dwoma dużymi łykami.

Dolewam mu. Wygląda na zmęczonego, włosy w nieładzie, oczy otoczone sinymi obwódkami, ostatnich parę dni nadwątliło jego niespożytą energię, może też wiarę we mnie, a może tylko w sens tego, co robi. Możliwe, że od wtorku zniknę i wszyscy odetchniemy z ulgą, sytuacja typu *win-win*, wszyscy wygrywają, nieczęsto się zdarza.

– Jest pewien, że nic nie zostało? – pytam.

– Sporo ryzykuje, jeśli coś ukryła – odpowiada.

Kiwam głową, myślałem, że w efekcie będzie mi jej żal, spotkanie z ludźmi pokroju Batona zostawia ślady na długo, Doris jest twarda, jednak w rejonach, w których operuje nasz znajomy, pozostaje po prostu bezbronną kobietą. Ale nie żałuję jej. Czuję satysfakcję, im mocniej wyobrażam sobie ogarniający ją paraliżujący strach, dławienie w gardle, kłopoty z przełykaniem, nie mówiąc o trudnościach w formułowaniu myśli – tym lepsze mam samopoczucie. To nowość, nigdy nikomu tak źle nie życzyłem, choć parę osób pracowało mocno, bym życzył im wszystkiego najgorszego. Doj-

dę jeszcze, z jakiego powodu tak się dzieje, na razie tego nie wiem, nie szukam nawet odpowiedzi, nie bardzo mnie ona interesuje.

– Nie kontaktuj się z nią, choćby wydawało ci się, że tak będzie najlepiej – zarządza.

Wyjmuję komórkę. Wpatruję się w ekran. Potem podaję aparat Wietesce.

– „Skurwysynu, nie daruję ci tego, możesz być pewien” – czyta.

– Przyszło rano – mówię. – Nie jest taka przestraszona. Ochłonęła i działa.

– Odpowiedziałeś? – chce wiedzieć.

– Nie.

– Bardzo dobrze. To tylko frustracja – oznajmia. – Nie kasuj tych esemesów, ale nie reaguj. Niczego nie zrobi.

– Nie znam osoby bardziej mściwej niż ona – stwierdzam.

Teraz Wieteska wyjmuje komórkę, tani aparat, jaki można kupić na każdym rogu. Naciska guzik, kieruje ekran w moją stronę. Widzę Doris siedzącą na krześle. Patrzy prosto w obiektyw. Wygląda bardzo dobrze, zawsze była niezwykle fotogeniczna.

– „Nazywam się Jadwiga Stec i składam to oświadczenie dobrowolnie, bez jakiegokolwiek przymusu. W dniu wczorajszym, to jest ósmego września dwa tysiące osiemnastego roku, skłoniłam mojego znajomego, Marka Kowalczyka, pseudonim Carrie, do włamania na konto na portalu społecznościowym, należące do znanego pisarza Jerzego Grobickiego, gdzie zamieściłam wulgarny komentarz oraz film, przedstawiający Jerzego Grobickiego i mnie w intymnej sytuacji. Film został nagrany bez wiedzy i woli Jerzego Grobickiego. Swój czyn popełniłam z wolą zaszkodzenia reputacji Jerzego Grobickiego oraz z chęci zarobku”.

– Ciekawe – mówię. – Że się zdecydowała mówić.

Wieteska śmieje się wilczym śmiechem.

– Każdy z nas by się zdecydował.

Wiem o tym dobrze, Baton to w gruncie rzeczy mój, a nie Wieteski znajomy, fan pisarskiego talentu, były policyjny antyterrorysta, mający w aktach kilka nagan za zbytnią brutalność wobec podejrzanych. Posiada niewielką agencję, z nazwy detektywistyczną, w gruncie rzeczy specjalizującą się w uśmierzaniu znacznie poważniejszych kryzysów niż obecny. Oficjalne agencje rządowe używają ludzi Batona w sytuacjach, gdy muszą pozostać anonimowe lub nie chcą ubrudzić sobie rąk. Baton mnie lubi, jest interesującym gawędziarzem, zwłaszcza po kilku szklaneczkach burbona, w ogóle uroczy z niego człowiek. Doris musiała mieć koszmarną noc, gdy wszedł do jej mieszkania i spojrzał na nią oczyma, w których drzemie grzech pierworodny i bezinteresowna chęć zadawania bólu.

– On nie chce pieniędzy – oświadcza Wieteska.

– Nie ma mowy – protestuję. – Zapłać mu, ile będzie trzeba.

– Uparł się. Nie i nie.

– Przekonaj go. Nie będę jego dłużnikiem.

Kiwa głową, przyjmuje do wiadomości, on również zobowiązania wobec Batona traktuje jak ostatnią pozycję na liście potrzeb.

– To nie koniec – oznajmia.

– Domyślam się.

– Jutro czeka nas pracowity dzień.

– Już się cieszę.

– Zaczniemy od spotkań ze wszystkimi partnerami biznesowymi. Szumski, Tyszkiewicz, Amerykanie, Małgosia Rapacka, sponsorzy, po kolei – wylicza.

– Po co? – pytam.

Wiem, że nie spał przez całą noc, że wynajął agencję piar, która zneutralizuje skutki działań Doris, że spróbuje obrócić gównoburzę w słoneczny poranek i plac zabaw dla przedszkolaków. Wiem, że robi to nie tylko dla pieniędzy, nie z powodu nakazów wiążącej nas umowy, precyzyjnie okre-

ślającej jego zadania. Myślę, że robi to dla mnie. Powinienem się cieszyć, jednak wyjątkowo nie mam ochoty mu pomagać. Nie tym razem.

– Musimy im powiedzieć, co rzeczywiście się stało. Dmuchać na zimne.

Nie bardzo sobie wyobrażam Szumskiego czy Tyszkiewicza wycofujących się ze współpracy ze mną z powodu pornograficznego filmiku, który na kilometr śmierdzi prowokacją, ale w gruncie rzeczy Wieteska ma rację. W dzisiejszych czasach cios może pojawić się z najbardziej nieoczekiwanej strony.

– Chcę, żebyś załatwił to sam – zarządzam, a właściwie proszę. – Pojutrze idę do szpitala. Będziesz miał dobry powód. Nie tłumaczę się osobiście, bo lekarz mi zabronił.

– Zrozumieją to jako ucieczkę. Przyznasz się do winy – protestuje.

Otwieram laptopa, wchodzę na swoje konto, przesuwam parę postów w dół.

– Kilka dni temu dałem informację, że zniknę na jakiś czas. – Stukam palcem w ekran. – Ludzie wiedzą.

Wieteska nie patrzy.

– Ludzie wiedzą nie to, co im powiedziałeś, tylko to, co z tego zrozumieli – upiera się.

Trudno nie przyznać mu racji.

– Nie dam rady.

Jest niezadowolony. Wolałby mieć mnie u swego boku, z czym trudno się nie zgodzić.

– I tak musisz się pokazać. Po południu weźmiesz udział w konferencji prasowej.

Podnoszę brew.

– Widziałeś program w telewizji na swój temat? – pyta retorycznie.

Chyba robi się zły, zapewne posądza mnie o czarną niewdzięczność, o niedocenianie wysiłków i twórczej inwencji w gaszeniu pożaru, który wywołałem.

Potakuję.

– Będą kolejne – twierdzi stanowczo. – Z tobą w roli głównej.

Wzruszam ramionami.

– Fundacja „Stop Cyberprzemocy” opowie dziennikarzom o nasilaniu się zjawiska nękania w sieci – tłumaczy mój agent. – Będziesz gwiazdą dnia. Nie jedyną, ale główną. Trzech pierwszoligowych celebrytów będzie siedziało obok ciebie i opowiadało, jaki jesteś biedny.

– Jasiu – wzdycham. – Daj spokój.

Podnosi się.

– Szumskiego, Tyszkiewicza i resztę biorę na siebie – deklaruje wielkodusznie. – Ale na konferencji będziesz, choćbym cię miał tam zanieść. Nie będę sam sprzątał gówna, którego narobiłeś.

– Ja?

Wychodzi, nie zaszczycając mnie odpowiedzią.

Wybieram numer, którego nie użyłem od roku. Po trzech sygnałach odzywa się energiczny damski głos. Po trzech minutach rozmowy uśmiecham się.

I przestaję się bać. ■

ROZDZIAŁ 8

Poniedziałek – wigilia wtorku.

Śniło mi się coś optymistycznego, coś pobudzającego do uśmiechu, budzę się, już nie ma we mnie niczego wesołego, leżę w łóżku, przed chwilą jeszcze w objęciach snu, teraz całkowicie świadomy, z poważnym deficytem motywacji, by zaczynać dzień. Mięśnie bolą, napięte do niemożliwości, w głowie nawałnica, za prawym okiem drapie maleńka igła, w gardle kwaśny smak, słońce zagląda nieśmiało do okna, zza którego dobiega szum ulicy. Znam to dobrze, staję się jak inni, dolegliwości fizyczne i cierpienia duchowe tematem dnia, po prostu jestem stary, nieświadomie oddaję płaczowi nad sobą coraz więcej czasu, żądam uwagi, żądam, by litość świata nad biednym człowiekiem stała się wiodącym uczuciem. Nienawidziłem czytać o takich rzeczach, pomijałem je, pełen irytacji i pogardy dla autora każącego mi śledzić swej duszy granie, swe dziecinne strachy i swe zabobony, irytujące zwłaszcza w dzisiejszych zniewieściałych czasach, kiedy najdrobniejszy okruch męskiego zachowania jest na wagę złota. Teraz sam was tym zadręczam. Co mogę zrobić? Uciec?

Wstaję powoli, z trudem przypominam sobie dzisiejszy rozkład dnia, krzywię się, prysznic trochę pomaga, kawa rozjaśnia w głowie. Zaglądam na profil, Wieteska odblokował możliwość komentowania, prawie tysiąc wpisów, większość bierze mnie w obronę, wynajęta przez Wieteskę agencja nie traci czasu.

Czytam.

„Znam dziewczyne, która zna ta kochanke Jurka. Ona byla z nim tylko dla kasy. Jak ją zostawil, to sie mści”.

„Jestem prawnikiem. Dla mnie oczywiste, że autor pad ofiarą przestępstwa i tak przed wszystkim trzeba go postrzegać. To zwykłe nekanie, mające znamiona szantażu”.

„On jest chory, ona się skumala baze i chciaaa go naciąć na kasę, zanim umrze”.

„Ja nie oglądałam tego obrzydliwego filmu. Ja pisałam do znajomych, że by też nie oglądali”.

„Podobno ta dupa z tego żyje. Przed Jurkiem idetycznie załatwila dwuch aktorów. Jeden podobno chciał popełnić samobójstwo, prawie go nie odratowali”.

„Ludzie, ma ktoś jej adres? Pójde i jej wpierdole”.

Wpisy jak ten ostatni to raczej swobodna twórczość fanów, ale reszta ładnie układa się w całość. Szeptany marketing w całej krasie, broń nieraz potężniejsza od armat, każdą historię można obrócić w jej przeciwieństwo, z winnego uczynić anioła, z niewinnego – recydywistę gwałcącego trzyletnie dziewczynki.

Mimo wszystko nadal jestem wściekły, Doris pomysłowo i starannie zadbała o mój nastrój przedoperacyjny. Zdolna jest, zawsze o tym wiedziałem. Myślę, że zdawała sobie sprawę, że zareaguję i będę się bronił, że spuszczę Wieteskę ze smyczy, była świadoma, że mój agent potrafi i kocha grać równie nieczysto jak ona, a ma znacznie większe możliwości. Wiedziała, że możemy wynająć każdego, nawet zabójcę, że możemy ją uciszyć, a skutki zneutralizować niemal do zera – mimo to strzeliła, i gdyby nie wizyta Batona, zapewne strzelałaby nadal. Głowy nie dam, czy mimo wszystko tak nie zrobi, nie zaszyje się gdzieś i nie będzie kąsać, z samej radości burzenia, namiętności do destrukcji, niezbyt głęboko skrywanej pogardy do okazywanej publicznie słabości. Doskonale wiedziała, że obecność tętniaka, choć początkowo go zlekceważę, w końcu do mnie dotrze i przejmę się nią, zapewne przeżyję jedną lub dwie bezsenne noce, borykając się ze zwykłym ludzkim strachem. I wtedy zaatakowała, mając mnie odsłoniętego, nieagresywnego, nieskłonnego do walki. Czuła się wściekła na moje postępowanie, zawsze ona decydowała, kogo do siebie dopuścić, a kogo odpędzić, ewentualne zerwanie miało być wyłącznie jej decyzją, dawno już za-

rezerwowaną prerogatywą, niepodlegającą dyskusji. Dwie motywacje, gniew i moje odsłonięte podbrzusze, złożyły się w całość, dlatego cios by tak silny i celny.

Będę jej go pamiętał.

Dzwoni komórka.

– Szczęść Boże – mówię, nagle rozchmurzony.

– Szczęść Boże – odpowiada wesoło kobiecy głos, z którego właścicielką rozmawiałem tuż przed zaśnięciem.

Siostra Ewa jest szarytką, opiekunką niepełnosprawnych i chorych, człowiekiem instytucją. Gdy z nią rozmawiam, nieodmiennie opanowuje mnie pogoda ducha, dziwacznie połączona z poczuciem marności, wstydem, głębokimi wyrzutami sumienia, diabli wiedzą czym jeszcze. Obcowanie z siostrą Ewą napawa człowieka optymizmem i jednocześnie uświadamia, jak niewiele w życiu osiągnął i jak nieważnymi rzeczami się zajmuje. Siostra Ewa jest wulkanem pogody, pracowitości nieżądającej zapłaty, niezmierzonej dobroci oraz żarliwej wiary. Powiedzieć o siostrze Ewie, że jest empatyczna, to jakby stwierdzić, że Cristiano Ronaldo bywa niezłym piłkarzem.

– Bardzo się cieszę, że siostra dzwoni – deklaruję.

– Mam nadzieję, że nie obudziłam – śmieje się.

– Nawet gdyby siostra mnie obudziła, byłoby to najlepsze rozpoczęcie poniedziałku, jakie można sobie wymarzyć.

– My wcześnie wstajemy, dziewiąta to dla nas środek dnia – odpowiada.

– Dziś dla mnie wyjątkowo też.

– Rozmawiałam z księdzem Stanisławem – mówi. – Bardzo mu było przykro, że proboszcz z Najświętszego Zbawiciela tak pana potraktował.

– To nie jego wina. Sam nie bardzo wiedziałem, czego chcę.

– Ksiądz Stanisław musi dziś wyjechać – mówi. Jestem rozczarowany, ale siostra jeszcze nie skończyła. – Jednak zdąży się z panem wcześniej spotkać na kilka chwil.

– Jestem wdzięczny.

Notuję podyktowany przez moją rozmówczynię numer.

– Mikołaj powiedział mi, że dziś zjecie razem kolację – mówi siostra Ewa po chwili. – Od rana jest tak roześmiany, że aż przyjemnie na niego patrzeć.

– Tak, spędzimy razem wieczór – przyznaję.

– Bardzo go to cieszy. Buzia mu się nie zamyka – informuje mnie.

Naprawdę mogę być z siebie dumny. Doprowadziłem zawsze pogodne i nastawione pozytywnie do świata dziecko do tego, że cieszy się na samą wieść o dwugodzinnym spotkaniu z ojcem.

Siostra Ewa zdaje sobie sprawę z mojej sytuacji rodzinnej. Nigdy najmniejszą aluzją nie dała do zrozumienia, co o tym sądzi. Wczorajszy telefon potraktowała niczym zwykłą rzecz, jakbyśmy rozmawiali kilka razy w tygodniu.

– Siostro, bardzo siostrze dziękuję – mówię. – Nie tylko za księdza Stanisława, ale za Mikołaja. Siostra nie wie, ile to dla mnie znaczy.

– Wszystkim nam należy się troszkę uśmiechu, prawda? – pyta, po czym mnie żegna, informując, że musi pędzić.

W tle naszej rozmowy słyszałem głosy dzieci. Takich chłopców jak Mikołaj siostra ma w grupie dziesięciu. Jak ona to robi? Jak radzi sobie z dniem codziennym, nie robiąc wrogów z przewrażliwionych, zmęczonych, przepełnionych poczuciem niesprawiedliwości i krzywdy, a niejednokrotnie po prostu zwyczajnie stukniętych rodziców? Jakim sposobem znajduje w sobie cierpliwość, której, wiem z autopsji, trzeba mieć niezmierzone pokłady, by nie oszaleć?

Piję kolejną kawę, wyglądam przez okno, Hoża cicha jak rzadko, choć przecież poniedziałek, przecież dzień pracy, przecież codzienna krzątanina, która nie może czekać. Wyjątek, moja ulica nie chce mi przeszkadzać.

Znowu telefon, tak już będzie do wieczora.

Stary Lew. Chce wiedzieć, jak się czuję, nic nie mówi o moich wyczynach erotycznych, nie wie albo jest dyskretny, porozumienie Starych Lwów, pyta, czy pamiętam, że jutro się spotykamy z samego rana, koniecznie na czczo, nawet kawa zabroniona, rechoczemy, ależ tak, przybędę, nic się nie zmieniło, bóle głowy w normie, zachowanie wzorowe, owszem, nie powstrzymałem się od kilku kieliszków, ale ilość wielokrotnie niższa od normy, najgorszy ten zakaz seksu, rozumie pan, prawda? Proszę się nie obawiać, traktuję operację poważnie, mój stan zdrowia na pierwszym miejscu, a zatem jutro o dziewiątej.

Zaraz potem Zuzanna.

– Przepraszam, że nie zadzwoniłam wczoraj – usprawiedliwia się. – Przeczytałam tekst, dużo myślałam, rozmawiałyśmy z Joanną do drugiej w nocy, wypiłyśmy trzy butelki wina, mam przez ciebie kaca, musiałam wziąć urlop w pracy. Chcę z tobą chwilę pogadać, jeśli można.

– Zamieniam się w słuch.

Ze słuchawką przy uchu idę do kuchni, parzę herbatę, dosypuję aromatycznych arabskich ziół, słodzę, do diabła z dietą.

– Jak nauczyłeś się pisać? – słyszę.

– Czemu pytasz?

– Chcę wiedzieć.

– Czytając – odpowiadam. – To dla mnie oczywiste. Człowiek nieczytający nie jest w stanie napisać słów, które miałyby sens. Kandydat na pisarza musi uczyć się świata, wrażliwości, poznawać myśli i idee, podpatrywać, naśladować, ściągać, w najlepszym przypadku brać wzór. Po drugie, przyswoiłem reguły rządzące językiem, opanowałem zasady i formułki, co uważam za wręcz obowiązkowe – ciągnę tę zaimprowizowaną lekcję. – Na każdych zajęciach powtarzam do znudzenia, że ktoś, kto nie lubił polskiego i miał z niego dwóję, może zapomnieć o pisaniu.

– Jak doszedłeś do własnego stylu? – drąży Zuzanna.

– Więc jednak dostrzegasz, że mam styl? – pytam.

– Bardzo charakterystyczny. Powiedz.

Zamykam oczy. Nawet nie muszę pytać, skąd te dociekania.

– Po pierwsze reguły – mówię. – Chcesz biegać, najpierw musisz nauczyć się stawiać stopy. Jestem zdumiony, jak wielu ludzi tego nie rozumie. Gdy ktoś mówi o oryginalności wyssanej z mlekiem matki, śmieję się długo i serdecznie. Gdy ktoś mówi o łamaniu reguł, nie poznawszy ich, uważam go za głupca.

– Pokora wobec reguł – podpowiada Zuzanna. – Mów dalej.

– Po drugie, pisz, co czujesz i co sobie wymyśliłaś, ale używaj jak najmniej przymiotników i przysłówków. Najskuteczniej jest po prostu opisywać świat, jakim się go widzi. Nie baw się w interpretacje, domniemania, zmyślne konstrukty, z których wyniknie, że masz rację.

– Podajesz receptę na reportaż – droczy się Zuzanna.

– Podaję receptę na nagą siłę faktów – zaprzeczam z mocą. – Powinny przemawiać wyłącznie fakty. Jeśli chcesz opisać tygrysa, nie pisz, że jest groźny, tylko podaj wielkość kłów i pazurów, podaj, jak szybko może biec, jak wysoko i daleko skoczyć. Jeśli polityk wydaje ci się głupi i odrażający, nie pisz, że jest głupi i odrażający. Opisz z detalami, co robi i jak się zachowuje, czy na przykład mlaska przy jedzeniu, albo notorycznie się spóźnia i nigdy nie pozwala rozmówcom dojść do głosu. Wtedy pokażesz go takim, jaki jest. Nie używaj przymiotników. Czasowniki i rzeczowniki najlepiej oddadzą miałkość człowieka.

– Coś jeszcze? – pyta.

– Dialogi – mówię. – Pisz, a potem czytaj je na głos. Skracaj. W tej branży przegadany dialog to wróg. Najlepsze są *one-linery* z puentą.

– Jasne. Pokazuj i skracaj dialogi. Wszystko jasne.

– Wszystko to wiesz – stwierdzam.

– Fragment „Wiosny”, który zdążyłeś napisać, jest bardzo dobry – stwierdza z kolei ona.

Widzę oczyma duszy jej zatroskaną minę. Jest ambitna i bardzo zdolna, wszystko, o czym rozmawiamy, doskonale wie. Ale nadal brakuje jej pewności siebie, która przyjdzie, ale jeszcze nie teraz.

– Cieszę się – odpowiadam.

– Pomysł na dalszy ciąg logiczny – kontynuuje. – I zaskoczył mnie, więc zaskoczy twoich czytelników.

– To będą również twoi czytelnicy.

– Nie, Jurek, nie będą. Nie musisz mnie w ten sposób motywować.

– Nie o to chodzi – oponuję. – Jeśli ich przekonasz, jeśli nie odkryją fałszywej nuty, jeśli kupią cały tekst, to będzie twój prawdziwy sukces, o czym będziesz wiedziała ty, ja i Szumski, ale to wystarczy. Ja jadę na nazwisku, które zrobiłem kilka lat temu. Ty musisz ich przekonać, że to, co piszesz, jest dobre, a to jest doskonała okazja.

– Będę pod ochroną twojego nazwiska.

– Tylko częściowo. Jest cała grupa ludzi, która nie śpi po nocach, tylko czeka na fałszywą nutę i jest gotowa grzebać pod stertą kurzego gówna, żeby ją znaleźć w tekście, pod którym widnieje moje nazwisko.

– Dlaczego akurat kurzego gówna?

– Widziałaś kiedyś kurze gówno? – pytam. – Nie znam nic obrzydliwszego.

Zuzanna się śmieje, mam wrażenie, że z ulgą.

– Biorę tę robotę – oświadcza z lekką desperacją w głosie. – Będę dzwonić dziesięć razy dziennie.

– Jutro raczej nie odbiorę – zastrzegam, oddychając z ulgą. – Ale już od środy, kto wie.

Uzgadniamy szczegóły, Zuzanna pyta o umowę, obiecuję, że Szumski skontaktuje się w tej sprawie jeszcze dzisiaj, Zu podaje mi numer konta – bez ogródek prosi o dokonanie przelewu na trzydzieści pięć tysięcy do wieczora, co bardzo mi się podoba, lubię proste podejście do życia, zwłaszcza w biznesie – po czym się żegnamy.

Czuję ulgę, Zuzanna przyłoży się do pracy, ma poważne podejście do obowiązków, wszedłem jej na ambicję, choć tego nie pokazuje, chce się wykazać, chce mi udowodnić, że druga część „Wiosny” będzie lepsza od pierwszej, mam nadzieję, że tak się stanie. Już dziś siądzie do komputera i napisze pięć albo sześć stron, nie lubi tracić czasu, ma to, co ja już straciłem, zapał i energię, czuje radość, gdy wykreowany świat i bohaterowie ożywają pod jej wprawną ręką. Zazdroszczę. Po piętnastu wydanych książkach moja praca polega na pościgu za uciekającą kreatywnością, której braki tylko częściowo da się nadrobić sprawnym warsztatem, wyszlifowanym przez tysiące godzin spędzonych nad klawiaturą. Pisząc pierwsze książki, oczywiście nie wiedziałem, że tak to wygląda, sądziłem, że poprawa będzie stała i ciągła, niestanne wznoszenie się ku literackiemu Parnasowi, do czwartej powieści działało, potem zaczęły się trudności, zmęczenie, a przede wszystkim rutyna, śmiertelny wróg wyobraźni i świeżych pomysłów.

Dzwonię do Szumskiego.

– Zuzanna Cehak zgodziła się dokończyć „Wiosnę” – oznajmiam po obowiązkowych powitaniach. – Przygotuj, proszę, umowę i uzgodnij z nią termin oddania tekstu.

– Zuzanna będzie ghostem? – pyta, nie kryjąc zdziwienia.

– Pięćdziesiąt tysięcy – informuję go. – Połowa teraz, połowa po.

– Sporo.

– Koszty miały nie grać roli – przypominam. – Zaliczkę już zapłaciłem.

– Oddam ci.

– Bardzo dobrze. Rozmawiałeś z Wieteską?

– Zaanonsował się. Zaraz tu będzie.

– Przepraszam, że nie będę osobiście – mówię.

– Jasne. Jeśli chodzi o mnie, nie ma żadnego problemu. Twój agent powiedział, kto to zrobił i z jakiego powodu. Obrzydliwość.

– Miło słyszeć – oddycham z ulgą, choć akurat ze strony Szumskiego spodziewałem się takiej reakcji. Poznał kiedyś Doris na jakiejś oficjalnej imprezie, bardzo mu się nie podobała, co wyczułem po niuansach w zachowaniu, bo oczywiście nie powiedział niczego.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze – mówi.

– Mam nadzieję – odpowiadam, po czym dodaję: – Jest jeszcze coś.

– Słucham.

– Mam gotową nową książkę – deklaruję, choć to nie do końca prawda, dopiero niedługo stanie się ciałem.

– Nową książkę? – pyta ostrożnie.

– Tak.

– Nic nie mówiłeś.

– Nie byłem pewien. – Waham się. – Zrozumiesz, jak przeczytasz.

– Z przyjemnością przeczytam.

– Zależy mi, żebyś jej poświęcił uwagę.

– Zawsze poświęcam uwagę twoim książkom.

– Ta jest inna.

– Zmiany są oznaką, że autor nie spoczywa na laurach.

– Zajrzyj niedługo do skrzynki. Nie chcę zaliczki.

– Coraz bardziej mnie zdumiewasz.

Oddycham z ulgą.

– Skontaktuje się z tobą Stańczak, mój prawnik – mówię. – Przygotujecie aneks na dotychczasowe książki oraz na „Wiosnę”.

– Czego ma dotyczyć aneks? – chce wiedzieć Szumski.

– Od jutra wszystkie tantiemy i honoraria idą prosto do Heleny.

Milczy, co jest oczywistą reakcją. Nigdy nie czuł się upoważniony do komentowania mojej osobistej sytuacji, zna i bardzo lubi Helenę, zapewne dochodziły go echa moich zmagań z nią o pieniądze, może Wieteska coś mu wspominał, w gruncie rzeczy to nie była jego sprawa.

– Upewnię się, że dobrze zrozumiałem – mówi ostrożnie, jakby niósł przed sobą tacę wypełnioną rosenthalowską porcelaną. – Chcesz jej przekazać wszystkie swoje zarobki.

– Dobrze zrozumiałeś – odpowiadam. – W wyjątkiem tej nowej książki, którą ci przyślę. Tu wszystko zostaje po staremu. Przygotujecie aneks, w moim imieniu podpisze Wieteska, umówisz się z Heleną, wpadnie i podpisze w swoim.

– Dobrze – mówi. – Oczywiście.

– Do widzenia – rozłączam się.

Nawet nie odkładam aparatu na blat, gdy widzę, że następna w kolejce jest Nancy.

– Twój agent będzie u nas za dwie godziny, ale postanowiłam zadzwonić, żeby ci osobiście powiedzieć – oznajmia moja amerykańska niedoszła kochanka, a ja po pierwszym wypowiedzianym przez nią zdaniu już czuję, jakie to szczęście, że dobry Pan Bóg czuwał i uchronił mnie przed bliższymi kontaktami z tą atrakcyjną kobietą. Doskonale wiem, co usłyszę. W gruncie rzeczy spodziewałem się tego telefonu, nawet dziwię się, że Nancy nie zadzwoniła wcześniej.

– Co powiedzieć? – pytam.

– Rezygnujemy ze współpracy przy serialu wojennym – mówi oficjalnym tonem, którego u niej wcześniej nie słyszałem, a którym posługują się wszyscy prezesi korporacji na świecie. – Nasz prawnik się z wami skontaktuje w celu przedyskutowania rozwiązania umowy.

– Z jakiego powodu?

– Zdecydowaliśmy, że poziom przedstawionego przez ciebie materiału nie gwarantuje jakości oczekiwanej przez naszą stację i nie rokuje osiągnięcia wartości, jakim hołdujemy.

Śmieję się długo, śmiech to międzynarodowy objaw radości i dobrego humoru, zrozumiały pod każdą szerokością geograficzną, Amerykanie nie

należą do wyjątków, śmieją się dużo i głośno przy byle okazji. Ale Nancy pozostaje poważna.

– Rozumiem – oświadczam, gdy już przestaję się śmiać.

– Naprawdę? – pyta.

– Nie chcecie mieć ze mną nic wspólnego, bo uważacie, że ten film na fejsie mnie kompromituje.

– Nie wiem, o jakim filmie mówisz.

– Nancy, rozmawiajmy poważnie, dobrze? – upieram się. – Wasi ludzie z działu marketingu śledzenie takich spraw mają wpisane do umowy o pracę. Nim przyszłaś dzisiaj do firmy, miałaś raport na biurku. Choć osobiście sądzę, że ktoś zadzwonił do ciebie już wczoraj. Może nawet przesłał print-screen, żeby zarobić na premię. Mylę się?

– Nasza stacja nie działa w ten sposób.

Biorę głęboki oddech.

– Nancy, dobrze wiesz, że rozwiązanie umowy za porozumieniem stron nie wchodzi w rachubę – oświadczam. – A na pewno nie rozwiążecie jej z mojej winy, bo ze wszystkiego się wywiązałem.

– Jurek, proszę cię, bądź rozsądny – apeluje.

– Z jakiego powodu mam wam ustąpić? – pytam.

– Bo to ci się opłaca? – Jej ton staje się twardszy, bardziej rozkazujący. – Na tym serialu świat się nie kończy. My będziemy nadal produkować, ty będziesz nadal pisał, z pewnością możemy jeszcze razem coś stworzyć.

– Nancy, nie wiem, dlaczego chcesz mnie obrazić – mówię, mając pełną świadomość, że tracę czas. Umowa, serial i sama Nancy w gruncie rzeczy nic mnie nie obchodzą.

– Nie mam najmniejszego zamiaru cię obrazić… – ripostuje, ale nie daję jej skończyć.

– Powodem jest film i pewnie jeszcze mój wpis na fejsie o zmianach, których zażądał Gardan – mówię z naciskiem. – Założę się, że to ci się nie

spodobało, a z pewnością nie spodobało się twoim szefom, bo pewnie im o tym powiedziałaś. Jesteście tacy sami jak Jane Columbus.

– Kto? – chce wiedzieć.

– Nieważne – ucinam. – Nie obrażaj mnie, żądając, żebym zgodził się teraz na rozwiązanie umowy, bo w przyszłości jeszcze razem coś zrobimy. Skreślacie mnie. Więc z umową nie pójdzie wam tak łatwo. Chcę, żebyście zapłacili.

– Przykro mi to słyszeć – oświadcza.

– Nie, nie jest ci przykro – podnoszę głos. – Poniesiecie koszty.

– Grozisz mi?

Milczę. Jej bezczelność jest godna pochwały i w gruncie rzeczy całkowicie zrozumiała. Na prezesów zarządów korporacji rady nadzorcze nie wybierają empatycznych panienek litujących się nad każdym motylkiem i łkających przy lekturze „Ani z Zielonego Wzgórza”. Ale ja dziś nie mam ochoty rozumieć mentalności prezesów korporacji, nie bawi mnie opanowana przez nich do perfekcji umiejętność odwracania kota ogonem.

– Film został nagrany i umieszczony na profilu bez mojej wiedzy i zgody – oświadczam sucho. – Padłem ofiarą przestępstwa. Jeśli chodzi o żądania Gardana, jest to ordynarna próba cenzury, ingerencji w tekst, która jest całkowicie niedopuszczalna, jeżeli chcemy poważnie traktować wolność słowa. Przykro mi, że tego nie dostrzegasz. Ty i twoi szefowie macie zaklejone oczy. Do widzenia, Nancy.

Nie czekam na odpowiedź, odkładam aparat, wzdycham głęboko nad straconą okazją, czuję, że to jeszcze nie koniec na dziś, dzwonię do Wieteski, akurat wyszedł od Szumskiego, informuję go o decyzji Nancy, on również się nie dziwi, choć rytualnie klnie jak szewc, ustalamy strategię, zgodnie wkładamy kolejny nabój do magazynka agencji piar, zarządzającej kryzysem w moim imieniu, wskutek przestępstwa popełnionego przez Doris padłem ofiarą potężnej korporacyjnej machiny, uczynek mściwej kobiety kosztuje mnie już całkiem wymierne kwoty, zerwanie umowy na serial to

setki tysięcy niezarobionych złotych. Ładna historia, sam bym w nią uwierzył.

Siadam do komputera, odłączam się od rzeczywistości i piszę książkę, staram się ją doprowadzić do końca, słowa płyną, mam tyle pomysłów, że szkoda ich nie wykorzystać, słyszę na korytarzu podniesione głosy, awantura rodzinna, zakładam słuchawki, smooth jazz w miejsce coremetalu, czasem potrzebuję wyciszenia. Trzy godziny mijają bezgłośnie, muzyka jest tylko barierą oddzielającą mnie od świata, dokonuję narracyjnej wolty, zakończenie samo spływa z palców, czytam, poprawiam, tak się nie powinno robić, tekst musi odleżeć, „przegryźć się", z dystansu łatwiej dostrzega się własne błędy i uchybienia, emocjonalny stosunek do materii zdąży wygasnąć, łatwiej o krytyczne podejście do dzieła, co jest rzeczą niezbędną, niezależnie od klasy twórcy. Piszę obszernego maila do Szumskiego, z litanią wyjaśnień i oczekiwań, rezygnuję z pierwotnego pomysłu wydania książki pod pseudonimem, nie mam dla niej tytułu, proszę łaskawego wydawcę, by coś wymyślił, podkreślam, że nie chcę żadnych nawiązań do dotychczasowej twórczości, inna seria wydawnicza, inna stylistyka okładki, inna półka, inne mechanizmy promocji. Podpinam tekst książki, powieści-nie powieści, epokowego eksperymentu, po którym spadnę w przepaść lub zaliczą mnie w poczet świętych skrybów.

Potem pakuję się. Czynność dziwna, bo przecież nigdzie nie wyjeżdżam, klinika Starego Lwa niedaleko, na Mokotowie, taksówką w korkach pół godziny najwyżej. Układam zapasowe koszulki, klapki pod prysznic, przybory toaletowe, potem przychodzi mi do głowy idiotyczna myśl, że nie mam ani koszuli, ani garnituru do trumny, nie bardzo wiem, komu zlecić zakup, Wieteska mnie wyśmieje, Heleny prosić nie wypada, jedyną kandydatką jest Doris, ona bez wątpienia ucieszyłaby się na wieść o mojej śmierci, tyle że w jej wypadku nie można być pewnym kupieckiej rzetelności, gdybym zostawił jej pieniądze na przykład na Hugo Bossa, kupiłaby garnitur najtaniej, jak się da, może nawet w lumpeksie, a resztę zachowałaby dla

siebie za fatygę. Bardziej niż myśl o własnej śmierci brzydzi mnie wspomnienie Doris, co za durne pomysły.

Stawiam walizkę przy drzwiach, jutro mogę nie pamiętać o szczegółach, zapobiegliwość, nowa dla mnie sprawa, jakiś przymus ubiegania faktów, jeszcze nie bardzo wiem, co o tym sądzić.

Jakie właściwie mam plany, gdy już się obudzę? Co będę robił w środę? A w czwartek? Nie potrafię sobie wyobrazić. Nagle horyzont wydarzeń skurczył się do dzisiejszego popołudnia i jutrzejszego ranka, chyba że czeka mnie bezsenna noc, co niewykluczone.

Znów biorę do ręki telefon, serce bije mocniej, słyszę męski, ochrypły, dojrzały głos.

– Szczęść Boże – mówię, pomny wczorajszej konwersacji w kościele Najświętszego Zbawiciela. – Mówi Jerzy Grobicki. Czy rozmawiam z księdzem Stanisławem?

– Tak, to ja – odpowiada duchowny, którego zesłała mi siostra Ewa. – Czekałem na pana telefon.

– Siostra Ewa powiedziała mi, że ksiądz wyjeżdża, ale że możemy się spotkać.

– Tak, możemy – odpowiada ksiądz Stanisław. – Obawiam się jednak, że nie będzie to długa rozmowa. Za godzinę muszę być na dworcu autobusowym.

– Przepraszam, nie chciałbym być wścibski – mówię. – Mógłbym spytać, gdzie ksiądz jedzie?

– Zachorował proboszcz parafii w Sochaczewie. Jadę tam na tymczasowe zastępstwo.

Zerkam na zegarek.

– Może ksiądz by się zgodził, żebym go odwiózł? – pytam. – Moglibyśmy porozmawiać po drodze.

– Nie chcę sprawiać kłopotu.

– Nie sprawia ksiądz. Proszę podać adres, podjadę.

I tak pół godziny później na siedzeniu pasażera siedzi ksiądz Stanisław Krzeptowski. Ma około pięćdziesiątki, potężną posturę i twarz byłego boksera. Nos, ewidentnie złamany w kilku miejscach i chyba nigdy porządnie nienastawiony, jest dodatkowo przecięty niełądną, poszarpaną szramą, biegnącą po policzku w dół i niknącą gdzieś na szyi. Dłonie współpasażera przypominają kowalskie cęgi. Włosy, siwe i przerzedzone, nie widziały fryzjera od kilku miesięcy. Oczy, bardzo jasne, w pierwszej chwili omiotły mnie uważnym spojrzeniem, a potem patrzyły tylko na drogę. Ksiądz Stanisław mówi wolno, ochryple, często robi pauzy.

Wyjeżdżamy poza Warszawę, a ja walczę z nagłym atakiem strachu przed jutrem.

– Siostra Ewa wspomniała, że ma pan bardzo udaną rodzinę – zagaja ksiądz, jakby domyślał się, że musi mi pomóc zacząć tę rozmowę, abyśmy w ogóle ruszyli z miejsca.

Kiwam głową, przełykam ślinę, dłonie pocą się na kierownicy.

– Tak – mówię. – Mam trzy wspaniałe córki i syna, Mikołaja, z trisomią dwadzieścia jeden. Nie znam weselszego i bardziej pogodnego dziecka od niego.

– Ma pan też żonę – ni to pyta, ni stwierdza ksiądz.

– Rozwodzę się.

– To, zdaje się, w dzisiejszych czasach coraz bardziej popularny sposób na życie – konkluduje mój towarzysz, a ja nie bardzo mogę wyczuć, czy ironizuje, czy mówi poważnie.

– Nie wiem, jak jest u innych. Ja rozwodzę się w dużej mierze z własnej winy – mówię nieoczekiwanie dla siebie samego. Najwyraźniej niepotrzebnie zastanawiałem się, o czym będziemy rozmawiali.

– Na czym, pana zdaniem, ta wina polega?

– No cóż. – Waham się. – Po pierwsze przerosła mnie sytuacja z Mikołajem. Nie wiem, czy ksiądz jest świadom…

– W dużej mierze jestem – przerywa mi tym samym monotonnym, ochrypłym głosem. – Bywam często z posługą duszpasterską w ośrodku, gdzie przebywa pański syn. Znam te dzieci bardzo dobrze. Zdaję sobie sprawę, ile trzeba wysiłku, by im asystować w życiu.

– Ja nie byłem na to przygotowany – stwierdzam.

Ksiądz wzrusza ramionami.

– Nikt nie jest – odpowiada.

– Jedni reagują lepiej, inni gorzej – ciągnę. – Ja zareagowałem źle. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, że muszę stawić czoła sytuacji, od której nie ma odwrotu. Wie ksiądz, co jest najgorsze? Świadomość, że nic się nie zmieni. Jak z wyrokiem dożywocia bez prawa zwolnienia warunkowego. Człowiek jest uwięziony na całe życie.

– Przykro mi, że pan to w ten sposób traktuje.

– A jak mam traktować? – wybucham. – Jak dobrodziejstwo? Próbę charakteru?

– Na przykład.

– Wie ksiądz, co mnie najbardziej wkurza? – zaperzam się. – Że najbardziej stanowcze sądy wygłaszają ludzie, którzy nie doświadczyli życia z takim dzieckiem. Teoretycy, mający radę na każdą okoliczność.

Ksiądz Stanisław ani myśli się obrazić.

– Z boku czasem łatwiej dostrzec szczegóły umykające zainteresowanemu – mówi z tym samym chłodnym spokojem, nadal obserwując świat przez przednią szybę.

– Naprawdę? – dociekam. – W takim razie najlepsze książki pisaliby krytycy, a najwięcej bramek strzelali dziennikarze sportowi.

Ksiądz Stanisław krzywi się nieznacznie, chyba mu nie w smak te literackie i futbolowe porównania.

– Zachowując tę logikę, o wychowaniu dzieci powinni wypowiadać się tylko rodzice, a o zdrowiu chorzy – ripostuje.

Przyspieszam, przez dłuższą chwilę jedziemy w milczeniu, mijam kolejne samochody jak slalomowe tyczki, ktoś trąbi, ciężarówka z naprzeciwka wściekle mruga światłami, oddycham ciężko.

– Ma ksiądz rację – oświadczam. – Przepraszam.

– Nie ma za co – kwituje duchowny. – Nie ustalaliśmy, że musimy się zgadzać. Ale może pan jechać wolniej. Nie spieszy mi się aż tak bardzo.

Redukuję prędkość, jadę zgodnie z przepisami, silnika nie słychać, przy dwóch tysiącach obrotów mój wspaniały, turbodoładowany cud techniki śpi.

– Jestem ochrzczony i byłem u komunii – komunikuję. – Ale nie chodzę do kościoła.

– Dlaczego? – chce wiedzieć ksiądz.

– Moi rodzice byli bardzo wierzący. Ale ja nie odczuwałem potrzeby wiary w Boga.

– Żyje pan dniem codziennym.

– Można tak powiedzieć – przytakuję.

– Czyli może pan funkcjonować bez wymiaru duchowego – stwierdza mój współpasażer. – Wystarcza panu samo przeżywanie dnia.

– Do tej pory wystarczało – deklaruję. – Teraz straciłem pewność.

– Co jest powodem?

– Zacząłem się bać.

– Strach jest bardzo naturalnym stanem emocjonalnym.

– Jutro idę na operację. Istnieje prawdopodobieństwo, że jej nie przeżyję.

– Tak mówi lekarz?

– Oczywiście, że nie. Żaden lekarz nie powie tego wprost. Ale poczytałem sobie trochę na temat mojego schorzenia, znalazłem statystyki umieralności. To nie będzie rutynowa operacja.

Ksiądz Stanisław przenosi wzrok z szosy na moją twarz. Obserwuje ją uważnie, jakby badał, czy mówię szczerze.

– Kieruje się pan poważną motywacją – odpowiada w końcu. – Bardzo wielu ludzi szuka drogi do Boga dopiero w momencie, gdy sobie uświadamiają, że są śmiertelni. Szkoda, że dopiero wtedy.

Przytakuję.

– Jestem pewnie typowym przypadkiem – mówię. – Co nie zmienia faktu, że naprawdę się boję. Nie mam wiary księdza, nie wiem, co mnie czeka po śmierci.

Ksiądz Stanisław wzdycha głęboko, w jego wieku i ze wskazującym na burzliwą przeszłość wyglądem zapewne nie ma wielu złudzeń co do kondycji ludzkiej, ale czuję, że go zasmuciłem.

– Bardzo wielu ludzi traktuje wiarę jako poręczny gadżet do uśmierzenia strachu – mówi z wyczuwalnym naciskiem. Normalny człowiek złościłby się, słysząc moje deklaracje, wprost zajeżdżające koniunkturalizmem. Ksiądz Stanisław Krzeptowski po prostu delikatnie mnie poucza. – Jak kiosk z gazetami na rogu. Gdy zaczyna im się palić grunt pod nogami, szukają pomocy wyższej instancji i biegną do kiosku w nadziei, że owa wyższa instancja przymknie oczy na ich dotychczasowe życie. Gdy wszystko jest dobrze, interesuje ich tylko ciało, ducha mają za nic.

– Ja… – Waham się.

– Co pan myślał wcześniej?

Wzruszam ramionami. O czym można myśleć w objęciach Hani, Doris, Antoniny, Toli i tysiąca innych kobiet? O czym można myśleć za kierownicą luksusowego samochodu, na pokładzie prywatnego jachtu, na wakacjach w St. Moritz?

– Nic – odpowiadam. – Jestem zajętym człowiekiem. Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać.

– Rozumiem.

– Ale doszedłem do wniosku, że postępowałem źle.

– Może jeszcze jest czas na wyznanie win, pokutę i naprawę – mówi duchowny.

– Nawet jeśli wniosek wypływa ze strachu?

Ksiądz ponownie patrzy na drogę.

– Co wynika z życia bez wiary w Boga? – pyta i odpowiada sam sobie: – To, że nasza doczesność jest jedynym życiem, jakie mamy do dyspozycji. Nie musimy o nic zabiegać ani niczemu się podporządkowywać, poza ewentualnymi uregulowaniami prawnymi, które, przy pewnej dozie sprytu, można ominąć bez kłopotu. W takim świecie nie ma motywacji, by być na przykład altruistą, by robić coś dla kogoś – bo właściwie po co? Jeśli wszystko sprowadzimy do zasady: „co mogę z tego mieć”, okaże się, że życie to tylko kupno i sprzedaż, nic więcej.

– No, jest jeszcze etyka – protestuję, nie przestając się dziwić, jak bardzo wciągnąłem się w te rozważania.

Jestem ostatnią osobą, która powinna się na ten temat wypowiadać. Zdradzam żonę, a potem ją porzucam, sprzeniewierzam się najświętszemu z sakramentów, sakramentowi małżeństwa, choć przysięgałem przed ołtarzem, trzymałem jej dłoń w swojej i mówiłem o wierności.

– Czym jest etyka w oderwaniu od wiary? – paruje ksiądz Stanisław. – Systemem filozoficznym, kształtowanym przez ludzi na swój obraz i podobieństwo. Systemem, jak każdy inny.

Zastanawiam się.

– Czym według księdza jest śmierć? – pytam.

– Śmierć przyszła na świat przez grzech, bo Adam i Ewa zgrzeszyli, zagniewali Boga i on ich ukarał, czyniąc śmiertelnymi – odpowiada bez zastanowienia, choć trochę nie na temat. – Tak wygląda geneza śmierci według Kościoła.

– Pasuje do mnie jak ulał – mówię.

– Ale jest też bożym zamysłem, elementem odkupienia – ciągnie mój towarzysz.

– Jestem całkowitym amatorem, nie wiem, czy mogę odkupić winy.

– Jeśli pan będzie bardzo tego chciał, jeśli pan je wyzna i będzie żałował.

Zamykam oczy, przez chwilę samochód jedzie sam, odzyskuję kontrolę, za oknami łagodnie przesuwa się mazowiecki krajobraz, niedługo dotrzemy na miejsce, a ja nie wiem, co dalej, nie mam pojęcia, co ma mi dać rozmowa z księdzem – filozofem, który na żadne pytanie nie odpowiada wprost. Wielu ludzi ostrzega mnie na każdym kroku, bym się nie brał za nie swoje rzeczy, a wiara i Bóg to dla mnie *terra incognita*.

– Żałuję – mówię trochę wbrew sobie.

– Proszę powiedzieć, czego pan żałuje.

– Zostawiłem moją żonę samą z tym wszystkim – wypalam. – Z czworgiem dzieci i starym samochodem. Nasłałem na nią prawnika, chciałem pozbawić ją pieniędzy.

– To okrutne.

– To ja zarabiałem, ona zajmowała się domem – wyznaję. – Chciałem ją nauczyć samodzielności. Zresztą, nie wiem…

– Chciał pan ją ukarać za swoje czyny – stwierdza ksiądz. – Czuł się pan winny, okrucieństwem chciał pan potwierdzić winę.

Rozjaśnia mi się w głowie.

– Nie bardzo mogłem zrozumieć swój upór – mówię. – Wyprowadziłem się do kobiety… młodszej oczywiście. Bardzo ambitnej. Chciałem pokazać żonie, że potrafię być bezwzględny…

– Chciał pan jej zaimponować.

– Tak, pewnie tak. Ale zmieniłem zdanie. Wyprowadziłem się od tej kobiety i anulowałem warunki ugody rozwodowej. Chcę dać wszystko Helenie, niezależnie, czy umrę, czy nie.

– Co się stało, że zmienił pan zdanie?

– Nie wiem. Impuls. Stwierdziłem, że tak nie może być – odpowiadam. – Moja żona nie jest winna, że Mikołaj urodził się taki, a nie inny. Ja też chciałem tylu dzieci, żadne nie było wpadką. Opieka nad trzema zdrowymi

córkami i jednym chorym chłopcem jest pracą na półtora etatu, tyle że to Helena miała te półtora etatu, ja zajmowałem się pisaniem. Robiła wszystko, żebym miał święty spokój, zdejmowała ze mnie większość mojej części prac domowych, moim obowiązkiem stało się wyłącznie bycie kreatywnym i siedzenie po osiem albo dziesięć godzin dziennie przed komputerem. Nie jest jej winą, że nie miała czasu pracować i zarabiać, chociaż jest bardzo ambitna, ma artystyczną duszę, potrafi stworzyć rzeźbę, która jest dziełem sztuki, albo fotel, od którego nie można oderwać oczu.

– Wykonał pan nad sobą bardzo poważną pracę – oświadcza Krzeptowski.

– Proszę, niech ksiądz nie kpi.

– Jestem od tego jak najdalszy. Zmiana zdania wymaga odwagi. Nie mówiąc o tym, że oddawanie całego majątku należy do rzadkości. Szczerze mówiąc, nie słyszałem o takim wypadku, a sądząc po tym aucie, nie jest to majątek mały.

– Czuję się, jakbym chciał zatrzeć winę pieniędzmi.

– Późno się pan zreflektował. Rzeczywiście, pieniądze są poręcznym narzędziem. Ale ułatwiają życie, zwłaszcza potrzebującym.

– Co mam zrobić? – pytam.

– Niech pan będzie dla nich dobry.

– Mogę nie zdążyć.

– Kiedy jest operacja? Jutro? Nawet jeśli stanie się najgorsze, ma pan jeszcze dzisiejsze popołudnie i cały jutrzejszy poranek.

Na tym rozmowa się kończy. Dojeżdżam pod wskazany adres, plebania jest mała i wygląda na bardzo ubogą, ksiądz Stanisław wysiada z samochodu, bierze z tylnego siedzenia torbę podróżną, po czym nachyla się ku mnie.

– To, że odczuł pan potrzebę odnalezienia ponownie drogi do Boga, nie wydaje mi się niczym dziwnym – stwierdza cichym, monotonnym głosem. – Poczuł pan wyrzuty sumienia. Coś panu powiedziało, że postępuje pan źle, niemoralnie, okrutnie. Od tego zawsze się zaczyna, od refleksji. Stąd

chęć naprawy. A jeśli chodzi o śmierć – proszę ufać, że, jeśli nastąpi, czeka tam pana przyszłość, bo dusza jest nieśmiertelna. I niech pan nie wątpi, czy ma duszę. Wyrzuty sumienia są jej przejawem.

Ksiądz Stanisław zamyka drzwi i idzie w stronę plebanii.

– Dziękuję księdzu! – krzyczę przez okno.

Odwraca się, kiwa mi dłonią, patrzy na mnie, gdy zawracam i zaczynam jechać z powrotem. Jego barczysta sylwetka w szarym pocerowanym swetrze, spod którego wystaje koloratka, maleje i maleje, aż w końcu niknie mi z oczu. Włączam muzykę, ale nawet Corey Taylor nie jest w stanie zagłuszyć krążących po głowie myśli.

Zerkam na zegarek, muszę trochę przyspieszyć, nie bardzo mogę, wąska droga, masa przerdzewiałych busów na łysych oponach i piętnastoletnich, tuningowanych BMW z dwudziestolatkami słuchającymi disco polo na pełen regulator. Właśnie jeden nadjeżdża z rykiem, koniecznie musi mnie wyprzedzić, jedzie pół metra od tylnego zderzaka, mruga światłami, z naprzeciwka sznur pojazdów, beemka pcha się na trzeciego, zjeżdżam bliżej środka, wściekłe trąbienie i orgia mrugających reflektorów, jadę spokojnie, jednym tempem, tylko kciukiem przestawiam przełożenie skrzyni biegów na sportowe. Gnój w końcu znajduje lukę, wyskakuje na lewy pas, aż go niemal zarzuca do rowu, przyspiesza, silnik wyje jak kacerz palony na stosie, łysy łeb w sekundzie wygraża mi pięścią, drugi, pasażer, pokazuje środkowy palec, beemka w ostatniej chwili chowa się za jadącą przede mną ciężarówkę, bo z naprzeciwka znowu nadjeżdża jeden samochód za drugim, chce mi się śmiać, łysy łeb zyskał dwadzieścia metrów, bardziej go pewnie cieszy zwycięstwo, teraz będzie się mścił, oho, właśnie to robi, hamuje gwałtownie, chce mnie zmusić do zwolnienia, siedzę prawie metr wyżej niż on, widzę znacznie dalej, przerwa, wciskam gaz do dechy, ruszam kierownicą w lewo, SUV skacze do przodu jak pantera, jestem idiotą, że robię takie rzeczy, staram się przecież być odpowiedzialnym mężem i ojcem. Mój samochód przyspiesza od zera do setki w sześć i pół sekundy, mijam beemkę,

ciężarówkę i jeszcze ze trzy auta, nim wskakuję z powrotem do linii, jadę tak szybko, że wszystko za oknem staje się niemal jednolitą, zamazaną plamą.

Zwalniam. Adrenalina huczy, oczy lekko łzawią, silnik znowu mruczy leniwie, jakby nic się nie stało, uśmiecham się, znów wiem, za co lubię mój samochód, słabość panów w kryzysie wieku średniego, potrafię się do niej przyznać, przynajmniej nie kupiłem czerwonego ferrari, jak niektórzy, którym się wydaje, że płaska i szybka zabawka za milion zatrzymuje czas. Widzę we wstecznym lusterku, że łysy nie zrezygnował, ubodłem go boleśnie, nie daruje mi tego, choćby miał pozabijać wszystkich dookoła. Przyspieszam, wyprzedzam lekko kilka pojazdów naraz, po paru skokach jestem już dwa kilometry od niego. Na skrzyżowaniu skręcam w prawo, trochę dalsza droga, ale ruch mniejszy, w mieście oczywiście korek, Mokotów zapchany wzdłuż i wszerz.

Dzwoni Wieteska, za dziesięć minut zaczynamy, gdzie kurwa jestem, uspokajam go, mówi z grubsza, co się wydarzy i jaką mamy linię. Parkuję, wyłączam Coreya, wkładam marynarkę. W holu czeka na mnie Wieteska, facet z agencji piar prowadzącej naszą sprawę i dwie dziewczyny z fundacji, a także prawnik, toczka w toczkę podobny do pozostałych prawników w mieście. Witam się grzecznie, mina zatroskana, wszyscy jesteśmy poważni, cyberprzestępstwa to plaga, podchodzi aktor z drugiej ligi, chwalący się największym bicepsem w branży, rzeczywiście koszulka aż się pruje na szwach, zęby równe, opalenizna sztuczna, skłonność do sucharowatych dowcipów. Po chwili *entrée* ma zdyszana dziewuszka mieniąca się piosenkarką, Tola Pasek mówi o takich, że są zdolne do wszystkiego inaczej, ale zdaje się, że jej teledysk ma trzy miliony kliknięć na jutubie, nic dziwnego, skoro panienka występuje w skąpym bikini i jest jeszcze polewana wodą przez towarzyszących jej umięśnionych tancerzy. Kiepskie tło, agencja słabo się postarała, robię się zły, dziś jak wilkołak mam nadmiernie wyostrzone zmysły, wykrywacz szajsu, nieodłączny atrybut pisarza, ustawiony na

cały regulator, pan z agencji widzi moją minę, bierze mnie na bok i sumituje się, że było mało czasu na załatwienie lepszego towarzystwa, ale tak się akurat składa, że ci dwoje naprawdę padli ofiarą stalkingu, uporczywego nękania, przede wszystkim w internecie. Nie ma czasu na grymaszenie czy reperkusje, wchodzimy do sporej sali, półokrąg foteli, naprzeciw kilka kamer, kilka mikrofonów, może dziesięcioro dziennikarzy. Dobre i to. Siadamy, dziewczyna z fundacji krótko i obrazowo opowiada o zjawisku, prawnik wtrąca trzy grosze, strasząc stalkerów paragrafami, potem mówi aktor, nawet ciekawie i z sensem, rzeczywiście wpadł po uszy, musiał zmienić adres i numer telefonu, dziunia z teledysku mizdrzy się do kamery, poprawia włosy, robi dziubek, show na kilometr zajeżdża ustawką, wszyscy mają przyklejone do twarzy znaczące uśmieszki, robię się czerwony, potem jak na zawołanie przypomina mi się ochrypły głos księdza Stanisława, nijak nie mogę dojść, czy moja pokuta obejmuje również pobłażanie dla wytapetowanych kretynek o zbyt szerokich ustach i piskliwym sopranie. Nadchodzi moja kolej, mówię powoli, z namaszczeniem, słowo „ofiara” pada w co drugim zdaniu, fakty tylko odrobinę unurzane w interpretacji, cytuję zapis kodeksu karnego, sporo opowiadam o złej potędze mediów społecznościowych, bez nadmiernego epatowania, na swoim profilu nie nawiązuję do polityki ani sportu, tylko rozmowy o książkach, czysty kontakt z czytelnikami ze zdumiewająco nikłą ilością hejterów, co łatwe do sprawdzenia, bo nigdy nie cenzuruję komentarzy, wolność wypowiedzi jest dla mnie święta. Patrząc wprost w obiektyw, mówię, że, korzystając z okazji, chcę bardzo przeprosić tych, którzy w dobrej wierze weszli owego feralnego sobotniego poranka na moją stronę i zostali narażeni na oglądanie obscenicznych treści. Nie moja to wina, jako się rzekło, padłem ofiarą przestępstwa, ale wszystkich tak czy inaczej bardzo wyraźnie i głośno prze-pra-szam za przykrości, na które ich mimowolnie naraziłem. Dziennikarze notują, nagrywają, rejestrują, bardzo jestem poważny, nie o mnie tu idzie, a o dobro ogólne, nie tylko ja zostałem zraniony, szerokie rzesze czytelników również, amen.

Pada kilka pytań, odpowiadam zwięźle i ze smutkiem, dziewczyny z fundacji wymieniają jej nazwę dziesięć razy na minutę, prawnik macha kodeksami. Kończymy, żegnamy się, Wieteska wychodzi ze mną na parking. Jest umiarkowanie zadowolony – Doris wzięła urlop i wyjechała do rodzinnego Pierdziszewa, Baton osobiście odprowadził ją na dworzec autobusowy. Groźba przekazania do prokuratury filmu z przyznaniem się do winy wisi nad nią jak miecz Damoklesa, nie jest głupia, teraz będzie siedziała cicho, ale sądzę, że coś wymyśli, choć Baton z pewnością po trzykroć podkreślał, że jakikolwiek wrogi ruch będzie dla niej bardzo kosztowny.

Spędzam godzinę na zakupach, wpadam do domu się przebrać, golenie, jadę ponownie na Mokotów. Serce bije mocno, gdy wchodzę po schodach znanych jak własna skóra. Otwiera Zosia, rzuca mi się na szyję, mam wrażenie, że w ciągu ostatnich dni jeszcze wyładniała i wydoroślała, choć akurat teraz zachowuje się jak pięcioletnie dziecko. Zaraz potem wpada na mnie Mikołaj, ośmiolatek o wadze tarana, pyzata buzia rozciągnięta w uśmiechu, skośne oczy zachwycone. Julka i Zuzia pełne rezerwy, stoją w głębi przedpokoju, nie bardzo wiedzą, jak się zachować, złe i radosne zarazem, Zuzia bardziej zacięta, Julia chciałaby zawrzeć pokój, choć zapewne postawi warunki. Helena, dobra gospodyni, zaprasza do salonu, sukienka prosta, fryzura nowa, oko zrobione, wszystko bez ostentacji i przesady, co można dwojako rozmieć, odświętne ubiory i makijaże na moją cześć, jestem dla nich ważny, albo zgoła odwrotnie: jestem tu tylko gościem, należy mi się szacunek jako gościowi i na tym poprzestańmy. Wręczam Helenie bukiet róż i butelkę jej ulubionego merlota, Zośka dostaje bilet na koncert, Julka dwie płyty, Zuzia grę komputerową, nieco chyba zakazaną, sądząc po zmarszczonych brwiach mojej żony, Mikołajowi daję ogromne pudło puzzli, niesamowite, jak potrafi się cieszyć, układanki to jego ulubiona zabawa i specjalność, drzemią w nim pokłady cierpliwości i precyzji, długie godzi-

ny spędzone na mozolnym dobieraniu elementów, każdy sukces pobudza do głośnego wyrażania radości.

Siadamy, przystawka, łosoś w sosie sezamowym, Helena opowiada o wycieczkach szkolnych, na które jadą dziewczynki w przyszłym tygodniu, wszystkie jednocześnie, choć w różne miejsca, surowa matka grozi palcem najstarszej córce, żadnego alkoholu, uśmiecham się sceptycznie, powstrzymywanie nastolatków od picia przypomina walkę z wiatrakami, wszyscy jesteśmy tacy sami, każdy z nas kiedyś przechodził ten etap i każdy z nas się upił, nie wiedząc, gdzie góra, gdzie dół. Popieram jednak Helenę, tyle że naświetlam problem od praktycznej strony.

– Uważam, że w umiarkowanych ilościach alkohol nie szkodzi nikomu – mówię, patrząc wprost w oczy mojej najstarszej córce. – Ale ty, po pierwsze, jeszcze masz czas na konkretną znajomość z alkoholem, po drugie, regulamin mówi wyraźne, że za picie grozi relegowanie ze szkoły z naganą wpisaną do akt. Po co ci to?

Zosia wydyma usta. Tato, kto jest takim frajerem, żeby dać się złapać, pyta bezgłośnie.

– Chcesz iść do dobrego liceum, prawda? – odpowiadam na niezadane pytanie. – Po co ryzykować? Dla dwóch godzin euforii i kaca?

– Można pić tak, żeby nie mieć kaca – paruje zaczepkę Zosia.

– Och, to ciekawe – włącza się Helena. – Okazuje się, że moja córka nie tylko pije, ale jeszcze zna sposoby, jak uniknąć kaca. Ciekawe, bardzo chętnie posłuchamy.

– Po pierwsze, trzeba pić dużo wody – mówi z powagą Zosia.

Julka chichocze cichutko, Zuzia posyła mi spojrzenie, którego przekazu nie rozumiem, Mikołaj dawno już pochłonął przekąskę, teraz zajęty jest odpakowywaniem pudła z układanką.

– W trakcie imprezy, przed czy po? – docieka Helena.

Parskam śmiechem, ale dzisiejszego wieczora nic nie jest w stanie Zosi zbić z pantałyku.

– Można po, byle przed snem – stwierdza.

Nawet moja żona się śmieje.

– Nie zgadzam się na żadne picie na wycieczce – oświadcza, gdy już nieco poważniejemy. – Jeśli nie z innych powodów, to choćby z tych, o których mówił tata.

– Podejdź do tego rozsądnie, jak do meczu – mówię. – Ustal taktykę i trzymaj się jej, choćby nie wiem jak biegły wydarzenia na boisku.

Zosia rozumie aluzję, nieco wydyma usta, patrzy na mnie kpiąco. Nieraz kłóciliśmy się, co to znaczy nie ulegać wpływom innych. Naciskałem, by zawsze miała swoje zdanie. Ona twierdziła, że obejdzie się bez moich rad. Wydaje mi się, że miała rację. Jest urodzonym liderem.

– Podobno idziesz do szpitala, tato – wypala Zuzia.

Wszyscy milkną, Mikołaj rozumie sytuację po swojemu.

– Co to jest szpital? – pyta.

– To takie miejsce, gdzie się leczy chorych – tłumaczę.

– I oni tam zdrowieją? – upewnia się.

– Tak.

To go uspokaja, wraca do puzzli, chwilowo ponownie go nie interesujemy.

– Nie boisz się? – chce wiedzieć Julka.

– Trochę się boję – przyznaję. – Ale będę w dobrych rękach, chyba najlepszych, jak to możliwe.

– I kiedy cię wypuszczą?

– Pewnie spędzę tam tydzień, może dwa, chociaż bardzo bym nie chciał, żeby to trwało tak długo.

– I będzie cię można odwiedzać?

– Oczywiście.

– Jest możliwe, że umrzesz? – ponownie włącza się do rozmowy Zuzia.

– Zuzia, co to za maniery?! – podnosi głos Helena.

Zosia posyła młodszej siostrze tak zwane miażdżące spojrzenie, Julka czerwienieje, Mikołaj podnosi głowę, usta wyginają mu się w podkówkę, w oczach widać łzy.

– Tata umrze! – wybucha rozpaczą.

Julka wstaje, tuli brata jak wielkiego, niezgrabnego misia, słyszę szloch, ramiona kołyszą się jak łódź na wzburzonej fali.

– Co zrobiłaś, kretynko? – krzyczy Zosia do Zuzi.

– Zośka! – próbuje zapanować nad chaosem Helena. – Nie wolno mówić w ten sposób.

– Ja po prostu pytam – upiera się najmłodsza. – Chcę wiedzieć, wszyscy chyba powinniśmy wiedzieć.

– Niekoniecznie w tak obcesowy sposób – mówi z naciskiem Helena. – I nie w obecności brata.

Mam wrażenie, że dopiero ten drugi argument trafia Zuzi do przekonania. Julka wyprowadza szlochającego Mikołaja, wstaję, idę za nimi, poświęcam dłuższą chwilę, by zapewnić syna, że nic mi nie będzie, chłopak powoli uspokaja się, Julka macha mi ręką, że już w porządku, wracam do salonu. Zuzia jest czerwona na twarzy, zapiekła w uporze, nic się nie zmieniło, obrzuca mnie otwarcie wrogim spojrzeniem.

– Przejdę poważną operację – mówię, patrząc jej prosto w oczy. – Rzeczywiście, mogą nastąpić komplikacje. Ale szanse, że wszystko będzie dobrze, są zdecydowanie większe, zdecydowanie. Tak brzmi uczciwa odpowiedź.

– Więc jednak możesz umrzeć – upiera się Zuzia.

Podnoszę dłoń, by Helena się nie odzywała.

– Oczywiście – przytakuję. – Jesteśmy śmiertelni. Umieramy od chorób, wypadków samochodowych, padamy ofiarami przestępstw.

– Co wtedy będzie? – drąży dalej Zuzia.

– Ubierzecie mnie ładnie do trumny, a potem przyjdziecie na pogrzeb – odpowiadam.

Nadal czerwona Zuzia wstaje gwałtownie i wybiega z pokoju, Helena chce iść za nią, łapię ją za rękaw.

– Rozumiem, co ona chce powiedzieć – szepczę. – Jeśli mogę prosić, na razie zostaw ją samą.

Helena oddycha głęboko, kiwa z niechęcią głową. Idziemy do kuchni.

– Przepraszam – mówi.

– Jestem winny, ona to wie, nie ma ochoty milczeć – odpowiadam. – To ja muszę się postarać.

Moja żona nalewa sobie wina, pije, oddycha głęboko, wyjmuje z piekarnika główne danie, apetyczny zapach dominuje nad otoczeniem.

– Wiesz, że nie umiem się zachować w takich sytuacjach – mówię. – Ale bardzo ci dziękuję za zaproszenie i że w ogóle chcesz ze mną rozmawiać.

– Dzwoniłam do prawnika – oświadcza, co uznaję za przyjęcie podziękowań. – Powiedziałam, że podpiszę nową umowę, z wyłączeniem całkowitych kosztów twojego leczenia.

Podchodzę blisko, biorę jej dłoń, całuję.

– Dziękuję – szepczę. – Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Tak więc zostaję biedakiem. Spędzam u nich jeszcze godzinę, pod koniec wraca Zuzia, podchodzi, mamrocze słowa przeprosin, przytulam ją, niemal pozbawiając tchu, znowu jest dobrze, Helena się śmieje, przez chwilę jest jak kiedyś.

Żegnam się, wychodzę, jadę przez nocną Warszawę, impuls, skręcam na wschód, Wisłostrada, mijam most Łazienkowski, zjeżdżam do jakiejś zatoczki, parkuję. Przez chwilę grzebię w bagażniku, łapię torbę, czuję wypełniający ją ciężar, na który w normalnych okolicznościach nie zwróciłbym uwagi. Dochodzę do nabrzeża, pusto, królowa polskich rzek milczy. Zdejmuję torbę z ramienia, przez chwilę ważę ją w dłoni, biorę szeroki zamach, laptop Doris z nagraniami, dwie kamery i spory kawał mojego toksycznego ja z donośnym pluskiem znikają w odmętach. Oddycham jak po wielkim wysiłku, zachłystuję się wiatrem, czuję na policzkach drobiny wilgoci.

Zaczynam życie na nowo. ■

ROZDZIAŁ 9

Wtorek – dzień sądu.

Przesada? Dobrze, nazwijmy go prywatnym dniem rozliczeń. Rzecz jasna, nie mam specjalnie ochoty, by się zaczął. Na drodze odkupienia, na mojej prywatnej ścieżce poprawy zrobiłem jeden, raczej nieśmiały krok, o ile wyższa instancja, o której z taką stanowczością wspominał ksiądz Stanisław, uzna tę próbę za krok we właściwym kierunku. Ja sam nie jestem pewien. Czego takiego dokonałem? Zrezygnowałem z majątku – i właściwie co ma z tego wyniknąć? Moja żona upiera się przy rozwodzie i ma rację; bólu, który jej sprawiłem, nie da się unieważnić pieniędzmi. To tylko element poprawy mojego samopoczucia. Próbuję przemyśleć motywy, jakimi się kierowałem, decydując o odejściu rok temu, i nie jestem w stanie ich przywołać. Owszem, mogę natychmiast wyrecytować cały szereg pretekstów – równych, gładkich, przekonujących. Ale co było prawdziwym powodem pozostawienia samej sobie kobiety, którą niewątpliwie kochałem i z którą operowałem na poziomie porozumienia niedostępnym mi nigdy przedtem ani nigdy potem? Co spowodowało, że zamieniłem Helenę na Doris? Zaślepienie? Pocieszające: człowiek, poniewczasie co prawda, dowiaduje się, że istnieje zaślepienie całkowite, ciemność absolutna, totalna, stuprocentowo odcinająca od realnego świata, jakaś koma, tyle że w realnej, nie sennej rzeczywistości. Tylko tak można wytłumaczyć mój związek z Jadwigą Stec.

Jakie to wygodne. Dlaczego odszedłeś ode mnie, kochanie? Byłem ślepy. Ach, nareszcie rozumiem, szalenie się cieszę, że w końcu przejrzałeś na oczy, zrobić ci herbaty? Jestem inteligentny, mienię się twórcą, dużo czytam, widziałem niejedno, doświadczyłem upadku i przeszedłem drogę w górę. I nie umiem tego wytłumaczyć, choć czuję całym sobą, że powinie-

nem. Czy przypadkiem warunkiem odkupienia nie jest *zrozumienie* winy, oprócz jej wyznania? Jeśli tak, nie ma dla mnie nadziei.

Powoli zbieram się do wyjścia, myśląc, co stanie się za kilka godzin. Jakim torem biegną wydarzenia, gdy jest już po wszystkim? Czy w ogóle biegną? Gdzie jest granica i co się poza nią znajduje? Ksiądz Stanisław wie, ja nie, chociaż oczywiście bardzo chciałbym podzielać jego wiarę, zwłaszcza w okolicznościach takich jak dzisiejsze. Inna sprawa, że *tam*, cokolwiek to znaczy, nie jest wyłącznie ujutnie i miło. Dla grzeszników przewidziano szykany, o ile wiem, dosyć dotkliwe. Czy świadomość pozostanie? Taka sama jak teraz, z możliwością odczuwania i myślenia, która będzie żyła – gdzie?

Miewam sny na jawie. Potrafię śnić rozbudowaną, fantastyczną opowieść, na ogół zresztą dość przerażającą, i nagle pojawia się w niej jakiś niepasujący element, co zabawne, na ogół ściśle związany ze mną: przedmiot, który widzę, a który okazuje się częścią mojego ciała, jakiś niespodziewany ruch, promień słońca zaglądający mi w twarz, podczas gdy wokół ciemna noc. Otwieram wtedy oczy i zawsze okazuje się, że ów element jest fragmentem magicznie przeniesionej do snu rzeczywistości: kawałkiem lampy, telewizora, lustra, okna oświetlonego promieniem słońca. Przez kilka sekund doskonale rozumiem połączenie świata realnego z urojeniami płynącymi z podświadomości; potem, jak to zwykle bywa, wrażenie znika i rozmywa się. Zasypiając, często znajduję się w dwóch stanach jednocześnie: we śnie i na jawie. Mam zamknięte oczy, już zaczyna zmieniać się rzeczywistość, pojawiają się postacie i krajobrazy, których nigdy nie widziałem, które są tylko projekcją mojego umysłu, a jednocześnie słyszę, jak u sąsiada gra radio, na ulicy trąbi samochód, ktoś komuś wymyśla i są to odgłosy prawdziwe, słyszane w czasie realnym. Wy też tak macie? Mnie się to zdarza, nawet całkiem często. Nikomu o tym nie mówię, nigdy nie wykorzystywałem sennych obserwacji w swoich książkach. Może dlatego, że boję się stojącej za nimi prawdy, instynktownie czuję, że może zwiastować

coś spoza rozumu, coś, czemu nie warto się przypatrywać zbyt natarczywie, na przykład śmierć, i to właśnie, w moim przekonaniu, usprawiedliwia niechęć i brak głębszego zainteresowania.

No, ale cóż – tyle osób przede mną potrafiło umrzeć, ja nie będę gorszy.

Rozglądam się, znajome kąty kłaniają mi się w pas, klawiatura chce powiedzieć coś pocieszającego, sprzęt audio w gotowości, telewizory, internety, laptopy, nafaszerowane elektroniką ekspresy do kawy, wszystko lśni, jestem otoczony gadżetami, bez których nie wyobrażam sobie życia, a których jeszcze nie tak dawno nie było w ogóle, i jakoś nie mam wrażenia, by ludzie radzili sobie gorzej niż dziś. Mimo wszystko znajduję się w swoim miejscu na świecie, jedynym, jakie mi zostało. To zabawne – gdy kupowałem to mieszkanie dwa lata temu, nawet podejrzewałem, że mogę w nim żyć, że będzie moim azylem i opoką, pięćdziesięciometrową twierdzą, chroniącą przed światem. Lubię je, choć jeszcze nie tak dawno moje plany, nie bez wyraźnego wpływu Doris, nie schodziły poniżej trzystu metrów z tarasami, loggiami, ogrodami na dachu i tym podobnymi zewnętrznymi oznakami luksusu i wygody. Kupiłem apartament w Liebeskindzie, ale przez myśl mi nie przeszło, że mogę w nim zamieszkać. Teraz zresztą to już i tak nieaktualne: apartament, razem ze wszystkim innym, przeszedł na własność Heleny. Mnie zostało to mieszkanko i samochód, który, o ile przeżyję zabiegi Starego Lwa, będę musiał sprzedać z tego prostego powodu, że nie stać mnie będzie na jego utrzymanie. Muszę nauczyć się żyć skromnie, co niespecjalnie mnie martwi, przeciwnie: może wyższa instancja zaliczy mi ubóstwo jako kolejny krok na drodze skruchy.

Którą przyrzekam, bylebym zszedł żywy ze stołu, na którym Stary Lew podziurawi moją czaszkę.

Spoglądam na zegarek. Czas przyspieszył, nijak nie mogę go zatrzymać, schodzę na dół, taksówkarz gaduła chce mi opowiedzieć o wszystkim, co wie na każdy temat, wygłasza sądy, opinie i gotowe formuły, za oknem Warszawa przesuwa się senna i jakaś apatyczna, pierwszy od dawna deszcz

zamienia ją z miejsca w epopeję szarzyzny i błota, korki natychmiast urastają do monstrualnych rozmiarów, w deszczu warszawiacy zapominają, jak się jeździ, wszystko odbywa się w tempie muchy brnącej przez smołę, przejechanie stu metrów zajmuje wieczność, zastanawiam się, czy nie doszedłbym szybciej na piechotę. Taksówkarz na przemian głędzi o polityce i klnie na nieudolnych kierowców, ale znajduje skrót, którym daje się przejechać.

Dzwoni Wieteska.

– Cześć – mówi. – Nie za wcześnie?

– Jadę do kliniki – wyjaśniam.

– A, jasne, sorry! – woła, ale nie słyszę w jego głosie poczucia winy. Po prostu zapomniał, że mam operację, zdarza się. – Możemy chwilę służbowo?

– Mów.

– Tyszkiewicz zostaje z nami, ale Chińczycy się wycofali.

Zaciskam zęby. Rozmowa o tych sprawach jest ostatnią rzeczą, jaką powinienem teraz robić. Wieteska mówi o pieniądzach Heleny, a nie moich. Mimo wszystko muszę wysłuchać złych wieści.

– Z powodu filmu? – pytam.

– Konkretnie trzech filmów – zgrzyta Wieteska. – Tyszkiewicz od jakiegoś czasu podejrzewał, że wyciekają mu z firmy informacje. Wynajął zewnętrzną ekipę, która zainstalowała kamery, podsłuchy, bramki, cholera wie co. No i znaleźli.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– W dziale IT pracował facio, Tomek, kurwa, Jakiśtam, wystaw sobie, kolega Doris z podstawówki – informuje mnie. – Zdaje się, że dała mu dupy raz czy dwa, to tańczył i skakał, jak zagrała. Wiedział, że Tyszkiewicz gadał z Chińczykiem, miał dostęp do jego korespondencji, nic trudnego dla firmowego informatyka. No i puścił na jej zlecenie trzy filmiki do Pekinu, jakieś podobno dużo bardziej hardkorowe niż ten, który opublikowała na

fejsie. Co wyście tam, kurwa, wyrabiali, że nawet Chińczyk się zgorszył? – denerwuje się.

– Nic takiego – mówię, zerkając na taksówkarza, który podsłuchuje całym ciałem. – Mów dalej.

– Nawiasem mówiąc, to on był hakerem, który włamał ci się na konto – ciągnie opowieść Wieteska. – Do filmików twoja pani dodała komentarz, wyjaśniający, że toczy się przeciwko tobie postępowanie o molestowanie nieletnich, a w ogóle dwie twoje powieści to plagiaty.

– Moja była pani – mruczę cicho.

Powinno mnie to wszystko oburzać, a jakoś nie oburza. W gruncie rzeczy niemal zapomniałem o kontrakcie z Chińczykami. Na razie żyję w szczelnej bańce z małym otworem obserwacyjnym wycelowanym w stół operacyjny, czego mój agent z właściwą sobie subtelnością nawet nie zauważa.

– Na szczęście, Jureczku, na szczęście – mówi Wieteska. – Przyskrzynili go, do wszystkiego się przyznał, niezła odsiadka mu grozi. Tyszkiewicz zadzwonił do Chińczyka, próbował załagodzić, Chińczyk w ogóle nie chciał podjąć tematu, ponoć stracił zaufanie, coś mi się zdaje, nawet nie tyle do ciebie, tylko do Tyszkiewicza jako partnera. Chińczycy podobno tak mają.

– Dwie ofiary za jednym strzałem – dopowiadam – Zdolna jest.

– Ale wpadła. Tomek Jakiśtam obciążył ją, twierdzi, że on to tylko narzędzie, mózgiem była ona – ciągnie Wieteska.

– Bardzo dobrze – mówię.

Czuję lekkie ciepło w żołądku. A więc jednak. Doris potrafi wywołać we mnie gniew nawet teraz, w drodze na szafot.

– Dziś ją zaczną przesłuchiwać, może opowiedzieć o Batonie, zrobi z siebie ofiarę.

– Niech zaproponuje jej układ.

– Możesz jaśniej?

Patrzę na plecy taksówkarza.

– Zadzwonię za pięć minut – odpowiadam.

Pod drzwiami kliniki Starego Lwa melduję się dwie minuty po czasie, ujdzie, mimo wszytko chyba mnie przyjmą. Płacę, wysiadam, staję przy drzwiach, oddzwaniam.

– Układ jest prosty – mówię. – Niech nie kłapie dziobem o Batonie, to nie przekażemy policji filmu, w którym przyznaje się do winy.

– Niewiele jej to daje – ripostuje Wieteska. – I tak jest umoczona, mówię ci, Tomeczek Jakiśtam przyznał się do włamu na twoje konto i że to ona go namówiła i dała mu filmik.

– Może się bronić, dobry adwokat tak zamąci, że może wyjdzie z tego bez szwanku, albo najwyżej dostanie coś w zawiasach – mówię. – A przyznanie się do winy to koniec, nie ma odwrotu.

– Może tak, może nie.

– Dzwoń do Batona.

– Trzymaj się. Zadzwonię wieczorem, jak już będziesz po.

Uśmiecham się mimo woli. Wieteska nadal traktuje moją operację jak wizytę u dentysty. Może powinienem pójść jego drogą.

Recepcjonistka już czeka, podpisuję deklarację, że się na wszystko zgadzam, idę wprost do sali pachnącej mydłem i świeżą pościelą. Zjawia się pielęgniarka, przedstawia się jako siostra Barbara Rakoczy, dziwne odstępstwo od gustu Lwa, bo szeroka w barach, biodrach i łydkach, krok dragona, głos grzmiący i nieznoszący sprzeciwu, piwne oczy przewiercają człowieka na wylot. Krótko informuje mnie, że mam się przebrać i czekać na anestezjologa, który zaraz do mnie przyjdzie. Nie dociekam, czy za niewykonanie polecenia grozi połamanie kości, grzecznie idę do łazienki, rozbieram się, po czym wskakuję w sięgający do kolan kubrak zapinany na absurdalnie eleganckie guziki, mający na celu chyba wyłącznie to, by pacjent wyglądał śmiesznie i nie miał sił protestować przeciw temu, co go spotka. Siadam na skraju łóżka, patrzę na stojącą pod ścianą walizkę, w której jest kilka drobiazgów osobistych, a która nagle wydaje mi się wzruszająco wiernym to-

warzyszem, mam dziwną pewność, że dobrze mi życzy, że nie opuści w potrzebie, że mogę na nią liczyć. Przez szybę w drzwiach obserwuję krzątaninę białych fartuchów, pielęgniarskich czepków i stukających energicznie chodaków, przejeżdża jakiś nieszczęśnik na wózku pchanym przez siostrę Barbarę, jestem pewien, że facet nie oddycha, że właśnie wiozą go do kostnicy i za moment zapakują do wielkiej, wysuwanej ze ściany szuflady, przykryją prześcieradłem, zamkną i obniżą temperaturę, by nie za szybko zaczęły w nim zachodzić procesy rozkładowe, żeby ukochana rodzina mogła go jeszcze przed pogrzebem zobaczyć w stosunkowo nienaruszonym stanie. Znowu patrzę na walizkę, czuję, że wilgotnieją mi oczy, surrealizm, wzruszanie się na widok kawałka plastiku i metalu, cóż poradzę, rozmowa o Doris i jej kolejnych ciosach naprawdę nie była mi potrzebna, uczucie satysfakcji i gniewu minęło, została tylko pustka, czczość, drżenie serca, ćmienie żołądka i maleńka igiełka za okiem, a jakże, przecież nie może go zabraknąć, mojego bólu, towarzysza wiernego.

Otwierają się drzwi, wkracza Stary Lew, rozpromieniony, wita jak z dawna oczekiwanego przyjaciela, bierze w ramiona, tonę w niedźwiedzim uścisku, dopiero teraz dostrzegam, że jest podobny do Szumskiego, misiowata dobroduszność, tyle że Lew szczuplejszy i ma lepiej zrobione zęby.

– Jak pańskie samopoczucie? – pyta, a ja cieszę się, że darował sobie „mistrza”.

– Bywało lepiej – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Ach, głowa do góry… – Rozpromienia się. – O, jest pan doktor – oznajmia, a w pokoju zjawia się facet około trzydziestki, o aparycji trzeciorzędnego fryzjera gdzieś z południowych powiatów województwa mazowieckiego. Jest niski, twarz zdobi idiotyczny wąsik i czarne włosy zaczesane na jedną stronę. Odnoszę wrażenie, że odbył podróż w czasie wprost z dwudziestolecia międzywojennego do luksusowych wnętrz Lwiej kliniki. Ma na sobie nieskazitelnie biały fartuch i zwykłe sandały w miejsce nieśmiertelnych chodaków. Przypatruje mi się uważnie.

– Doktor Mailert jest anestezjologiem – przedstawia fryzjera Stary Lew. – Przeprowadzi z panem wywiad.

Znów siadam na brzeżku łóżka, facet podchodzi z marsową miną, w jego rękach znikąd materializuje się karta choroby, pomyliłem się, ów Mailert nie jest fryzjerem, a sztukmistrzem, na zawołanie przepiłowującym kobiety w drewnianych skrzyniach i wyjmującym króliki z cylindrów. Pada seria pytań o dietę, dzisiejszy jadłospis, alergie, nawyki, uczulenia, leki, przebyte w dzieciństwie choroby. Mam wrażenie, że oblewam ten egzamin, Wąsik patrzy na mnie z dezaprobatą, mruczy coś bezgłośnie, szybko notuje, przeczuwam, że zaraz oświadczy Staremu Lwu, że pacjent nie osiągnął obowiązujących w klinice standardów. Starego Lwa jednak nie ma, poszedł się przygotowywać do operacji, szykuje piły i świdry, obcęgi, młotki i tasaki, jeśli Wąsik Mailert chce mnie zdyskwalifikować, nawet się nie zmartwię, z przyjemnością wrócę do pustego domu, w którym czeka mnie ciepło i swojski spokój. Jednak nie, żegna się szybko, zabiera notatki i znika, po chwili nadciąga siostra Barbara, co, nim się pojawi w drzwiach, poznaję po dzwonieniu okien i drżeniu posadzki. Każe otworzyć usta i podaje niebieską tabletkę, rechoczę nerwowo, po czym pytam, czy chcą, by pacjent miał podczas operacji wzwód, siostra nie docenia dowcipu, oświadcza, że ten lek to Dormicum i dyletanci zwą go Głupim Jasiem. Będę po nim spokojniejszy.

Może będę, a może nie będę, siostra opuszcza pokój, ja konsekwentnie nie opuszczam azylu znajdującego się na brzegu łóżka. Myśli krążą, jak krążyły, ruch na korytarzu czasowo zamiera, nie mogę dojść, jaki numer ma mój pokój, czym się martwię, w razie czego rodzina będzie szukać mnie po całym budynku, nikt nie zdradzi miejsca pobytu męża i ojca, zasłaniając się ustawą o ochronie danych osobowych, robi mi się smutno, potem wesoło, potem na powrót ogarnia mnie melancholia, w końcu jest mi już wszystko jedno, odgłosy szpitala zlewają się w jeden monotonny szum. Coraz słabiej czuję zapach mydła, wszystko zaczyna docierać do mnie jak zza grubej szy-

by, dźwięki i kolory matowieją, tracą kontury, zlewają się, nawet nie mam siły zastanowić się, czy dźwięki mogą wyblaknąć…

Wkracza Barbara Rakoczy, piszę „wkracza”, bo ta wyjątkowa osoba nie wchodzi, a wkracza właśnie, mimo swej herkulesowej siły z niejakimi trudnościami sadza mnie na wózku, który jest jakiś rozmazany i lekko nierealny, choć czuję go pod siedzeniem i plecami, moja ręka sprawia wrażenie nie mojej, siostra, a i owszem, raczej wprost przeciwnie, jest realna jak jasna cholera, jak nagła śmierć przychodząca o poranku.

– Jedziemy – warczy.

Pcha wózek, nie muszę na nią patrzeć, chybabym się bał, skupiam się na zapamiętaniu drogi, korytarz, potem skręt w lewo, automatycznie rozsuwane drzwi, kolejny zakręt, już nie pamiętam początku, lampy na suficie przybierają kolor jasnego różu, a może to świt po prostu, po cholerę bawię się w zapamiętywanie drogi, zatrzymujemy się, zaczynam wierzyć, że wszystko będzie w jak najlepszym porządku, nic mi się nie stanie, przecież jestem wyjątkowy, ja, Jerzy Grobicki, lat czterdzieści jeden, pisarz znany i czytany, wcale się nie wybieram umierać, jeszcze tyle rzeczy przede mną, tyle spraw do załatwienia i tyle skruch do okazania.

Cudownym sposobem katapultuję się z wózka na stół operacyjny, a może po prostu przenosi mnie na niego Barbara Herkules, pojawia się masa osób w białych fartuchach i maskach, po brodzie poznaję Starego Lwa, obok niego Wąsik, jakaś zakwefiona biuściasta dziewoja rozpina mi guziczki kubraka, po czym wprawnie przykleja do klatki piersiowej czujki, elektrody EKG, wkłada na palec wskazujący pulsoksymetr. Jest wszystko, monitorowanie poziomu natlenienia, mankiet do mierzenia ciśnienia krwi, nawet nie czuję ukłucia, gdy na grzbiecie dłoni cudownym sposobem pojawia się wenflon, na twarzy ląduje maska z tlenem. Stary Lew dobrodusznie wyjaśnia, że dla dobra pacjenta zdjęli ze mnie ciężar oddychania, teraz będą to robili oni, a nie ja. Chcę powiedzieć, że dziękuję, obejdzie się, całe życie radziłem sobie sam, ale nie bardzo mogę otworzyć usta.

– Propofol – zarządza Stary Lew, i widzę, że z kroplówki leci usypiacz, lek przeciwbólowy oraz specyfik na zwiotczenie mięśni, nie jestem taki mądry, uprzednio wyczytałem to na forach medycznych, przygotowując się na najgorsze.

Pielęgniarz anestezjologiczny każe mi liczyć, więc mówię:

– Jeden.

Po czym skupiam się, co jest po pierwszym kroku, wytężam pamięć, mówię:

– Dwa – i jestem z siebie dumny, naprawdę dumny.

Stary Lew nachyla się nieco, błękitne oczy przypatrują mi się z ciekawością, mówię:

– Trzy – i odpływam, zdaje się, w niebyt, nie miejcie do mnie pretensji, że nie będę tego akurat fragmentu pamiętał zbyt szczegółowo.

Widzę jeszcze Starego Lwa, a także doktora Mailerta w masce, dwie instrumentariuszki, trzeciego lekarza, cholera wie jakiej specjalności, po czym wszystko ostatecznie odjeżdża, rozpływa się, zamazuje, następnie nieruchomieje przekrzywione pod dziwnym kątem, jak w jakiejś groteskowej stopklatce, tyle że słabo oświetlonej.

Mamy trochę czasu, nim się obudzę, więc zmieńmy temat, opowiem, kim naprawdę jestem.

Zacznę od tego, kim nie jestem. Przede wszystkim, nie jestem alkoholikiem. Cud, że nim nie zostałem. Cud – mówię serio. Nim poznałem Helenę, piłem codziennie, najczęściej zaczynając już po śniadaniu, czasem o siódmej rano. Piłem, bo lubiłem, bo kochałem ten stan, bo wtedy mi się dobrze myślało, bo darzyłem miłością przypadkowych towarzyszy picia, bo sam sobie wydawałem się wielki. Stać mnie było, jakieś pieniądze na graniu zarabiałem, nie miałem zobowiązań, małe mieszkanko po babci zapewniało dach nad głową. Już wówczas przejawiałem skłonność do toksycznych związków, jedna pani chciała koniecznie, żebym jej zrobił dziecko, bo tylko wtedy zrealizuje się jako kobieta, druga deklarowała, że kocha wysokich

blondynów, potem się dowiedziałem, że właściwie kocha każdego, kto daje jej okazję do zdradzania męża, trzecia z kolei chciała się rżnąć rano, wieczór i w południe, po kilku seansach słaniałem się na nogach z wyczerpania, kolejna sprawiała wrażenie nawiedzonej, jakiś czas później skończyła w sekcie wyznawców poglądu, że Chrystus w dniu Sądu spłynie na Ziemię na statku pilotowanym przez kosmitów; od kilku lat, jak słyszę, leczy się psychiatrycznie. Próbowałem nawiązywać trwalsze relacje, tłumaczyć sobie, że jestem już poważnym człowiekiem i czas na stabilny związek, cóż z tego, skoro ewentualne kandydatki śmiertelnie mnie nudziły, z miejsca zaczynały mówić o natychmiastowym zakończeniu picia, a potem, niemal jednym tchem, o kwiatach na balkonie i kolorze tapety w pokoju dziecinnym, a także konieczności niezwłocznego znalezienia etatowej pracy. Miałem to gdzieś; w owym czasie potrafiłem skomponować trzy–cztery piosenki tygodniowo, które nagrywałem na ubożuchny analogowy czteroślad, zmieniałem style i aranżacje, uważałem, że nie ma żadnego sufitu, o który mógłbym uderzyć.

Miałem dwa szczęścia w jednym: wątrobę odporną na każdy szajs, którym kazałem jej się zajmować, i całkowity brak pociągu do narkotyków. Nie wpadłem w alkoholizm, bo mimo gargantuicznych ilości wlewanej w siebie wódki mój organizm nie popadł w uzależnienie. Mogłem robić miesięczne przerwy, chciałem, ale nie musiałem pić, nigdy nie czułem głodu alkoholowego, nie miałem syndromu odstawienia, wynikającego z dłuższej abstynencji. Gdy rzuciłem picie, zrobiłem to z dnia na dzień, bez żadnych okresów przejściowych, by nie wracać doń przez wiele miesięcy. Dlaczego o tym mówię? Ponieważ miałem masę szczęścia, które zresztą obejmuje również wspomnianą, czysto instynktowną niechęć do narkotyków. Jestem przez Stwórcę wyposażony w słaby charakter. Nie wydobyłbym się z uzależnienia, gdybym wpadł, byłoby po mnie, skończyłbym na śmietniku, w najlepszym razie w psychuszce. W pewnym okresie życia picie wydawa-

ło się najlepszą formą spędzania wolnego czasu, gdy zmieniłem zainteresowania, przestało się wydawać. Pstryk i już.

Potem pojawiła się Helena, poznana przez czysty przypadek zresztą, i była tak inna od wszystkich kobiet, które dotychczas spotkałem na swej drodze, że zaniemówiłem. Nie nastąpiło to od razu, byłem nieokrzesanym troglodytą, katastrofa wisiała nad moją głową przez cały czas, poruszałem się jak niedźwiedź w składzie porcelany, Helena potrafiła zniknąć na tydzień, by mnie ukarać za jakieś, jej zdaniem, niegrzeczności, despekty, niesolidności. Dużo się wtedy nauczyłem o ludzkich relacjach, pierwszy pocałunek smakował jak ambrozja. Przez lata inne kobiety mogły dla mnie nie istnieć, byliśmy idealnie dopasowani seksualnie, zacząłem pisać, pojawiły się dzieci, mieliśmy masę znajomych, którzy lubili nasze towarzystwo nie dlatego, że byliśmy sławni i bogaci, bo nie byliśmy. Po czym pojawił się Mikołaj i zburzył tę sielankę, był ciosem, po którym już się nie podniosłem. On był przyczyną zmiany mojego charakteru na gorszy, w czym niestety zorientowałem się poniewczasie. Gdybym miał odtworzyć proces myślowy, jaki wtedy odbyłem, powiedziałbym, że dominujące było uczucie samotności. Nie w sensie fizycznym: otaczali nas nadal liczni znajomi, rodzice wspierali duchowo i organizacyjnie, Helena przyjmowała los bez słowa skargi, z zadziwiającą pogodą ducha. Ale gdy gasły światła, gdy zamierała wieczorna krzątanina, zostawałem z tym wszystkim sam. W długich chwilach, przewracając się na łóżku podczas bezsennych nocy, czułem się jak w karcerze, samotny, tylko z wiecznie zapuchniętą, mongolsko wykrzywioną twarzą mojego syna przed oczyma. On sam oczywiście winny był najmniej; zło tkwiło we mnie. Otoczenie okazywało życzliwość, ale jak to otoczenie – pozostawało na zewnątrz. Nikt, kto tego nie doświadczył, nie wie, jak się żyje z niepełnosprawnym dzieckiem na co dzień. Gdy kumuluje się zmęczenie wywołane nieustannymi zabiegami wokół najprostszych spraw, niwelowaniem skutków większych i mniejszych wypadków, wizytami u lekarzy, u specjalistów, ciągłą gotowością, gotowością, gotowością. Człowiek

asystuje potomkowi po przyjściu na świat w każdej chwili życia, wraz z rozwojem dziecka zaczyna się oddalać, bo młody człowiek coraz mniej potrzebuje opieki i asysty, aż w końcu usamodzielnia się i wtedy nasza egzystencja, fakt, że po wielu latach, wraca do jakiejś tam normy. Z Mikołajem ta zasada uległa destrukcji. Inni sobie radzą, ja słabo nadaję się na męską inkarnację Florence Nightingale, nie mam anielskiego charakteru siostry Ewy i jej podobnych.

Jak widać, musiałem stanąć oko w oko ze śmiercią, by w końcu dostrzec genezę katastrofy życiowej, w jakiej się znalazłem i której byłem sprawcą. Czy jest prawdziwa i trafna, sam nie wiem. Może wrócimy do tego później, bo znowu zaczyna się coś dziać.

Wyłaniam się z niebytu, nie tyle ja, co jakieś zewnętrzne oko, wypływa ze mnie, unosi się niczym samosterujący biologiczny dron i obserwuje salę z góry. Na stole operacyjnym leży bezwładne, nieruchome ciało i jest to niestety moje ciało, co poznaję po zabawnym kubraku zapinanym na elegancie guziczki. Kubrak jest pobrudzony krwią, a wokół stołu odbywa się coś w rodzaju tańca świętego Wita. Stary Lew ryczy jak ranny tur, macha dłonią uzbrojoną w jakiś przyrząd, czekam, aż go w kogoś wbije za pomocą efektownej finty, Wąsik krzyczy na instrumentariuszkę, która miota się jak w ukropie, trzeci lekarz trzyma palce gdzieś w głębi mojej czaszki, aparatura popiskuje kakofonicznie, każda skrzynka w innym tonie i na innej częstotliwości, migają lampki niczym w wieży kontroli lotów, krwi coraz więcej, po dłoniach lekarza płynie czerwony potok, kubrak będzie do wyrzucenia, apokalipsa, chyba powinienem wstrzymać się z biblijnymi określeniami, niech jeszcze poczekają; konstatuję, że dron ma nie tylko kamerę, ale również czuły mikrofon, widzę i słyszę wszystko jak w kinie, ekran panoramiczny, dźwięk hajfi, pełen komfort poznawczy. Kryzys trwa, Lew odsuwa lekarza, sam zanurza swe drogocenne dłonie w mojej biednej głowie, mruczy i mamroce coś, co na pewno nie nadaje się do publicznego zacytowania, oto prawdziwy Lew, przywódca stada odporny na każdy kryzys. War-

czy, by podać mu jeszcze jeden klips, coś błyszczy metaliczne, niemal słyszę trzask zaciskających się metalowych ramion, potok krwi zamienia się w strumyczek, potem zamiera zupełnie, aparatura zwalnia i cichnie, Wąsik Mailert ociera spocone czoło, Stary Lew prostuje się, mówi, że tak trudnego dojścia do szyi tętniaka jeszcze w swej karierze nie widział, jego asystent ze stopniem doktora neurochirurgii potakuje, mówiąc, że wynaczynienie pozbawiło mnie około litra krwi. Obaj z Lwem mają na twarzach urządzenia wyglądające trochę jak okulary, tyle że z karykaturalnie grubymi szkłami. Każde z nich jest w gruncie rzeczy miniaturowym mikroskopem. Lew przygląda się uważnie swemu dziełu, asystent z doktorskim tytułem mówi, że wszystko w porządku, Lew kiwa głową, po czym sięga do stojącej nieopodal miseczki. Wyjmuje z niej kawałek kości o kształcie wydłużonego owalu, przykłada do czaszki, fragment pasuje idealnie, to w końcu moja własna kość, dekielek, który Lew wyciął cztery godziny wcześniej, zaraz wklei go z precyzją modelarza, a dziurki po wiertle zaklei kostnymi okruszkami skrzętnie pozbieranymi przez jedną z asystujących pielęgniarek. W kolejnym etapie równiutkim, krawieckim szwem przyszyje łatę ze skóry, która czeka na swą kolej w odrębnej miseczce.

Wolę tego nie oglądać, oko-dron wraca na swoje miejsce, ponownie zapada ciemność, nie na długo, wkrótce ustępuje miejsca szarości, znowu jestem w jednym kawałku, co nie raduje, bo zaczynam się dusić. Żadna tam panika, tym mniej hipochondria, oświadczam uczciwie, że brakuje mi tchu, zaczynam się szarpać, staram się otworzyć usta na całą szerokość, słyszę pisk jakiegoś aparatu, nie tak gorączkowy jak przedtem, bardziej równomierny, wolniejszy, gdyby nie okoliczności, mógłby nawet uspokajać. Mam wrażenie, że zdołałem otworzyć oczy, wrażenie tylko, bo nie jestem pewien, czy to nie znów mój przyjaciel dron, obserwator wierny, jednak chyba nie, widzę nad sobą pochylone twarze, niewyraźne, rozmyte, bez kolorów i właściwości, dwuwymiarowe. Choć sufit nad nimi zdaje się o kilometr, lampa świeci prosto w oczy, zaczynam oddychać lżej, ulga jest niewy-

słowiona, radować się można z tak prostych rzeczy jak oddychanie, wzrok pomału wyostrza się, prawym okiem widzę zdecydowanie lepiej.

– No, witamy z powrotem – rozpromienia się postać przypominająca Starego Lwa. – Już po wszystkim, panie Jerzy.

– Cieszę się – odpowiadam. – Chciałbym jednak dowiedzieć się, co się stało. Czy naprawdę utraciliście kontrolę nad operacją, a ja przez kwadrans znajdowałem się w stanie śmierci klinicznej?

Stary Lew uśmiecha się kącikami ust i błękitnymi oczyma, chyba nie ma zamiaru odpowiadać na pytanie, oczywiście, chociaż powinien być przyzwyczajony, nie jestem wyjątkiem, pacjenci notorycznie zadręczają lekarzy milionem pytań na temat najcenniejszego, bo własnego, zdrowia, na każdym kroku Niagary zapytań i pretensji, kariera usiana koniecznościami udzielania odpowiedzi. Nie biorę pod uwagę okoliczności, tego, że tym razem żadne pytanie nie pada, ponieważ z moich zdrętwiałych, bezwolnych warg nie jest w stanie wypłynąć najcichszy dźwięk, brak reakcji zrzucam na arogancję i brak manier profesora Wojciecha Kurcewicza, zwanego Starym Lwem. Osobiście sądzę, że nadany przeze mnie przydomek powinien mu pasować, napawać dumą, wyjawię go, gdy będę niebawem opuszczał klinikę.

– Wszystko w najlepszym porządku – ciągnie najsłynniejszy neurochirurg w mieście, bo rzeczywiście wtręt do niego nie dotarł, wypowiedziała go wyłącznie zmęczona wyobraźnia. – Zapewne przy przebudzeniu odczuwał pan lekki dyskomfort związany z oddychaniem. Ale głowa do góry, nie było żadnego niebezpieczeństwa, oddychaliśmy za pana. – Klepie mnie w ramię, nic nie czuję, stary diabeł uśmiecha się już całkiem otwarcie, jakby fakt, że on i jego aparatura najpierw usiłowali mnie zabić, a potem z bliżej niesprecyzowanych przyczyn odstąpili od tego zamiaru, był wiadomością dnia.

Chcę mu opowiedzieć, co o tym sądzę, znowu nie potrafię, znowu nie udaje mi się sztuka, która jeszcze kilka godzin temu żadną sztuką nie była,

należała do czynności banalnych i powszednich, próbuję i nic, wygląda na to, że wypowiedzenie pierwszego zrozumiałego słowa urośnie do wydarzenia na miarę zdobycia himalajskiego szczytu. Potem znów wszystko szarzeje i blednie, odjeżdżam w niebyt, w tymczasową nirwanę, może zafundowaną przez środki farmakologiczne, a może zwykłe, pospolite, banalne powikłania pooperacyjne, do których profesor za nic nie chce się przyznać.

A może jednak umarłem i Stary Lew jest tylko projekcją, wspomnieniem, słabnącym echem w martwym mózgu?

Znów jestem na jawie i we śnie jednocześnie. Podchodzi stary basior, dawno niewidziany znajomy, niespecjalnie mnie jego obecność dziwi, patrzy długo, idę za nim, jesteśmy na pustkowiu, gdzie tylko górujący nad równiną skalny grzbiet i słońce, zwykle wilk zjawiał się w nocy, wyłaniał z mroku, teraz widać, że pora doby jest mu obojętna. Idziemy, on przodem, ja za nim, zupełnie nie mogę zgadnąć, co oznacza ta wędrówka, może za kamienną granią czeka mnie przejście na drugą stronę, basior zaś jest Charonem? Nie wygląda na to, przez słońce przebija znacznie jaśniejsze światło, wbrew prawom fizyki, o ile znam się na fizyce, basior znika, grań coraz bliżej, idę szybciej, pod stopami piach zamiast kamieni, nie dochodzę do krawędzi, mrugam, jasne światło to również słońce, tyle że realne, wpadające przez okno mojego szpitalnego pokoiku, którego numeru nadal nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Mrugam jeszcze raz, ponownie lewe oko szwankuje, prawe widzi ostro, mrugam, nie odnotowuję poprawy. Czuję drapanie w gardle, próbuję przełknąć ślinę, język przypomina drewniany kołek, znowu nie mogę nabrać tchu, może to tylko histeria. Zastanawiam się, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, pamięć wraca powoli, przez dłuższą chwilę nie potrafię rozstrzygnąć, czy wielki szary basior należy do rzeczywistości, czy jednak pozostał na skalnej pustyni.

Oddałbym majątek za łyk wody, ktoś zjawia się w polu widzenia, czuję dotyk, lekki zapach wpada w nozdrza, raczej przyjemny, pamięć szwankuje, nie wiem, co mi przypomina. Pojawia się twarz, rysy układają się w znany

obraz, widziałem tę kobietę już wcześniej, opiekowała się mną, była dobra, tak, na pewno była bardzo dobra. Jej dłoń manipuluje przy plastikowym woreczku zawieszonym na metalowym patyku, zwiększa przepustowość rurki biegnącej do moich żył, mętny płyn zaczyna spływać szybciej. Nie powiem, żebym od tego czuł się lepiej, okropnie swędzi mnie czoło, chciałbym, aby mnie podrapała, nic z tego, twarz znika, w pokoju zapada cisza, próbuję unieść lewą dłoń, mimo wysiłku dłoń leży tam, gdzie leżała. Próbuję z drugiej strony. Lepiej. Palce skrobią po prześcieradle. Czuję chropowatą powierzchnię.

Zamykam na krótki moment oczy i gdy otwieram je ponownie, stoi przy mnie profesor Stary Lew Kurcewicz, bez maski i mikroskopu w oku, za to w luźnym fartuchu narzuconym na białą koszulę, przyjemnie urozmaiconą subtelnym błękitnym wzorkiem. Profesor obdarza mnie głównym spojrzeniem, spojrzenie poboczne rezerwując dla trzymanej w dłoni karty pacjenta. Rozglądam się na tyle dokładnie, na ile jest to możliwe bez poruszania głową. Dochodzę do wniosku, że jednak żyję, jak na piekło zbyt wiele elementów wnętrza zachowało pastelowe kolory, Lew Kurcewicz również wygląda ziemsko i po staremu dostojnie, lwia broda lśni czystością i siwizną, jestem w dobrych rękach, żyję, mrugam kilkakrotnie, by powstrzymać łzy.

– Jak się dziś czujemy, panie Jerzy? – pyta. Słyszę w jego głosie rezerwę. Nie było jej tam wcześniej.

Mlaskam, walczę z brakiem śliny, otwieram usta, nie wiedząc, że lewa strona twarzy pozostaje nieruchoma.

– Źle – mówię, licząc, że zostanę zrozumiany.

Nie umiem zgadnąć, czy wszystkie poprzednie wydarzenia mi się przyśniły. Wspomnień brak, przeszłość tonie w szarościach i beżach, nie widzę żadnej latarni morskiej zdolnej naprowadzić mnie na właściwy kurs.

– To znaczy? – drąży Lew bez uśmiechu, nadal prześwietlając mnie na wylot.

Nie jest zmartwiony, raczej profesjonalnie poważny.

– Nie mogę poruszyć lewą ręką – odpowiadam, rozciągając wyrazy do niemożliwości.

Łapie mnie za dłoń, naciska, potrząsa, odprawia czary. Nic. Odkrywa prześcieradło, którym jestem przykryty. Lewa noga jest równie martwa, co ręka. Stary Lew ani myśli mnie pocieszać. Zamykam oczy.

Śpię.

Budzę się, od razu trzeźwy, z miejsca wiem, gdzie jestem i co się ze mną działo. Czuję się świetnie, wszystko gra, radość mnie rozpiera. Mam w planie opuścić klinikę profesora, serdecznie mu podziękować, zamówić taksówkę i pojechać do domu. Nie wiem, czy mam mleko do kawy, pewnie nie, resztki wylałem przed wyjściem, spodziewając się dłuższych szpitalnych ceregieli, rekonwalescencji, jakichś gimnastyk usprawniających, masaży i czułych szeptów doskonale wykwalifikowanego profesorskiego personelu. No i proszę, pomyliłem się, wszystko poszło jak z płatka, dziś wychodzę. Gdy dotrę do domu i usiądę w fotelu z drinkiem w ręku, poproszę Wieteskę, żeby zrobił mi zakupy, nie odmówi przecież, wielokrotnie deklarował pomoc w każdej sprawie. Potem pogadamy o przyszłości, napijemy się, nic wielkiego, dwie–trzy butelki wina, mój agent czasem, gdy ma dobry humor, odstępuje od wódczanych zwyczajów, dobre wino mu smakuje, koneserem żadnym nie jest, ale umie docenić rocznik i szlachetny smak. Mam kilka dobrych egzemplarzy na specjalne okazje, a to okazja specjalna przecież, wyjść ze szpitala w dobrym zdrowiu, no jakże tego nie uczcić?

Otwierają się drzwi, dość energicznie, przyznam, wchodzi procesja, tym różniąca się od pogrzebowej, że biało odziana, na pewno jednak nie mniej liczna. Nie wiem, co mnie naszło z tymi niesmacznymi pogrzebowymi porównaniami, przecież niebezpieczeństwa nie ma, zniknęło jak senna mara, mój znajomy basior nie pojawi się już nigdy. Na czele profesor Kurcewicz, Stary Zwycięski Lew wczorajszej bitwy, po nim Wąsik, obok doktor asystent, za nimi jakiś typ o wymiarach szafy gdańskiej, o twarzy pomarszczonej i melancholijnej, mimo młodego wieku. Konsylium owo wyhamowuje

przed łóżkiem, otacza je niczym Turcy zamkniętego w Kamieńcu Wołodyjowskiego, pochyla się jak na komendę, cała scena odbywa się w grobowym milczeniu, przez co wydaje mi się nieodparcie śmieszna. Nim zdołam się jednak uśmiechnąć, wielki facet zaczyna badanie. Świeci mi w oczy latareczką, obmacuje, puka gumowym młoteczkiem w nogi i ręce, uważnie ogląda zapisy karty medycznej. Nie jest zadowolony, mlaska, stuka palcem w papier, wskazuje Staremu Lwu punkty wzbudzające szczególne niezadowolenie, na co Kurcewicz potakuje z niechęcią. Próbuję coś powiedzieć, w gardle sucho, wargi znów nie chcą pomóc, język sztywny. Stary Lew chyba dostrzega moje wysiłki. Stanowczym gestem odprawia konsylium na korytarz, zamyka drzwi, po czym siada obok na krześle.

– Drogi panie Jerzy, sytuacja jest poważna – mówi, splatając dłonie na brzuchu. – W trakcie operacji okazało się, że tętniak jest dokładnie takiej wielkości, jak się spodziewaliśmy, ale niestety wyszło również na jaw, że mamy bardzo utrudnione dojście do jego szyjki.

Stary Lew rozplata dłonie i zaczyna odprawiać pantomimę. Palce kreślą w powietrzu łuki i linie, rysują obraz mojego mózgu i cholernego tętniaka. Widzę, rozumiem i czuję. Czekam z niecierpliwością na wnioski, które przecież z pewnością profesor zamierza mi wyjawić.

– Mimo to udało nam się założyć klips – ciągnie Lew, modulując głos w sposób zdradzający niemałe umiejętności dramaturgiczne. – I wtedy tętniak pękł. To się fachowo nazywa wynaczynienie i jest bardzo niebezpieczne.

Zamykam oczy, lepiej mi się słucha Starego Lwa po ciemku. Przypomina mi się obraz z drona-oka. Krew, wszędzie krew. I panika. Nerwowe krzyki, bieganina, kakofonia elektronicznych sygnałów.

– Zdołaliśmy opanować sytuację, założyliśmy drugi klips – informuje Stary Lew, niczym komentator sportowy. – Stracił pan trochę krwi, ale nie ma się czym martwić. Farmakologicznie podwyższyliśmy panu ciśnienie,

poszerzyliśmy łożysko naczyniowe, czyli, mówiąc obrazowo, taką rurkę, przez którą płynie krew do mózgu.

– Nie czuję lewej strony ciała – mamroczę, otwierając oczy.

Stary Lew kiwa głową, musi dotrzymać danego słowa, obiecał przecież, że powie wszystko, bez upiększeń.

– Najpierw coś pozytywnego – zaczyna. – Bardzo obawialiśmy się, że grozi panu afazja ruchowa, przez pierwszą dobę nie reagował pan na bodźce.

– Przez pierwszą dobę? – pytam zdumiony. – Jaki dzisiaj jest dzień?

– Czwartek.

– Czwartek?

– Spał pan prawie czterdzieści osiem godzin.

Milczę przez dłuższą chwilę. Czas jest jednak względnym zjawiskiem. Z moim mózgiem rzeczywiście dzieje się coś dziwnego. Jeszcze niedawno obudzony w środku nocy potrafiłem powiedzieć, która jest godzina z dokładnością do kwadransa. Teraz zniknęły mi z życiorysu dwa dni.

– Afazja? – pytam.

– Utrata możliwości artykułowania mowy – wyjaśnia. – Inaczej mówiąc, rozumiałby pan wszystko, jednak nie byłby pan w stanie mówić samemu. To na szczęście nam nie grozi.

– Raczej nie. – Wkładam duży wysiłek, by głośno i wyraźnie wymawiać wyrazy.

Stary Lew klepie mnie przyjaźnie po dłoni.

– Sytuacja jednak jest poważna – podkreśla Stary Lew. – Ma pan lewostronny niedowład ciała.

– To skutek krwotoku? – chcę wiedzieć.

– Być może – odpowiada ostrożnie. – Musimy przeprowadzić dodatkowe badania. Zaczniemy, jeszcze dziś, od tomografii komputerowej. Potem zobaczymy, co dalej.

I zaczyna się. Nadciąga siostra Barbara Rakoczy, która dziś nie wydaje mi się ani wielka, ani groźna, jest raczej średniej budowy, w średnim wieku, uśmiechnięta i miła. Wiezie mnie do septycznie czystej sali z wielką rurą pośrodku, wkładają mnie do niej, leżę bez ruchu, nieuchronnie staję się ekspertem od leżenia w bezruchu, duszno i ciasno, opanowuje mnie lekka klaustrofobia.

Jakiś czas później wyjmują mnie z rury, wiozą do innego pokoju, kolejna pielęgniarka pobiera krew, jest znacznie bliższa wymaganiom właściciela kliniki, jeśli chodzi o wymiary w biuście i biodrach, krótka spódniczka i bluzka mało nie pękną od wypełniających je treści. W końcu ląduję we własnym łóżku, z wyjątkiem pewnych sytuacji mających miejsce między mężczyzną a kobietą nigdy nie lubiłem leżenia na plecach, teraz jednak czuję ogromną ulgę, jestem wyczerpany jak po triathlonie, siostra Barbara podłącza kroplówki, a mnie się marzy kotlet schabowy, panierowany. Czuję głód, to chyba dobrze, objaw dochodzenia do zdrowia, po niedawnej euforii nie ma śladu, ale czuję powiew optymizmu, leciutki wiaterek pozytywnych zmian, nie bardzo wiem z jakiego powodu. Może dlatego, że żyję i jest to konkret, którego warto się chwycić. Muszę sprawdzić, co to takiego niedowład, nie wydaje mi się, by była to rzecz nie do pokonania, nie pod opieką speców zatrudnionych przez Starego Lwa, konsekwencja i upór, odrobina silnej woli ze strony pacjenta i chyżo pomknę do domu, nie korzystając z niczyjej pomocy.

Dom.

Zerkam w lewo, dłoń leży płasko na prześcieradle, wytężam wszystkie siły, skupiam w tym obszarze cały dostępny arsenał środków. Modeluję rzeczywistość wedle swego upodobania, jednak dłoń ani myśli drgnąć, pozostaje doskonale nieruchoma, widzę każdą żyłkę, każdy staw, choć patrzę głównie prawym okiem, lewe nadal jest niepełnosprawne, do braku wyraźnej głębi ostrości pomału się przyzwyczajam, mimo iż z początku bardzo przeszkadzała. Obraz rozmazuje się, nadal walczę z materią, staram się wy-

wołać jakiś ruch, najmniejsze drgnienie, pragnę uzyskać dowód, że wciąż jestem panem swego losu. Myśli o skutecznych rehabilitantach wyparowały, jakby nigdy ich nie było, mam gdzieś nowoczesną medycynę, maszyny, farmakologię, specjalistów pachnących środkami przeciwbakteryjnymi. Chcę tylko poruszyć palcami, nic wielkiego, małe przesunięcie w prawo, lekki obrót, naprawdę nie ma o czym mówić. Jednak jest, palce nie drgną nawet, choć mam w oczach łzy, a całe ciało zesztywniałe z wysiłku. Z niejakim trudem podnoszę głowę, prawa ręka wędruje na lewo, zaciskam dłoń w pięść, niczym młot opuszczam ją w dół…

Nie czuję nic, najlżejszego bólu, dotyku, rozcapierzona lewa dłoń leży przyspawana do prześcieradła, gdzie pozostanie na wieki. Próby wywołania jakiejkolwiek reakcji lewej nogi są równie bezskuteczne.

Słyszę lekki trzask, zaraz po nim drugi, potem jeszcze jeden.

Podnoszę głowę, skupiam wzrok, widzę w drzwiach jakąś postać, chyba mężczyznę, nie jestem pewien, białe spodnie i bluza, jakie noszą tutaj pielęgniarze, facet ma w ręku telefon komórkowy i celuje we mnie obiektywem. Opada migawka, kolejny trzask, facet widzi, że patrzę, uśmiecha się głupio i znika, nim zdołam wydać z siebie najlżejszy głos. Zaczynam się trząść, podzwania stalowa rama łóżka, łączące mnie z aparaturą kabelki drżą jak w ataku febry, podryguję, to chyba gniew albo nagły atak depresji, wbiega siostra Barbara, omiata mnie od stóp do głów fachowym spojrzeniem, podchodzi do stojaka z kroplówką, manipuluje przy przepustnicy, czy jak się tam to urządzenie regulujące tempo przepływu zawartości woreczka nazywa. Chcę jej powiedzieć, że ktoś naruszył moją prywatność, bez zgody i tym bardziej jakiejkolwiek zachęty zrobił zdjęcia, nie życzę sobie żadnych zdjęć, nie mam zamiaru wylądować na jakimś zasmarkanym plotkarskim portalu, żerującym na życiu gwiazd i gwiazdeczek. Chcę powiedzieć, ale nie mówię, odjęło mi mowę, nie potrafię sformułować nie tylko prostego zdania, nawet krótki wyraz nie chce opuścić zdrętwiałych ust. Siostra Barbara ponownie zaszczyca mnie spojrzeniem, przestaję drżeć, uspokajam się,

leżę nieruchomo jak wcześniej. Skupiam się na fakcie, że zostałem niemową, kolejne zmartwienie, kolejny etap inwalidztwa, dowód, że już nigdy nie będzie jak wcześniej. Nigdy – cóż za totalitarne słowo. Wolałbym go uniknąć, nie wspominać nawet, ale niestety pasuje tu lepiej niż dobrze. Czas spojrzeć w oczy faktom. Które są – jakie?

Przyznam, że w mych przedszpitalnych eksploracjach nie skupiałem się szczególnie na technikach rehabilitacji. Nic o nich nie wiem. Bałem się śmierci i badałem, czy mam szansę przeżyć, porównywałem, sprawdzałem statystyki, kalkulowałem. Teraz żyję, więc to wszystko nieaktualne, co nie znaczy, że nie potrzebuję wiedzy, potrzebuję, i to pilnie. Czy rehabilitacja długo trwa? Jakie przynosi efekty? Ile godzin dziennie zajmuje? Nic nie wiem, poruszam się we mgle, poruszam się, śmieszne słowo w aktualnym kontekście.

Chyba zasypiam, bo gdy ponownie otwieram oczy, za oknem panuje ciemność, a na stojącej obok łóżka szafce pali się maleńka nocna lampka. Jest cicho, tylko gdzieś daleko gra telewizor, słyszę jakiś konkurs familijny, podstarzały aktor opowiada niestrawne dowcipy. Boli mnie głowa, zupełnie inaczej niż przed operacją, tamten ból był konkretny, ten jest tępy, pozornie niedolegliwy, pulsuje gdzieś niegroźnie w głębi obandażowanego czerepu. Bardzo chciałbym zobaczyć Helenę i dzieci.

Słowo staje się ciałem, jasno, chyba ranek albo popołudnie, bo ruch na korytarzu ogromny, znów siostra Barbara wiezie jakiegoś nieszczęśnika na wózku, zmierzając pewnym krokiem w stronę komory straceń. Na krześle przy łóżku siedzi Helena i coś mi się zdaje, że dostrzegam w jej oczach łzy, obok Zośka trzyma mnie za rękę, tę bezwładną, i ryczy całkiem otwarcie, za nimi mały tłum złożony z pozostałych moich pociech, wliczając Mikołaja, który jako jedyny ma wesołą minę. Przyniósł mi własnoręcznie wykonany rysunek, stworzony techniką maksymalnie intensywnego mazania kredkami po papierze w różnych kierunkach, kolorystyka odważna, perspektywa nowatorska, proporcje dowolne. Przeciągnięty strach na wróble ze ster-

czącymi ku niebu włosami to, zdaje się, jestem ja, obok znacznie grubsza i niższa Helena, cóż za niesprawiedliwość, nieco dalej trzy córki chude jak tyczki slalomowe ustawione według wzrostu, z drugiej strony idealnie foremna kula przedstawia autora malowidła. Patrzę, bardzo mi się podoba, mrugam kilka razy, aby to okazać, nie wiem, czy ktokolwiek mnie rozumie, Mikołaj chyba tak, bo śmieje się głośno. Helena ucisza go, niepotrzebnie, niech się wszyscy bawią wedle woli, jestem zachwycony, potrzebowałem towarzystwa, jak się okazuje, rodzina lekiem na całe zło i melancholię. I bez podpowiedzi czuję, że robię się sentymentalny, wręcz kiczowaty, predylekcja do żeromszczyzny i ckliwych zakończeń moich powieści nie wzięła się widać z niczego, cóż poradzę jednak, skoro naprawdę cieszę się na widok żony i dzieci?

Oni chyba jednak się nie cieszą. Pytają o różne rzeczy, oczekując odpowiedzi, ja pragnę poinformować, że mówiłem, ale zatraciłem tę zdolność, jestem jednak dobrej myśli, sądzę, że to chwilowe, mowa wróci, gdy już wstanę z łóżka, wszystko będzie po staremu, a jak nie, ostatecznie mogę przecież pisać to, co czuję, myślę czy chcę zakomunikować. Oni chyba uważają, że nie takie to proste, Helena wychodzi, zapewne idzie porozmawiać ze Starym Lwem, bardzo słusznie, on ją pocieszy i powie, że nie ma się czym martwić. Znów zbieram siły, chcę jednak wyartykułować, jak bardzo się cieszę, że zadali sobie trud i przyszli mnie odwiedzić, chcę, by wiedzieli, że to dla mnie bardzo ważne, Zosia nachyla się, przysuwa ucho bliżej moich ust, zuch dziewczyna, zawsze rozumieliśmy się najlepiej. Mówię, że bardzo ich kocham i że zawsze mogą na mnie liczyć, że zachowałem się w karygodny sposób i wiem o tym, że bardzo, naprawdę bardzo mi wstyd i zrobię wszystko, by jakoś naprawić wyrządzone szkody. Gdy tylko stąd wyjdę, poświęcę im czas, każdemu z osobna i wszystkim razem, odciążę moją żonę i dziewczynki od opieki nad Mikołajem, przecież one też muszą mieć życie osobiste, margines prywatności, by wyjechać gdzieś na tydzień czy dwa i nie myśleć o obowiązkach, lekarzach i zakupie leków na czas.

Mówię i mówię, Zosia odsuwa się zniechęcona, niczego nie usłyszała, choć tyle jej chciałem przekazać. Gdy bałem się powiedzieć coś Helenie, czasem wykorzystywałem moją najstarszą córkę. Niezbyt to mądre, na pewno niepedagogiczne, ale okazywało się skuteczne. Teraz również założyłem, że przekaże moje słowa matce, usiądą wieczorem na kanapie i wezmą je pod uwagę, kolejny krok na drodze ku normalizacji. Nic z tego, bo mój aparat mowy zniknął w niebycie, chcę, a nie mogę, mimo wszystko nowość w moim usłanym niemożnościami życiu.

Wraca Helena, wygląda bardzo ładnie, nowa sukienka, zawsze lubiła ubierać się w proste kiecki przed kolana, niewysoki obcas, lekki makijaż. Ma bardzo poważną minę. Patrzy na mnie i widzę w jej szklanym spojrzeniu współczucie. Nie troskę, zmartwienie, obawę, gniew. Helena mi współczuje, uważa mój los za smutny okaz upadku, znów ma rację, chociaż oczywiście trudno powiedzieć, że znalazłem się w obecnym położeniu z własnej woli, częściowo tak, ale nie do końca. Obracam głowę w stronę okna, by nie widzieli, jak bardzo mi żal, że nie mogę powiedzieć, co czuję. Zdejmuje mnie strach, że mogę być uwięziony na zawsze w cholernym półpancerzu, jakim stało się moje ciało, niemy, źle widzący, nikomu niepotrzebny manekin, jeszcze wczoraj przykład zwycięskiej siły, dziś bezwładny wór wypełniony mięsem i ponurymi myślami.

Wszyscy zbierają się do wyjścia, córki po kolei całują mnie w obsypane zarostem policzki, Helena ściska krótko, Mikołaj dużo dłużej, mało nie połamie mi kości, śmiejemy się obaj, ja w duchu, on na cały głos. Zosia wali się w czoło.

– Byłabym zapomniała! – woła.

Sięga do torby i wyjmuje z niej zdjęcie w formacie dwa razy większym niż pocztówkowy. Pokazuje mi, przyglądam się długo. Potem opiera fotografię o stojący na szafce wazon z kwiatami w taki sposób, bym mógł wyraźnie je widzieć, tylko nieznacznie odwróciwszy głowę.

Gdy wychodzą, płaczę już całkiem jawnie. ■

ROZDZIAŁ 10

Któryś z kolei dzień zaczyna się bardzo wesoło.

Na korytarzu znana aktorka, gwiazda stron głównych plotkarskich portali, krzyczy na Barbarę Rakoczy, że nie dość dobrze opiekuje się jakimś panem, który, wnosząc ze stopnia oburzenia gwiazdy, jest kimś dla niej bardzo ważnym. Potem widzę owego pana, na oko piętnaście lat młodszego od aktorki, który ze zbolałą miną toczy się przez korytarz podtrzymywany przez pielęgniarza. Pan jest blady i spocony, mnie się jednak wydaje, że dużo tu pozy i minoderii, sztuczności udrapowanej na cierpienie, po chwili widzę błysk, po nim szybko dwa kolejne, brzmi krzyk oburzenia, nieco sztuczny, teatralny wręcz, przez korytarz przemyka paparazzi z aparatem wyposażonym w obiektyw długości armatniej lufy; pielęgniarz chce podstawić fotografowi nogę, puszcza partnera aktorki, partner osuwa się na podłogę, jakby został nagle pozbawiony kości, mięśni i ścięgien. Śmieję się, choć nie powinienem, może się pomyliłem, może on jest rzeczywiście chory i potrzebuje pilnej pomocy, może to wcale nie ustawka podstarzałej, lekko już przebrzmiewającej gwiazdy, która po prostu musi okupować pierwsze strony gazet, nawet nurzających się wyłącznie w szambie, bo inaczej jej przeznaczeniem stanie się błyskawiczna zawodowa śmierć.

Show kończy się, pielęgniarz wraca z nieudanego, sądząc po minie, pościgu za paparazzim, podejmuje partnera aktorki z podłogi, aktorka oddala się z godnością w asyście stukotu wysokich obcasów, siostra Barbara Rakoczy podniesionym głosem instruuje recepcjonistkę, by na przyszłość trzymała się przepisów i nie wpuszczała osób niepożądanych, przy czym nie jestem pewien, czy ma na myśli panią czy fotografa. Korytarzem sunie wózek z młodą kobietą, widzę ją trzeci czy czwarty raz, podoba mi się kolor jej włosów, o ile zdążyłem się zorientować, zajmuje sąsiedni pokój, zwykle ożywiona i patrząca bystro, teraz oczy wbite w jeden punkt, piżama rozchy-

lona na piersiach, odwracam dyskretnie wzrok, mojej sąsiadce chyba również się pogorszyło, może osławiona klinika to po prostu zakamuflowana fabryka śmierci, a Stary Lew stoi na czele syndykatu zbrodni, którego celem jest przejmowanie majątku po zmarłych pacjentach. Aż się prosi, aby to opisać, wyobraźnia podsuwa obrazy i sceny, tajne narady, na których Lew planuje kolejne operacje, a Wąsik Mailert liczy w arkuszu kalkulacyjnym idące w miliony wpływy za zeszły miesiąc, widzę ucieczki przez okno po związanych prześcieradłach, pościgi, skorumpowanych policjantów i gwiazdy mające najlepsze lata za sobą, w związku z czym gotowe na wszystko. Konwencja już dawno mi się znudziła, cóż jednak poradzić, wytrenowana przez tysiące godzin pisania wyobraźnia jest jak kawaleryjski koń, zrywający się do biegu na dźwięk trąbki, więc myślę i myślę, przy okazji trenuję uszkodzony mózg, choć to sztuka dla sztuki, zresztą kiczowata, na poziomie kursantek z lekcji kreatywnego pisania.

W ciągu dnia moim zasadniczym zajęciem jest opracowywanie kodu, za pomocą którego będę porozumiewał się ze światem. Świat przemawia do mnie naturalnym językiem: słowem, gestem, obrazem, ja nie mam takich możliwości. Muszę podnosić prawą dłoń, by pokazać, że oślepia mnie światło, rozcapierzać w różnych konfiguracjach palce, aby uzmysłowić personelowi, że za głośno gra telewizor albo czas podać kaczkę czy basen. Fizjologia to krępująca sprawa, podobno można się przyzwyczaić do publicznego załatwiania problemu, ja nie potrafię, żądam mężczyzny, myśl, że mogłaby wokół tych spraw chodzić kobieta, jest nie do zniesienia. Personel jest chętny do nauki, mrugam, wykrzywiam usta, pokazuję na palcach, a oni coraz lepiej mnie rozumieją, zwłaszcza pewien młody człowiek, zawsze w dobrym humorze, zawsze skłonny do nadprogramowego poprawienia poduszki, pocieszające, że istnieją jeszcze samarytanie.

W przerwach między myśleniem jestem obstawiony specjalistami, Stary Lew dotrzymuje słowa, kazał wcisnąć gaz do oporu, rano neurologopeda, potem fizjoterapeuta, po nim usprawniacz, następnie poprawiacz, na końcu

ulepszacz, wreszcie nastaje wieczór, kiedy jestem tak wyczerpany, że zapadam w sen, nim zdołam opaść na poduszkę. Lewa strona ciała, łącznie z lewą stroną twarzy, odmawia współpracy, walczy, stawia opór, nie chce poddać się ani zabiegom, ani mojej woli. Specjaliści wyciskają ze mnie siódme poty i postępy jednak są. Po wielu godzinach prób udaje mi się wymówić: „zupa”, nie wiadomo czemu akurat ten rzeczownik, bo zup ani nie lubię, ani nie jadam, ani o nich nie myślę. Mówię więc: „zupa” i jestem rozumiany, wszyscy się cieszą, ogólnonarodowa euforia, nagłówki w gazetach, czołówki dzienników telewizyjnych, specjalne depesze wywiadu nie mówią o niczym innym. Dziwne to, myślę swobodnie, choć prawdą jest, że czasem nie na temat, nadal jestem tym samym człowiekiem, szczycę się niemałym zasobem słów, umiem poprawnie, a nawet niekiedy błyskotliwie konstruować zdania, akapity i całe rozdziały, wymówić jednak nie potrafię niczego ponad czteroliterowe słowo. Stary Lew wypowiada się na ten temat oszczędnie i raczej naukowym językiem, chyba nie chce, bym zrozumiał, ile pracy przede mną, żebym nie stracił wiary i zachował siły na długi marsz. Tyle odgadłem z jego barokowych, usianych piękną łaciną ewokacji. Niepotrzebnie się profesor martwi: chcę opuścić przyjazne ściany i pożegnać życzliwych mi ludzi o własnych siłach. Więc ćwiczę i pracuję jak przykładny uczeń, choć nieostatnim powodem owej gorliwości jest fakt, że leżąc w bezruchu i oddając się myślom, niechybnie popadłbym w obłęd. Ten mechanizm jest znany i chyba spodziewano się, że wystąpi w moim przypadku, ponieważ jednym z pierwszych specjalistów, jacy do mnie zawitali, był psycholog, koniecznie chcący ze mnie wydobyć nastroje, smutki i melancholie. Pogoniłem go stanowczym stukaniem palców w ramę łóżka. Nie trzeba mi rozbierania psychiki na czynniki pierwsze. Przywrócenie sprawności ciała i aparatu mowy – oto czego oczekuję od siebie i innych. Popełniłem błąd, o czym za chwilę.

Często patrzę na zdjęcie, które przyniosła Zosia. Jest czarno-białe, bardzo ostre. Wykonał je prawie dwadzieścia lat temu znajomy fotograf na ple-

nerowym festiwalu, na którym omal nie straciłem oka. Wielka scena, efektowna scenografia, ściana wzmacniaczy, potężne nagłośnienie. Reflektory punktowe wydobywają z półmroku dwie postacie: stojącą po prawej strony sceny Gwiazdę Alternatywy z otwartymi ustami i bliżej środka mnie, z gitarą na szyi, sińcem wielkości pięści na twarzy i uniesionymi w górę rękoma. Pamiętam ten moment; właśnie skończyliśmy ostatni utwór. Tłum fanów pod sceną wznosi dłonie, żywioł, jakby człowiek patrzył na wzburzone morze, coś krzyczę do mikrofonu, wyglądam jak prorok, który przybył, by zwiastować prawdę. To był prawdziwy, krwawo wywalczony triumf, opowiadałem o nim. Nigdy przedtem i nigdy potem nie czułem takiej adrenaliny. Emocje siedziały we mnie przez tydzień, wspomnienia tkwią do dziś, choć niebawem od tej nocy minie dwadzieścia lat. Zagrałem kilka setek koncertów, niektórych bardzo udanych, występowałem na festiwalach transmitowanych na żywo przez telewizję, grałem plenery na sto tysięcy ludzi, grałem kameralne, klubowe koncerty z pięćdziesięcioosobową publicznością, gdzie musiałem uważać, aby najbliżej siedzącego fana nie uderzyć w głowę gryfem od gitary, tak było ciasno. Zaliczyłem dywizję fanek, groupies i zwykłych, spragnionych przygód nastolatek, możliwe, że kilkakrotnie zostałem ojcem, dwa czy trzy razy musiałem uciekać przez okno, ratując się przed zemstą rozwścieczonego chłopaka lub męża mej jednorazowej kochanki. I nic nie przebije tamtego wieczoru, który zaczął się jak najgorszy koszmar, przez jakiś czas pachniał gigantyczną katastrofą, a zakończył się stanem, który chyba mogę porównać do religijnego uniesienia, przynajmniej jeśli chodzi o moje myśli i odczucia.

W szczytowym momencie kariery miałem pięć gitar, na których potrafiłem naprawdę nie najgorzej grać, nie był ze mnie żaden Eddie van Halen, ale nie musiałem się wstydzić. Obok gitar w moim małym mieszkanku stała niedroga, ale przyzwoitej jakości klawiatura firmy Yamaha, automat perkusyjny Rolanda, kilka efektów i czterośladowy magnetofon. Gdy zacząłem pisać, jeszcze próbowałem żyć na dwa fronty; po wpadce z upiciem się

w towarzystwie Wojtka i moich młodszych córek, co omal nie skończyło się tragedią, sprzedałem wszystko, sporo zresztą na tym tracąc, bo chciałem to zrobić szybko. Helena protestowała, mówiła, że lubi, jak gram, żebym zostawił choć jedną gitarę, abym czasem mógł oderwać myśli od bohaterów, fabuł i narracji. Nie słuchałem, chciałem się radykalnie i na zawsze odciąć od starego życia, uparłem się bezrozumnie, wyrzuciłem wszystkie nagrania, łącznie z autorskimi egzemplarzami CD z dwiema wydanymi płytami, w domu została tylko cudza muzyka. Potem oczywiście złość na samego siebie mi przeszła, częściowo udało się odtworzyć dorobek, choć, jak na ironię, bardzo dobrej jakości nagranie z owego triumfalnego plenerowego koncertu na zawsze zniknęło w mroku dziejów. Przez wiele lat uważałem, że rzucenie grania i pozbycie się rojeń o uprawianiu zawodu rockendrollowca było decyzją równie trafną, co zaproponowanie Helenie małżeństwa. O ile tego drugiego nadal jestem pewien, a może – ponownie jestem pewien, to pierwsze postanowienie uważam za błąd. Nie zrozumcie mnie źle, oczywiście nie chciałbym być zawodowym, występującym na scenie muzykiem. Jeszcze w moim wieku to na ogół ujdzie, ale nieco starsze pokolenie szarpidrutów chyba nie bardzo zdaje sobie sprawę z własnej śmieszności. Nie ma nic bardziej żałosnego niż potrząsający wyblakłym wspomnieniem po dawnej fryzurze brzuchaty facet, na ogół odcinający kupony od minionej chwały, bo nie jest w stanie skomponować niczego choćby zbliżonego poziomem do piosenek sprzed dwudziestu lat, który mizdrzy i przymila się do publiczności w wieku swoich wnuków. Ludzie są w przerażającym stopniu pozbawieni samokrytycyzmu. Ja spaliłbym się ze wstydu. Owszem, funkcjonują w branży pojedynczy artyści, którzy nie stracili ani włosów, ani, co znacznie ważniejsze, ognia i nadal wyglądają, śpiewają i grają dobrze, przede wszystkim zaś mają coś do powiedzenia, a ich koncerty są elektryzującymi wydarzeniami. Ci ludzie stanowią jednak wyjątki i należy o nich mówić nie inaczej jak o wyjątkach, trudno na powoływaniu się na wyjątek

budować przyszłość, gdy jest się już za linią wyznaczającą wiek średni, o dojrzałym nie wspominając.

Nie o to więc chodzi, że chciałbym występować na scenie, uprawianie rocka jest w moim przekonaniu atrybutem młodości. Po tylu latach nadal nie jestem pewien, gdzie się rodzą dźwięki, powiedzmy, że to wszystko jedno. Ale porzucenie radości, jaką daje komponowanie, układanie zasłyszanych w umyśle czy duszy nut, dreszczy przechodzących po ciele, gdy pojawia się coś z niczego i płynie, i niesie, i daje radość, uważam za ogromny błąd. Wróciłem do tego, owszem, kupiłem wysokiej klasy sprzęt, zresztą przy dzisiejszej technice nagrywania cyfrowego wszystko jest znacznie tańsze i nieporównanie bardziej dostępne niż w czasach, w których grałem. I doszedłem do wniosku, że jeszcze coś we mnie siedzi, jeszcze tli się iskierka, z której potrafię rozdmuchać ogień, jeszcze w głowie układają się barwy i brzmienia. Komu jednak miałaby być potrzebna moja muzyka?

Gdy rozpoczęły się zdjęcia do serialu napisanego na podstawie „Zimy”, próbowałem sprzedać Nancy swoją wizję ścieżki muzycznej. Z zainteresowaniem wysłuchała dwóch próbek, powiedziała, że ładne, po czym zatrudniła za ogromne pieniądze kompozytora z nazwiskiem. Nie miałem pretensji. Wtedy jeszcze nie traktowałem powrotu do krainy dźwięków jako drogi do naprawy czegokolwiek, dobrze mi było w świecie celebrytów, szybkich samochodów i łatwych pań dostępnych od ręki w każdym rozmiarze i kolorze.

Po tygodniu od operacji wpadłem w zwiastowany przez psychologa czarny pesymizm.

Nie spodziewałem się go, robiłem postępy, repertuar słów wzrósł do dziesięciu, prawa dłoń potrafiła reagować na polecenie mózgu i pisać esemesy, a także klikać pilotem, nie byłem więc zdany na gust i humor salowych i pielęgniarek, jeśli chodzi o dobór programów telewizyjnych, dobre i to. Helena była u mnie już dwa razy, panowała normalna, rodzinna, domowa wręcz atmosfera, córki wpadały co dzień, nawet buntowniczka Zuzia

najwyraźniej doszła do wniosku, że chociaż nie umarłem, w związku z czym tymczasowo nie dosięgnie mnie najcięższa kara za grzechy, niedowład jest jakąś formą zadośćuczynienia i przychodziła, by napawać się widokiem taty-niedojdy.

Jestem oczywiście niesprawiedliwy, w rzeczywistości Zuzia martwi się jak reszta i życzy mi szybkiego powrotu do zdrowia, co solennie obiecuję zarówno jej, jak i wszystkim innym. Przez mój skromny pokoik przewija się korowód znajomych i kontrahentów. Przyszedł nawet Wieteska, był nader poważny, starał się, jak mógł, prowadził konwersację w sposób maksymalnie neutralny, przy czym rzeczownika „konwersacja” używam nieco na wyrost, jego pierwsza wizyta wypadła w czasach, gdy mówiłem wyłącznie „zupa”, siłą rzeczy była więc nieco jednostronna. Za to on ględził za dwóch: o swoim synu, który zachowywał się zaskakująco dojrzale i przysięgał na wszystkie świętości, że zerwał na zawsze ze złym towarzystwem, o pozdrowieniach przysyłanych przez branżę, z Szumskim i Tyszkiewiczem na czele; o postępach, jakie czyni Zuzanna; wskutek decyzji Nancy o zerwaniu współpracy nad serialem zwolniona z obowiązku poprawiania treatmentów, skupiona jedynie na powieści, przysłała po kilku dniach dwudziestostronicowy fragment, którym wszyscy zgodnie się zachwycili. Naśladownictwo mojego stylu było niemal idealne, kopia nie do odróżnienia; Zu wprowadziła nawet pewne subtelne stylowe modyfikacje, kipiała pomysłami, zgłaszała też sugestie poprawek dotyczących pierwszej, napisanej jeszcze przeze mnie części.

Kiwałem głową, mówiłem „zupa” i bezskutecznie starałem się wywołać w sobie zainteresowanie tematem. Przyjmowałem do wiadomości, że Zuzanna sobie radzi, nie stanowiło to zresztą dla mnie zaskoczenia, ale cała sprawa wydała mi się nader odległa. Byłem unieruchomiony, załatwiałem się z pomocą pielęgniarza, nie mogłem mówić, siłą rzeczy niewiele mnie obchodziła nowa książka. Wieczorem, przed zaśnięciem, wpadałem w przygnębienie, czułem się nikomu niepotrzebny, czarne myśli robiły się coraz

czarniejsze. Gdy siódmej czy ósmej nocy po operacji odzyskałem sprawność na tyle, by logicznie myśleć, leżałem w ciemności i zastanawiałem się nad wydarzeniami ostatniego roku.

Doszedłem do wniosku, że jedyne, co czuję, to zmęczenie. Gdybym nawet opuścił klinikę Starego Lwa chyżym kłusem na własnych nogach i był w stanie pracować, nic nie zmusiłoby mnie do pisania kryminałów. Ten rozdział miałem już za sobą. Potrzebowałem nowego otwarcia, ale nie robiłem żadnych planów, rozumna ostrożność, całkowicie w mojej sytuacji uzasadniona, potem dopiero doszedłem do wniosku, że wynikająca z niewiary w odzyskanie sił. Mój plan obejmował najbliższe godziny, dni najwyżej. Śniadanie – piątego dnia zacząłem jeść samodzielnie, co za ulga – masaż, rehabilitacja, lekki lunch, zajęcia z logopedą, zajęcia w basenie, obiad, kolejny masaż, kolacja. Neurolog ostrzegł mnie, że mogę mieć tendencje do zapominania i powtarzania się, wynikające z zaburzeń pamięci krótkotrwałej; rzeczywiście, zdarzało mi się nie pamiętać, co pomyślałem lub zrobiłem pięć minut wcześniej. Zacząłem więc rozwiązywać krzyżówki i specjalne testy, uporczywie, przez silną wolę, bo wszystko we mnie krzyczało, że to nie ma sensu. Wszystko było trudne, a z natury jestem człowiekiem niecierpliwym, szybko łaknącym rezultatów.

Dziesięć dni po operacji budzę się wcześnie, około szóstej. Szpital jeszcze drzemie, jeszcze znajduje się w trybie nocnym, jeszcze zbiera siły przed kolejnym pracowitym dniem. Dzień jest chmurny, zimny, wietrzny, po słonecznej pogodzie nie został ślad, za chwilę październik, prawdziwa jesień już blisko, nie lubię tej pory roku, napawa mnie nieokreślonym smutkiem, gdybym tylko mógł, wyjeżdżałbym gdzieś, gdzie ciepło, bezchmurnie i piaszczysty brzeg morza. Wczoraj nastąpił przełom. Mały palec lewej nogi zareagował na bodziec. Dźgnięty przez terapeutę poruszył się o centymetr lub dwa, a mnie się wydawało, że czuję, jak się rusza. Wszyscy zgodnie uznali to za sukces, łącznie ze Starym Lwem, wezwanym przez rozradowanego specjalistę. Prawda docierała do mnie przez kokon zobojętnienia. Ow-

szem, pracowałem jak szalony, powtarzałem po wielokroć zadane ćwiczenia, rozwiązywałem te diabelne krzyżówki, ale czerń pogłębiała się, czułem się coraz gorzej. Doszedłem do wniosku, że na zawsze zostanę zamknięty w półpancerzu, że moja egzystencja przekształci się w zwykłą, banalną walkę o byt, krzątanie się wokół trosk podstawowych w rodzaju załatwiania potrzeb fizjologicznych, zorganizowania osoby, która zrobi mi zakupy, że o zapewnieniu środków na życie nie wspomnę. Nabrałem pewności, że z człowieka sukcesu stanę się rencistą zdanym na łaskę innych. Starając się myśleć racjonalnie, zrobiłem przegląd osób, na których pomoc mógłbym liczyć. Wnioski spowodowały, że zły nastrój wszedł na jeszcze niższy poziom.

Jestem sam. Nie mam nikogo, z kim mógłbym poważnie porozmawiać. Z Heleną? Oczywiście. Kiedyś. Teraz już nie. Nie mam prawa o nic jej prosić, obciążać swoimi problemami, choć jestem jakoś przekonany, że nie odmówiłaby. Z Zosią? Tak, za dwa–trzy lata Zosia będzie dla mnie wsparciem, dziś jest jeszcze nastolatką. Julka i Zuzia są jeszcze dziećmi i tak powinno pozostać, na pewno nie chciałbym im odbierać dzieciństwa. Wieteska? Śmiech i wolne żarty. Ekspert od sprzedaży i łamania oporów kupujących, wybitny znawca kobiecych ciał i technik kopulacyjnych, słaby życiowo, beznadziejny ojciec, w gruncie rzeczy socjopata. Jednorazowa pomoc, owszem, ciągły trud na pewno nie, sam bym zresztą nie chciał, aż się wzdragam na myśl o codziennym pobycie Wieteski w moim domu.

Ewelina Krüger? Jasne, tyle że wymagania intelektualne cioteczki czynią ją rozmówcą hermetycznym, a przedwojenne maniery i standardy trochę jednak nie nadążają za współczesnością, choć po prawdzie wolałbym, żeby współczesny świat był bardziej jak Ewelina niż odwrotnie. Ciotka jest osobą wiekową, pomoc, choć niewątpliwie by jej udzieliła, byłaby ograniczona, ciocia w gruncie rzeczy sama potrzebuje pomocy. Szumski? Tyszkiewicz? To tylko partnerzy biznesowi, nie należy o nich myśleć inaczej, choć są najprawdopodobniej przyzwoitymi ludźmi.

Maria Czerska? Tak, Maria jest poważną kobietą, zapewne wyposażoną w zestaw pożądanych cech, rozum, dobroć i silną wolę, ale przecież to obca osoba. Zapewne w poprzednim życiu podobałem jej się, co jednak powiedziałaby teraz? Poza tym: jakie mam prawo wymagać, by przyjęła na swe barki ciężar przynależny do mnie? Absurd.

Jakiś daleki znajomy, którego nieszczęśliwie zapomniałem wyrzucić z książki adresowej, przysyła mi link do artykuliku na portalu plotkarskim. Nie muszę go czytać, wystarczy rzut oka na nagłówek „Słynny pisarz Jerzy Grobicki, niedawny główny bohater skandalicznego filmu, teraz leży w szpitalu!!!”. Tak właśnie, trzy wykrzykniki na końcu. A pod spodem cztery zdjęcia przedstawiające mnie na łożu boleści. Wyglądam na nich jak smutny diabeł, mętnym wzrokiem patrzący w ścianę. Czy Maria Czerska zaadoptowałaby smutnego diabła, po niepowodzeniach małżeńskich zaryzykowałaby jeszcze raz dla obcego faceta bez pieniędzy, pespektyw i pomysłu na siebie? Pytanie retoryczne.

Jestem sam, a moje aktywa sprowadzają się do trzech nagranych niedawno kawałków, których przeznaczenie pozostaje zagadką nawet dla mnie, i ambitnej powieści, szczęśliwie ukończonej, zanim manipulacje Starego Lwa uczyniły ze mnie zamknięte w półpancerzu półnieme i półślepe warzywo. Choć czuję się źle, na myśl o powieści chce mi się śmiać. Nie wiem, na co liczyłem. Szumski podczas niedawnej wizyty oświadczył, że dawno nie czytał lepszej literatury, twierdził, że naprawdę mu zaimponowałem rozmachem narracji i błyskotliwością sformułowań, by skonkludować swe obszerne wywody obawą, podaną w delikatny i zawoalowany sposób, że rynek nie do końca będzie przygotowany na moje dzieło. On to oczywiście wyda, z wielką przyjemnością, przeprowadzi szeroką akcję promocyjną, nie poskąpi środków na twardą okładkę i piękny papier. Ale za wyniki nie ręczy.

Otóż to. Wpadłem na to sam już wcześniej. Rynek nie spodziewa się po mnie dzieł ambitnych i głębokich. Rynek chce, bym dał mu „Wiosnę”,

„Lato” i „Jesień”, a potem zaspokoił kolejnymi sensacjami, szybko, byle szybciej, jeśli się da, to i cztery razy na rok, premiera niech goni premierę, z tymi samymi bohaterami, niezmiennymi i dzielnymi, śmiesznymi i swojskimi, wszystko naraz, jak w diabelskim tyglu. Rynek ma swój rozum i kalkulację, obowiązuje specjalizacja, piszesz kryminały, jesteś w nich dobry, to pisz, choćbyś miał serdecznie dość, pisz, choćbyś miał umrzeć nad klawiaturą, czytelników nie obchodzą twoje niechęci i idiosynkrazje. Ja chcę mieć swobodę twórczą, chcę dokonywać zmian i wolt, rynek każe mi trzymać się raz wyznaczonej linii, odstępstwa ukarze szyderczymi recenzjami i śladową sprzedażą, w najlepszym razie pozostanie obojętny. Jestem naiwny, po piętnastu książkach sprzedanych w kilku milionach egzemplarzy grzeszę chłopięcą naiwnością, mam w sobie jakąś dziewiętnastowieczną wiarę, że literatura jest czymś więcej niż towarem, kontentem, treścią zapełniającą serwery, dobrze, jeśli nie pirackie. Lubię czytać, sporo czerpię z czytania, co, jak się okazuje, jest ciężarem i przeszkodą w normalnym, rynkowym funkcjonowaniu. Powinienem się pozbyć naiwności, dla swojego dobra, powinienem na równi pracować nad przywracaniem sprawności ciału i poglądami na świat, nad moimi powinnościami życiowymi w szczególności; naiwność nie jest cechą pożądaną u mężczyzny w moim wieku.

Dzień biegnie za dniem, pomysłów na przyszłość brak, terapeutyczne postępy powolne, październik ma się ku końcowi, dni krótkie, nim wrócę z kolejnej porcji rehabilitacyjnych tortur, noc zaleje świat. Stary Lew wyraża umiarkowane zadowolenie. Półpancerz jest twardy niczym z tytanu, stawia szaleńczy, fanatyczny opór, ale w końcu, milimetr po milimetrze, zaczyna oddawać pole. Niedowład ustępuje. Odzyskuję czucie najpierw w nodze, potem w dłoni, w końcu w całej ręce. Stawiam chwiejne i niepewne kroki. Potrafię wypowiedzieć zdanie złożone z trzech lub czterech wyrazów. Jem samodzielnie. Chodzę do toalety. Własnoręcznie używam maszynki do golenia. Sukces.

– Panie profesorze – dukam pewnego razu, gdy siedzimy u niego w gabinecie, otoczeni wynikami badań, prześwietleniami i rezonansami. – Musimy porozmawiać o pieniądzach.

Kładzie dłoń na mojej dłoni.

– Panie Jerzy, pańskim zadaniem jest skupienie się na powrocie do zdrowia – mówi z namaszczeniem. – Niech się pan nie martwi pieniędzmi.

Kręcę głową. Jestem tu od ponad sześciu tygodni. Koszty mojego pobytu już dawno przekroczyły sumy gwarantowane w abonamencie. Profesor Kurcewicz jest sympatycznym człowiekiem i na pewno świetnym fachowcem, ale nie pracuje dla idei. Klinika ma zarabiać. Nowe asystentki muszą dostawać pensje. A ja nie znoszę mieć zobowiązań nawet wobec bliskich, o starych lwach nie wspominając.

– Jestem panu sporo winien – odpowiadam.

Mam problem z oceną, czy mówię zrozumiale. W moich uszach brzmię raczej jak bełkoczący, śliniący się idiota. Ale Lew wszystko pojmuje, Lew jest cierpliwy, Lew docenia wysiłki.

– Nic mi pan nie jest winien – zapewnia mnie solennie.

Coś mi się nie podoba w jego spojrzeniu. Profesor Kurcewicz mówi prawdę, ale coś za nią stoi.

– Niemożliwe – zaczynam, ale natychmiast kończę na widok wzniesionej profesorskiej dłoni.

– Panie Jerzy, to nie jest temat, który powinien pana zajmować – tłumaczy z naciskiem. – Musi się pan skupić wyłącznie na rehabilitacji.

– Muszę wiedzieć, na czym stoję – mówię, ćwicząc się w zawieraniu długich myśli w krótkich zdaniach. Dotychczas tylko w ten sposób pisałem.

Stary Lew nie chce dalej dyskutować, najwyraźniej uważa temat za zamknięty. Brakuje mi argumentów, może dlatego, że jest późno, mam za sobą całodzienną porcję ćwiczeń, masaży, gimnastyk i wprawek do normalnego życia. Zostaję sam, znów sam, nowa rzeczywistość, choć półpancerz

zamienia się pomału w ćwierćpancerz, niedługo może przy odrobinie szczęścia zniknie zupełnie. Co nastąpi później? Nadal nie mam pojęcia.

Przed wpadnięciem w objęcia Starego Lwa, Wąsika Mailerta, siostry Barbary i reszty plan był sprecyzowany. Jeśli przeżyję operację, zachęcony pozytywnymi recenzjami krytyków, entuzjazmem wymagających czytelników oraz przyzwoitymi wynikami sprzedaży, zacznę pisać kolejną książkę należącą do literatury pięknej. Poważnie również zabiorę się do komponowania, moje znajomości w światku filmowym nie są najrozleglejsze w kraju, ale znam kilku sensownych producentów, starających się poważnie wykonywać swój zawód. Zaproponuję im muzykę do filmu, uprzednio spędziwszy sto albo dwieście godzin w mym domowym studiu, pokażę próbki napisane w różnych stylach i nastrojach. Pieniędzy w tym wielkich nie ma, ale na życie wystarczy. Na rynku panuje oczywiście wielka konkurencja, biegłych kompozytorów muzyki filmowej jest sporo, ale wierzę w siebie, mam do zaproponowania coś, czego nie ma nikt, mam zapał debiutanta, budowanie od początku całkiem mi się podoba, wywołuje dawno niewidzianą energię. Teraz straciłem wiarę, że plan ma jakikolwiek sens. Muzykę można kupić wszędzie, są całe magazyny utworów, tysiące anonimowych wyrobników obeznanych z komputerami dzień i noc produkują kawałki w dowolnym stylu i tempie. Ludziom to wystarcza, automatyzacja obejmuje każdą dziedzinę życia, wszystko upakowane pod gust przeciętnego odbiorcy, a to przeciętny odbiorca płaci, w związku z czym wymaga, a nie wymaga niczego ponad to, co zna i co gładkie, a także ładnie opakowane. Co gorsza, brak mi siły napędowej koniecznej do rozpychania się łokciami, do wyszarpywania okrawków wspólnego tortu, albowiem resztki tego, co niegdyś we mnie tkwiło, użytkuję na borykanie się z takimi sprawami, jak wkładanie spodni czy mycie zębów.

Więc zero. Okrągłe zero.

W tym stanie, leżącego na wznak z dłońmi splecionymi za głową, zastaje mnie Helena. Jest sama, bez dzieci, i ma poważną minę.

– Dobrze wyglądasz – mówi, zlustrowawszy mnie spojrzeniem, które niegdyś dobrze znałem i bardzo go nie lubiłem.

– Dziękuję – mruczę w odpowiedzi.

– Słyszałam, że jutro wychodzisz – ni to pyta, ni stwierdza.

– Podobno.

– Nie zamawiaj taksówki – zarządza. – Odwiozę cię.

Teraz ja patrzę na nią uważnie. Umówiłem się już z Wieteską. Nie chciałbym zgadywać, jaki interes ma Helena w odwożeniu mnie do domu.

– Nie chcę sprawiać kłopotu.

– Żaden kłopot.

Wygląda bardzo ładnie, nigdy chyba nie widziałem jej ładniejszej. Dostrzegam pierwsze siwe włosy, zmarszczki wokół oczu i ust, kilka drobnych plamek na skórze dłoni. I niczemu to nie przeszkadza, jest idealnie zharmonizowane z osobowością, urokiem, charakterem. Mogę sobie szczerze pogratulować. Patrzyłem na Nancy, zachwycając się, że będzie świetnie wyglądała za dwadzieścia lat, bez konieczności zabiegów upiększających. Obserwowałem dziesiątki kobiet w najróżniejszych sytuacjach, dumając, co uczyni z nimi czas, i niektórych szczerze żałując. Kolekcjonowałem okazy zdrowe i naturalne, w jakimś idiotycznym wyścigu z biologią. Miałem satysfakcję, że kobiety z defektami mogę niezwłocznie wymienić na kobiety bez defektów. Nie dostrzegałem natomiast tego, co najbliżej, oślepłem na prosty fakt, że uczucie do osoby, której przysięgałem przed ołtarzem wierność do grobowej deski, może przezwyciężyć wszelkie defekty, ułomności i naturalne procesy biologiczne. Zresztą – Helena mogłaby kupić wszystkie kobiety, z którymi obcowałem, i zostałoby jej sporo reszty.

Muszę wyglądać na roztargnionego, bo moja żona przywołuje mnie do porządku.

– Słyszysz mnie? O dziewiątej bądź gotowy – nakazuje.

– Tak – mamroczę. – Zapłaciłaś za rehabilitację – stwierdzam.

Helena wzrusza ramionami.

– Nie ma o czym mówić – paruje. – Taka była umowa.

– Zapłacę sam – oponuję.

Helena patrzy na mnie. Nie dostrzegam w jej spojrzeniu gniewu ani satysfakcji, jest w nim natomiast pozbawiona emocji stanowczość, nowa nuta w repertuarze.

– Nie jesteś nikomu nic winien – oznajmia, po czym wstaje.

Chcę jeszcze protestować, ale ona ściska moją dłoń prawie do bólu, nachyla się i mówi z naciskiem:

– Nie jesteś nikomu nic winien.

I już jej nie ma.

Pilotem gaszę górne światło, ponownie wkładam dłonie pod głowę, słucham targającego drzewami wiatru. Klinika odpoczywa, zbiera siły do jutrzejszej pobudki, nocny personel mości się na stanowiskach. Moje życie staje się jednowymiarowe. Odkąd obudziłem się z narkozy i zacząłem logicznie myśleć, wyobrażałem sobie jutrzejszy dzień. Z minutową dokładnością rozpisywałem plan działań. Ściskanie Starego Lwa, podziękowania dla Wąsika, siostry Barbary i innych, krótka jazda samochodem, winda, zgrzyt klucza w zamku, znajome kąty, relaks przy herbacie wśród akompaniamentu dźwięków muzyki, rozpakowanie walizki, pranie i prysznic, by ostatecznie pozbyć się zapachu szpitala tkwiącego w zakamarkach ciała i garderoby. Ożywczy, dwunastogodzinny sen, po czym nowy dzień, staranna krzątanina, uważne przyglądanie się drobiazgom, odpowiedzialność, spokój, dojrzałość, całkowity brak pośpiechu. Byłem naiwny, jak widać operacja nie wyleczyła mnie z tej przykrej przypadłości. W gruncie rzeczy jestem inwalidą, mam pewność, że nigdy nie odzyskam dawnej sprawności fizycznej. Poruszam się o lasce, bacząc przy każdym kroku, bym nie stracił równowagi. Wejście po schodach zajmuje wieki. Rozbieranie i ubieranie się wymaga wysiłku równego przepłynięciu Atlantyku. Myślę wolno, często zapominam o najprostszych rzeczach, bardziej skomplikowane zdania na ogół nie chcą ułożyć się w logiczny ciąg, a o wyartykułowaniu ich w ogóle mowy nie ma.

Idea pracy twórczej, uruchomienia wyobraźni, tego najważniejszego atrybutu pisarskiej kreatywności, wzbudza we mnie gorzki śmiech. Zresztą – co miałbym tworzyć? Na jaki temat? Dla kogo?

Wyjmuję spod poduszki telefon, wybieram numer Wieteski, który oczywiście nie śpi, zajęty piciem i rozpustą.

– Cześć – wita mnie bez zbytniego entuzjazmu.

– Pojadę z Heleną – informuję go.

Powinienem powiedzieć, że dziękuję mu za chęć pomocy, ale nie musi po mnie przyjeżdżać, jednak to zbyt długie zdanie o zbyt skomplikowanych słowach, więc przechodzę od razu do rzeczy. Brzmię obcesowo, z Wieteską ujdzie, zobaczymy, jak będzie w kontaktach z innymi.

– O! – kwituje, jednak odrobinę się dziwiąc. – Coś mi się zdaje, że to dobra wiadomość.

– Raczej nie – odpowiadam.

Milczymy. Czuję, że chce mi coś zakomunikować, być może miał zamiar zrobić to jutro, podczas jazdy.

– Nie wiem, jak ci powiedzieć… – Waha się.

A więc jednak usłyszę złe wieści.

– Po prostu – mówię.

Zamykam oczy. Lewe nadal lepiej czuje się w ciemności. Ja również coraz lepiej czuję się w ciemności.

– Rapacka wycofała ofertę serialu – wydusza z siebie.

Dłubię w pamięci, szukam odpowiednich skojarzeń. Mam kłopoty z pamiętaniem nazwisk i dopasowywaniem ich do konkretnych osób. Po dłuższej chwili trybiki zazębiają się. Ach tak. Małgorzata Rapacka, dyrektor programowa jednej z największych stacji telewizyjnych. Rozmawialiśmy o napisaniu specjalnie dla nich serialu premium, przeznaczonego do dynamicznie rozwijającego się serwisu internetowego.

– Nie mogła poczekać? – pytam.

– Widziała twoje zdjęcia ze szpitala – odpowiada. – Doszła do wniosku, że nie dasz rady. Trzy godziny ją namawiałem. Myślałem, żeby powtórzyć numer z Zuzanną. Ale cipa się uparła, że to za duże ryzyko.

– Ma rację.

– Nie ma racji – wścieka się Wieteska. – Nikt nie pisze lepiej niż ty.

– To już nieaktualne – stwierdzam.

Nie zwraca na mnie uwagi.

– Powiedziałem, że może zapomnieć o kupnie praw do „Wiosny” – mówi. – Niech się trochę pomęczy.

– Jutro też jest dzień – ripostuję.

Nie wie, jak to rozumieć.

– Nie wiadomo, co będzie jutro – mówi. – A to był konkret.

– Coś jeszcze?

– Ktoś rozpuszcza ploty na twój temat – oznajmia. Po raz pierwszy słyszę w jego głosie zniechęcenie. Wieteska ma skórę nosorożca, ale nawet taką skórę można przebić, jeśli się uderza długo i mocno. – Poszło info, że miałeś operację, a mimo to „Wiosna” ukaże się w terminie, chociaż na pewno nie skończyłeś jej przed pójściem do szpitala.

– Muszę kończyć – mruczę.

– Nie interesuje cię to? – pyta oburzony.

Usiłuję wzruszyć ramionami. Wychodzi nieporadnie, a telefon o mało nie wypada z dłoni. Na korytarzu podniesione głosy. Przywieziono jakiegoś nieszczęśnika z wylewem krwi do mózgu. Ktoś krzyczy, że trzeba koniecznie wezwać Starego Lwa. Słyszę kobiecy płacz. Pielęgniarka próbuje kogoś przekonać, że wszystko będzie dobrze. Nawet do mojego azylu dociera atmosfera grozy, przerażenia, chaosu.

– Dobranoc – mówię.

– Cześć – odpowiada Wieteska.

Wiem, że chciałby jeszcze pogadać. Z pewnością nas to czeka – poważna rozmowa agenta ze swoim najważniejszym klientem. Co dalej? Jaka ko-

lejna książka? Kiedy? Czy idziemy z Amerykanami do sądu? Czy szukamy innego niż Tyszkiewicz partnera na audiobooki? Jak reagujemy na plotki?

Na wszystkie pytania jedyna uczciwa odpowiedź brzmi: nie. Nie będzie kolejnych książek, ani teraz, ani później. Nie pójdziemy z Amerykanami do sądu. Nie będziemy szukać innych partnerów. Nie zareagujemy na plotki, które, pozbawione paliwa, wygasną same. Ponieważ czekają nas wyłącznie zaniechania, rozwiążemy łączącą nas umowę, w jej miejsce Wieteska podpisze umowę z Heleną, by zarządzać w jej imieniu masą upadłościową po mojej twórczości i wyciągnąć, ile się da. Nie umarłem co prawda, moja żona nie zarobi na śmierci, ale nazwisko Grobicki jeszcze przez rok będzie sporo warte, nawet jeśli nie będę niczego publikował. Później rzecz jasna gwiazda zacznie blaknąć, by w końcu zniknąć zupełnie, przepadnie, jak tyle innych przede mną i tyle innych po mnie. Na myśl, że tak się stanie, czuję ulgę. Nadal nie mam planu „B” ani palącej potrzeby wymyślenia go. Wiem, czeka mnie praca nad nim, z tej choćby przyczyny, że muszę z czegoś żyć. Wchodzę na konto i widzę, że jego stan wynosi zero. Mam przed oczyma symbol ponownego startu, równe szanse dla wszystkich, zostałem takim samym bezradnym, zdezorientowanym przedstawicielem dwudziestopierwszowiecznej cywilizacji, jak inni. Nadal nie mam planu „B”.

Gaszę lampkę i zapadam w płytki, niespokojny sen. Śni mi się Hania, jedyna z moich uczennic, która zawitała w mym życiu na dłużej od jednorazowego spazmu. Ma na sobie obcisłą koszulkę i krótkie dżinsowe spodenki. Wygląda młodo i bardzo ponętnie, ale wiem, że nie zjawiła się, by mnie kusić i zwodzić. W ręku trzyma smycz, na której dostojnie maszeruje stary basior. Nie pokazuje tym razem kłów, nie wywala jęzora, nie przewierca mnie hipnotycznymi ślepiami, po prostu idzie przed siebie.

Rozglądam się. Na horyzoncie grań, którą widziałem wcześniej. Hania z wilkiem kierują się jednak w drugą stronę. Podążam za nimi, o kulach, ale dotrzymuję kroku, choć oboje idą szybko. Słońce pali, docieramy do oazy, pijemy wodę ze studni. Obok kryta słomą chata z bali. Hania wyciąga dłoń.

– Będziesz tu mieszkał – oświadcza.

– Sam? – pytam.

Wręcza mi smycz.

– On będzie ci towarzyszył – mówi, wskazując na wilka.

Dopiero teraz, z bliska, widzę, jak jest potężny. Sięga mi niemal do piersi.

– Boję się go – odpieram.

Hania uśmiecha się przeciągle, czuję niewyraźne echo jakichś niedawnych wzruszeń, których źródła nie jestem w stanie zidentyfikować.

– Jeśli będziesz postępował właściwie, nic ci nie grozi – mówi, po czym znika w niepojęty sposób, a ja w ostatnim mgnieniu widzę, że to wcale nie była Hania, a stara pomarszczona kobieta z długimi włosami białymi jak śnieg.

Basior siada, potem kładzie się. Czeka na mój pierwszy ruch. Idę niepewnie do chaty, kładę dłoń na klamce, drzwi otwierają się ze skrzypieniem…

Budzę się gwałtownie, od razu przytomny, całkowicie świadom niedawnych obrazów i dźwięków. Pamiętam i Hanię, i wilka, i starą kobietę, pustynię i grań, czuję na twarzy podmuchy wiatru, a pod stopami piach i kamienie. Symbolika tak natrętna, tak oczywista, że aż niesmaczna. Co chce mi powiedzieć moja podświadomość? Namówić do tworzenia prozy onirycznej? Czy przestrzec przed wyborem niewłaściwej drogi? Bzdury. Sam nie wiem, jakie mam drogi przed sobą, nie mogę wybrać niewłaściwej.

Czuję w powietrzu zapach kawy. Nachodzi mnie pragnienie tak przemożne, że nie jestem w stanie powstrzymać jęku. Jem w miarę normalnie, zmysł smaku powoli wraca do dawnej sprawności, zaczynam nawet odczuwać pierwsze przyjemności kulinarne. Mimo wszystko obowiązuje mnie dieta. Kawa do niej nie należy. Nawet nie wiedziałem, że tak za nią tęsknię. Już wiem, od czego zacznę pobyt w domu: od złamania stanowczego zakazu Starego Lwa. Jest ich szereg, jutro przed wyjściem dostanę długą na ło-

kieć listę szczegółowych zaleceń, nakazów i zakazów. Lew liczy na mój rozsądek i odpowiedzialność, apeluje, zaleca konsekwencję i upór, chwali za dotychczasowe osiągnięcia. Jest zręcznym dyplomatą, ale zależy mu również na moim dobru, może mnie po prostu lubi, albo, co bardziej prawdopodobne, relaksuje się przy moich książkach.

Rezygnuję z prób przekonania nocnej pielęgniarki, by przygotowała mi filiżankę espresso. Rano nie pamiętam o zapachach i pragnieniach. Po obchodzie wybieram zapisany w pamięci telefonu numer.

– Ciszę się, że pan dzwoni – chrypi w słuchawkę ksiądz Stanisław Krzeptowski. – Z pana telefonu wnioskuję, że operacja się udała.

– Prawie – odpowiadam. – Przepraszam, jeśli mówię niewyraźnie.

– Nie mówi pan, wszystko rozumiem.

– Chciałbym księdzu coś opowiedzieć – oznajmiam.

– Słucham.

– Leżałem na stole operacyjnym – mówię, szukając w myślach odpowiednich słów. – Były kłopoty… Myślę, że przez kilka minut nie żyłem.

Ksiądz Stanisław zastanawia się.

– Tak powiedział lekarz?

– Nie. To ja… – Waham się. – Widziałem się z zewnątrz. Byłem gdzieś wysoko, jakby pod sufitem. Widziałem siebie i lekarzy. I wszystko słyszałem. Potem… wróciłem.

– Tak pan to zapamiętał?

Skupiam się jeszcze mocniej. Moje wypowiedzi trwają godzinami, ale bardzo mi zależy, aby ksiądz mnie wysłuchał, uwierzył i zrozumiał.

– Byłem na zewnątrz siebie – oznajmiam. – Nie widziałem żadnego światła, nikt mnie nie wzywał. Ale na pewno oddzieliłem się od swojego ciała.

Dyszę ciężko, prawie mdleję po tylu wypowiedzianych zgłoskach. Aparat ślizga się w spoconej dłoni.

– A więc osobiście brał pan udział w wydarzeniu, które dowodzi, że życie nie kończy się wieczną ciemnością – mówi ksiądz.

Nie słyszę w jego głosie satysfakcji. Odkrywam rzeczy, które on wie, które nie mogą stanowić dla niego żadnego zaskoczenia, choć nie jestem pewien, co mówi oficjalna kościelna doktryna o szybowaniu nad salą operacyjną w momencie śmierci klinicznej.

– Chciałbym w to wierzyć – mówię.

– Synu, w twoim interesie jest, byś uwierzył – huczy ksiądz. – Świat jest opisany w Biblii. Wystarczy zajrzeć, przeczytać, uwierzyć, pokochać. Niech cię na razie nie interesuje śmierć, przecież nie umarłeś. Po prostu zaufaj Bogu i kieruj swym życiem zgodnie z Jego przykazaniami.

Kilka tygodni temu taka przemowa wywołałaby wzruszenie ramion i zakończenie połączenia. Ale dziś jestem niezwykle otwarty na pomocne wskazówki, strzałki wskazujące kierunek, kierunkowskazy wynurzające się z mgły.

– Pomoże mi ksiądz? – pytam.

– W każdej chwili, gdy tylko będziesz potrzebował, synu – oświadcza duchowny. – Ale przede wszystkim musisz pomóc sobie sam.

– Rozumiem.

Odkładam aparat, zaczynam się ubierać, nowy rekord, zszedłem z kwadransa do dwunastu minut, myślę o słowach księdza Stanisława, może kiedyś dowiem się, jaki wysiłek włożył w pracę nad sobą. Siostra Ewa po raz kolejny zapisała się złotymi zgłoskami w historii ludzkości, stawiając na mojej drodze tego człowieka. Gdy już umoszczę się w nowym życiu, na pewno chciałbym mu zadać kilka pytań. Czy można wykorzystywać Boga do prywatnych spraw? Czy za Jego pomocą godzi się konstruować plan „B”? Szukać wskazówek, czy postępować wedle własnej woli i rozumu? Gdzie szukać natchnienia czy choćby inspiracji?

Żegnam się z personelem, rehabilitantka żartobliwie grozi mi palcem, przez miesiąc będziemy się często spotykali, jest miła, ale jej dłonie przy-

pominają imadła, gotowe zmiażdżyć moje biedne kończyny w trosce o pełną sprawność. W gabinecie Starego Lwa spędzam dłuższą chwilę.

– Panie Jerzy, rehabilitacja przebiega dobrze – oświadcza. – Bardzo się cieszę, że udało nam się wspólnie opanować kryzys, wielka w tym pańska zasługa, dawno nie widziałem pacjenta z taką determinacją walczącego o powrót do zdrowia. Szczerze gratuluję. Ale musi pan nadal pracować, w dalszym ciągu wykazywać się dotychczasową konsekwencją.

Milczę, przebiegając wzrokiem po imponującej galerii wiszących na ścianie dyplomów, certyfikatów i wyrazów uznania. Profesor przygląda mi się z uwagą, w kieszeni pika esemes, pewnie Helena, muszę już iść.

– Proszę pamiętać, że jeżeli cokolwiek pana zaniepokoi, w każdej chwili, niezależnie od pory dnia, może pan do mnie zadzwonić – mówi z naciskiem. – Proszę pamiętać, że aspekt psychiczny jest równie ważny, co sprawność ruchowa. Mamy tu naprawdę doskonałych specjalistów…

Wstaję. Wyciągam rękę.

– Bardzo panu dziękuję – mówię. – Do widzenia.

Zostawiam go, wychodzę szybko, by nie miał czasu zareagować, powstrzymać mnie, namawiać, naciskać, przekonywać. Na razie mam dosyć towarzystwa życzliwych ludzi, chcących nieść pomoc na każde żądanie. Mam do załatwienia jedną rzecz, od której będzie zależała realizacja planu „B”.

Wychodzę przed budynek. Dzień jest szary, delikatna mgiełka unosi się w powietrzu, przykleja do twarzy i dłoni, czuję chłód, dawno nie czułem chłodu, działa na mnie ożywczo, pobudza do działania. Miasto pędzi ku swoim sprawom, choć ruch samochodowy przypomina raczej konwulsje umierającego. Podjeżdża starawy opel, szary jak otaczający dzień, korozja tu i tam, silnik najlepsze lata ma już dawno za sobą. Kupiłem ten samochód piętnaście lat temu, służył mi wiernie, już dawno chciałem go sprzedać, Helena legła Rejtanem, twierdząc, że nie wyobraża sobie sprzedania członka rodziny. Teraz otwiera okno i macha mi ręką.

– Dzień dobry – mówię.

Wrzucam walizkę do bagażnika, który udaje się zamknąć dopiero za trzecim razem, po czym siadam na siedzeniu pasażera i zapinam się pasem.

– Cześć – odpowiada moja żona, ruszając.

Zwykle prowadzi ekstrawagancko, gwałtownie przyspieszając i równie gwałtownie hamując, przekraczając dozwoloną prędkość, raptownie zmieniając pasy ruchu i reagując potokiem złośliwości na każdą próbę zwrócenia uwagi. Teraz jedzie ostrożnie, uważnie, gazu używa nader oszczędnie. Ma na pokładzie rekonwalescenta, ale chyba nie to jest głównym powodem.

– Dzieci w szkole? – pytam.

Kiwa głową.

– Przesyłają ci sto buziaków – mówi, włącza kierunkowskaz i skręca w lewo. – Po południu zadzwonią osobiście.

– Będę czekał – rozpromieniam się prawą połową twarzy.

Na szyby opada mżawka. Wycieraczki są niemal równie stare co samochód, mieszają wodę z błotem z zaciekłą monotonią. Helena zwalnia jeszcze bardziej.

– Nie powinienem cię o nic prosić – mówię.

– Nie powinieneś – przytakuje.

Odwracam się ku niej, patrzę na profil, kącik ust, smukłą szyję niknącą pod szykownym półgolfem. Czerń materiału podkreśla blask skóry o jasnej, nigdy niegasnącej karnacji. Helena w skupieniu patrzy na rozmazany obraz przed maską.

– Zrobiłem największy błąd w życiu – oświadczam powoli, po czym oddycham głęboko. – Zraniłem ciebie i zraniłem siebie.

Kilka głębokich oddechów. Helena milczy, kostki dłoni zaciśniętych na kierownicy bieleją.

– Nie chcę, żebyś mi wybaczyła – mówię.

Milczymy, każde inaczej.

– Chcę, żebyś mi dała szansę – mówię, zły, że nie udało mi się ukryć nuty desperacji.

Helena wzdycha głęboko, zwalnia, włącza kierunkowskaz, przez chwilę szuka odpowiedniego miejsca, w końcu parkuje na chodniku. Silnik mruczy cicho, deszcz bije o szyby, jest zacisznie, właściwie swojsko i bezpiecznie.

– Kocham cię – kończę swoją przydługą przemowę.

Helena po raz pierwszy na mnie patrzy, przez moment wraca dawna bliskość, sekunda rozciąga się w nieskończoność, raczej tylko w moim umyśle, niestety.

– Przez pierwszych kilka miesięcy czekałam na twój telefon, nie spałam po nocach, bo wydawało mi się, że mogę go przegapić – mówi moja żona. – Gdybyś wtedy powiedział, że wracasz, po prostu bym zapytała, co chcesz na obiad. Dziewczynki płakały całymi dniami, Mikołaj zaczął chorować, spędziłam kilka tygodni w szpitalu. I w każdej minucie modliłam się, żebyś wrócił. I wtedy zobaczyłam cię na ulicy z tą dziewczyną, zresztą przez czysty przypadek, bo zapomniałam czegoś kupić i cofnęłam się do samochodu. Zobaczyłam cię i zobaczyłam ją, i zrozumiałam, że nie wrócisz…

Macha ręką, bo widzi, że nabrałem powietrza do płuc i chcę protestować. Zmusza mnie do milczenia, w spojrzeniu nie ma już bliskości ani zrozumienia, pojawiła się za to obojętna stanowczość, której tak przestraszyłem się wczoraj.

– Nie wrócisz, chyba że wydarzy się kataklizm, a ja nie życzyłam sobie żadnych kataklizmów – ciągnie. – I zaczęłam pracować nad nowym rozdaniem, w którym nie siedzisz przy stole.

Kiwam głową. Rozumiem doskonale. Nikt nie lubi wyrzucać ciężkiej pracy na śmietnik.

– Mogę stać w przedpokoju. – Próbuję się uśmiechnąć.

Kładzie mi dłoń na ręce.

– Wiem, że jesteś szczery – mówi. – Wiem, że się starasz. Wiem, że wycofując się z ugody, nie chciałeś mnie przekupić. Wiem, że mnie kochasz.

Wiem, że jesteś bardzo dobrym ojcem.

Nie odpowiadam, bo w moim spojrzeniu może wyczytać wszystko, co chcę powiedzieć, ma w nich wszystkie deklaracje, obietnice, wyrazy skruchy, głębokiego żalu i chęć zadośćuczynienia. Helena patrzy mi prosto w oczy, a ja wiem, że puenta naszej rozmowy będzie ostatecznym dowodem niemożności naprawienia tego, co się wydarzyło

– Poznałam kogoś – oświadcza spokojnie. – I jest mi z tym coraz lepiej.

– Poznałaś kogoś – powtarzam.

– Rozwodnik, w moim wieku, ma dwoje dzieci, architekt – mówi, jakby czytała ogłoszenie w gazecie. – Chcę z nim być i się z nim zestarzeć. Przepraszam.

Nie mam na podorędziu sensownego argumentu. Po prostu siedzę i przyglądam się jej zatroskanej twarzy. Helena jest dobrym człowiekiem. Najprawdopodobniej szczerze wierzy w moją przemianę. Ale z powodu mojego spóźnionego refleksu nie ma zamiaru rezygnować z ułożonego z takim wysiłkiem życia. Muszę ją zrozumieć, muszę zaakceptować, że urojenie o powrocie pozostanie urojeniem, że plan „B” nie będzie miał nic wspólnego z żoną, która zresztą, wnosząc ze złożonego przed chwilą wyznania, żoną pozostanie niedługo.

Podjeżdżamy pod moją cichą kamieniczkę, przez chwilę ustalamy, kiedy mogę odwiedzać dzieci, nie chcę na swej drodze spotkać rozwodnika – równolatka, architekta z dwojgiem dzieci. Helena upewnia się, że wszystko należycie zrozumiałem i nie będę podejmował prób ingerowania w tak szczęśliwie powstały związek, przysięgam, że nie, nawet żartuję, że w razie czego może mi zapłacić za milczenie, ona podchwytuje żart, przekazałem jej kilkanaście milionów, by nurzał się w nich inny facet, prawdziwy geniusz ze mnie, chichoczemy jak za dawnych czasów, najchętniej poszedłbym z własną żoną do łóżka, przez moment mam ochotę jej to zaproponować, nie wiem, jak jest z uprawianiem seksu przez inwalidę jeszcze niedaw-

no uwięzionego w półpancerzu, powstrzymuję się jakoś, cmokam ją w policzek, biorę walizkę z bagażnika i stukając laską, jadę na górę.

Mieszkanie wita mnie chłodem i ciszą, puszczam muzykę, po chwili ją wyłączam. Kawa smakuje jak mydliny, cały kubek wylewam do zlewu, potykam się o walizkę, kopię ją, leci w kąt, miga program telewizyjny, obrady sejmu, znowu cisza. Tak jest najlepiej.

Siadam w fotelu i patrzę w zasnute szarością okno.

Nazywam się Jerzy Grobicki, jeszcze nie umarłem i muszę w pierwszym rzędzie wymyślić siebie na nowo. Podniecające zadanie dla mężczyzny po czterdziestce.

Ruszam.

KONIEC

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10